

ROZDZIAŁ 1

Przestrzeń kosmiczna sektora koreliańskiego, pokład niszczyciela gwiazdowego „Anakin Solo”

To nie poczucie winy budziło Jacena każdej nocy. Była to raczej

świadomość, że powinien czuć się winny, gdy tymczasem nie odczuwał zupełnie nic.

Zapadł się w miękki jak niebieskie masło skórzany fotel, tak wygodny, że można by było w nim zasnąć, i zapatrzył się w gwiazdy.

Oslony przeciwbasterowe paneli widokowych jego prywatnych

apartamentów były podniesione, zaś sam gabinet tonął w mroku, pozwalając mu chłonąć widok otaczającej przestrzeni.

Apartament ulokowano na lewej burcie statku, którego dziób skierowany był w stronę słońca Korelii, rufa - w stronę Coruscant,

tak więc miał teraz przed oczami widok na Kuat, Commenor.

Gromadę Hapes i cały Perlemiański Szlak Handlowy. Jacen jednak nawet nie próbował rozpoznać pojedynczych gwiazd.

Istoty, które nigdy nie opuszczały rodzinnej planety, poświęcały

zglobianiu tajników astronomii całe życie - o ileż trudniejsze musiało to być dla kogoś takiego jak on, kto przenosi się z miejsca

na miejsce...

Pozwolił powiekom opaść, ale jego umysł wędrował dalej, jak codziennie od czasu, kiedy ze swoją grupą uderzeniową ocalił życie królowej matki Konsorcjum Hapes, Tenel Ka, podczas

zamieszek wywołanych przez zawistnych arystokratów hapańskich, wspieranych przez flotę Korelii. Wtedy to, przekonany o udziale w spisku Leii i Hana Solo, posłużył się działami turbolaserowymi

„Anakina Solo”, aby unicestwić „Sokoła Millenium”.

Dopiero później dowiedział się, że jego rodzice nie mieli ze spiskiem nic wspólnego.

Dlaczego więc nie czuł się winny? Dlaczego nie czuł grozy na samą myśl, jak mało brakowało, żeby zabił ojca i matkę? Jakim

ojcem on sam będzie dla Allany, jeśli mógł postąpić w ten sposób bez najmniejszych wyrzutów sumienia? Nie wiedział. I był pewien, że dopóki się tego nie dowie, bezsenność go nie opuści.

Za jego plecami miecz świetlny ożył z charakterystycznym sykiem,

a pomieszczenie zalała błękitna poświata. Jacen zerwał się na nogi, zanim jeszcze klinga osiągnęła pełną długość - miecz w jego ręce także obudził się do życia. Drugą dłonią koncentrował

Moc, aby usunąć z drogi fotel. Kiedy już się go pozbył, poszukał

wzrokiem napastnika. Był tak nieduży, że oparcie mebla zasłaniało go całego, oprócz jarzącej się końcówki klingi.

Poznał

własną matkę - Leię Organę Solo. Ale miecz, który trzymała, nie

był jej bronią. Jacen rozpoznał kształt rękojeści i kolor ostrza.

Ten miecz świetlny przez lata należał do Mary Jade Skywalker;

był pierwszym mieczem Luke'a Skywalkera... i ostatnim Anakina

Skywalkera. Leia była ubrana w brązowe szaty Jedi, jej włosy spływały luźno. Broń trzymała oburącz, z ostrzem skierowanym

przed siebie, gotowa do ataku.

- Witaj, matko - odezwał się Jacen. Słowo „mamo” wydało mu się jakoś niestosowne. - Przybyłaś mnie zabić?

- Tak - skinęła głową.

- Zanim to zrobisz... powiedz mi, jak dostałaś się na pokład? I jak zdołałaś przedostać się aż tutaj?

Leia pokręciła ze smutkiem głową.

- Naprawdę sądzisz, że zwykłe zabezpieczenia mogły mnie powstrzymać? - zapytała.

- Pewnie nie - wzruszył ramionami. - Wiem, że jesteś doświadczoną

Jedi, ale nie sądzę, żebyś mogła zagrozić komuś, kto całe swoje życie poświęcił walce i treningowi... bo ty nie miałaś

na to czasu.

- Mimo to cię zabiję - oznajmiła ze spokojem.

- Chyba jednak nie - odparł. - Jestem przygotowany na każdą twoją sztuczkę.

Uśmiechnęła się. Jacen znał ten uśmiech - widział go niejednemu raz, kiedy jej polityczni przeciwnicy popełniali ostatnie w swojej

karierze błędy. Uśmiech drapieżnika igrającego ze zdobyczą.

- Moją ewentualną sztuczkę - uzupełniła. - Czy nie wiesz, że cała potęga teorii taktyki upada w momencie, gdy przeciwnik

zdecyduje się zrezygnować z walki?

Na jej twarzy pojawił się grymas gniewu i poczucia zdrady.

Wyciągnęła przed siebie lewą dłoń i Jacen poczuł niespodziewaną

kumulację Mocy. Leia wykonała gwałtowny ruch. Nie może

mi nic zrobić, przemknęło mu przez myśl i w tym momencie - zbyt późno - zdał sobie sprawę, że wcale nie miała takiego zamiaru. Energia Mocy przemknęła z impetem obok niego i uderzyła

w panele widokowe, odkształcając je, miażdżąc i posyłając w przestrzeń. Jacen odskoczył. Gdyby tylko mógł dosięgnąć framugi, zyskać sekundę lub dwie - mgnienie długości strzału z blastera, żeby zdążył zamknąć drzwi - uniknąłby wyssania na

zewnątrz... Leia dopadła go jednak z nienacka. Uderzyła w niego

całym ciałem, oplótła ramionami, a potem razem poszybowali w kierunku rozbitego panelu. Jacen poczuł przenikliwy chłód, chłód niosący śmierć. Powietrze uciekało mu z płuc ze świstem

zwiastującym nieuchronny koniec, którego nikt nie mógł usłyszeć.

W głębi czaszki poczuł dojmujący, promieniujący zza oczodołów

ból, same gałki oczne zaś zdawały się puchnąć, jak gdyby lada moment miały eksplodować. Usta Leii poruszały się cały czas; czyżby coś do niego mówiła? Przez jeden irracjonalny moment

Jacen zastanawiał się, czy matka będzie go tak strofować całą wieczność, gdy będą wirowali martwi poprzez otchłanie nieskończoności.

I wtedy, w ostatnich sekundach rozpaczliwej świadomości, ocknął się, tonąc nadal w miękkich objęciach fotela, ze wzrokiem skierowanym w gwiazdy.

Sen. A może raczej przesłanie?

- Jesteś tu? - zapytał z nadzieją że może usłyszy odpowiedź Lumiya. Usłyszał tylko ciszę.

Obrócił się na fotelu, ale nie zauważył nic niepokojącego. Za

pomocą panelu sterowania przestawił osłony przeciwblasterowe w tryb gotowości. Spojrzał na chronometr - minął standardowy kwadrans, odkąd po raz ostatni sprawdzał czas, co znaczyło, że przysnął na prawie dziesięć minut. Wyciągnął nogi na panelu i wtuliwszy się w fotel - spróbował uspokoić tłukące się w piersi serce. I zasnąć.

Coruscant, terminal transportowy Galaktycznego Sojuszu w pobliżu Świątyni Jedi

„Mgławica Żuk” opadła na podwyższenie platformy lądowniczej przylegającej do błękitnego, płaskiego jak grzyb terminalu transportowego. Manewr - jak na jednostkę o takich gabarytach - był niezwykle finezyjny. Mierzący dwieście metrów transportowiec klasy Freebooter wyglądał niezgrabnie w każdym otoczeniu, z wyjątkiem przestrzeni kosmicznej. Z góry statek przypominał przecięty na pół sierp księżyca, jego rufa zaś budziła skojarzenia raczej z zadem banthy niż ze szlachetną, elegancką sylwetką okrętu wojennego. Ale właśnie ta rozłożysta rufa zdolna była pomieścić liczny personel i tyle sprzętu, ile trzeba. Gdy tylko statek osiadł na platformie i opadły tuziny ramp, ze środka

począł płynąć nieprzerwany strumień żołnierzy skierowanych do punktów medycznych. Część z nich poruszała się o własnych siłach, inni sunęli na repulsorowych noszach. Z dużo mniejszej, odległej o pięćdziesiąt metrów platformy sytuację obserwował mistrz Jedi Kyp Durrón. Z tej odległości ledwie mógł rozróżnić rysy twarzy, rozpoznawał jednak wyraz ulgi i szczęścia, kiedy istoty odnajdowały w tłumie swoich bliskich. Poprzez Moc wyczuwał emocje, napływające z „Mgławicy Żuk” i z otoczenia - ból promieniujący ze strzaskanych kości i spalonych kikutów, które były kiedyś sprawnymi kończynami. Ból wspomnień o tym, w jaki sposób zadano te obrażenia. Ból wspomnień o przyjaciółach, bezpowrotnie utraconych w tej bitwie. Ale poza bólem czuł również ulgę i szczęście. Istoty powracały do domu, aby odpocząć i odzyskać siły. Wszyscy uczestniczyli w bitwie stoczonej dopiero co w systemie hapańskim - niektórych przepełniała duma, inni odczuwali wstyd lub żal, ale każdy był szczęśliwy, że jest już po wszystkim, i cieszył się, że powrócił. Przez parę spokojnych chwil Kyp Durrón pozwalał, by emocje płynące z innych platform obmywały go niczym świeży, rześki strumień w lecie. Uczucia towarzyszące powitaniom, docierające

do niego z okolic transportowca, sygnały ruchu powietrznego Coruscant, zgiełk i gwar przylegającego terminalu sprzyjały temu spokojnemu odosobnieniu. Nagle wyczuł nową obecność w Mocy - obecność osoby, na którą czekał. Spojrzał w stronę jej

źródła i ujrzał „Cień Jade” zbliżający się w jego kierunku.

Statek zniżył lot nad terminalem, szybko i dość niebezpiecznie,

po czym gwałtownie zwolnił i przeszedł w płynny manewr lądowania

na repulsorach, tuż obok Kypa, który wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ktokolwiek siedział za sterami - a głowę by dał, że

to Mara - zrobił to specjalnie: koniecznie chciał go przestraszyć

i zmusić, by się odsunął. Oczywiście, nie udało mu się to. Kyp pomachał w kierunku cieni majaczących w sterowni i czekał.

Po

chwili rampa opadła, ukazując Luke'a Skywalkera i Marę Jade Skywalker. Oboje byli ubrani zwyczajnie; Luke w czerni, Mara

tym razem w klasycznych szatach Jedi, w dwóch odcieniach brązu.

Kyp uśmiechnął się i wyciągnął dłoń do Luke'a.

- Wielki Mistrzu Skywalker, witam.

Luke uścisnął mu rękę i pozdrowił Kypa krótko:

- Mistrzu Durrone...

Kyp odwrócił się w stronę Mary.

- Mistrzynie Skywalker - przywitał się.

- Mistrzu Durrone - skinęła głową w odpowiedzi, jednak Kyp wyczuł w jej głosie ślad irytacji czy też zniecierpliwienia.

- Nowa dłoń, oczywiście! - zreflektował się, spojrzawszy na

Luke'a i rozluźnił uścisk. - Słyszałem o twoich obrażeniach.
Jak

ona się sprawdza w porównaniu z poprzednią?

Lukę uniósł rękę i obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

- Matryca neuronowa jest bardziej rozbudowana, więc czuję ją nawet dokładniej, niż gdyby była prawdziwa. Ale wiesz pewnie,

jak to jest... androidy, których pamięć nie była nigdy czyszczona,

mają skłonność do przewrażliwienia.

Kyp pokiwał głową.

- A więc odczuwasz różnicę. Brak jej wystarczającej pamięci.

Lukę wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może mój mózg poprzez Moc rozwinął z tą poprzednią

jakiś szczególny rodzaj więzi? W każdym razie ta nie działa jeszcze w stu procentach sprawnie.

- To znaczy - wtrąciła z przekąsem Mara - że chwilowo nie może się uważać za najlepszego szermierza galaktyki, jeśli chodzi

o walkę na miecze świetlne. Powtarzam: chwilowo.

- Ciociu Maro? O, cześć, Kyp... Mistrzu Durrone - nowy głos należał do Jaiiny Solo.

Kyp popatrzył na rampę, szukając wzrokiem drobnej Jedi.

- Jaina - ucieszył się. Wrócił myślami do odległych czasów, kiedy

szalał na jej punkcie. Była wtedy nastolatką on zaś młodym egocentrykiem

i nie zdawał sobie sprawy, że zainteresowanie jej osobą spowodowane jest przede wszystkim samotnością i problemami

z samooceną. Teraz udawał sam przed sobą że nigdy nie znaczyła

dla niego więcej, niż powinna córka jego najstarszego przyjaciela.

Sama Jaina zapewne nie musiała nic udawać. Obdarzyła Kypa zdawkowym uśmiechem i zwróciła się ponownie do Mary.

- Czy mogę już zabrać Zekka i Bena do świątyni?

- Myślę, że tak - skinęła głową Mara. - Kyp, czy widzisz powody

do przełożenia wizyty?

- Nie, nie. - Kyp zerknął w lewo, w kierunku widocznej zza rufy „Cienia Jade” pobliskiej Świątyni Jedi. - Jeśli nie obawiasz

się o silniki, mogę was podrzucić. - Przesadnie swobodnym gestem

uniósł wyprostowaną dłoń i „Cień Jade” zadrżał pod wpływem skumulowanej przez niego Mocy. Jaina rzuciła mu pełne dezaprobaty spojrzenie i odwróciła się na pięcie. Rampa uniosła

się i zasłoniła ją.

- Jak się miewa Zekk? - spytał Kyp.

Mara spojrzała na niego spokojnie.

- Już zupełnie wyzdrowiał. Hapańscy medycy świetnie się spisali. Tyle że jeszcze przez jakiś czas nie będzie mógł wziąć udziału w żadnej akcji. Ile osób wie, jak do tego doszło? - zainteresowała

się nagle.

- Na razie tylko ja. - Kyp wskazał dalszą część platformy przylegającą do terminalu. - Zaparkowałem obok.

Poszli w tamtą stronę.

- Zlecono mi prowadzenie śledztwa w tej sprawie - dodał Kyp.

Wszelkie incydenty kończące się obrażeniami od miecza świetlnego

podlegały wnikliwej analizie Rady. Każdy z mistrzów Jedi

mógł zostać przydzielony do prowadzenia dochodzenia w konkretnym przypadku.

Mara zwróciła się w stronę Kypa.

- Świadkowie twierdzą, że to był wypadek.

Kyp potwierdził skinieniem głowy.

- Zgadza się. Raport Luke'a opisuje szczegółowo całe zajście.

Czy to znaczy, że powinienem zignorować instrukcje, odpuścić

sobie i wziąć wolne?

Dotarli do krańca platformy, gdzie zaparkowany był śmigacz Durrona - długi, żółty pojazd, którego wygodne siedzenia sprawiały

wrażenie zaprojektowanych dla dzieci. Kyp wskoczył na miejsce pilota i wyciągnął dłoń w stronę Mary. Ognistowłosa Jedi spiorunowała go wzrokiem i ignorując pomoc, zajęła siedzenie

obok.

- Jasne, że nie - odparła. - Jestem chyba po prostu przewrażliwiona.

Moje własne dziecko ucierpiało w podobnym incydencie i nagle oczy wszystkich Jedi galaktyki skierowały się w moją stronę.

Lukę usiadł za siedzeniem pilota.

- Po co nas wezwano? - spytał.

Kyp uruchomił śmigacz, wycofał ostro i skierował go w stronę pobliskiego strumienia ruchu powietrznego.

- Siadanie za mną nie było najlepszym pomysłem, wierz mi

- rzucił Luke'owi.

Skręcił raptownie i ustawił maszynę zgodnie z kierunkiem lotu

pojazdów. Jego manewry przypominały szalone akrobacje na symulatorze

„Sokoła Millenium”.

- Czemu niby... - zaczął Luke i skrzywił się, bo kosmyki czupryny Kypa, uwolnione pędem wiatru spod kaptura, zaczęły

powiewać tuż przed jego twarzą co chwila łaskocząc go w nos.

Przesunął się na środek siedzenia.

- Zapuściłeś włosy - zauważył poniewczasie.

Kyp przygładził z zadowoleniem fryzurę, szczerząc zęby w udawanej próżności.

- Spotykam się z pewną damą której podoba się ich długość.

I nie przeszkadzają jej pierwsze ślady siwizny.

- Gratulacje. A więc co tu robimy?

- Cal Omas i admirał Niathal chcieli zobaczyć się z wami, gdy wrócicie z Hapes. Przysłano mnie po was. Jeśli termin jest nieodpowiedni, możecie oczywiście przełożyć spotkanie.

Mara zmarszczyła brwi, patrząc na niego z namysłem.

- Czy ma to związek z wydarzeniami na Hapes?

- W pewnym sensie. - Kyp obdarzył ją szerokim, łobuzerskim uśmiechem. - Tym razem chcę, żeby Luke nadał Jacenowi tytuł mistrza.

Obrzeża systemu koreliańskiego, transportowiec „Strumień Spalin”

Kapitan Uran Lavint była wierna tradycjom Hana Solo.

A przynajmniej tak o sobie myślała. Rzeczywiście była przemytnikiem.

I to nie na małą skalę. Jej transportowiec „Strumień Spalin” mógłby pomieścić na pokładzie kilka statków wielkości

„Sokoła Millenium”. Przyjmowała różne zlecenia. Niektóre z nich, jak na przykład to, które realizowała teraz, wymagały

udziału niewielkiej floty.

Przemytnicze rzemiosło jakoś jej nie wzbogaciło. Sytuacji finansowej

Uran Lavint nie dałoby się nawet określić jako „stabilna”.

Zlecniodawcy przemytnicy, którym powodziło się znacznie lepiej, ścigali ją za długi, próbując złapać w przerwach między kolejnymi kursami, kiedy „Strumień Spalin” dokował w portach

kosmicznych. Grożono jej, zaliczyła nawet lanie podczas pobytu

na Tatoonie. Chodziły słuchy, że jeden z jej zlecniodawców wynajął

łowcę nagród, aby zademonstrować, jakie są skutki brzydkiego

nawyku niepłacenia w terminie.

Akcja, którą kierowała, miała wyprowadzić ją na prostą. Jeśli się powiedzie, Lavint zdoła spłacić wszystkie długi i ułożyć sobie

życie od nowa. W przeciwnym razie stan jej konta osobistego może ulec czemuś w rodzaju nagłej dekompresji, a jej sytuację będzie można nazwać opłakaną.

Na razie siedziała w fotelu pierwszego pilota, przypatrując się przez panele dziobowe odległemu słońcu Korelii. Nie była zmęczona

ani przygnębiona - jej spokój wynikał raczej z wrodzonego poczucia dystansu, który zapewnił jej opinię osoby umiejącej zachować

zimną krew w najbardziej niebezpiecznej sytuacji. Chociaż pochodziła z dobrze sytuowanej, przyzwoitej rodziny z klasy średniej Bospinu, jej cera przypominała źle wyprawioną tatoonijską

skórę, a porwana zmarszczkami twarz zyskałaby tylko, gdyby jej

właścicielka postanowiła dla kaprysu zapuścić wąsy.

Niechętnie podniosła się z fotela. Kiwnęła głową w stronę Hutta, niedużego jak na przedstawiciela tej rasy, który zajmował

specjalnie przystosowaną kanapę pilota obok.

- Dobra, Blatta. Transmituj.

Blatta dokonał paru zmian na panelu kontrolnym. Monitor ożył, wyświetlając twarz Lavint na żywo. Hutt rozpoczął odliczanie

typowym dla swojej rasy dudniącym, oślizgłym basem.

- Transmisja za pięć, cztery, trzy... - Podniósł dłoń z dwoma odgiętymi palcami, kontynuując bezgłośnie odliczanie.

Zagięcie

ostatniego z palców oznaczało, że przekaz jest nadawany.

Kapitan Lavint skupiła wzrok na holokamerze.

- Uwaga, kapitan do floty. Za minutę otrzymacie dane nawigacyjne

naszego ostatniego skoku, który zakończy się w pobliżu Korelii. Tam albo napotkamy siły Galaktycznego Sojuszu, albo

nie. Jeśli nie, to się cieszcie, bo broń i bacta, którą transportujemy,

przyniosą nam duży zysk. W przeciwnym razie rozkazy są jasne: przebijacie się i nurkujecie w atmosferę Korelii, każdy

statek na własną rękę. Jeśli zobaczycie, że któryś z naszych został

osaczony przez siły Sojuszu, życcie mu powodzenia i spadajcie

w kierunku planety. Żadnego marudzenia i zbędnego bohaterstwa.

Powodzenia. - Kiwnęła zdecydowanie głową i transmisja dobiegła końca.

- Dane nawigacyjne? - spytała.

- Wysłałam - brzmiała odpowiedź Hutta.

Dane zostały przekazane. Po zakończeniu transmisji na obu wyświetlaczach pojawił się chronometr, odliczający sześćdziesiąt standardowych sekund. Tyle czasu powinno wystarczyć pilotom

i ich nawigatorom na wprowadzenie danych, bez zbędnego i nerwowego oczekiwania.

Mniej więcej w tym samym momencie licząca ponad trzydzieści

jednostek grupa przyspieszyła, kierując się ku odległej planecie.

Ci, którzy dysponowali polami ochronnymi, włączyli je. We wszystkich sterowniach załogi statków obserwowały, jak gwiazdy

na zewnątrz przechodzą w wirujące smugi. Był to efekt towarzyszący

zawsze manewrowi wchodzenia w nadprzestrzeń. Skok miał trwać jedynie kilka sekund... nie minęła jednak nawet połowa

planowego czasu, gdy gwiazdy przerwały swój szalony taniec i zmieniły się z powrotem w odległe, nieruchome punkty.

Słońce

Korelii było teraz większe i znajdowało się bliżej niż poprzednio,

ale nie tak blisko, jak powinno. Przed nimi zamiast Korelii widniała pustka przestrzeni kosmicznej, przecinana tu i ówdzie

kolorowymi błyskami.

Lavint zaklęła, jej obelgi zagłuszył jednak ryk Blatty:

- Statki wroga! Formacja klina, kierują się w naszą stronę, otaczają nas!

- Który z nich to krążownik przechwytyjący? - zapytała nerwowo.

Któryś ze statków musiał być wyposażony w silne generatory grawitacyjne, wytwarzające pole zdolne wyrwać całą flotę z nadprzestrzeni.

Blatta podświetlił na swoim monitorze punkt, który po chwili zamigotał również na ekranie Lavint. Znajdował się pośrodku klina, dokładnie na wprost ich jednostki.

Włączyła komunikator.

- Kapitan Lavint do floty. Utrzymać szyk, zrównać szybkość ze mną. Naszą jedyną szansą...

Na wyświetlaczu kruchy zarys jej floty zaczął tracić kształt, kiedy każdy statek skierował się w inną stronę.

- Stać! Zachować szyk! - Podniesiony głos zdradzał desperację

pani kapitan. Poprzednie rozkazy straciły sens, bo flota znajdowała się zbyt daleko bezpiecznej przystani, jaką stanowiła

planeta.

- Czy ci kretyńcy tego nie widzą? Musimy wejść na pełnym przyspieszeniu...

- Zaprzeczam - usłyszała ochrypły głos, do złudzenia przypominający

jej własny. - Mówi prawdziwa kapitan Lavint. Kontynuować manewr rozproszenia. - Głos był spokojny i pewny siebie.

Blatta pokręcił głową z podziwem.

- Brzmi zupełnie jak ty!

- Zamknij się - warknęła, po czym wpisała nowy kurs dla statku, kierując go w dół.

Blatta westchnął, co zupełnie przypominało pierdnięcie banthy.

- Przynajmniej nie wiedzą, który statek co przemyca. Nie jesteśmy

największą jednostką, więc istnieje szansa, że nie zwrócą na nas szczególnej uwagi...

„Strumień Spalin” zatrząsł się tak silnie, że Lavint zaszczękały zęby, a Blatta zadygotał niczym miska koreliańskiej galarety. Światła w sterowni na moment przygasły.

Lavint zaczęła gorączkowo zmieniać ustawienia na panelu sterowania,

ale „Strumień Spalin” nie był małą zwinną jednostką.

Gdy niemal w ostatniej chwili statek zdołał zmienić pozycję, dobiegły

ją słowa Blatty, flegmatycznie relacjonującego sytuację:

- Niszczyciel na lewej burcie otworzył ogień. Pierwszy strzał trafił w nasze generatory. Jeśli oberwiemy ponownie...

„Strumień Spalin” znów gwałtownie zadrżał. Wstrząs był na tyle silny, że Lavint wypadłaby z fotela, gdyby nie była mocno

przypięta. Światła znów zamigotały, sygnalizacja panelu sterowania

na chwilę zamarła. Tym razem oświetlenie nie wróciło do normy, a statek przestał reagować na wszelkie komendy.

Wskaźniki

ze stanu spoczynku przeszły w tryb awaryjny. Ekrany wyświetliły

listę uszkodzeń.

Blatta obserwował dane przewijające się przez wyświetlacz.

- Silniki siadły - mruknał.

- Piękne dzięki za tę aktualizację holowiadomości - syknęła Lavint.

Blatta wzruszył ramionami.

- Dobrze się z tobą pracowało, pani kapitan. Chciałbym tylko...

- Co takiego? - spytała.

- ...żebyś nie zalegała mi te pół roku z płatnością. - Zmienił ustawienia wyświetlaczy, aby obserwować bitwę, która rozgorzała wokół.

Obrzeża systemu koreliańskiego, niszczyciel „Anakin Solo”

Jacen Solo stał w kabinie dowodzenia niszczyciela gwiazdowego

„Anakin Solo” i obserwował sytuację przez panele widokowe. Przyglądał się ostatnim rozbłyskom salw laserowych, podczas gdy nierówna walka w przestrzeni dobiegała końca.

Zdecydował, że nie będzie śledził wydarzeń w tradycyjny, wygodniejszy sposób - na wyświetlaczu komputera. Wolał za pośrednictwem Mocy sondować każdy ze statków będących w zasięgu jego wzroku w poszukiwaniu czegoś osobliwego, jakiejś niezgodności, oznak tragedii. Nic nie znalazł. Przemytncicy,

pozbawieni możliwości ucieczki i rozbrojeni, poddali się niemal co do jednego. Co zwinniejsze jednostki zdołały uciec, skacząc w nadprzestrzeń, zanim okrętom grupy uderzeniowej Jacena

udało się je uszkodzić. Jednak większość statków została na miejscu, unieruchomiona. Dryfowały bezradnie w przestrzeni

- jedne z doszczętnie zniszczonymi silnikami, inne z systemami

elektronicznymi unieruchomionymi przez działa jonowe jego floty. Teraz od jednego do drugiego statku kursowały promy; zabierały

z pokładów załogi przemytników i obsadzały jednostki

personalem, który miał dopilnować przetransportowania ich do

doków Galaktycznego Sojuszu za pomocą promieni ściągających.

Za godzinę lub dwie ten fragment przestrzeni kosmicznej będzie czysty, jeśli nie liczyć chmury szczątków, które jeszcze niedawno były silnikami statków.

- Nasz agent chce się z tobą widzieć - usłyszał Jacen głos Ebbak. Ciemnowłosa, niewysoka kobieta o skórze koloru piasku

pustyni nie wyróżniała się niczym szczególnym. Okazała się jednak

znakomitym nabytkiem już od momentu, kiedy dołączyła do załogi „Anakina Solo”. Jako pracownik cywilny odpowiedzialny

za analizę danych wykazywała niesamowitą wręcz zdolność: intuicyjnie niemal wyczuwała, jakiego rodzaju informacji Jacen

potrzebuje - i dostarczała je we właściwym czasie. Jacen zastanawiał

się nawet, czy byłaby zainteresowana objęciem funkcji strażnika Galaktycznego Sojuszu. Obsadzenie jej na tym stanowisku

mogło stanowić strzał w dziesiątkę, jeśli tylko okazałaby się równie lojalna, co obowiązkowa.

Teraz pojawiła się zupełnie niespodziewanie. Jacen wyczuł, co prawda, że nadchodzi, zbliżyła się jednak bezszelestnie.

Mogła

okazać się niezastąpiona w pełnieniu tajnych misji.

Jacen nie zamierzał teraz roztrząsać tej kwestii. Umysł miał zajęty analizowaniem szczegółów dotyczących akcji przechwycenia

floty przemytników. Poza tym powinien skoncentrować się

na czekającym go spotkaniu z reprezentantem Korelii.

- Czemu miałbym chcieć z nią rozmawiać? - rzucił z rozdrażnieniem

w stronę Ebbak. -1 proszę cię, nie nazywaj jej naszym agentem. Zdradziła swoich towarzyszy dla pieniędzy. Jest tylko

chwilowo pracującym dla nas najemnikiem i działa na własną rękę. Jeżeli jest czymkolwiek agentem, to tylko i wyłącznie własnym.

Ebbak zawahała się, ale nie skomentowała.

- Nie mówiła, czego chce. Udowodniła jednak ostatnio, że ma informacje, które mogą się nam przydać...

- Dobrze, zgoda. - Jacen pokiwał głową ze zniecierpliwieniem.

- Gdzie ona jest?

- Czeka w twoich apartamentach.

Jacen podążył za Ebbak. Opuścili pokój dowodzenia, przeszli głównym korytarzem i skręcili w stronę drzwi wiodących na lewą burtę, kierując się do apartamentów pełniących podczas

pobytu Jacena na pokładzie „Anakina Solo” funkcję jego prywatnego

biura. Czekały tam dwie osoby: rostry mężczyzna w kombinezonie

służby ochrony statku oraz kobieta, która w momencie wejścia do pokoju Jacena i Ebbak zerwała się z fotela.

- O co chodzi? - Jacen spojrzał ze zniecierpliwieniem na pomarszczoną

twarz kapitan Uran Łavint.

Przemytniczka zawahała się, wyraźnie zbita z tropu jego rezerwą.

- Zanim odejdę, chciałam się upewnić, że nie masz dla mnie dalszych zleceń... eee... rozkazów.

Jacen westchnął.

- Po pierwsze, nigdy nie współpracuję dłużej z kimś, kto sprzedaje własnych kompanów. Po drugie, kłamiesz. Lavint oblała się rumieńcem, ale wyraz jej twarzy pozostał niezmienny.

- Ja... Chciałam cię tylko zobaczyć.

- Ach, tak? - Jacen zawahał się i postanowił ostrożniej dobierać

słowa. - Lavint, masz teraz mnóstwo czasu. Zdradzając przeszło trzydziestu współpracowników, zarobiłaś tyle kredytów,

że możesz spłacić wszystkie długi i rozpocząć nowe życie - czy

to będzie przemyt, czy też coś legalnego. Możesz podróżować, możesz się bawić, możesz odpoczywać. Ja natomiast nie mogę sobie pozwolić na trwonienie czasu. A w tej właśnie chwili marnuję

go na rozmowę z tobą. To niedopuszczalne. - Odwrócił się do ochroniarza. - Zabierz ją do hangaru delta i dopilnuj, żeby wsiadła na statek. I opuściła mój okręt.

Lavint odchrząknęła.

- „Strumień Spalin” jest w hangarze gamma, a jego silniki nie będą sprawne jeszcze przez przynajmniej kilka standardowych dni - przypomniała.

- Zgadza się - odparł Jacen. - „Strumień Spalin” został skonfiskowany

w związku z kryzysem militarnym. - Wyciągnął z kieszeni datapad i zerknął na jego wyświetlacz. - Twój nowy statek to „Durawrak”.

- „Durawrak”?! - niemal wypluła to słowo. - Przecież to kupa złomu! Starsza ode mnie! Latająca cegła, skorupa rzeżąca

niczym cierpiący na wzdęcie Hutt! To pudło nie umywa się nawet

do „Strumienia Spalin”!

- I jest dokładnie tym, czego potrzebuje przemytnik zaczynający

kariere - wszedł jej w słowo Jacen.

- Ale nasza umowa...

- Zgodnie z umową miałem ci zapłacić. Ebbak, pokazałaś jej dowód przelewu i przekazałaś dane dostępu do konta na Bospin?

- Tak jest - brzmiała odpowiedź.

- Zapewniłem cię też, że będziesz mogła odlecieć swoim statkiem.

Bez ładunku - kontynuował Jacen. - Umowa nie precyzowała, którego statku to dotyczy. - Spojrzał na nią ostro. - Czy nadal zamierzasz marnować mój cenny czas?

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Jacen byłby już trupem.

Rozumiał doskonale, dlaczego Lavint była wściekła: właśnie pozbawił ją statku i ukochanego zajęcia, w zamian nagradzając

kupą złomu. Jego ojciec, Han Solo, czułby się podobnie w tej sytuacji.

Ale kapitan Uran Lavint nie była Hanem Solo i Jacen nie martwił

się, że mogłaby kiedyś powrócić, pałając żądzą zemsty. Z jej dotychczasowych dokonań jasno wynikało, że nie obchodzi jej nic poza zdobywaniem kredytów. Była nikiem.

Lavint odwróciła się i pomaszerowała sztywno w kierunku wyjścia. Za nią podążył ochroniarz. Drzwi otworzyły się bezszelestnie,

zanim jednak przemytniczka opuściła pokój, zatrzymała się i — nadal odwrócona do Jacena plecami - spytała cicho:

- Jakie to uczucie być byłym bohaterem?

I wyszła. Drzwi zamknęły się za nią z ledwie słyszalnym sykiem.

Jacen poczuł, że czerwienieje. Zmusił się, by odepchnąć od siebie uczucie gniewu. Nie pozwoli takiemu robactwu jak Uran

Lavint wyprowadzić się z równowagi. Ktoś taki zasługuje na dodatkową

karę. Odwrócił się w stronę Ebbak.

- Mój ojciec miał wieczne problemy z „Sokołem Millenium”.

Hipernapęd psuł się cały czas. Wtedy ojciec oznajmiał, że to nie

jego wina, po czym jakimś cudem naprawiał go i wracał do swoich

spraw.

Wskazał na drzwi.

- Opóźnij jej wejście na statek. I dopilnuj, żeby hipernapęd „Durawraka” uległ awarii tuż po wykonaniu pierwszego skoku w nadprzestrzeń.

- Tak jest, sir - potwierdziła Ebbak. - Jest przemytnikiem, więc nie poprzestanie na jednym skoku. Pierwszy manewr wykona

po to, żeby znaleźć się z dala od systemów planetarnych i szlaków gwiazdnych. Zostanie całkowicie odcięta.

- Zgadza się. A potem będzie miała okazję zapoznać się bardzo

dokładnie ze swoim hipernapędem.

- Może nie przeżyć - zauważyła Ebbak.

- Jeśli przeżyje, to doświadczenie uczyni ją lepszą osobą.

Może też nauczy nieco pokory - skwitował Jacen.

- Tak jest, sir.

Ebbak ruszyła w stronę wyjścia, zanim jednak wyszła, odwróciła

się.

- Sir, za standardową godzinę ma pan spotkanie z admirałem Antillesem.

Jacen spojrział na chronometr.

- Zgadza się, dziękuję.

- I, pułkowniku, jeśli mogę zauważyć...

- Co takiego?

- Nie wygląda pan najlepiej.

Uśmiechnął się bez cienia radości.

- To normalne, gdy sytuacja jest odrobinę napięta. Nic mi nie będzie.

Drzwi za Ebbak zamknęły się.

ROZDZIAŁ 2

Dokładnie godzinę później Ebbak wróciła w towarzystwie admirała Wedge'a Antillesa z Korelii. Mający już swoje lata wojskowy szedł sprężystym krokiem, wyprostowany jak struna.

Sprawiał wrażenie o połowę młodszego, niż można było sądzić

po wieku. Nosił mundur oficera Wojsk Obrony Planety, a jego poważna twarz skrywała wszelkie uczucia niczym maska.

Nawet

za pośrednictwem Mocy Jacen wyczuwał jedynie słabe sygnały

emocji Wedge'a - czujność, pewność siebie i cierpliwość wynikającą

z umiejętności samokontroli.

Solo wstał zza biurka, aby uścisnąć dłoń Wedge'a, i gestem odprawił Ebbak, która niezwłocznie opuściła pokój. Zająwszy ponownie swoje miejsce, wskazał krzesło z wysokim oparciem,

ustawione po drugiej stronie biurka specjalnie na to spotkanie.

- Siadaj.

- Dzięki. - Wedge skorzystał z propozycji, cały czas zachowując wzorową postawę.

Jacen poczuł ukłucie gniewu. Antilles powinien zdawać sobie sprawę, że sytuacja Korelii jest beznadziejna. Mógł wykazać choć tyle przyzwoitości, by nie udawać, że jest inaczej.

- Wiem, że nie lubisz marnować czasu - odezwał się - przejdź więc, proszę, do sprawozdania.

Wedge w końcu stracił nieco kamiennego spokoju.

- Sprawozdania z czego? - rzucił zdziwiony.

- Możesz powiedzieć coś w rodzaju: „Zdaję sobie sprawę, że sytuacja Korelii jest beznadziejna, więc przejdźmy do rzeczy”.

Wedge parsknął śmiechem.

- Jestem tu, ponieważ chciałeś spotkać się z wysoko postawionym

przedstawicielem rządu lub sił zbrojnych Korelii.

A chciałeś tego, bo po spektakularnym zwycięstwie w systemie

hapańskim, tak widowiskowo ukazanym w mediach... nawiasem

mówiąc, moje gratulacje... wiesz, że zawierając pokój z Korelią,

możesz jedynie zyskać. Galaktyka po prostu się zachwyci twoją

błyskotliwością.

Jacen stłumił w sobie złość wywołaną słowami Wedge'a.

W dodatku admirał miał rację. Gdyby w ciągu paru dni zdołał doprowadzić do zawarcia pokoju, zyskaliby wszyscy - Korelia,

Galaktyczny Sojusz, nie mówiąc już o nim samym.

- Nie jesteś uprawniony do kwestionowania pobudek i moralności

innych. A już na pewno nie po próbie zamachu stanu na

Hapes - oburzenie w głosie Jacena było szczere.

Wedge milczał przez dłuższą chwilę.

- Sądzę, że powinieneś o tym wiedzieć - odezwał się w końcu
- dlatego zdradzę ci pewien sekret koreliańskiego rządu: nie
wiedziałem o spisku na Hapes. Zdajesz sobie chyba sprawę, że
nie miałem z tym nic wspólnego?

- Skąd niby miałbym to wiedzieć? - zapytał Jacen.

- Bo spisek się nie powiódł.

Jacen powstrzymał cisnące mu się na usta pytanie, czy
zaciekłość

i upór to typowe cechy Korelian, ale zdołał oprzeć się pokusie.

Jego ojciec był typowym Korelianinem. Gdyby zaciekłość

i upór można było wymieniać na kredyty, Solo byłiby
najbogatszą

rodziną w galaktyce.

Obrzucił admirała wyniosłym spojrzeniem.

- Nie musisz na razie szukać adwokata. Procesy zbrodniarzy
wojennych jeszcze się nie rozpoczęły. Jeśli poprowadzicie
negocjacje

w miarę sprawnie, może w ogóle do nich nie dojść. Wróćmy
do rzeczy: admirale, wasza pozycja jest krytyczna. System
Korelii

został otoczony i objęty blokadą. Mimo chwilowego poparcia
kilku

planet nikt się do was nie przyłączył. Nie macie sojuszników,
szybko kończą się wam podstawowe zapasy. Transport
przemysłowców,

którego oczekiwaliście mniej więcej godzinę temu, wcale się
nie spóźnia. Został przez nas zatrzymany. Przejęliśmy cały
ładunek

bacty i zaopatrzenia, który miał do was trafić. Możesz być
pewien,

że zostanie wykorzystany do wsparcia sił Sojuszu.

Wedge się uśmiechnął.

- Najpierw twierdzisz, że nie mamy przyjaciół, a potem oznajmiasz, że aresztowaliście osoby próbujące dostarczyć nam

potrzebne rzeczy.

- To przemytnicy, nie przyjaciele - sprostował Jacen.

- Bywa, że przemytnicy stają się przyjaciółmi - zauważył Wedge. - Ja i twój ojciec, zanim zasililiśmy szeregi Sojuszu Rebeliantów,

byliśmy przemytnikami. Skoro wydałeś rozkaz przechwycenia transportu, zamiast uczciwie za niego zapłacić, możesz być pewien, że paru przemytników przestanie darzyć Sojusz sympatią. Chcesz mnie przekonać, że Galaktyczny Sojusz nie potrzebuje

przyjaciół, czy dać do zrozumienia, że nie potrzebujecie przyjaciół takich jak ja czy twój ojciec?

- Znowu odbiegasz od tematu - przerwał mu Jacen.

- Zgadza się. - Wedge wyglądał teraz na zmęczonego i zatroskanego.

- Będę z tobą szczerzy: byłbym rad, gdyby Korelia przyłączyła się ponownie do Sojuszu. Inaczej stanie się coś bardzo, bardzo niedobrego.

- Wreszcie mówisz z sensem.

- Jeśli Korelia pozostanie w opozycji... jeśli naprawdę rozpęta się wojna... mogę nigdy nie doczekać emerytury.

- Wedge...

- Harowałem na nią uczciwie w służbie Sojuszu przez długie lata.

- Bądź poważny.

- W porządku.

Rozbawienie przysło i Wedge wbił w Jacena przenikliwy wzrok.

- Współpracujesz z rządem, który nie jest jeszcze stabilny.

Thrackan Sal-Solo nie żyje dopiero od niedawna i z jego grobu

wciąż jeszcze wypełzają larwy. Aby je wszystkie rozdeptać, potrzebujemy czasu. Pośpiech nie jest dobrym wyjściem. Nie potrzebujesz mojej odpowiedzi teraz, jutro ani w przyszłym tygodniu,

a każde pochopne rozwiązanie pogorszy tylko sytuację zainteresowanych stron. Uspokój się, okaż nieco cierpliwości, negocjuj w dobrej wierze, a mam wszelkie podstawy, aby sądzić,

że Korelia dołączy ponownie do Sojuszu.

- Rozumiem przez to, że po powrocie wydasz oświadczenie o kapitulacji.

- Nawet za tysiąc lat. Nigdy. - Wedge pokręcił głową.

- Co więc proponujesz?

- Powrót do Sojuszu, ale pod pewnymi warunkami. Żadnych odszkodowań wojennych. Żadnych kar, nadprogramowych obciążeń,

łapówek, nic, co mogłoby zadziałać na niekorzyść mieszkańców

Korelii. Koniec z propagandą antykoreliańską, ostatnio dość powszechną wśród członków Sojuszu. Co powiesz na takie

warunki?

- Możemy je... rozważyć. Jeśli jednak dojdzie ponownie do incydentów, takich jak atak na Coruscant, wszelkie starania mogą

pójść na marne.

- Rozumiem.

Wedge uspokoił się trochę - jego twarz i sylwetkę częściowo opuściło napięcie.

- Czym się zajmiesz, kiedy emocje już opadną? Pozostaniesz

na służbie czy wrócisz do przemierzania przestworzy jako
czołowy

działacz galaktycznego towarzystwa opieki nad zwierzętami?

Swego czasu całkiem zgrabnie ci to wychodziło.

Jacen powstrzymał gniewny grymas i wzruszył ramionami.

- Może połączę pracę w szeregach Straży Galaktycznego
Sojuszu

z dalszym szkoleniem.

- Hm... Czyżbyś złapał politycznego bakcyła? Czy tylko
spodobało

ci się paradowanie w mundurze?

Jacen westchnął, wyraźnie zirytowany.

- Znowu żartujesz. Chyba nie osiągniemy dziś nic więcej.

- Też tak sędzę. - Wedge, znów poważny, wstał z fotela. -

Jacenie,

jest coś, co chciałbym ci powiedzieć... - nie jako dowódca

czy negocjator, ale jako stary przyjaciel twojej rodziny.

Mogę?

Jacen również wstał.

- Nieoficjalnie, mam nadzieję?

- No... niekoniecznie. Zresztą to nieistotne. W każdym razie
jako przyjaciel rodziny. Możesz wysłuchać tego na takich
zasadach?

Odrobinę zbity z tropu, Jacen skinął głową.

- Mój kumpel, Wes Janson, najmniej poważny człowiek
w galaktyce, poza momentami, w których próbował kogoś
zabić

lub zaproponować coś sensownego, powiedział mi kiedyś:

„Dowodem

na to, że ktoś staje się fanatykiem, jest całkowita utrata

poczucia humoru. Jeśli ktoś traci poczucie humoru, to znaczy,

że całkiem stracił perspektywę". Jacenie, myślę, że straciłeś

zdrowe podejście... cóż, prawie do wszystkiego. Robisz rzeczy,
do których nie byłbyś zdolny, kiedy byłeś młodszy. Co się dzieje?

Jacen pokręcił głową.

- To nie fanatyzm. Po prostu dorosłem.

- Wątpię.

- Ebbak czeka na zewnątrz. Odprowadzi cię do twojego statku. Po wyjściu Antillesa Jacen wrócił na fotelu i wbił niewidzące spojrzenie w drzwi.

Przeklęty Wedge, pomyślał. Jakby utrata dziecięcego poczucia humoru miała jakiś związek z fanatyzmem. Jakby...

Jednak uporczywa, błędząca na skraju świadomości myśl wciąż nie dawała mu spokoju. Miało to coś wspólnego ze słowami

kapitan Lavint, która wznieciła iskrę, podsyconą jedynie przez Wedge'a. Nadal nie mógł jej uchwycić.

Co znaczyło jedynie, że musi przyjrzeć się temu bliżej.

Lavint nazwała Jacena byłym bohaterem. A przecież gdyby takie

rzeczy były oceniane na podstawie liczby wielbicieli, Jacen byłby teraz większym bohaterem niż kiedykolwiek. Więc dlaczego

Lavint twierdziła, że już nim nie jest? Czyżby dlatego, że wydał na nią wyrok? Być może. A może dlatego, że ta decyzja złamałaby serce jego ojcu i właściwie każdemu przemytnikowi?

Uderzył w jej czuły punkt? To nie było ładne, przyznał w duchu.

Ale sprawiedliwe. Odłóżmy więc to na później.

Wedge był przekonany, że Jacen bez poczucia humoru stał się fanatykiem. Tak czy siak, był zmuszony przyznać, że coś jest na

rzeczy.

Zarówno Lavint, jak i Wedge dostrzegli w nim zmiany - i ten fakt w pewien sposób go niepokoił.

Przez chwilę usiłował przypomnieć sobie, co czuł jako nastolatek,

zanim w galaktyce wybuchła wojna z Yuuzhan Vongami.

Lubił żartować, był szczęśliwy, czuł się dobrze w towarzystwie

siostry, Jaiiny, i młodszego brata, Anakina. Cała

trójka nie za często miała okazję cieszyć się towarzystwem

rodziców... A poczucie humoru Jacena objawiało się głównie

opowiadaniem głupich kawałów, które zbierał po wszystkich zakątkach galaktyki.

Jego życie wypełniały też zwierzęta, o których wspomniał

Wedge. Kiedyś, dawno temu, potrafił nakłonić piaskową panterę

do mruczenia. Umiał oswoić i przekonać do siebie niemal każde

stworzenie. Ile czasu minęło od tamtej pory? Ile czasu minęło od

momentu, kiedy sprawiało mu to przyjemność?

Stworzenia, wściekłe istoty o ostrych kłach, nienawidzące Jedi...

Otrząsnął się ze wspomnień, ale nadal czuł ich przytłaczający ciężar. Tu właśnie tkwiła odpowiedź. Kiedy wojna z Yuuzhan Vongami osiągnęła apogeum, razem z Jainą Anakinem oraz zespołem

złożonym z najlepszych z młodych Jedi wyruszył na obcą planetę. Ich misja miała na celu zniszczenie voxynów - wyhodowanych

przez Yuuzhan stworzeń, zdolnych wyczuwać Moc.

Stworzeń, które wytropiły i pozbawiły życia wielu Jedi, zanim wypełnili swoje zadanie.

Wtedy właśnie Anakin został śmiertelnie ranny. Opuścił ich na zawsze.

Potomstwo Hana i Leii nagle skurczyło się do dwójki. Nagle przestali być niepokonani, niezniszczalni, nieśmiertelni. W życiu

Jacena zabrakło miejsca na śmiech, na radość.

Od tego czasu wszystkie zwierzęta kojarzyły się Jacenowi z voxynami. Nie myślał już o nich jako o przyjaciółach.

On sam trafił wtedy do niewoli Yuuzhan. Przebywał pod kuratelą

Vergere, która czasem wydawała mu się Jedi, czasem Sithem, czasem zaś ani jednym, ani drugim. Nauczyła go wielu rzeczy, łącznie ze sztuką odcinania się od bólu lub akceptowania go.

Nauczyła go trwania w Mocy lub poza nią. Nauczyła go, jak być

człowiekiem, jak być Yuuzhaninem, ale też jak nie być żadnym z nich.

Nauczyła go perspektywy, na wypadek gdyby było mu to potrzebne.

Teraz, ponad dziesięć lat od tych wydarzeń, po śmierci Vergere,

dostrzegł kolejny powód, dlaczego tak się stało. „Jedynie odpowiedni

dystans zapewnia perspektywę. Nauka zyskuje zawsze w ujęciu perspektywicznym. Dlatego też zyskuje na zachowaniu

dystansu”.

Co nie wyjaśniało, czemu uwagi przemytniczki i Wedge'a tak go dotknęły.

„Robisz rzeczy, których nie zrobiłbyś nigdy, kiedy byłeś młodszy.”

Jak na przykład atak na „Sokoła Millenium”.

Ta myśl natarła na niego niczym miecz świetlny Luke'a - i Jacen

nie mógł odeprzeć tego ciosu, zignorować go.

Parę dni wcześniej wydał rozkaz otwarcia ognia turbolaserów do „Sokoła Millenium”.

„Nie byłem pewien, czy to »Sokół«. Emitował kod »Długiego Strzału«.

Wiedziałeś, że to oni.

Pierwszy z głosów był jego własnym. Drugi wydawał się również

należać do niego, ale... brzmiał prawie jak głos Yergere.

„Ja... tak, wiedziałem, że to »Sokół«. Zdawałem sobie sprawę, że strzelam do własnych rodziców. Ale byłem przekonany, że są

wrogami, że zdradzili. Mnie, Tenel Ka i naszą córkę”.

I dlatego zdecydowałeś, że zasługują na śmierć?

„Nie... Byłem pewien, że »Sokół« wytrzyma salwę czy dwie. Nie miałem zamiaru ich zabić”.

A jednak.

Jacen westchnął, pokonany przez potęgę logiki.

„Tak, próbowałem ich unicestwić. Byłem pewien, że chcą skrzywdzić Allanę”.

Chciałeś też zabić Zekka, Bena i Jainę, aby dokończyć dzieło.

Zmarszczył czoło, zastanawiając się nad tą sprawą.

Może nie tyle zabić, pomyślał, co raczej... poświęcić.

W imię większej sprawy. Aby wyeliminować dwoje wrogów.

Wrogów, których uznałeś za sprytnych i bezwzględnych.

Mogło to

kosztować cię wiele... może wszystko.

„Tak”.

W takim razie była to słuszna decyzja.

„Mylilem się! Okazało się, że moi rodzice nie mieli nic wspólnego

z próbą zamachu stanu".

Zgadza się. Co nie zmienia faktu, że była to słuszna decyzja, w tamtych okolicznościach.

Jacen skinął głową.

I zrobiłbyś to ponownie. Gdybyś wiedział... gdybyś był pewien, że są twoimi wrogami, że mogą przeszkodzić przyniesieniu galaktyce

pokoju. Albo stanąć między tobą a twoją córką.

„To prawda”.

Bardzo dobrze. - Głos rozbrzmiewający w jego świadomości coraz bardziej przypominał Vergere. - *Wciąż się uczysz.*

„A ty wciąż nauczasz. A przecież nie żyjesz”.

Nie doczekał się odpowiedzi. Mimo to uspokoił się i poczuł satysfakcję.

Jego decyzja była właściwa, błędne okazały się tylko dane, na których się opierała. Postąpiłby w ten sposób jeszcze raz, jeśli byłoby to konieczne - i to bez chwili wahania.

Był w stanie poświęcić mniej ważny obowiązek w zamian za istotniejszy, mniejszą miłość dla większej. Lumiya, jego mistrzyni,

byłaby zadowolona... jeśli jeszcze żyła.

Musiał chyba przyznać, że chłopiec, którym kiedyś był - pogodny

optymista, sypiący żartami jak z rękawa, kochający zwierzęta, stały obiekt porwań, młodociany Jedi - był martwy, poległ w tej samej misji, w której utracił brata, Anakina.

Zrozumiawszy w końcu działanie mechanizmów, które do tego doprowadziły, Jacen przestał tęsknić za swoim młodszym „ja”.

I wreszcie udało mu się zasnąć.

ROZDZIAŁ 3

Coruscant, gmach Senatu Galaktycznego Sojuszu, biuro przywódcy Omasa

Tym razem było to prywatne spotkanie paru osób.
Uczestniczyli

w nim Luke, Mara, przywódca Omas, admirał Niathal oraz Kyp. Ochroniarze czekali na zewnątrz, z pewnością-jeśli Luke znał ich tak dobrze, jak mu się zdawało - niezbyt zadowoleni z faktu, że nie mogą bezpośrednio chronić przedstawicieli rządu,

na wypadek gdyby Jedi postanowili narozrabiać.

Ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Luke'a. Stwarzanie przez

Jedi jakichkolwiek problemów było równie realne, co szansa na

obwołanie się Ciałem Omasa i admirał Niathal nowymi Imperatorem

i Imperatorową. To skojarzenie sprawiło, że oprzytomniał.

Kiedy ostatnio doszło do czegoś takiego, sprawy Jedi nie miały

się zbyt dobrze.

- Zdaję sobie sprawę, że jesteście zajęci - odezwał się przywódca

Omas, siwiejący, poważny, uosobienie empatii i dobrej woli rządu. Siedział naprzeciwko Luke'a z dłońmi złączonymi na

blacie stołu. - Będę więc mówił krótko, w imieniu rządu Sojuszu:

macie okazję wyświadczyć nam ogromną przysługę.

- Nadając Jacenowi Solo tytuł mistrza Jedi? - raczej stwierdził, niż zapytał Luke.

Przywódca Omas zawahał się. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, ale Luke miał wrażenie, że mężczyzna jest zaskoczony.

Lukę miał ochotę zerknąć na Kypa, ale się powstrzymał. A więc

to był sekret, pomyślał. Albo domysły. Omas chyba o nic nie podejrzewa

Kypa, co oznacza, że musiały to być jednak jego przypuszczenia.

Ciekawe.

- Eee... zgadza się - potwierdził w końcu przywódca Sojuszu.

- Nastąpiły niespokojne czasy. Pułkownik Solo stał się bohaterem

dla naszych obywateli. Kimś, kogo wszyscy członkowie Galaktycznego Sojuszu widzieliby chętnie na miejscu dowódcy.

Powierzając mu funkcję Strażnika Galaktycznego Sojuszu, rząd

okazał wiarę w jego możliwości i lojalność, on zaś z kolei udowodnił,

że jest godny naszego zaufania i zrobi wszystko, żeby nadal na nie zasługiwać. Jacen Solo mógłby stać się ogniwem współpracy rządu z Radą Jedi... jeśli tylko zakon obdarzył go podobnym zaufaniem.

Omas wyrażał się niezwykle dyplomatycznie i popierał to przekonującą

gestykulacją. Poprzez Moc Lukę wyczuwał, że mężczyzna nie ma w tym żadnego osobistego interesu. Było oczywiste, że składa tę propozycję w imieniu kogoś innego, może odwdzięczając

się za przysługę któremuś z polityków lub innej osobie wspierającej Jacena. Zerknął na admirał Niathal. Kalamarianka

cieszyła się ogromnym poważaniem w Sojuszu i była gorliwą zwolenniczką młodego Solo. Teraz siedziała bez ruchu, całkowicie

kontrolując emocje.

- Cóż, jest pewien problem. - Luke spojrział na towarzyszących mu Jedi. Z twarzy Mary nie dało się odczytać żadnej reakcji na słowa polityka, jednak poprzez łączącą ich więź czuł wyraźnie, że jest zirytowana. Kyp uśmiechał się blado, zagłębiony w swoim fotelu, ale promieniowało od niego uczucie samozadowolenia.

- Sądzę, że Jacen nie dojrzał jeszcze do tytułu mistrza - dodał Luke.

Przywódca Omas spojrział na niego z rezerwą.

- Wielu Jedi zarówno w czasach Starej Republiki, jak i współcześnie nadawano tytuł mistrza, gdy byli w jego wieku, a nawet wcześniej.

- Tu nie chodzi o wiek - pokręcił głową Luke.

- Poza tym - kontynuował Omas - Jacen udowodnił, że ma niezwykle umiejętności i jest potężniejszy niż niejeden z mistrzów.

Mara westchnęła i wychyliła się ze swojego fotela, by włączyć się w końcu w dyskusję.

- Potęga nie ma tu nic do rzeczy. Gdyby ta potęga była, jak sugerujesz, kryterium oceny, wtedy nawet roczne dziecko z detonatorem termicznym w ręku mogłoby nauczać na poziomie akademickim.

Zgadza się?

Teraz z kolei pochyliła się siedząca naprzeciw niej pani admirał.

Wyglądało to tak, jakby krążownik kalamariański będący Niathal przygotowywał się do ataku na niszczyciel gwiazdny, którym była Mara.

- Potęga, wiek i mądrość z pewnością nie są jedynymi cechami, które należy wziąć pod rozwagę - przemówiła charakterystycznym dla jej rasy, chrapliwym głosem Kalamarianka. Skierowała wyłupiaste oczy najpierw na Marę, a potem na Luke'a.

- Gdyby Jacen, jako dowódca Straży, został mianowany mistrzem

Jedi, zatarłoby to granicę między tymi, którzy ślubowali rządowi posłuszeństwo, a tymi, którzy deklarowali jedynie niezobowiązujące

wypełnianie powinności obywatelskich. Byłaby to niepokojąca utrata autorytetu Wielkiego Mistrza, a może nawet

całego zakonu, prawda?

Lukę pozwolił sobie na odrobinę chłodu w głosie.

- To, czego dokonałem przez niemal czterdzieści lat, można chyba uznać za coś więcej niż „niezobowiązujące wypełnianie powinności”.

- Oczywiście - potwierdziła Niathal. - Tak więc nie masz się czego obawiać.

- To nie ma nic do rzeczy.

Lukę spojrział na nią surowo, dając do zrozumienia, że próba sprowadzenia dyskusji z linii logiki na ścieżkę defensywy nie ma sensu.

- Jacen nie jest gotowy. Podejmuje zbyt wiele niewłaściwych decyzji. Potrzebuje nauczyciela, kogoś, kto nim pokieruje, a mimo to wciąż odrzuca pomoc.

- Twoją pomoc. Za to dość chętnie przyjmuje moje wskazówki

- sprostowała Niathal.

Lukę nie odpowiedział. Pozwolił, aby przez kilka długich sekund

panowała cisza.

Niathal zwróciła się w końcu do Kypa.

- Mistrzu Durrone, wiem z dobrego źródła, że nie masz nic przeciwko nadaniu Jacenowi Solo rangi mistrza.

Lukę nagle zrozumiał, skąd na tym spotkaniu wziął się Kyp.

Parę miesięcy temu na spotkaniu Rady Jedi Kyp zaproponował,

żeby nadać Jacenowi tytuł mistrza. Informacja musiała jakoś przedostać się na zewnątrz, aż dotarła do uszu oraz membran słuchowych

Omasa i Niathal. Teraz Kyp miał wzmocnić pozycję przedstawicieli rządu.

Sam Durrone sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale Lukę nie wyczuł z jego strony prawdziwego zdziwienia.

- Słucham? - odezwał się Kyp.

Niathal spojrzała w jego stronę.

- Zasugerowałeś, że Jacen Solo powinien zostać mistrzem.

Kyp niepewnie skinął głową.

- Hm... poniekąd.

- Co masz na myśli? - W głosie kalamariańskiej pani admirał był cień podejrzliwości.

Kyp wyglądał na skrepowanego.

- Cóż, chyba nie słyszeliście nigdy o roli *taras-chi* w obradach Rady Jedi.

- Taras co?

- *Taras-chi*. To ktoś w rodzaju rytualnego przeciwnika w dyskusji.

Kyp zerknął ukradkiem na Lukę'a i Marę, licząc na ich wsparcie.

- Zgodnie z tradycją Jedi każda z grup prowadzących dyskusję, lub jej moderator, wybiera *taras-chi*. To osoba odpowiedzialna za analizę pomysłów sprzecznych ze zdaniem większości. Polega to na poddaniu wszystkich pomysłów pewnej... ocenie, czasem po to, aby je odrzucić. W idei *taras-chi* nie chodzi o przedmiot dyskusji... - poddaje on jedynie analizie dyskutowane problemy. Można to porównać do sytuacji, kiedy larwy wyjadają jedynie martwe lub zepsute ciało ze zgangrónowanej rany. Niszczą to, co i tak nie ma szansy przetrwać. Żywa tkanka, podobnie jak rozsądne pomysły czy mądre propozycje na tym nie ucierpią - Kyp zastanawiał się. - Chyba najbliższym odpowiednikiem *taras-chi* w waszych sferach mogłyby być rządowe błazny albo wolna prasa. Omas i Niathal spojrzeli po sobie. Przywódca wydawał się lekko zbity z tropu, Niathal zaś wyglądała na poirytowaną. Omas odchrząknął.

- Nie bardzo rozumiem...
- Nasza dyskusja - ciągnął Kyp - dotyczyła dokonań Jacena Solo oraz ich akceptacji przez Jedi. Tak więc w duchu *taras-chi* otwarcie i bezkrytycznie jestem za. Z pozycji Jedi wyrażam gorące poparcie. Popieram uznanie tej kwestii za główny temat dyskusji.
- Twierdzisz, że nigdy nie byłeś za nadaniem Jacenowi Solo

rangi mistrza? - temperatura głosu admirał Niathal spadła o kilka stopni.

Kyp posłał jej zagadkowe spojrzenie.

- Popieram decyzje mistrza zakonu, pani admirał. Jeśli pozwolisz,

posłużę się pewnym przykładem ilustrującym, dlaczego potęga i umiejętności Jedi nie wymagają żadnej rangi. Otóż kiedy

byłem młodszy, potrafiłem sięgnąć Mocą do jądra gazowego giganta

i wydobyć z niego pewien statek. Niewielu mistrzów zdołałoby

tego dokonać. Zrobiłem to, ponieważ byłem silny Mocą...

i absolutnie przekonany o własnej racji oraz konieczności wykorzystania

tego statku do realizacji moich celów. Mimo to mam

wątpliwości, czy teraz postąpiłbym tak samo. Nie znaczy to,

że jestem słabszy. Moje umiejętności są dziś znacznie większe,

wiem jednak, że kierowały mną wtedy niezbyt chlubne pobudki

i obecna wiedza nie pozwoliłaby mi na powtórzenie tego wyczynu.

Czy zatem byłem mistrzem wtedy, czy jestem nim teraz?

Przywódca Omas i admirał Niathal ponownie wymienili spojrzenia.

Omas wydawał się spokojny, ale sygnały wysyłane przez

Kalamariankę mówiły jasno, że ta część spotkania nie idzie po jej

myśli. Omas pochwycił wzrok Luke'a i podjął:

- Opowieść mistrza Durrona potwierdza nasz punkt widzenia.

Brakowało mu doświadczenia, które kazałoby mu zwrócić

się o pomoc do innych. Pułkownikowi Solo nie można tego zarzucić,

skoro zwrócił się do nas po radę. Mistrzu Skywalker, nie powinieneś mieć mu za złe, że nie prosił o pomoc ciebie. To nie

powód, aby podawać w wątpliwość jego kwalifikacje.

Luke uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony.

- W porządku.

Niathal wyprostowała się niecierpliwie.

- Możecie być pewni, że będę obserwował postępy Jacena.

Gdy tylko uznam, że jest gotów do zostania mistrzem, poinformuję

was o tym niezwłocznie - dodał Luke.

Przywódca Omas opadł z powrotem na oparcie fotela, a na twarzy nadal miał maskę usługowej grzeczności.

- Cieszę się - powiedział.

Luke wstał i skinął głową.

- Dziękuję wam za spotkanie. Jeśli to wszystko, nie chciałbym zabierać waszego cennego czasu.

- My też dziękujemy. Tak, to już wszystko. - Głos admirała Niathal był sztucznie radosny.

Trójka Jedi wyszła w milczeniu. Zachowali ciszę, dopóki śmigacz

Kypa nie zabrał ich z dala od gmachu Senatu. Przerwała ją Mara.

- Wyjaśnisz nam, co to jest *taras-chil*

Kyp wyszczerzył zęby.

- To gatunek insektów spotykany na Kessel - odpowiedział.

- Mają okrągły, twardy pancerzyk, sześć nóżek i jakieś trzy centymetry

średnicy. Gdy się je odpowiednio upraży, nawet nie smakują bardzo obrzydliwie. Jeśli dasz radę schwytać ich dużo, możesz się najeść. Dzięki temu wolniej zdychasz z głodu.

Luke miał zamyśloną minę.

- Dzięki, że mnie wsparłeś - mruknął. - Chciałbym jednak wiedzieć, czemu to zrobiłeś.

- Luke... Mistrzu Skywalker - poprawił się Kyp. - Naprawdę uważam, że Jacen powinien zostać mistrzem, inaczej nie poruszałbym

tej kwestii na ostatnim spotkaniu. Ale sądzę również, że zakon Jedi powinien być w takich sprawach jednomyślny.

Kiedy

politycy zaczynają wtykać nos w nie swoje sprawy, źle się dzieje. Na przykład powstają imperia. Poza tym to wkurzające,

że wykorzystali moją propozycję z tamtego spotkania, nie mówiąc

już o tym, że jestem ciekaw, w jaki sposób się o niej dowiedzieli.

- Kyp zmarszczył czoło. - Może z plotek krążących po świątyni.

- Może i tak - przyznała Mara, ale Luke wyczuł w jej głosie cień wątpliwości. Sam zresztą czuł podobnie. Nawet jeśli pomysł

Kypa omawiano w murach świątyni, w jakiś sposób musiał przedostać się do sfer rządowych. To mogła być sprawka samego

Jacena. Luke odsunął tę myśl jak tylko mógł najdalej, podobnie

jak jeszcze gorszą ewentualność: że informacje ujrzały światło dzienne za sprawą Bena.

ROZDZIAŁ 4

Koronet, Korelia

Wedge doszedł do wniosku, że bunkier zawsze pozostanie

bunkrem. Nie miało znaczenia, że urządzono go jak lokal rozrywkowy, dekorując ściany realistycznymi widokami Koronetu i rozstawiając wokół stoły z elegancką zastawą i tacami pełnymi wykwinnych przystawek. Nawet pełen misternych, ręcznie rzeźbionych krzeseł i luksusowych kanap nadal był to bunkier znajdujący się głęboko pod ziemią. Zgromadzeni w nim koreliańscy politycy oraz ich świta siedzieli przygarbieni, jak gdyby przytłaczały ich tony durabetonu i warstwy ziemi dzielące sufit od powierzchni planety. Politycy pozostałych czterech zamieszkanym światów systemu koreliańskiego, uczestniczący w spotkaniu za pośrednictwem holotransmisji, mogli sobie najwidoczniej pozwolić na wyprostowane sylwetki. Wedge także trzymał się prosto. Wynikało to po części z nawyku, po części zaś z chęci zrobienia na złość całej reszcie. Przyjął filiżankę kawy od jednego z usługujących - bladego młodego mężczyzny w uniformie KorSeku. Gdy kelner znalazł się poza zasięgiem głosu, podjął przerwana rozmowę.

- W kwestii polityki sprawy nie posunęły się zbytnio do przodu.

Sądzę, że wszystko, na co możemy liczyć z ich strony, to nieco więcej czasu. Człowiekiem, do którego się zwracał, był premier Pięciu Światów i przywódca Korelii Dur Gejjen - przystojny, młodszy niż można by sądzić po jego politycznej przeszłości, smagły

i ciemnowłosa mężczyzna. Odstawił swoją filiżankę kawy na stół

obok i zmarszczył czoło.

- Możemy liczyć z ich strony... - powtórzył. - Zupełnie jakby zwycięzca robił łaskę pokonanemu.

- Na pewno nie można ich uznać za zwycięzców - zapewnił Wedge. - Jednak trzeba przyznać, że ich pozycja jest o wiele lepsza niż nasza. Jeśli blokada potrwa jeszcze parę tygodni czy

nawet miesięcy, doprowadzą naszą gospodarkę do ruiny. Solo miał rację, mówiąc, że jesteśmy zostawieni sami sobie. Chyba że

w twoich negocjacjach z Bothanami nastąpił jakiś nagły przełom,

o którym nie wiemy.

- W pańskich słowach słyszę gotowość do kapitulacji, admirał

- odezwał się niski, barczysty mężczyzna z hologramu po prawicy Gejjena. Miał rzadkie włosy i wyraz twarzy pasujący

do bojowego tonu, jakim zwracał się do słuchaczy. Nazywał się Sadras Koyan. Pełnił funkcję przywódcy Tralusa i należał do

Partii Centerpoint, która stanowiła mniejszość w nowym koalicyjnym

rzędzie Korelii.

Wedge spojrzał na niego beznamiętnie.

- Nie ma mowy o kapitulacji. Jeśli jednak sytuacja nie ulegnie zmianie, możemy być do niej zmuszeni. Staram się wytłumaczyć

wszystkim obecnym, że moglibyśmy wynegocjować rozsądny układ bez konieczności wywieszania białej flagi. Możemy dołączyć

do Galaktycznego Sojuszu, ponosząc jedynie minimalne konsekwencje, pod warunkiem że natychmiast rozpoczniemy pokojowe negocjacje. - Wedge czuł, że nie zdoła dłużej ukrywać ogarniającego go pesymizmu. - Mimo wszystko trudno o wzajemne zaufanie, gdy mamy do czynienia z politykami wykorzystującymi rezerwową flotę do zorganizowania zamachu na głowę państwa... Nie dali mu dokończyć, zagłuszyli dalsze słowa. Gejjen próbował apelować: „Teraz nie czas na...”, podczas gdy Koyan krzychał: „...brak możliwości zapewnienia dostępu do naszych własnych stoczn...”. Denjax Teppler, były premier Pięciu Światów, pełniący funkcję ministra sprawiedliwości, z wykrzywioną twarzą wykrzykiwał coś na temat konieczności zachowania spokoju i rozwagi, gestykulując gwałtownie i próbując uciszyć zgromadzonych. Rorf Willems, minister obrony, wzywał: „Odrobina dobrej woli!”, a minister wywiadu Gavele Lemora patrzyła na Wedge'a, jak gdyby robiła mu przymiarę do trumny. Podwładni zachowywali ciszę, podczas gdy gromada rozjuszonych polityków kipiała ze wzburzenia. Doprowadzony do ostateczności Gejjen wrzasnął: - Cisza! Tym gości zamilkł, wszyscy spojrzeli w jego stronę. Przywódca zwrócił się do Wedge'a.

- Admirale, czy mając do dyspozycji flotę szturmową, byłby pan w stanie utrzymać siły Sojuszu z dala od naszego systemu i uchronić nas od konsekwencji blokady?

- Całkiem możliwe. - Wedge skinął głową.

- Ach tak, możliwe... i twierdzi pan również, że najlepszym wyjściem jest negocjowanie ponownego dołączenia do Sojuszu?

I to bez konsekwencji?

- Tak - potwierdził Antilles.

- Nawet jeśli mogłoby to doprowadzić do utraty kontroli nad stacją Centerpoint?

Stacja, wyposażona w starego typu urządzenie grawitacyjne zdolne do tworzenia całych systemów lub ich unicestwiania, była

w pełni sprawna, kiedy dokonano na niej sabotażu podczas misji

Jedi, pozbawiając Kordian potężnej broni. Ben Skywalker, syn długoletniego przyjaciela Wedge'a, Luke'a Skywalkera, był znany

wszystkim obecnym.

Wedge ponownie skinął głową.

- To na pewno lepsze niż przymieranie głodem tylko po to, aby w końcu i tak przyłączyć się do Sojuszu na warunkach dyktowanych

przez Omasa i Niathal - zapewnił.

- To znaczy, że nie mamy szans na wygraną - podsumował Gejjen.

- Nie bez potężnych, wpływowych sojuszników.

- Od pozyskania których byliśmy o krok - warknął Koyan.

- Dopóki Jacen Solo i jego rodzice nie pomieszali nam szyków na Hapes.

Wedge zastanawiał się, co odpowiedzieć. Zabójstwo tak wpływowej osoby, jaką była królowa matka Tenel Ka, mogło

skończyć się zajęciem jej miejsca przez któregoś ze zdradzieckich spiskowców o koreliańskich sympatiach. To z kolei mogło przyczynić się do zwycięstwa, jednak pokój osiągnięty w ten sposób byłby kruchy i niepewny. W skrajnym przypadku mógł nawet zaszkodzić. Jednak poruszanie tego tematu w obecności zgromadzonych tu osób mogło okazać się niefortunnym pomysłem.

Gejjen zdawał się czytać w myślach Wedge'a. Odwrócił się w stronę jednego ze swoich pomocników.

- Sprowadź admirał Delpin.

Skierował wzrok na Wedge'a.

- Admirale, najwyraźniej mamy problem. Odnoszę wrażenie, że niezbyt zależy panu na zwycięstwie. Niezależnie od jego ceny.

- Masz rację. Podobnie jak tobie.

- Niekoniecznie - powiedział Gejjen.

- Nawet gdyby wygrana oznaczała, że system koreliański będzie

jedynym, który przetrwa tę wojnę?

Gejjen zmarszczył czoło.

- To absurdalne.

- Owszem - przyznał Wedge. - Założę się jednak, że czegoś takiego nie byłbyś w stanie zaakceptować. Co oznacza, że ty także nie chcesz wygrać za wszelką cenę. Wszystko, co musimy

zrobić, to ustalić granice konsekwencji, jakie możemy ponieść.

- Admirale... - podjął Gejjen cierpliwie, a także, jak ze zdziwieniem

skonstatował Wedge, z szacunkiem. - Odsuwaliśmy

pana od decyzji dotyczących, hm... polityki hapańskiej, ponieważ

zdawaliśmy sobie sprawę, że nigdy nie wyrazi pan zgody na proponowane przez nas rozwiązanie.

- Najprawdopodobniej tak by się stało - skwitował Wedge.

- Ustaliliśmy jednak, że poświęcenie władcy działającego przeciw naszym interesom należy do konsekwencji, które jesteśmy gotowi ponieść.

Drzwi otworzyły się z sykiem i do środka weszła kobieta w mundurze Wojsk Obrony Planety, identycznym jak ten, który

nosił Wedge, z peleryną upiętą na lewym ramieniu na wojskową

modłę. Dorównywała mu wzrostem, a jej sprężysta sylwetka dowodziła,

że każdą wolną chwilę poświęca ćwiczeniom na siłowni.

Czarne, krótko przystrzyżone włosy mieniły się błękitnymi refleksami w świetle rzucanym przez pręty jarzeniowe. Na twarzy

kobiety nie było śladu makijażu. Sprawiała wrażenie o połowę młodszej od admirała i była zdecydowanie atrakcyjna. Gdy spojrzała w jego stronę, Wedge odniósł wrażenie, że dostrzega w jej wzroku współczucie. Zbliżyła się do Gejjena.

- Admirał Genna Delpin melduje się na rozkaz - oznajmiła.

Wedge znał ją. Była wschodzącą gwiazdą sił zbrojnych Korelii.

Dowodziła flotą podczas zakończonej porażką akcji towarzyszącej

próbie zamachu stanu w konsorcjum Hapes. Klęska

nie była jej winą, a jedynie wynikiem niespodziewanego zbiegu

okoliczności - ingerencji Jedi oraz interwencji wrogich sił zbrojnych.

Gejjen powitał ją skinieniem głowy i zwrócił się ponownie

w stronę Wedge'a.

- Admirale, pańskie zasługi w wyzwoleniu Tralusa świadczą o tym, że nie mogliśmy wybrać lepszego dowódcy dla naszej armii. Czasy się jednak zmieniają, a pańskie przekonania i system wartości nie korelują dziś z polityką rządu. Admirał Delpin jest bardziej skłonna realizować nasze cele, a poza tym dorównuje panu pod względem umiejętności kierowania i motywowania

podwładnych. Chcę, aby pan wiedział, że to nie osobistego. Nadal szanujemy pańskie opinie, muszę jednak odwołać

pana ze stanowiska naczelnego dowódcy sił zbrojnych Korelii.

Gejjen popatrzył na ciemnowłosą kobietę.

- Admirał Delpin, od tej chwili przejmuje pani obowiązki admirała

Antillesa.

- Dziękuję, sir, to dla mnie wielki zaszczyt - odpowiedziała spokojnym, pewnym siebie głosem.

Wedge podniósł się z fotela bez pośpiechu, starając się nie zdradzić

swoich uczuć. Wiedział, że ten moment był nieuchronny...

rozumiał, że powodem były jego skrupuły, a jednak pozbawienie

stanowiska odczuł jak cios w żołądek. Nie chciał, aby ktokolwiek

z obecnych to zauważył. Zasalutował nienagannie.

- Gratuluję, pani admirał.

- Dziękuję, admirale - odwzajemniła gest. - Może po zakończeniu

spotkania znalazłby pan chwilę, aby przy filiżance kawy przedyskutować pewne kwestie?

Wedge ograniczył się do bladego uśmiechu. Wiedział doskonale,

co naprawdę znaczy ta grzecznościowa formułka: „Przykro mi, że tak się stało. Mam nadzieję, że nie dojdzie między nami do

nieporozumień. Potrzebujemy pańskiej pomocy...”

Bzdura. A jednak uzmysłowienie sobie tego faktu oraz świadomość

konsekwencji spowodowała, że żołądek Wedge'a fiknął nieprzyjemnego koziółka.

- Admirale Antilles, nadal ogromnie cenimy pańskie doświadczenie

na polu taktyki i strategii - powiedział Gejjen. - Jeśli tylko admirał Delpin wyrazi zgodę, byłbym zobowiązany, gdyby dołączył

pan do jej sztabu operacyjnego.

Delpin kiwnęła głową z aprobatą.

- Czuję się zaszczycona.

Wedge głęboko zaczerpnął powietrza.

- Przykro mi, ale nie mogę. Pani admirał, w innych okolicznościach

nie zawahałbym się przyjąć propozycji współpracy,

ale sytuacja jest... niecodzienna. - Przeniósł wzrok na Gejjena.

- Sir, składam rezygnację ze służby w Wojskach Obrony Planety

- dodał.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Chwilę później ktoś -

Wedge nie widział kto - stwierdził: „No właśnie”.

Gejjen posłał temu komuś karcące spojrzenie i zwrócił się znowu

do Wedge'a.

- Nie zgadzam się.

Wedge wzruszył ramionami.

- Nie ma pan wyboru. Może pan wybierać jedynie między zatrzymaniem mnie jako oficera bez przydziału lub przeniesieniem w stan spoczynku. Po mojej rezygnacji nie pełnię już właściwie służby.

Gejjen westchnął i przez moment rozważał jego słowa.

- Może pan zostać w stopniu sierżanta na stanowisku pilota naszych oddziałów desantowych. Może pan też publicznie przekazać obowiązki i stanowisko admirała Delpin. Honorowa rezygnacja.

Wedge też myślał o takim rozwiązaniu. Publiczne wystąpienie mogłoby się przyczynić do uspokojenia nastrojów społecznych

i potwierdzenia, że w sferach władzy wszystko jest w jak najlepszym

porządku. Wyglądałoby na to, że admirał ufa nowemu naczelnemu dowódcy, że w pełni popiera nowy układ. Co było zwykłym kłamstwem.

Gdyby jednak postąpił inaczej, ryzykował utratę zaufania armii

do własnego dowództwa. To zaś mogłoby zaowocować kryzysem

autorytetów i śmiercią dobrych żołnierzy.

Podjęcie decyzji zajęło Wedge'owi ułamek sekundy.

- W porządku, wystąpię publicznie.

- W porządku - powtórzył Gejjen. - A więc rezygnacja.

Wedge zasalutował i sztywno ruszył w stronę wyjścia.

Całą drogę do drzwi i potem, krocząc długim korytarzem, trzymał

się prosto. Minął stanowisko ochrony i dotarł do turbowindy,

która miała go zawieźć na niższy poziom. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, oparł się wyczerpany o ścianę. Nogi miał jak z gumy, a żołądek protestował niczym po pierwszym doświadczeniu z brakiem grawitacji.

Jak dojść od pozycji admirała dowodzącego siłami zbrojnymi całego systemu planetarnego do cywila w dwóch krokach, pomyślał i zdobył się na uśmiech.

Cóż, mogło się okazać, że właśnie podpisał na siebie wyrok. Rząd, który bez wahania wydawał wyroki na władców, jeśli byli

dla niego niewygodni, nie będzie miał żadnych skrupułów, by pozbyć się kogoś, kto może stanąć mu na drodze... i kto właśnie

potwierdził, że nie podziela jego poglądów.

Tuż po publicznym przekazaniu obowiązków admirał Delpin zegar Wedge'a zacznie odliczać minuty pozostałe mu do zakończenia

życia.

Ta myśl, tak znajoma, towarzysząca mu na każdym kroku pełnej

poświęcenia służby, otrzeźwiła go. Minęły nawet mdłości, które odczuwał od chwili, gdy zdał sobie sprawę, że zostanie odsunięty

od obowiązków. Kiedy drzwi turbowindy się otworzyły, był znów wyprostowany. Minał stanowisko ochrony na parterze,

a strażnicy, widząc jego uśmiech, poczuli się jak ochłapy świeżego

mięsa przed paszczą rancora.

System Gyndine,

warsztat i stacja Tendrando

Do przylegającej do stacji paliwowej zatoki lądowniczej zbliżał

się koreliański transportowiec YT-1300. Miał kształt dysku o wysuniętych fragmentach z przodu kadłuba i sterownię wystającą

nad pokładem, co nadawało mu interesująco asymetryczny wygląd. Jego poszycie znaczyły liczne ciemne smugi, świadczące

o dopiero co stoczonej walce. Rzut oka na kadłub pozwalał też wychwycić jeden szczegół, który wyraźnie burzył harmonię:

brakowało wieżyczek strzelniczych. Gdy statek wykonywał ostatnie manewry poprzedzające lądowanie, dało się zauważyć,

że pokrywa górnej wieżyczki po prostu znikła. Na jej miejscu widniała dziura, odsłaniająca wnętrze statku.

Człowiek, który oczekiwał na platformie, rozpoznałby „Sokoła

Millenium", nawet gdyby nie wiedział, że miał tu wylądować - był niegdyś jego właścicielem. Nadal darzył go uczuciem, więc

teraz skrzywił się z bólu na widok uszkodzeń, których doznał.

Wciąż wytworny i przystojny pomimo wieku Lando Calrissian nie pasował wyglądem do sławnego statku. Miał na sobie jedwabny

komplet, który kosztował zapewne równowartość porządnego śmigacza. Całość była skompletowana ze smakiem i nienagannie

elegancka - ciemnoniebieska tunika, czarne spodnie i fioletowa

peleryna sięgająca bioder. Laska ze srebrną gałką stanowiła jedyne

ustępstwo na rzecz wieku.

Lando obserwował powolne podejście „Sokoła” do lądowania. Statek prezentował się niezbyt okazale i wyglądało przez chwilę, że odbije się od pola siłowego, utrzymującego próżnię przestrzeni na zewnątrz, jednak transportowiec pokonał płynnie

niewidoczną barierę. Kiedy zanurzył się w normalną atmosferę,

z wnętrza kadłuba dał się słyszeć rytmiczny klekot - coś musiało

się popsuć w przedziale silnikowym.

„Sokół” przeszedł płynnie na repulsory i z wdziękiem wylądował.

Lando okrążył dziób statku, aby zajrzeć do sterowni, ale załoga

zdążyła już ją opuścić, ruszył więc z powrotem w kierunku rampy. Miał przygotowany zapas złośliwości na powitanie Hana

i Leii, na przykład: „Widziałem statki wyglądające lepiej po przejściach

z Pogromcami Światów. Co tym razem zrobiliście mojemu cacku? Dostaliście licencję w szkole »Pijany Mynock«?”

Kiedy

jednak ujrzał parę schodząca po rampie, westchnął boleśnie.

Na

twarzach jego przyjaciół nie było radości ani nadziei - malowało

się na nich jedynie śmiertelne zmęczenie, pod którym znac było

ciężar bólu. Han, ubrany jak zwykle w spodnie z koreliańskimi

lampasami, koszulę i kamizelkę przemytnika, lewe ramię miał

unieruchomione na temblaku. Leia miała na sobie brązowe szaty

Jedi. Wszystko było wymięte i wyglądało na niezmiennie od bardzo dawna.

Lando odchrząknął, aby zyskać na czasie i pozbyć się resztek żartobliwego tonu, którym zamierzał ich powitać.

- Cieszę się, że was widzę - powiedział. - Na pewno chętnie coś przekąsicie i wypijecie filiżankę kawy.

Jego goście, ledwie dłubiąc w swoich porcjach, zdali mu relację

z ostatnich wydarzeń. A w ich opowieści prawie cały czas główną rolę odgrywał Jacen.

To on wydał decyzję o uwięzieniu Korelian na Coruscant. To on przesłuchiwał osobiście więźniarkę, dopóki nie zakończyła życia - a była nią córka Boby Fetta. To Jacen, przekonany, że jego rodzice są zamieszani w spisek przeciwko Tenel Ka, ostrzelał

„Sokoła”, chociaż na pokładzie znajdowali się Han, Leia, ich córka - i siostra Jacena - Jaina oraz kuzyn Ben. W wyniku ataku

śmierć ponieśli noghryjscy ochroniarze Leii - Cakhmaim i Meewalh.

Zostali po prostu rozpyleni na atomy... unicestwieni, tak że nie było nawet jak pochować ich szczątków.

W miarę jak relacja stawała się coraz bardziej mroczna, Lando z coraz większym niedowierzaniem kręcił głową.

- Naprawdę przykro mi to słyszeć. Staram się być na bieżąco z holowiadomościami i słyszałem o objęciu przez Jacena stanowiska

dowódcy Straży Galaktycznego Sojuszu, ale to wszystko... naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

Han rzucił mu spojrzenie znad talerza.

- A mógłbyś pomóc nam w doprowadzeniu „Sokoła” do porządku?

Lando przytaknął.

- Macie to jak w banku. Jesteśmy w starej stacji naprawczej.

Ja... my - poprawił się - dokonaliśmy fuzji. Niezbyt to opłacalne,

więc odesłaliśmy większość pracowników do innych placówek,

a tę mamy zamiar zamknąć. Utrzymam jednak dok remontowy otwarty na tyle długo, żeby wyklepali „Sokoła”. Zobaczycie, będzie

lepszy niż nowy - skrzywił się lekko. - Ma się rozumieć, to może trochę potrwać.

Han wymienił spojrzenie z Leią, która się odezwała:

- Będziemy też potrzebowali szybkiego transportu. Czegoś, co nas przetrzuci do koreliańskiej strefy zakazanej, nie oznajmiając

przy okazji galaktyce, że Solo wrócili.

- Chyba mam coś takiego - powiedział Lando po namyśle.

Zapanowała cisza, którą ponownie przerwała Leia.

- A w ogóle to jak ci się wiedzie?

- Nie chcecie wiedzieć - zapewnił Lando.

Było to na tyle intrygujące, że okazali zainteresowanie.

- A czemuż to? - spytał Han.

- Bo nie mogłoby być lepiej.

Leia zdobyła się na blady uśmiech.

- To miło z twojej strony, że nie chcesz nas martwić. Może jednak miłe wieści dobrze nam zrobią. Serio.

- Hm, cóż... no to powiem - westchnął Lando. - Można powiedzieć, że wszystko, o czym marzyłem od czasów dzieciństwa,

spełniło się. Jestem bogaty. Mogę podróżować, gdzie

tylko zechcę, i robić, co mi się podoba. Poślubiłem wspaniałą

kobietę, która nie zamartwia się nieustannie, gdzie jestem i co robię. Mogę stracić fortunę na hazardzie - i nie ucierpię na tym

zbytnio. Tendra wie, że i tak wszystko odzyskam i powetuję straty. Tendrando Arms nie jest tak potężna, jak w czasach wojny

z Yuuzhan Vongami, ale interes jest opłacalny. Obsługujemy sektor prywatny, więc bywa różnie, generalnie prosperujemy jednak całkiem nieźle.

Leia zmarszczyła brwi.

- To brzmi... prawie smutno - stwierdziła.

Lando namyślał się przez chwilę, dobierając słowa.

- Nie... to nie tak, po prostu brakuje mi ryzyka. Mimo upływających

lat nie czuję się staro, a siedzenie na stołku, odnoszenie sukcesów, popularność i odpowiedzialność to wszystko nie to.

- Skrzywił się. - Czy wiecie, ile czasu minęło, od kiedy po raz ostatni nasłano na mnie łowcę nagród?

Leia uśmiechnęła się z przymusem.

- Jeśli chodzi o nas, wcale nie tak dużo.

Lando wstał od stołu.

- Zaprowadzę was do waszych pokoi. Potrzebujecie odpoczynku.

Ja tymczasem zajmę się organizacją transportu.

Koreliańska strefa zakazana,

pokład „Anakina Solo”

Jacen siedział ze skrzyżowanymi nogami w swojej kajucie, lewitując metr nad podłogą. Był spokojny i wyciszony, całkowicie

otwarty na Moc. Pozwalał jej utrzymywać swoje ciało w przestrzeni, w zawieszeniu. Pozwalał, aby prowadziła go swoimi

ścieżkami, podsuwała obrazy, przebłyki myśli i uczuć...

Cały czas wyteżał wewnętrzny wzrok, jak gdyby Moc stanowiła

ocean, on zaś próbował wśród jego fal i prądów odnaleźć jedną

znajomą twarz.

I udało mu się to. Bardzo daleko, ledwie widoczną z oddali, a jednak nadal obecną... zobaczył Lumię.

Po chwili znalazła się bliżej, dużo bliżej. Pojawiła się nie dalej niż dwa metry od niego. Wyglądało to, jak gdyby przebywała w dwóch wymiarach i z krawędzi pola widzenia przesunęła się nagle na sam środek.

Jak zwykle była ubrana w ciemne spodnie i dopasowaną tunikę,

a jej głowę zdobiła misternie udrapowana konstrukcja przypominająca

turban. Dolna część draperii zakrywała jej usta i nos,

opinając ostry podbródek, co w połączeniu z rogatą kompozycją

na jej głowie przypominała trójkąt.

Leżała na boku, jak gdyby odpoczywała na niewidocznej kanapie.

Podobnie jak Jacen, lewitowała. Głowę miała lekko uniesioną a wzrok nieobecny, w końcu jednak zdołała go zogniskować na jego postaci.

- Jacen? - spytała. Jej głos dobiegał z oddali, odbijając się echem, jakby przebywała w dużym, pustym pomieszczeniu.

Jacen przez chwilę czuł się dziwnie. Wiedział, że Lumiya umiała tworzyć za pośrednictwem Mocy niezwykle sugestywne

iluzje na odległość, wysyłając je ze swojej asteroidy otulonej skoncentrowaną energią Mocy. Nie przypuszczał jednak, że posługuje się tą techniką również do zwykłej komunikacji.

Zazdrościł

jej tej umiejętności. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek się tego nauczy.

- Lumiya - odezwał się. - Dobrze widzieć cię wśród żywych.

- Dziękuję - opuściła głowę, jakby na niewidzialną poduszkę.

Jej ruchy zdradzały, że jest wyczerpana i obolała. - Dochodzę do

siebie. Odzyskuję siły. Twój wuj mnie zranił.

- Nie wydaje się, żebyś mu to miała za złe.

Zaśmiała się cicho.

- Zdążyłam się przyzwyczaić. Zawsze, gdy go spotykam,

wiem, że zada mi ból. I pewnie tak będzie, dopóki nie zginę...

lub dopóki to my nie zwyciężymy. - Bo wtedy będzie zmuszony

przyznać nam rację.

- Jeśli chodzi o mnie, chwilowo wstrzymuję się od jakichkolwiek

działań. Poczekam, aż negocjacje z Korelią przyniosą efekty, i zastanowię się, co dalej.

- Ach, tak?

Przez moment milczała. Jacen obserwował, jak oddycha - jakby

stanowiło to dla niej spory wysiłek.

- Rozmyślałeś nad poświęceniem? Poświęceniem tego, co

kochasz? Nad uczuciem, którym darzysz to, co miałbyś poświęcić?

- Tak. Jestem teraz lepiej przygotowany.

- To dobrze. Wybrałeś już sobie ucznia?

- Ben jest moim uczniem. Mimo to uważam, że mógłbym go poświęcić... gdyby to było konieczne.

- Ben jest twoim uczniem Jedi, nie uczniem Sith.

- Nie jestem jeszcze w pełni Sithem, więc nie mogę mieć ucznia

jako Sith.

Lumiya westchnęła, poirytowana.

- Grasz na zwłokę. Nie wiesz, czy Ben jest gotów stać się uczniem Sith. Czas na próbę jest teraz, nie zaś wtedy, kiedy zdecydujesz

się ujawnić. Musisz poddać go próbie.

- Rodzice zabrali go i nie pozwalają mu mnie widywać.

Lumiya nie zmieniła pozycji. Obserwowała go uważnie i wyczekująco.

- Wiem, to znaczy, że... - podjął. - Muszę odsunąć Bena od Luke'a i Mary i poddać go próbie.

Lumiya przytaknęła.

- Jeśli chcesz, zajmę się wszystkim. Jednak to ty musisz zdecydować, jakiego rodzaju będzie to próba.

- Jestem gotów.

- Do ciebie będzie należała również decyzja, co zrobić, jeśli Ben nie przejdzie próby.

- Rozumiem.

- Jak sądzisz... czy jeśli mu się nie uda, będziesz go darzył mniejszym uczuciem? - zapytała.

Jacen przez chwilę rozważał odpowiedź. Musiał zajrzeć głęboko

w swoje wnętrze, żeby wyobrazić sobie, jak przyjąłby porażkę Bena.

- Sądzę, że... początkowo nie robiłoby mi to różnicy. Wkrótce jednak między nami powstałaby przepaść.

- Jeśli więc mu się nie uda, nie będziesz mógł go poświęcić.

Pamiętaj o tym.

- Postaram się.

Wizerunek Lumiya rozplątał się w powietrzu i zniknął z jego pola widzenia, a także świadomości.

ROZDZIAŁ 5

Coruscant, Świątynia Jedi, apartamenty Luke'a i Mary Skywalkerów

Lukę i Mara mieszkali dość daleko od świątyni, wynajmowali jednak również mieszkanie na terenie samego kompleksu świątynnego.

Było to raczej skromne lokum; korzystali z niego, gdy spotkania Rady przeciągały się do późna w noc lub gdy inne obowiązki

czyniły perspektywę przejścia paru metrów dzielących ich od sypialni zdecydowanie bardziej atrakcyjną aniżeli pokonywanie

śmigaczem wielokilometrowej trasy.

Zdarzało się, że kwatery pełniła dodatkową rolę - tak jak teraz, gdy musieli pilnować swojej obrażonej i upartej latorośli Jedi, święcie przekonanej, że niesprawiedliwość jest narzędziem

Mocy, jego rodzice zaś - mistrzami w jej służbie.

Grobowa cisza i chłód emanujące z pokoju chłopca były dość przerażające. Lukę, spacerując w tę i z powrotem po sypialni, czuł to nieomal fizycznie, jak mroźny powiew z lodowej spiżarni

wampy. Odwrócił się w stronę żony, pochylonej nad datapadem

na łóżku obok.

- Czemu to ja czuję się winny?

Mara podniosła głowę i spojrzała na męża.

- Czujesz... czujemy się winni, bo Ben jest nieszczęśliwy

- westchnęła. - I będzie tak, dopóki nie przestaniemy obwiniać i oczerniać Jacena - Jedi doskonałego, ludowego bohatera i niedoścignionego

ideału ludzi w czarnych mundurach - lub dopóki

nie dojrzeje na tyle, że sam zmieni zdanie. Może by tak zamurować

go w pokoju i poczekać, aż zmadrzeje?

- Kusząca propozycja. - Luke podjął przechadzkę po pokoju.

- Ile czasu zabrało ci wyrośnięcie z zachowań upartego dzieciaka,

podejmującego tyle samo dobrych decyzji, co złych?

- Nie wiem. - Luke, nie zwalniając kroku, wzruszył ramionami.

- Chyba to trwało od chwili, kiedy szturmowcy zabili wujka Owena i ciocię Beru, do momentu, kiedy zacząłem nazywać siebie

mistrzem. Coś około pięciu lat.

- Nastawię w takim razie timer. Kiedy Ben będzie miał osiemnaście

lat, sprawdzimy, czy poszedł w twoje ślady.

Luke parsknął stłumionym śmiechem.

- Jasne. Musimy podjąć jakąś decyzję. Przebywa teraz

w świątyni, gdzie całe stado Jedi może mieć go na oku, gdy nas

nie ma w pobliżu. Co najprawdopodobniej w jego przypadku poskutkuje

jeszcze większą złością i paranoją. Co możemy zrobić, żeby zrozumiał?

- Przydzielimy mu zadanie. Takie, które w jakiś sposób wiąże się z tą sytuacją... Co powiesz na spisanie i analizę historii przejścia

jego dziadka na Ciemną Stronę?

Luke zatrzymał się i spojrzał na Marę.

- To zbyt zawile zagadnienia psychologiczne dla trzynastolatka.

- Czternastolatka. Niedługo skończy czternaście lat - poprawiła

go Mara. - Jeśli podejźcie do tego z odpowiednim zaangażowaniem,

na pewno odnajdzie podobieństwa między decyzjami podejmowanymi

przez Anakina Skywalkera a postępowaniem Jacena.

- To mogłoby zdać egzamin. - Luke odwrócił się i usiadł obok niej. - Skąd jednak możemy mieć pewność, że się do tego

przyłoży? Co mogłoby go zmotywować?

- Możemy mu powiedzieć - podsunęła Mara - że jeśli jego opracowanie spodoba nam się na tyle, że zdecydujemy się przekazać

je bibliotece Jedi, będzie mógł dokończyć szkolenie pod okiem Jacena.

Luke gwizdnął cicho.

- To ryzykowne.

- Zgadza się - odparła Mara. - Jeśli Ben będzie starał się pracować

tylko po to, żeby nas zadowolić, efekty mogą być różne.

Po pierwsze, możemy uznać, że Ben dostrzega już wady i niedoskonałości

Jacena. Po drugie, Jacen może przyznać się do błędu i na powrót stać się dobrym nauczycielem. Po trzecie, Jacen może... zginąć.

- Czuję jego obecność w Mocy zaledwie parę minut temu.

To niezwykle, zważając na okoliczności. Ostatnio ukrywa się, kiedy tylko zechce... a przed chwilą wyczuwałem go niezwykle

silnie. Zastanawiam się, o co tu chodzi.

Zanim Mara zdążyła odpowiedzieć, odezwał się komunikator jej męża. Lukę wyjął go i włączył.

- Tak?

- Mistrzu Skywalker, tu uczennica Seha, z holu dla gości -

dziewczęcy głos aż kipiał od podekscytowania. - Jest tu ktoś, kto

chciałby się z tobą widzieć. Nie chce rozmawiać z nikim innym.

- Jak się nazywa i co go tu sprowadza? - zapytał Luke.

- Twierdzi, że nazywa się Błuźniercza Stonka Trzy. Nie ma żadnego identyfikatora, ale mówi, że jego misja ma związek z mieczem świetlnym o srebrnym ostrzu.

Luke wymienił z Marą spojrzenia, wyłączył mikrofon urządzenia,

po czym rzucił:

- Błuźniercza Stonka... a może Bliźniacze Słońca Trzy?

- Na to wygląda - Mara pokiwała głową.

Eskadra Bliźniaczych Słońc była formacją X-wingów powołaną

przez Luke'a podczas konfliktu z Yuuzhan Vongami, jakieś dwanaście lat temu. Dowodził nią przez jakiś czas osobiście, po

czym przekazał zwierzchnictwo Jainie. Jednostka została przeniesiona

w stan spoczynku tuż po zakończeniu wojny, ale Luke nadawał tę nazwę paru innym eskadrom, którym od czasu do czasu

przewodził.

- Kto latał jako „trójka”? - spytała Mara.

- To zależy, kiedy. - Luke pomyślał o wiadomości holograficznej,

którą parę dni wcześniej otrzymał od Hana i Leii. Zdali mu w niej relację z wydarzeń na stacji Telkur.

- Jag Fel - zdecydował. - Han twierdził, że powrócił. Co do srebrnego miecza zaś...

Srebrne ostrza były dość rzadko spotykane, a kobieta, która

posługiwała się kiedyś jednym z nich, przysporzyła im ostatnio

sporo kłopotów, mimo że posługiwała się teraz mieczem o innym

kolorze klingi.

- ...Alema Rar - dokończyła za niego Mara.

- Bez dwóch zdań. - Luke ponownie włączył mikrofon komunikatora.

- Powiedz naszemu gościowi, że zaraz będziemy.

Gość był raczej średniego wzrostu, ale trzymał się tak prosto, że wydawał się wyższy. Nosił czarny kombinezon pilota i ciemnoszarą

pelerynę podróżną, której kaptur skrywał jego twarz, co w półmroku wysokiego, opustoszałego o tej porze holu czyniło

go podobnym do zjawy z bajek, opowiadanych ku przestrodze niegrzecznym dzieciom.

Seha, uczennica pełniąca służbę, ukłoniła się Luke'owi i Marze,

gdy tylko weszli. Nerwowo skręcała w palcach lok rudych włosów. Na znak Luke'a podreptała niezwłocznie w stronę głównego

korytarza.

Kiedy podeszli do przybysza, Luke ze zdziwieniem stwierdził, że odczytuje niewiele jego emocji - nie wyczuwał niebezpieczeństwa,

ale również szczególnej przychylności. Może jedynie odległe echo gniewu.

- Pułkownik Fel - przywitał gościa.

Jag skłonił się i służbiście strzelił obcasami.

- Do usług - odpowiedział. Ściągnął kaptur, odsłaniając szczupłą twarz o zadziwiająco zielonych oczach. Nie nosił już tradycyjnego wojskowego jeża; jego ciemne włosy były teraz

nieco dłuższe, a parę kosmyków spadało na prawe oko, znad którego

aż po linię włosów biegła gruba blizna. W miejscu, gdzie sięgała włosów, jedno z pasemek było całkiem białe.

Schludnie

przycięta bródka i wąsy podkreślały podobieństwo Jaga do ojca,

słynnego Soontira Fela.

Lukę wyciągnął rękę na powitanie.

- Po co ta maskarada? Mogłeś odwiedzić nas zwyczajnie, za potwierdzeniem tożsamości.

- Nie mam tożsamości. - Jag uścisnął dłoń Luke'a, a następnie Mary. - Nie mam już stopnia pułkownika. Nie mam tytułu ambasadora. Nie należę do społeczności Chissów, nie jestem nawet

członkiem własnej rodziny. Teoretycznie nie jestem nawet Jaggedem Felem. Mogę być równie dobrze Bliźniaczymi Słońcami

Trzy albo kimkolwiek innym.

Lukę zastanowił się nad jego słowami. Jag najwyraźniej nie litował się nad sobą nie liczył też na współczucie z ich strony.

Po

prostu przedstawiał suche fakty.

- Jeśli dobrze rozumiem, twoja wizyta ma coś wspólnego z Alemą Rar?

- Nie inaczej - brzmiała odpowiedź Jaga.

- Przejdiesz się z nami? - spytała Mara.

Podczas spaceru pustymi, pogrążonymi w półmroku korytarzami

Świątyni Jag zdał im rzeczową relację z wydarzeń ostatnich lat. Opowiedział, jak w czasie misji w Mrocznym Gnieździe własnym słowem poręczył za Lowbacę, jak Lowbacca złamał

warunki umowy i w jaki sposób odpowiedzialnością za szkody, które spowodował wraz z innymi Jedi. obarczono jego rodzinę, przez co został skazany na wygnanie i stracił honor. Jak został zestrzelony nad Tenupe i jak udało mu się przetrwać w tamtejszych ciężkich warunkach dwa lata. Jak Alemie Rar, rozwścieczonej niczym przydeptany insekt i opętanej obsesją odbudowy Mrocznego Gniazda oraz chęcią wywarcia osobistej zemsty na Luke'u i Lei, również udało się przetrwać i uciec.

- W ciągu tych dwóch lat - zakończył Jag - wiele czasu spędziłem, rozmyślając o Alemie. O tym, czym się stała, do czego była zdolna. Rozpocząłem badania, by znaleźć sposób na przechytrzenie jej killickich umiejętności. Alema potrafi wymazać wspomnienia o sobie z pamięci krótkotrwałej osób, które ją spotkały. Oznacza to, że możesz na nią wpaść, a chwilę potem już o tym nie pamiętać... o ile przeżyjesz spotkanie. Dlatego tak trudno ją wytropić. W połączeniu ze zdolnościami Jedi stwarza to poważne zagrożenie dla ciebie, twojej siostry i całej galaktyki.

- Przybyłeś, by nas ostrzec - stwierdził raczej, niż zapytał Luke. - Jesteśmy ci wdzięczni.

- Mam coś dla was. - Jag wydobył z wewnętrznej kieszeni tuniki dwa przedmioty. Pierwszym z nich był srebrny dysk kształtu i rozmiarów sporej monety kredytowej. Nie miał żadnych oznakowań, jedynie plamkę białawej substancji przymocowaną do

jednej z powierzchni. Drugim przedmiotem była zwykła datakarta.

Jag wręczył ją Marze.

- To interpreter graficzny z programem komunikacyjnym - wyjaśnił. - Współpracuje z większością holokamer bezpieczeństwa

w obrębie systemu rządowego, większych statków i wszystkich

chronionych budynków. Analizuje wygląd każdej istoty humanoidalnej rejestrowanej przez kamery i porównuje z danymi

Alemy Rar. Jeśli zauważy znaczące podobieństwo, powiadamia

sekcję ochrony i wysyła zakodowaną informację do wskazanego

repozytorium. Jeśli uda się wam podłączyć go do wystarczającej

liczby systemów, prawdopodobnie będzie można śledzić jej ruchy,

odnaleźć ją i zapobiec dalszym nieszczęściom.

- To niekoniecznie musi być tak użyteczne, jak ci się wydaje

- ochłodził jego zapamiętał Luke. - Alema prawdopodobnie włada techniką zwaną błyskiem Mocy, za pomocą której Jedi mogą powodować

zakłócenia w nagraniach holokamer... nawet jeśli nie

wiedzą o ich istnieniu. Dzięki temu może zachować anonimowość.

Jag zmarszczył czoło, ale nie wyglądał na zniechęconego.

- Ta technika... czyni ją niewidzialną? - zainteresował się.

- Nie - zaprzeczyła Mara. - Powoduje tylko niewielkie zakłócenia,

zapętłając w pewien sposób ścieżkę nagrania.

- Czyli nie jest tak źle - uspokoił się Jag. - Część kodu prowadzi analizę powtarzalności sekwencji w zespole holokamer, może śledzić i identyfikować cel. Jeśli uwzględnimy w analizie takie pętle i założymy, że zostały spowodowane przez osobę posługującą się Mocą, kod nadal pozwala prowadzić obserwację.

- To może być również przydatne w śledzeniu Lumiya. - Mara schowała kartę. - Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

- Na karcie znajdziecie również kompletne schematy systemu, więc możecie go replikować. - Jag wręczył teraz płaski dysk Luke'owi. - Za pomocą tej białej substancji mocujesz urządzenie do szyi lub innego miejsca na ciele. Aktywujesz, wymawiając słowo „Alema”. Dezaktywujesz, uderzając dwa razy paznokciem.

- Zademonstrował to, stukając dwukrotnie w przedmiot spoczywający w dłoni Luke'a. - Od momentu aktywacji do chwili, kiedy je wyłączysz, przesyła impulsy elektryczne do twojego systemu nerwowego co minutę.

Luke uśmiechnął się.

- Całkiem przydatne. A może masz też broszkę, która od czasu do czasu będzie mnie kłuła?

- Impulsy - kontynuował Jag, ignorując żart Luke'a - są niezwykle precyzyjnie dostrojone do ludzkiego systemu nerwowego. Nie mam źródeł, które pozwoliłyby na określenie dokładnej częstotliwości dla innych ras. Nieznaczny ból, generowany przez impuls, pozwala przetransportować zawartość pamięci krótkotrwałej

do pamięci długotrwałej.

- No, no... - Luke przyjrzał się urządzeniu dokładniej. - Czy to oznacza, że Alema... - dysk zawibrował w jego dłoni.

Pospiesznie

zastukał w niego raz i drugi. - To znaczy, że przez to nie może wymazać wspomnienia o sobie z pamięci innych osób?

- Dokładnie.

Mara zastanawiała się przez chwilę.

- Powinniśmy spróbować uzyskać ten sam efekt za pośrednictwem

Mocy - powiedziała.

Luke przytaknął.

- Warto to sprawdzić. Wolę używać Mocy niż poddawać się takiej... takiej tresurze cyrkowych banth. Zlecę to Mistrzynie

Cilghal. - Schował dysk do kieszonki u pasa. - Jag, dziękuję ci. Naprawdę - dodał. - Czy jest coś, co możemy dla ciebie zrobić?

- Ja... - głos Fela zabrzmiał jakby odrobinę mniej pewnie.

- Boję się zapytać.

- Ani mi się waż - zaprotestowała Mara. - To znaczy, bać się - uściśliła.

- Nie mam żadnych celów - powiedział Jag, a jego głos zabrzmiał

dziwnie głucho. - Żadnych oprócz tropienia Alemy Rar.

Muszę ją znaleźć i dopilnować, żeby nie zrobiła więcej nic złego.

Ale brak mi środków. Nie mam nawet transportu i prawie żadnych funduszy - zaśmiał się gorzko. - Życie w sektorze prywatnym

jest tak skomplikowane... W wojsku wyznaczano mi misję i zapewniano wszelkie niezbędne środki do jej prowadzenia.

Czasem zbyt dużo, czasem za mało... i tak w kółko, do emerytury

lub śmierci. W cywilu wszystko jest takie dziwne...

Lukę poklepał go po plecach.

- Dostaniesz swoje środki. Zaczniemy od zakwaterowania.

- Nie, nie - przerwał mu Jag. - Mam gdzie mieszkać. Mój adres i kod łączności razem z częstotliwością znajdziecie na datakarcie.

Nie chciałbym zostawać tutaj dłużej niż to konieczne.

- W porządku.

- Pójdę już. Trafię do wyjścia. - Jag uklonił się im po raz ostatni

i odmaszerował, po drodze naciągając na głowę kaptur. Lukę zauważył, że chociaż podczas przechadzki wielokrotnie kluczyli

i skręcali. Jag skierował się dokładnie w stronę głównego wyjścia

ze świątyni.

Mara popatrzyła za nim i pokręciła głową.

- Wygląda, jakby nie miał po co żyć.

- Wygrzebie się - stwierdził Luke. - Jest młody.

Wymacał w kieszonce urządzenie, które dostali od Jaga.

- Chodź - przynaglił Marę. - Sprawdzimy, jak się miewa Cilghal.

Powracając do Świątyni, Jaina minęła Jedi pełniącą straż przy wejściu i weszła na główny korytarz, którym z przeciwka nadchodził

właśnie mężczyzna w ciemnym płaszczu. Trzymał się lewej strony, z dala od niej, nie zwracając na nią uwagi. Gdy go

mijała, coś ją tknęło - wyprostowana postura i pewny, wojskowy

krok zapaliły lampki alarmowe w jej mózgu. Zatrzymała się

i odwróciła w jego stronę.

- Jag? - zapytała.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił. Nie mogła widzieć jego twarzy,

ukrytej w fałdach kaptura, ale głos, który jej odpowiedział, należał ponad wszelką wątpliwość do Jaga.

- Tak?

- Zamierzałeś tak po prostu mnie minąć, nie mówiąc nawet „cześć”?

- Tak — odpowiedział i zniknął w mroku nocy Coruscant.

System Gyndine,

stacja paliwowo-naprawcza Tendrando

Han stał z rękami na biodrach w holu statku zaparkowanego obok „Sokoła Millenium”.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Raczy pan wybaczyć, kapitanie Solo - wtrącił się C-3PO.

- Ton głosu pana Calrissiana, pomimo żartobliwego zabarwienia,

nie sugerował próby wprowadzenia w błąd.

Han rzucił złocistemu androidowi protokolarnemu mordercze spojrzenie, po czym wrócił do kontemplacji wnętrza.

Hol nie był może szczytem dobrego smaku, za to aż ociekał luksusem. Ściany i sufit pokrywał gruby aksamit w odcieniu ciemnego błękitu, dopasowany kolorystycznie do puszystego dywanu. Girlandy srebrnych punktów jarzeniowych widniały prawie wszędzie. Pod ścianami stały cztery komfortowe kanapy,

każda wyposażona w zamocowaną do sufitu półprzezroczystą, sterowaną odpowiednim panelem zasłonę, zapewniającą prywatność. Temperaturę i wibracje kanap można było regulować

za pomocą kontroltek, wmontowanych w aksamitne ściany, z sufitu zaś zwieszały się krzesła pokryte srebrzystą tkaniną.

W ich pobliżu ustawiono lśniące stoliki, gotowe dźwigać ciężar półmisków pełnych smakołyków, a umieszczona pośrodku pokoju miniaturowa kopia słynnego wodospadu z Naboo szemrała melodyjnie.

Leia, stojąca obok Hana, pokręciła z niedowierzaniem głową.
- Wygląda jeszcze bardziej idiotycznie niż „Ślicznotka”.

Lando, obserwujący ich z drugiego końca tego gniazdka rozkoszy, uśmiechnął się pod wąsem.

- Podobny, co? To starszy model jachtu SoroSuub 2400. Jego właściciel - ...to znaczy były właściciel - uściślił - wpadł w tarapaty.

Nie pomogła mu próba odzyskania swojej fortuny w partyjce sabaka, w której brałem udział. - Wzruszył ramionami.

- Sporo nas łączyło, włącznie z zamiłowaniem do luksusowych

jachtów, miał jednak głupi zwyczaj picia w trakcie gry. Wygrałem

jacht, razem z rocznym serwisem. Facet zajmuje się teraz handlem moimi robotami na Zewnętrznych Rubieżach. Jacht jest

nadal oficjalnie zarejestrowany na jego nazwisko... - jakoś nie mogłem znaleźć czasu na wprowadzenie zmian w dokumentacji.

- Jak się nazywa? - zapytała Leia.

- „Komandoorr Miłoościii” - zaśpiewał Lando swoim najbardziej uwodzicielskim, szelmowskim głosem.

Leia spojrzała na niego, jakby nie dowierzała własnym uszom.

Kiedy przytaknął, zakryła usta dłońmi, aby stłumić śmiech.

Han pokręcił głową.

- Nie chcę mówić, co naprawdę myślę o tym statku, ale jako kamuflaż jest wręcz perfekcyjny.

Zdjął lewe ramię z temblaka i poruszył nim na próbę. Parę tygodni

opieki medycznej i sporo krzepiącego snu poprawiły jego kondycję. Wyglądało na to, że wkrótce wszystko wróci do normy.

- Przeładujmy nasze graty z „Sokoła” do kwater kapitańskich - zaproponował.

Lando pokręcił głową.

- Nie. Umieściłem was w największych pokojach gościnnych. Kabinę kapitańską zajmuję ja.

Spojrzeli na niego jednocześnie.

- Wybierasz się z nami? - zapytała Leia.

- Po namyśle doszedłem do wniosku, że korzystając z moich usług jako nawigatora... to znaczy Bescata Offdurmina, potentata

holorozrywki i poszukiwacza przygód w Sektorze Wspólnym...

będziecie dużo bardziej anonimowi, niż nawiązując łączność z różnymi władzami osobiście. Mam rację?

- Cóż - stwierdziła Leia. - Niewątpliwie masz. Ale wolę nie myśleć o tym, co zrobi z nami Tendra, kiedy stwierdzi, że coś ci się stało.

- Będzie zadowolona, że pozbyła się mnie choć na chwilę.

Wie, jaki byłem ostatnio drażliwy. - Lando chwycił swoją laseczkę

i zakręcił nią pokazowego młynka. - Ruszamy, moja bezimienna

załogo. Pakujcie się na pokład.

Han klepnął C-3PO w metalowe ramię.

- Złota Sztabo, masz niezwykle ważną misję. Zostaniesz tu

i zarejestrujesz wszystko, co zrobią „Sokołowi” podczas naszej nieobecności. I postaraj się nie zamęczać ich zbyt konwersacją

- Ojejku! - wykrztusił C-3PO.

Godzinę później, po załadowaniu sprzętu i sprawdzeniu systemów,

Han był już w nieco bardziej przyjacielskich stosunkach ze statkiem.

Pomimo nazwy i zdecydowanie rozrywkowego przeznaczenia, jak również osobliwej, zielonobłękitnej kolorystyki kadłuba statek się dla nich nadawał. Niemal dwa razy dłuższy od „Sokoła” - mierzył około pięćdziesięciu metrów - był niewiele od niego cięższy i miał wydłużoną, elegancką sylwetkę. Po obu stronach znajdowały się komory napędu; każda kryła generatory

napędu jonowego oraz układ hipernapędu. Generatory hipernapędu nie wyróżniały się niczym szczególnym, jednak jednostki napędu jonowego zostały zmodyfikowane i rozbudowane, umożliwiając jachtowi osiągnięcie znacznych prędkości podświetlnych.

Statek nie był również nieuzbrojony, jak mogłoby się wydawać

na pierwszy rzut oka. Wysuwane wieżyczki, starannie ukryte pod

plytami poszycia, skrywały działa turbolaserowe. Na dziobie, tuż

poniżej mostka, znajdowała się wyrzutnia rakiet udarowych, zamaskowana

atrapą anteny. Poza tym jacht miał pola ochronne,

tyle że generatorowi pól, udającemu zapasowy właz, kilka sekund

zajmowało ich rozłożenie i aktywacja.

„Komandor Miłości” uniósł się ociężale z platformy lądowniczej.

Oddalił się na repulsorach od „Sokoła”, kierując w próżnię przestrzeni. Fotel pilota, po naleganiach Landa popartymi argumentacją,

że Han nie jest jeszcze w pełni sprawny, zajmowała

Leia. Sam Lando rozparł się wygodnie w przesadnie luksusowym

fotelu kapitana na tyłach sterowni.

- Dokąd lecimy, nawigatorze? - zapytał Lando, aktywując funkcję masażu wibracyjnego w swoim fotelu. - Mam nadzieję,

że w jakieś ciekawe miejsce.

- Powinno być wystarczająco ciekawe. - Han zakończył właśnie

wpisywać kurs statku do komputera nawigacyjnego. -

Wyberzemy

się na Korelię. Zamierzamy prześliznąć się przez strefę

zakazaną, zagrać na nosie strażom blokady, a następnie zajrzeć

tu i ówdzie, żeby się dowiedzieć, czy przywódca Gejjen działał

sam, planując atak na Tenel Ka. Najprawdopodobniej oznacza to konieczność wyrwania mu tych wiadomości z gardła. Kiedy już się tego dowiemy, podejmiemy decyzję, czy mu wybaczyć,

czy porwać jego i resztę współspiskowców i oddać ich w ręce sprawiedliwości.

- Ach, tak. Jaki jest program na następny dzień? - spytał Lando.

Han parsknął, rozbawiony.

- Sądzę, że coś wymyślimy.

- W porządku. W takim razie obudźcie mnie, gdy dotrzemy na miejsce, moi bezimienni.

**Gdzieś w przestrzeni kosmicznej,
przedział silnikowy transportowca „Durawrak”**

Kapitan Uran Lavint na wpół leżała na brudnym durastalowym

pokładzie, oparta o równie brudną ścianę, i czekała na śmierć.

Wszystkie narzędzia, jakie miała, leżały porozrzucane na pokładzie

pośród paneli, które zdemontowała, aby dostać się do hipernapędu

„Durawraka”.

Jedynym dźwiękiem, który słyszała, był jej własny oddech i rytmiczne odgłosy wydawane przez system podtrzymywania życia. Pomieszczenie oświetlały mocowane magnetycznie pręty

jarzeniowe, używane przez mechaników podczas napraw.

Poza

tym statek spowijała ciemność, z wyjątkiem mostka, gdzie kontrolki

statusu nadal migotały różnobarwnymi światełkami.

Lavint zdawała sobie sprawę, że wiele czasu upłynie, zanim umrze. „Durawrak” mógł zapewniać jej powietrze przez całe tygodnie. Zapasy żywności i wody skończyłyby się najwcześniej,

w ciągu paru dni. Miała więc mnóstwo czasu, aby nagrać i wysłać pożegnalne wiadomości. Pierwsza z nich zdemaskowałaby

Jacena Solo jako zdrajcę. Kolejna potwierdziłaby jej ostatnią wolę, zgodną z treścią odpowiednich plików w biurze jej adwokata

na odległej Tatooine. Gdyby miała ochotę, mogła nawet nagrać mowę pożegnalną.

A potem umarłaby z pragnienia, chyba żeby zechciała zakończyć

swoje cierpienia nieco szybciej. Mogła się wtedy zastrzelić lub wybrać śmierć przez wyjście w próżnię.

Jednej rzeczy mogła być jednak pewna: miejsce, które obrała za cel swojego pierwszego skoku w nadprzestrzeń, było tak odległe

i mało uczęszczane, że nie było żadnych szans, aby odnalazł ją tu jakiś transportowiec czy statek kurierski. Wysłanym przez

nią wiadomościom dotarcie do najbliższej gwiazdy z prędkością

podświetlną zajęłoby osiem lat.

Była samotna i skazana na pewną śmierć.

- To cudowne, prawda? - spoza wątego kręgu światła zapewnianego

przez pręty jarzeniowe dobiegł kobiecy głos.

Lavint wyprostowała się gwałtownie. Sięgnęła po swój blaster,

ale przypomniała sobie, że zostawiła go razem z pasem i kaburą

w kabinie, gromadząc potrzebne narzędzia.

- Kto tam? - spytała.

- Twoje cierpienie - rozległ się ponownie głos. - Cierpisz jak dziecko, które noc w noc zasypia zapłakane, wiedząc, że jego rodzice

nigdy, przenigdy go nie zrozumieją. Jak dawno temu byłaś takim dzieckiem?

Lavint podniosła się na drżące nogi i zaczęła wycofywać w kierunku wyjścia. Przy drzwiach włączyła główne oświetlenie i zobaczyła, kto się nad nią znięca.

Podświadomie nie chciała jednak włączać światła. A jeśli

w przedziale nie ma nikogo prócz niej? Jeśli świadomość nieuchronnego

losu sprawiła, że zwariowała i spędzi swoje ostatnie dni, słysząc głosy?

Usłyszała dobiegający z ciemności śmiech, zupełnie jakby ten, kto się tam czaił, czytał w jej myślach.

Lavint dotarła do wyjścia, wymacała panel kontrolny oświetlenia

i włączyła go. Blask niemal ją oślepił. Kiedy jej oczy już przywykły do światła, dostrzegła swojego gościa. I teraz już była

pewna, że nie zwariowała - wszystkie koszmary i urazy całego jej dotychczasowego życia nie zdołałyby stworzyć takiej postaci,

jaka ukazała się jej oczom.

Intruzem była błękitnoskóra, niewysoka Twi'lekanka, ubrana w ciemny strój podróżny. Miała całkiem przyjemne rysy twarzy,

ale bez wątpienia musiała ulec kiedyś poważnemu wypadkowi.

Lewe ramię opadało niżej niż prawe, lewa ręka zaś zwisała w sposób sugerujący, że jest bezwładna. Prawy głowoogon miała

ucięty mniej więcej w połowie długości. Kiedy dała krok do przodu, okazało się, że kuleje.

Nie była nocnym koszmarem ani tworem wyobraźni. Lavint gapiła się na nią, nie wierząc własnym oczom.

- Kim jesteś? - wykrztusiła w końcu.

- Jesteśmy Alema.

- Alema? Co tu robisz?

- Podróżujemy na gapę.

Lavint wlepiła w Alemę wzrok jeszcze przez chwilę, po czym

nie wytrzymała. Śmiech wypłynął z niej kaskadą niczym strumień

z paroprysznicą pod ciśnieniem, zmieniając się po chwili w bolesne spazmy, które wstrząsały nią bez końca.

Oszołomiona Lavint schyliła się, trzymając dłonie na kolanach,

i oparła się o gródź - gdyby nie to, pewnie by upadła. W końcu histeryczny śmiech odpłynął, zostawiając ją zachrypniętą i wyczerpaną.

- Czemu się śmiejesz? - wyraz twarzy Alemy nie mówił nic, oprócz nieznacznego zdumienia.

- Bo jesteś najgłupszym pasażerem na gapę w historii galaktyki.

- Lavint wyprostowała się. - Bo załapałaś się na najgorszy możliwy statek. Bohater Galaktycznego Sojuszu uszkodził mój hipernapęd.

- Wiemy. Widziałyśmy, jak jego ludzie to zrobili.

- Widziałaś to? - słowa niezwykłego gościa wyrwały Lavint z osłupienia.

- Tak.

- I mimo to zostałam na pokładzie?

- Dokładnie - uśmiechnęła się Alema. - Nie, nie mamy zamiaru

umrzeć. Zabrałyśmy się z tobą po upewnieniu się, co dokładnie

zrobili jego podwładni... i po zgromadzeniu części niezbędnych

do naprawy.

Lavint mimowolnie zrobiła krok w jej stronę.

- Możesz naprawić hipernapęd?

- Zgadza się. Naprawimy go jednak dopiero wtedy, gdy będziesz

martwa. Chyba że dojdziemy do porozumienia... a wtedy pozostaniesz przy życiu i sama go naprawisz.

Lavint musiała przeanalizować sytuację. Alema najwyraźniej używała formy „my”, mając na myśli samą siebie, co czyniło jej

wypowiedzi nieco... niezrozumiałymi.

- Masz na myśli, że jeśli my dojdziemy do porozumienia, ja zreperuję hipernapęd i razem się stąd zabierzemy? A jeśli się nie

dogadamy, to mnie zabijesz, dokonasz napraw osobiście i wydobędziesz

się stąd sama?

- Dokładnie tak - uśmiech Alemy stał się szerszy.

- Warunki?

- Pomożesz nam odnaleźć rodziców tego bohatera Galaktycznego

Imperium. Będziesz działała w naszym imieniu, jako nasz reprezentant. Nie wydasz nas władzom. Nie zwrócisz się przeciwko nam ani nie narazisz nas na niebezpieczeństwo. Jesteś

przemytniczką, zgadza się? Wykorzystasz więc w poszukiwaniach

swoje doświadczenie. - Alema zastanowiła się przez chwilę.

- I będziesz nas traktować jako pełnoprawnego pasażera.

- A gdy już odnajdziesz Solo?

- Uznam, że wywiązałaś się ze swojej części umowy.

Lavint rozważyła taki układ. Zawsze darzyła Hana Solo szacunkiem

i podziwiała go, ale plany tej obcej istoty wydawały się jasne. Lavint mogła oczywiście o nie zapytać, ale musiałyby

wtedy zdecydować się na zerwanie ich umowy, w razie gdyby

potwierdziły się jej przypuszczenia, że Alema ma niecne zamiary.

Cóż, jeśli nawet takie były, Lavint będzie mogła nadal podziwiać

dokonania Hana Solo jako część historii galaktyki.

- Zgoda - powiedziała.

- W porządku. Znajdziemy części zamienne. Dostarczymy ci je, nawet gdy już rozpoczniesz naprawę.

- Byłabym zobowiązana.

ROZDZIAŁ 6

Koronet, Korelia

Tłum zgromadzony w auli składał się głównie z przedstawicieli

branży holoinformacyjnej. Oklaski, którymi nagroził

Wedge'a, były dość mizerne i wynikały raczej z grzeczności niż

z entuzjazmu.

Wedge uznał, że nie ma w tym nic dziwnego. Nie pojawił się tu, aby świętować. Miał nadzieję, że wszystko odbędzie się względnie szybko.

Z jego lewej strony stał Dur Gejjen, z prawej zaś pani admirał Delpin. Wedge obdarzył oboje przelotnym spojrzeniem, po czym

pochylił się nad mównicą, aby zakończyć wystąpienie.

- Reorganizacja każdych sił zbrojnych osiąga najlepsze efekty wtedy, gdy można połączyć dojrzałość ze świeżym spojrzeniem;

rozwagę wynikającą z doświadczenia z młodzieńczą energią i entuzjazmem...

Ufam, że w trudnych czasach kryzysu przysłużyłem

się naszej armii swoim doświadczeniem i rozwagą. I jestem absolutnie

przekonany, że admirał Delpin ma świeże spojrzenie oraz energię, konieczną aby podołać czekającym ją obowiązkom.

Wierzę, że los Korelii jest w dobrych rękach.

Gdy runęła nieuchronna lawina pytań, cofnął się, a jego miejsce

przy mównicy zajął Gejjen.

- Admirał Antilles i ja jesteśmy zmuszeni was opuścić.

Admirał

Delpin przekaze teraz wstępne informacje i odpowie na państwa

pytania. Dziękuję - skinął głową w stronę Wedge'a, po czym wspólnie opuścili podium. Ponownie rozległy się oklaski.

Wedge

kątem oka zdołał zauważyć paru holoreporterów, którzy zegnali

go na stojąco, zanim razem z Gejjenem wkroczyli do zaciemnionego

i umiarkowanie chłodnego pomieszczenia na tyłach platformy.

Co nie znaczyło, że Wedge mógł odetchnąć. Jeszcze nie teraz.

Gejjen przyjrzał mu się uważnie.

- Poczysz się.

- To przez te wszystkie flesze.

Wyszli z pomieszczenia. Za drzwiami czekała obstawa Gejjena

- ochroniarze KorSeku: drobna kobieta w mundurze, poruszająca

się z gracją tancerki, oraz android bojowy typu ZYV. Oboje ruszyli

za nimi.

- Co planujesz teraz, po powrocie do cywila? - spytał Gejjen.

Własną śmierć, odpowiedział mu w myślach Wedge. Może

i osobiście nie będziesz miał z tym nic wspólnego, ale ktoś z twojego

rzędu na pewno ma w tym interes. Głośno zaś powiedział:

- Powrócę do spisywania wspomnień. Może udzielę córce paru lekcji pilotażu.

- Myri? O ile się nie mylę, skończyła ostatnio szkołę? Moje gratulacje. Wywiad Korelii na pewno złożył jej propozycję pracy.

Wedge potwierdził kiwnięciem głowy.

- Tak samo jak służby wywiadowcze Galaktycznego Sojuszu. Chociaż te już nieco mniej oficjalnymi kanałami.

Gejjen omal się nie potknął. Odwrócił się szybko w stronę Wedge'a.

- Żartujesz sobie.

- Ani trochę. Sojusz zaryzykował potajemne nawiązanie kontaktu

z Koronetem, aby podjąć próbę zwerbowania mojej córki jako podwójnego agenta. Rozpiera mnie duma.

Gejjen nadal wydawał się nieufny, więc Wedge dodał:

- Nie martw się, nie przyjęła propozycji.

- Mam nadzieję, że wszystkie informacje na temat swojego kontaktu przekazała KorSekowi.

- Oczywiście, że nie. Jest na to zbyt dobrze wykształcona. Ten kontakt stanowi teraz jej osobiste źródło informacji. Może to ona

spróbuje go przekupić. A może wykorzysta do całkiem innych celów.

Gejjen pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Naprawdę wolę myśleć, że mnie nabierasz.

Wedge uprzejmie skinął głową.

- Proszę bardzo.

Zatrzymał się na wysokości drzwi odświeżacza.

- Wybaczcie na chwilę, dogonię was później.

- Nie zapomnij o przyjęciu za trzy dni.
- Pamiętaj.

Gdy Gejjen wraz z ochroniarzami ruszył dalej, Wedge zniknął w pomieszczeniach sanitarnych.

Oficjalna konferencja zorganizowana w związku z jego przejściem

na emeryturę dobiegła końca, a więc mógł liczyć na to, że zamach nie nastąpi dziś. Wystąpienia publiczne stanowiły najlepszą

okazję do pozbycia się niewygodnych osób, a takie Wedge miał zaplanowane tylko dwa: dzisiejszą konferencję prasową oraz przyjęcie, mające się odbyć za parę dni. Podczas konferencji

nic się nie stało, wszystko wskazywało więc na to, że do próby zamachu dojdzie podczas bankietu.

Jak zauważyła Iella, scenariusz, zgodnie z którym miałyby zginąć

dzisiaj, wydawał się zbyt oczywisty. Wedge wyobraził sobie, jak serwisy holowiadomości kipią od sensacji: „Parę minut po rezygnacji ze stanowiska naczelnego dowódcy Korelii Wedge Antilles padł ofiarą zabójcy z Sojuszu...” Publiczność wyraziłaby

ubolewanie, przyjęła fakt do wiadomości, a kiedy emocje by opadły, żywot eksadmirala Antillesa stałby się dla wszystkich

garstką wspomnień.

Wedge rozejrzał się pospiesznie po wnętrzu, by się upewnić, że nikt nie czeka na niego w boksach ani w kabinie paroprysznicza.

Wyjrzał jeszcze na korytarz, ale stwierdził, że jedynymi osobami w zasięgu wzroku są Gejjen i jego ochrona. Oddalili się już spory kawałek i kierowali się w stronę wyjścia z budynku.

Wydobył ukrytą pod bluzą tabliczkę, głoszącą „Pomieszczenie chwilowo nieczynne”, i umocował ją na zewnętrznej stronie drzwi, które następnie starannie zamknął i zablokował od środka.

W umówionym miejscu, przymocowany w kącie pod umywalką

znalazł przeznaczony dla niego pakunek. Była to szara torba, której zawartość rozłożył zaraz na blacie pomiędzy umywalkami. W środku znajdowało się ubranie: lekkie czarne spodnie, bluza, buty, czapka, pas i kurtka z emblematem przedstawiającym

stację Centerpoint umieszczonym na plecach.

Charakterystyczna

sylwetka topornej i brzydkiej stacji kosmicznej

stanowiła teraz symbol jednoczący Korelian i na ulicach pełno było podobnych kurtek.

W torbie znalazł również zawinięte w ubranie ciemne okulary oraz pistolet blasterowy dalekiego zasięgu typu DH-17.

System

otworów nawierconych na lufie wskazywał, że był to egzemplarz

spoza oficjalnego obiegu, jednak jego lśniąca czarna powierzchnia

świadczyła o tym, że troskliwie go przechowywano lub

niedawno odnowiono. Wedge nie przepadał zbyt za tym modelem,

jednak w obecnej sytuacji wydawał się dobrym wyborem.

Była to porządna broń, a Iella zadbała na pewno o to, żeby w razie

czego nikt nie mógł udowodnić, że jego rodzina miała z nią cokolwiek wspólnego.

Pospiesznie zdjął biały admiralski mundur i cisnął go do kabiny

paroprysznica, a następnie włożył przebranie z torby. Wsunął DH-17 do prawej kieszeni kurtki, a w niewielkiej kaburze u podstawy

pleców umieścił własny, podręczny blaster.

W końcu spojrzał na swoje odbicie. Z lustra patrzył na niego Wedge Antilles w kurtce z logo Centerpoint i ciemnych okularach.

Westchnął. Sztuka kamuflażu nigdy nie była jego mocną stroną.

Ale ten strój pozwoli mu przynajmniej zmylić kogoś rozglądającego

się za białym admiralskim mundurem. Dwie minuty

później wyszedł z budynku bocznymi drzwiami, położonymi z dala od wejścia głównego. Zrezygnował z opuszczenia gmachu

rządu od tyłu, ponieważ uznał to za najbardziej oczywisty sposób

ucieczki, i natychmiast wtopił się w tłum przechodniów.

Kiedy

włączył komunikator, odpowiedziały mu dwa kliknięcia.

Oznaczało

to, że Iella go obserwuje.

Szedł chodnikiem wzdłuż przepływającego po lewej stronie strumienia ruchu powietrznego. Pokonał około stu metrów, gdy

komunikator kliknął trzykrotnie. To Iella sygnalizowała, że jest

śledzony.

Wedge zaklął pod nosem. Ktoś musiał widzieć, jak opuszczał budynek. Wsunął ręce do kieszeni, zaciskając prawą dłoń na rękojeści

blastera.

Przecznice dalej mieścił się hangar, gdzie czekał jego transport

-jeden ze śmigaczy używanych przez niższych funkcjonariuszy

rządowych. Iella ukradła go dzień wcześniej i zaparkowała na czwartym piętrze budynku.

Zbliżając się do rogu ulicy, Wedge analizował sytuację i zastanawiał

się, co robić. Najbardziej oczywistym wyjściem wydawało się kontynuowanie marszu w kierunku podziemnego przejścia.

To by jednak oznaczało, że znajdzie się w dwudziestometrowym

tunelu, gdzie nie będzie miał możliwości ucieczki, jeśli przeciwnik

odetnie mu drogę wyjścia i zacznie strzelać.

Obserwował mijające go śmigacze, które zabierały i wysadzały

pasażerów, i przyszło mu do głowy, że mógłby wskoczyć do któregoś z nich, przejąć stery i uciec... Odrzucił jednak ten pomysł

niemal natychmiast. Mogłoby to spowodować zamieszanie i przyciągnąć uwagę otoczenia, co naraziłoby go na zdemaskowanie.

Mógł też zacząć biec. Gdyby udało mu się w ten sposób spłoszyć

pościg, Iella spróbowałaby sobie jakoś z nim poradzić...

Nie zdążył podjąć decyzji. Z jego komunikatora dobiegł nagle głos Ielli. „Padnij!” - krzyknęła. Zanurkował, uderzając z impetem

w płyty chodnika i poczuł na plecach strumień gorącego powietrza. Tuż przed nim, w prawą burtę śmigacza skręcającego

w przecznice dzielącą go od parkingu, trafił strzał z karabinu

blasterowego. Plastalowe płyty poszycia i transpastalowe panele poczerniały i wgięły się do środka. Chwilę później pojazd zniknął

z pola widzenia za budynkiem, z którego Wedge dopiero co wyszedł.

Wedge odtoczył się w lewo, w kierunku ulicy i zanim znalazł się na plecach, zdołał wyszarpnąć z kieszeni blaster. Dostrzegł pomarańczowy śmigacz nadlatujący w jego stronę. Pojazd schodził

z pułapu wysoko ponad strumieniem pojazdów i Wedge zdał sobie sprawę, że przeznaczony dla niego strzał nie mógł paść z niego. Odtoczył się jeszcze kawałek, dopóki nie znalazł się na

trasie ruchu powietrznego.

Było to na pewno mniej niebezpieczne, niż gdyby trafił na trasę

ruchu naziemnego. Śmigacze poruszające się ponad nim skręcały

gwałtownie lub nabierały wysokości w momencie, gdy ich piloci

zauważali w dole jego postać.

Nie wszystkie manewry były jednak udane. Trzy z pojazdów przemknęły tuż ponad nim i fala ich repulsorów niemal wgniotła

go w durabeton jezdni. Mimo wszystko, wymijając go, zapewniały

mu jednocześnie pewną osłonę przed nadlatującym śmigaczem,

co dawało mu czas na odszukanie...

Stali na chodniku: dwóch mężczyzn w podróżnych pelerynach lub szatach Jedi. Jeden z nich trzymał karabin blasterowy, drugi

zaś srebrny, cylindryczny przedmiot, który wyglądał na wyłączony miecz świetlny. Między nimi a Wedge'em nie było pieszych, co wydawało się normalne; pewnie odczekali aż przestrzeń opustoszeje, zanim zaczęli strzelać.

Odpowiedział ogniem, naciskając spust tak szybko, jak tylko zdołał i próbując zorientować się po kącie padania strzałów, w którą stronę się kierować. Zdawał sobie sprawę, że Jedi włączy

miecz świetlny i odbije jego strzały, ale jego kanonada mogła wywołać panikę snajpera z karabinem.

Efekt był nieco inny, niż się spodziewał. Obaj napastnicy padli na ziemię, jeden ze strzałów Wedge'a trafił jednak tego z mieczem

w okolice pachwiny, kolejny zaś dosięgnął jego twarzy.

Mężczyznę wstrząsnęły drgawki, ale zaraz znieruchomiał. Ze zwęglonych ran unosiły się smużki dymu.

Snajper wycelował ponownie i Wedge znów podjął próby uniknięcia

ognia. Odtaczając się w głąb pasa ruchu, obijał boleśnie kolana i łokcie, przyciskany do ziemi repulsorami przelatujących

nad nim śmigaczy. W uszach dzwoniło mu od wszechobecnego huku.

Obok snajpera wylądował nagle mężczyzna w jaskrawozielonym

kombinezonie. Wyglądało to, jakby spadł z nieba. Był barczysty,

niezbyt wysoki, miał gęstą rudą brodę sięgającą niemal do pasa i nawet z tej odległości Wedge miał wrażenie, że coś w jego

wyglądzie aż krzyczy: „przebranie”.

Snajper spojrział na mężczyznę.

Wedge zauważył śmigacz, który właśnie nurkował w jego stronę

znad miejsca, gdzie stał snajper, w kierunku przeciwnym do ruchu pojazdów. Wyglądało na to, że brodacz wyskoczył z tego

właśnie śmigacza. Jeśli faktycznie tak było, znaczyło to, że aby

znaleźć się tuż obok zamachowca, musiał pokonać wysokość równą jakimś czterem piętróm.

Rudobrody kopnął strzelca prosto w szczękę. Siła ciosu sprawiła,

że głowa mężczyzny odskoczyła, a on sam przeleciał parę metrów wzdłuż chodnika.

Komunikator Wedge'a ponownie odezwał się głosem Ielli.

- Jesteś cały?

- Tak. Trochę poobijany. - Wedge dotarł przez ten czas do pasa rozdzielającego przeciwne kierunki ruchu, znajdującego się

po jego prawej stronie.

- Ten paskudny pomarańczowy śmigacz to twój nowy transport.

Zmiana planów, zmiana pojazdu.

- Zrozumiałem. Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Pomarańczowy śmigacz wykonał pełną beczkę, pokonując obydwa pasy ruchu, po czym zanurkował gwałtownie w lukę obok Wedge'a, który miał ochotę się cofnąć, ale wytrzymał.

Pojazd zawisł z dziobem oddalonym najwyżej parę metrów od niego. Pilotem była kobieta, na oko dwudziestoletnia. Oczy zakryła

przyciemnionymi goglami, jej włosy zaś stanowiły orgię

kolorów; każde pasemko zdawało się innej barwy.
Wycelowwała

w niego palec w rękawicy niczym lufę blastera.

- Cześć, tato!

Wedge przeskoczył ponad owiewką z przodu śmigacza, by usadowić się na siedzeniu obok pilota.

- Myri! Nie miałaś przypadkiem siedzieć w domu i pilnować, czy wszystko w porządku?

- Plan uległ zmianie, nie zauważyłaś? Czytaj: „Nie jesteś mi wdzięczny?”

- Cóż, chyba powinienem. Ruszajmy.

- Jeszcze chwila, czekamy na...

Śmigacz zatrząsnął się i opadł niemal do samej ziemi pod ciężarem,

który znalazł się nagle na tylnym siedzeniu. Wedge odwrócił się, rejestrując kątem oka błysk obrzydliwie zielonego kombinezonu i rudej brody. Powstrzymał się z trudem przed wycelowaniem

w tamtą stronę blastera, po czym przyjrzał się lepiej postaci.

- Corran!

Mistrz Jedi z Korelii wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Myri wcisnęła gaz do dechy, co z kolei wcisnęło Wedge'a w fotel.

- A więc wiadomość Ielli dotarła do Mirax?

Corran przytaknął.

- Moja żona przekazała ją mi, ja zaś dotarłem do twojego mieszkania na czas, żeby z kolei dotrzeć tu razem z Myri. Do każdego coś dotarło. Hej, moja panno! Sprowadź no ten pojazd

na jakieś pięćdziesiąt metrów lub jeszcze niżej, jeśli łaska.

Myri machnęła ręką radośnie ignorując jego radę, i podskoczyła

na wysokość najbliższego dachu. Karkołomna akrobacja widać osiągnęła apogeum, bo pojazd rozpoczął wywracający żołądek

manewr nurkowania w stronę pasa ruchu parę przecznic dalej.

- Przepraszam za to zamieszanie - powiedział Wedge. - Naprawdę

byłem przekonany, że przebranie i wyjście bocznymi drzwiami zmylą pościg.

- Bo zmyliły - zapewniła go Myri. - Mama mówiła, że główne grupy uderzeniowe były rozmieszczone od frontu i z tyłu.

W ten sposób wykiwaliśmy jakieś trzy czwarte zamachowców.

- Cóż, wspaniale. Proszę, powiedz mi, że to coś, co masz na głowie da się zmyć.

- Jasne. Ale tatuaże są na stałe.

- Tatuaże?

W odpowiedzi Myri roześmiała się tylko.

Coruscant,

hangar Świątyni Jedi

Nie była to zbyt imponująca liczba myśliwców. Nie była to nawet pełna eskadra: dziewięć X-wingów i jeden E-wing.

Były

jednak w doskonałym stanie i Jag Fel patrząc na nie, poczuł niespodziewane

ukłucie żalu. Tyle czasu minęło, od kiedy myśliwiec

był dla niego wszystkim... Tęsknił za tym. Tęsknił za uczuciem

przynależności do zespołu, podzielonego zgodnie z potrzebami,

różnicami osobowości oraz uprzedzeniami tworzących go osób,

mimo wszystko zjednoczonych przez wspólne cele i wspierających się wzajemnie.

Nie mógł sobie pozwolić na ujawnienie swoich uczuć.

- Zakon Jedi wyraża zgodę na finansowanie i pragnie wspierać twoją misję - powiedział Luke.

Jag powrócił do rzeczywistości.

- A jest nią odnalezienie i unicestwienie Alemy Rar - uściślił.

- Odnalezienie i unieszkodliwienie Alemy Rar - poprawił go Luke. - Zgadza się, zabicie jej może być konieczne. Ale jeśli istnieje możliwość złapania jej i dostarczenia tutaj żywej...

- Aby można było spróbować skłonić ją do zmiany poglądów w pewnych kwestiach? - Jag pozwolił sobie na odrobinę drwiący

ton.

- Nie. Aby pozwolić jej na odnalezienie własnej drogi do naprawienia błędów.

Jag zastanowił się nad tym. Współpraca z Jedi zawsze przebiegała

w ten sam sposób, stwierdził. Wojskowi opracowywali plany pod kątem osiągnięcia celu, na przykład: „Znaleźć i zlikwidować

wroga". Jedi nie tyle planowali, ile wyznaczali kierunek działań, w stylu: „Poprawić sytuację”. Kiedy zastanowił się nad

działaniami prowadzonymi podczas wojny z Yuuzhan Vongami,

uznał, że te dwa różne podejścia tak bardzo od siebie nie odbiegały.

W tamtym okresie podstawowe niezgodności wydawały się bardziej oczywiste, klarowne i sprecyzowane.

Teraz zaś był zmuszony do radykalnej zmiany sposobu myślenia, jeśli miał współpracować z Jedi. Mimo wszystko nie mógł uznać, że podejście Jedi było całkiem błędne. Nawet jeśli chodziło o kogoś takiego jak Alema Rar... Znał kiedyś pewną Jedi, która zboczyła ze ścieżki prawdy i przez jakiś czas kroczyła złym szlakiem, ale wkrótce odnalazła właściwą drogę. W jaki sposób potoczyłyby się jednak losy galaktyki, gdyby stało się inaczej? Gdyby zwróciła się w stronę zła? Czy stałaby się podobna do Alemy Rar? I czy wtedy Jag byłby także zdolny do jej wytropienia i zgładzenia?

- W porządku - powiedział.

- To dobrze. Sam przewodzę podobnej jednostce, która ma odnaleźć Lady Sithów, Lumię. Równie dobrze może już nie żyć, jesteśmy jednak pewni, że jakiś czas temu współpracowała z Alemą...

wciągnęła wtedy w zasadzkę mnie i Marę. Oznacza to, że Lumiya zatrudniała lub zatrudnia agentów, którzy ułatwią nam jej wytropienie.

- Nie wiem o niej zbyt wiele. Zakładam, że określenie „Lady Sithów” nie wróży nic dobrego.

- I nie mylisz się. Przekażę ci podstawowe informacje na jej temat. - Lukę sięgnął do kieszeni i podał Jagowi to, co z niej wyjął.

- Oto karta identyfikacyjna, potwierdzającą twoją tożsamość. Jesteś Jaggedem Felem, cywilnym specjalistą zatrudnionym przez Radę Jedi. Druga karta umożliwi ci dostęp do rachunku

przypisanego twojemu zespołowi. Trzecia z nich to karta zabezpieczenia,

zapewniająca dostęp do X-winga. Przykro mi, że nie mogłem zapewnić ci chissańskiego szponostatku.

- Nie ma sprawy. X-wing jest w sam raz.

- Chciałbym również przydzielić do twojej jednostki dwójkę Jedi. Polujesz na Ciemną Jedi, więc przyda ci się ich pomoc.

- Bez wątpienia.

Lukę obejrzał się na wejście do hangaru.

- Skoro już o tym mowa...

Musiał zostać w jakiś sposób uprzedzony przez impuls Mocy. Jag podążył za jego wzrokiem, ale drzwi były zamknięte, po chwili jednak rozsunęły się i do środka weszła kobieta ubrana w brązowe szaty Jedi.

- Wujku Luke, chciałeś mnie wi... och!

Jag powstrzymał się, by nie okazać zdenerwowania. To była Jaina Solo. Jego umysł rozpoczął gorączkową analizę sytuacji i doszedł do nieuchronnego wniosku: to właśnie ona miała być...

- Organizuję niewielką grupę zadaniową do odnalezienia Alemy

Rar - zwrócił się do niej Luke. - Dowodzi nią pułkownik Fel. Przydzielam do niej ciebie oraz Zekka, kiedy już całkiem wy dobrzeje.

Jaina przeszła jeszcze parę metrów, patrząc to na jednego, to na drugiego, jak gdyby czekała na puentę żartu, który na razie wcale nie wydawał się zabawny.

- To nie jest dobry pomysł. Nie sędzę, żebym mogła działać jako podwładna tego człowieka.

Luke spojrział na nią z namysłem.

- W czasie wojny z Yuuzhan Vongami był twoim podwładnym

i o ile pamiętam, nie sprawiał ci żadnych kłopotów, chociaż

przewyższał cię rangą.

- Od tamtego czasu kilka rzeczy się zmieniło.

- Racja - przytaknął Luke. - Oboje jesteście starsi i mądrzejsi, a co więcej, pracowaliście już razem, znacie więc swoje słabe i mocne strony. Poza tym wasze umiejętności znakomicie

się wzajemnie uzupełniają. Dyskusję uważam za zakończoną.

- Spojrzał najpierw na Jainę, potem na Jaga. - Zostawiam was, abyście ustalili pewne sprawy. Jag, przekaz mi plan działania najwcześniej, jak możesz. - Obrócił się na pięcie i skierował w stronę wyjścia.

Jag odczekał, dopóki Luke nie znalazł się poza zasięgiem głosu.

- Cały problem z mistrzami Jedi polega na tym, że nie można ich ukarać za bezkarność.

Jaina zerknęła na niego podejrzliwie.

- Jag, to miał być żart?

- Nie. - Stłumił narastające w nim uczucie gniewu. - Wiedział, że nie chcę współpracować właśnie z tobą, i zlekceważył moją wolę. Muszę przyznać, że mimo wszystko jego argumentacja

brzmi rozsądnie... jeśli się nie okaże, że w praktyce wszystko wygląda

zupełnie inaczej. W porządku, musimy ustalić strategię.

- Czemu powiedziałaś, że nie chcesz ze mną współpracować?

- Jag uznał, że Jaina wygląda na wyraźnie zbitą z tropu. Prawdopodobnie

była również urażona. - Z powodu wydarzeń w Mrocznym Gnieździe?

- Mniejsza o to. Mamy robotę. - Machnął ręką w stronę drzwi. Jaina tkwiła w miejscu, wyraźnie wściekła.

- Mniejsza o to. Mam pracować w atmosferze wrogości, więc

chcę znać powody. Skoro masz jakiś problem, powinieneś być mi

o tym powiedzieć już dawno.

- Nie mogłem... - słowa same wyrwały mu się z ust. -

Tkwiałem

przez dwa lata na Tenupe. A dzięki podjętej przez ciebie decyzji

uwolnienia Lowbacki oraz jej późniejszych konsekwencji

zostałem wykluczony z mojej rodziny już na zawsze. Proszę bardzo,

masz swoje powody.

Wlepiła w niego wzrok i otworzyła usta ze zdziwienia. Na jej twarzy nadal widać było gniew, ale coś się zmieniło. Jag podejrzewał,

że czuła się urażona jego zarzutami, ale było jej przykro,

że został ukarany niesprawiedliwie.

- Sama widzisz - dodał. - Jedi głoszą konieczność wybaczenia bliźnim, ale niestety sprawa wygląda inaczej w społeczności Chissów. Zarówno dla nich, jak i dla mojej rodziny przestałem istnieć... - i to na zawsze. Nie fatyguj się wymyślaniem sposobów

naprawy sytuacji. Będzie to równie pożyteczne, jak ubolewanie

nad laserowymi smugami, którymi twój wujek przyozdobił poszycie

Gwiazdy Śmierci. Martw się lepiej o Alemę Rar.

Jaina w końcu zamknęła usta. Zabrało jej to co prawda kilka chwil, ale w końcu wojskowa dyscyplina wzięła górę.

- W porządku. Ustalmy strategię.

Ruszyła przed nim w stronę drzwi prowadzących na korytarz Świątyni.

Koreliańska strefa zakazana,

„Komandor Miłości”

- Czuję się jak idiota - oznajmił Lando. - Przyjrzał się krytycznie

swojemu odbiciu na głównym wyświetlaczu, znajdującym się przy fotelu kapitana w sterowni „Komandora Miłości”.

Ekran, zamocowany na ruchomym wysięgniku, który pozwalał

na umieszczanie go w dowolnej pozycji, był ustawiony z boku i wygaszony, pozwalając właścicielowi statku podziwiać siebie

w nowym przebraniu. Składały się na nie biała sztuczna broda, wąsy oraz taka sama czupryna o imponującej długości. Gdyby Lando zapragnął zapleść swoje nowe włosy w warkocz, sięgałyby

on niemal do pasa.

- Ale wyglądasz wspaniale - zapewniła go Leia.

- Och, nie wątpię. Nawet taka peruka nie może sprawić, że stanę się odrobinę mniej przystojny. - Lando wzruszył ramionami

i odsunął wyświetlacz bardziej na bok. Spojrzał surowym wzrokiem na Hana. - Nawigatorze, jaki jest nasz kurs?

Han odwzajemnił spojrzenie. On sam musiał się bardziej namęczyć,

aby ukryć swoją tożsamość. Bez brody wyglądał jak

Han Solo, z brodą zaś jak własny kuzyn Thrackan Sal-Solo, do

niedawna pełniący funkcję prezydenta Korelii, tak więc konieczne

było podjęcie innych kroków. Wszystkie odkryte części ciała pokrył specyfikiem, który nadał jego skórze żółtawą barwę,

a spiczasto zakończone, sztuczne czarne wąsy miały perfekcyjny

kształt klina.

- Ten sam, co pięć minut temu, kapitanie - odpowiedział na pytanie

Landa. - Prosto na Korelię. Byle dalej od Coruscant. Wzdłuż najdokładniej patrolowanego korytarza strefy zakazanej.

- Świetnie - stwierdził Lando. - Cieszę się, że w ciągu tych pięciu minut nic ci się nie pomieszało.

Han wyprostował ramię i zgiął je na próbę. Było już na tyle sprawne, że nie musiał nosić go bez przerwy na temblaku, jednak

wciąż sporo brakowało, żeby zasiąść za sterami statku.

- Zamierzam cię udusić, kiedy tylko odzyskam siłę.

- Świetnie.

Leia uśmiechnęła się i odwróciła do pulpitu kontrolnego. Jako jedyna z ich trójki nie musiała drastycznie zmieniać swojego wyglądu.

Ubrana była w workowaty brązowy kombinezon, wypchany tu i ówdzie, aby zamaskować jej atrakcyjną figurę, a makijaż raczej przyćmiewał, niż podkreślał jej urodę. Fryzura w bliżej nieokreślonym stylu, schowana pod czapką była zaś po prostu nijaka.

Teraz skupiła uwagę na odczytach sensorów, a jej oczy rozbłyły.

- Zbliża się do nas jakaś jednostka. Brak danych telemetrycznych,

oprócz tego, że jest większa od myśliwca i mniejsza od okrętu.

- Świetnie.

- Przestań wreszcie - wymamrotał Han.

- Mamy go. - Leia przestawiła kanał łączności na głośniki.

- Do nadlatującej jednostki. Tu „Rybłyst”, Druga Flota Galaktycznego

Sojuszu. Wyłączcie natychmiast swoje silniki podświetlne i podajcie kod identyfikacji - oznajmił męski, szorstki

głos, z aspiracjami do barytonu.

Leia wyłączyła silniki jonowe na znak Landa, który przysunął z powrotem do siebie wyświetlacz i włączył go.

Na ekranie pojawiła się twarz młodego mężczyzny w mundurze

porucznika floty Sojuszu. Był gładko ogolony, miał ostre rysy, emanowała od niego rzeczowość. Za jego plecami widać było fotele sterowni, ustawione w sposób, który wydał się Landowi

znajomy. „Uzbrojony prom, powiedział do siebie. Czy nie zasługujemy przynajmniej na korwetę?”

Przywołał jednak na twarz swój najbardziej przyjacielski uśmiech i odezwał się możliwie najbardziej nonszalanckim tonem:

- Witam! Nazywam się Bescat OfTdurmin i jestem właścicielem

prywatnego jachtu „Komaaandoor Miłoościii”. Co to jest rybłyst?

Porucznik otworzył usta, jakby zamierzał odpowiedzieć, ale zaraz je zamknął i przez parę chwil poruszał szczęką, wyraźnie

zbity z tropu.

- „Komandorze Miłości”, naruszasz obszar przestrzeni zamkniętej

- oświadczył. - Musisz zawrócić i opuścić system Korelii.

- Mowy nie ma, mój synu. Chcę tu spędzić przynajmniej miesiąc.

Głównie na hazardzie.

- Hazardzie... Skąd pan pochodzi?

- Z Coruscant.

- W takim razie musi pan wiedzieć, że Galaktyczny Sojusz i system Korelii są obecnie w stanie wojny.

- Nie może być! A co to ma wspólnego z hazardem?

- To, że nie może pan wylądować.

- Synu, nie sądzę, żeby hazard miał z tym wszystkim cokolwiek

wspólnego. Moje interesy nie zmieniają losów wojny nawet o włos. Chcę przez to powiedzieć, że nie mam żadnych tajnych

ładowni wypełnionych bactą ani nie przemycam propozycji pomocy

z Commenoru. Czy to jasne?

Porucznik przez dobrą chwilę się namyślał, po czym oznajmił:

- „Komandorze Miłości”, przygotujcie się do przyjęcia na pokład

grupy inspekcyjnej.

Lando uśmiechnął się z zadowoleniem.

- To właśnie chciałem usłyszeć. Dobra decyzja. Załogo, aktywować

górną służbę powietrzną i przygotować się na przyjęcie gości.

Porucznik z dwoma oficerami bezpieczeństwa weszli na pokład.

Han zabrał oficerów na wycieczkę po jachcie, za to porucznik rozsiadł się w sterowni z datapadem w rękę i gotowym zestawem

pytań. Leia udawała, że ignoruje jego obecność.

- Kapitanie Offdurmin, czy zdaje pan sobie sprawę, jakie kary obowiązują za próbę udzielenia pomocy przeciwnikowi podczas

wojny?

- Wyobrażam sobie, że to nic przyjemnego - odpowiedział

Lando. - Całe szczęście, że tego nie robimy.

- Całe szczęście, że tego nie robimy - powtórzyła szeptem

Leia, wykonując nieznaczny ruch dłonią.

- Macie szczęście, że tego nie robicie - stwierdził porucznik.

Sprawdził coś w swoim datapadzie.

- Zajmujemy się czymś zupełnie innym. Czymś niezwykle istotnym dla działań wojennych Sojuszu.

- Istotnym - podkreśliła Leia.

- Istotnym - przytaknął porucznik, poważny i skupiony.

- Dlatego musimy dotrzeć na Korelię.

- Dlatego musimy dostać się na Korelię.

- Cóż, w takim razie koniecznie musicie wylądować na Korelii.

- Ale jak? - westchnął Lando.

Porucznik zastanawiał się przez chwilę.

- Hm, szkoda, że nie dysponujecie żadnymi kodami dostępu wywiadu. To pozwoliłoby wam bez problemu dostać się na powierzchnię planety.

- O, właśnie. Na pewno by to nam nie zaszkodziło. - Lando spojrział na rozmówcę w sposób, który według niego budził zaufanie.

- Pewnie masz parę takich zbędnych kodów zapisanych w komputerze pokładowym, mój synu?

- Nie mogę panu tego powiedzieć, sir - roześmiał się porucznik.

- Oczywiście, że możesz - zasugerowała Leia.

- Oczywiście, że mogę.

- Czemu nie miałbyś po prostu przekazać nam jednego z nich?

- Czemu nie miałbyś po prostu przekazać nam jednego z nich?

Porucznik pokiwał głową.

- To by rozwiązało wszystkie problemy, prawda?

Lando się uśmiechnął.

- Jestem tego pewien.

Porucznik wstał.

- Nie mogę ot tak, po prostu przesłać tego typu danych.
Zapiszę

plik i przekażę wam czip z odpowiednimi informacjami. Co wy na to?

- Brzmi cudownie.

- Zaraz wracam.

Kiedy wyszedł, Lando zerknął na Leię.

- To nie było całkiem w porządku, co?

Pokreśliła z uśmiechem głową.

- Miał umysł jeszcze słabszy niż te, z którymi zwykle mam do czynienia. Raczej nie zajdzie zbyt wysoko w wojskowej karierze.

Zresztą uważam, że takie rzeczy są zdecydowanie lepsze od obcinania

ludziom rąk.

- Jaki mamy plan? Ominiemy blokady Sojuszu i przedrzemy się przez atmosferę planety, ale nadal będziemy mieć na karku próbujące nas zestrzelić myśliwce.

- Cóż, mamy do wyboru ujawnienie naszej tożsamości i oznajmienie,

że chcemy widzieć się z Durem Gejjenem, który równie dobrze może nas przyjąć, co kazać zlikwidować. Możemy też ponownie spróbować sztuczek Jedi, chociaż może się to tym razem

okazać trudniejsze, ponieważ sensory planetarne bez wątpienia

wykryją naszą obecność. Możemy jeszcze dryfować na orbicie, dopóki nie znajdziemy jakiegoś obiektu, który dałoby się wykorzystać jako osłonę, a potem spróbować się dostać

wraz z nim na powierzchnię planety.

Lando zastanawiał się przez parę sekund.

- Wybieram opcję numer trzy. W razie problemów zawsze

możemy zastosować plan numer jeden.

Leia uśmiechnęła się.

- Zawsze lubiłeś mieć skiftera w rękawie.

ROZDZIAŁ 7

System gwiazdny MZX32905,

okolice planety Bimmiel

Dzisiaj potrzebowała porządnego makijażu - stary, dobry puder,

substancje barwiące i syntskóra. Lumiya zasiadła przed rześście

oświetlonym lustrem i zabrała się do roboty.

Nie było to wcale takie proste. Całkiem niedawno Luke Skywalker

postrzelił ją pięciokrotnie z blastera. Dwa ze strzałów uszkodziły jej sztuczne kończyny, ale tym się nie przejęła, bo mogła wyłączyć funkcję symulowania bólu, a zniszczenia naprawić

w ciągu kilku minut. Jednak pozostałe trzy wiązki trafiły w żywe ciało. To prawda, była zdolna do niezwykle szybkiej regeneracji za pomocą uzdrawiających transów i zmian molekularnych,

którym została poddana dziesięciolecia temu dzięki samemu Imperatorowi Palpatine'owi, daleko jej było jednak do

pełnego wyzdrowienia. Cierpiała.

Ale między innymi dlatego musiała wyglądać dobrze, a makijaż

miał jej w tym dopomóc. Na co dzień maskowała swoje blizny, nosząc szal, zakrywający dolną połowę twarzy, kiedy zaś

była zmuszona ją ujawnić, posługiwała się iluzją Mocy. Teraz

jednak, gdy była mocno osłabiona, jej samokontrola mogła zawieść, ujawniając obserwatorom prawdziwe rysy. Syntskóra nałożona we właściwy sposób zapewni jej kamuflaż. Odpowiednie specyfiki pozwoliły zamaskować sieć zmarszczek w kącikach oczu i ust. Niewielkie podkładki umieszczone wewnątrz policzków nadały rysom bardziej zaokrąglony kształt, a odrobina substancji ściągającej tkanki sprawiła, że jej twarz w odpowiednich miejscach nabrała sugestywnej miękkości. Syntskóra zasłoniła blizny i sprawiła, że szczęka zyskała miękka linię. Podkład wygładził wszelkie nierówności, wszelkie różnice faktury i koloru, a odrobina różu, pomadka w kolorze ostrej czerwieni i kredka do oczu ukoronowały dzieło. Wreszcie Lumiya włożyła perukę, która zakryła jej siwiejące rude włosy poskręcaną burzą długich złotych loków. Teraz wyglądała na kobietę mniej więcej trzydziestoletnią czyli niemal o połowę młodszą, niż była, o urodzie charakterystycznej dla rodowitych mieszkank konsorcjum Hapes. Zaczepnęła Mocy, aby stłumić ból. Potem włożyła zieloną suknię i dopasowany do niej kolorystycznie szal; obie części garderoby ozdobiono siateczką ze złotej nici. Całości dopełniła przesadna ilość biżuterii wysadzanej szafirami. Teraz Lumiya prezentowała się jak typowa zamożna Hapanka.

Musiała pilnować, żeby makijaż pozostał matowy. Jeśli poczuje

się źle, zacznie się pocić, a wtedy cały efekt zniknie.

W końcu obejrzała swoje odbicie w lustrze, upewniając się, że wszystko wygląda perfekcyjnie.

- Dekorator właśnie zajmuje się moim Smokiem Bitewnym
- powiedziała.

Dzięki temu zdaniu miała szybko przyswoić hapański akcent.

- Dekorator właśnie zajmuje się moim Smokiem Bitewnym
- powtórzyła.

Gotowa i pewna siebie, skinęła głową swojemu odbiciu w lustrze

i przeszła do pokoju obok.

Była to półkolista salka holotransmisyjna. Jej środek, jak podium niewielkiego studia, otaczał pierścień holokamer, dzięki

którym uzyskiwało się wrażenie trójwymiarowego zapisu obrazu. Zaprogramowane z wyjątkową precyzją i dostrojone do pozycji pola pozwalały na ograniczenie transmisji wyłącznie

do tego miejsca i nie rejestrowały żadnych obiektów poza zdefiniowanym obszarem. Oznaczało to, że poza środkiem sali mogły bezpiecznie przebywać osoby postronne, których nikt nie mógł zauważyć. Ściany do wysokości trzech metrów zastawiono

sprzętem holonadawczym zdolnym do transmisji nadprzestrzennej,

co pozwalało na natychmiastowe nawiązanie

łącności z celami odległymi nawet o pół galaktyki.

Androidy-służące ustawiły na środku komnaty fotel - perfekcyjną

podróbkę marmurowego tronu. Lumiya wiedziała doskonale, że jest on wykonany z piankoplastu pokrytego gustowną

okleiną w biało-zielone żyłki, podobnie jak elegancki pod ręczny

stolik, na którym stała misa dużych winogron.

Usiadła ostrożnie i skosztowała owoców. Wyprodukowano je z lepkiej, paskudnie słodkiej substancji - ordynarny wyrób cukierniczy

imitujący prawdziwe owoce. Lumiya uśmiechnęła się, udając, że rozkoszuje się smakiem najwspanialszego owocu, jaki kiedykolwiek jadła. Grymas na jej twarzy, spowodowany bolesnym skurczem żołądka, utwierdziłby jedynie obserwatora

w przekonaniu, że winogrona rzeczywiście są pyszne.

Chronometr umieszczony nad główną tablicą kontrolną odliczał

ostatnie sekundy. Gdy był tuż koło zera, Lumiya powiedziała:

- Kontakt trzy-trzy-dziewięć.

Światła holokamer rozbłysły, oblewając ją blaskiem, a jednostka

holołączności ożyła z hałasem przywodzącym na myśl dźwięk silnika mocno zmodyfikowanego śmigacza.

Przyjemny dla ucha męski głos syntezatora komputera systemowego oznajmił:

- Kontakt - a chwilę później dodał: - Rozpoznawanie systemu docelowego. Odbiór.

Komunikaty syntezatora były automatycznie usuwane z przekazywanej transmisji, która docierała już do odbiorcy, nadal jednak

nie było połączenia zwrotnego. Lumiya, wyglądająca jak uosobienie obojętności, całą uwagę poświęciła misie obrzydliwych winogron.

Jakieś trzydzieści sekund później pojawił się przed nią hologram

Bothanina. Istota miała czarne fiitro z brązowymi plamami

z których jedna otaczała jej oczy, co przypominało maskę widzianą

w negatywie. Był ubrany w nieoficjalny strój: szare spodnie i luźną szarą bluzę, odsłaniającą sporą część torsu.

- Kim jesteś? Kto przekazał ci tę częstotliwość i kod dostępu?
- zapytał.

Lumiya skończyła delektować się winogronem, zanim zwróciła

wzrok na hologram.

- Jestem pokorną córką arystokratycznego rodu. Kod i częstotliwość

zdołałam, płacąc odpowiednie sumy właściwym osobom.

Ty zaś nazywasz się Tathak K'roylan i jesteś zastępcą szefa wywiadu czcigodnego świata Bothawui.

Nazywanie Bothawui „czcigodną” było sporą przesadą jednak Bothanie i Hapanie darzyli się wzajemnym szacunkiem. Nie byli w zbyt zażyłych stosunkach, ale każda ze stron doceniała kunszt drugiej w prowadzeniu politycznych gier, manipulacji

i spisków.

K'roylan nie wydawał się zbyt zainteresowany poznaniem jej imienia, Lumiya zaś nie kwapiła się ujawniać go z własnej woli.

- W porządku — powiedział - słucham. Proszę o zwięzłość.

Lumiya uśmiechnęła się.

- Postaram się mówić krótko. Nie musisz się ze mną zgadzać ani mi zaprzeczać. Później przekażę ci namiary na moją częstotliwość

oraz kod dostępu. Mam nadzieję, że skonsultujesz się

wtedy ze swoimi przełożonymi i zadecydujesz o nawiązaniu połączenia

zwrotnego.

- Kontynuuj, proszę. - K'roylan sprawiał wrażenie profesjonalisty.

Nawet jeśli poczuł się urażony wtargnięciem w jego prywatność

i zdawał sobie sprawę, że jego bezpieczeństwo zostało naruszone, nieelegancko było obrażać kogoś, kto zadał sobie tyle

trudu, żeby do niego dotrzeć... no i zawsze warto było zachować

korzystne układy.

- Wiem, że Bothanie przygotowują trzy pełne floty do ataku na siły Galaktycznego Sojuszu - oznajmiła Lumiya. - Ma to być

odwet za krzywdy, których doznaliście z ich strony, włącznie z serią zabójstw kluczowych postaci sceny politycznej na Coruscant.

Jednak wasze plany mogą nie wypalić, bo opuszczenie przez flotę systemu Bothawui i pozostałych punktów wyjścia tak, by Sojusz ich nie namierzył, jest praktycznie niemożliwe. To

2 kolei wyklucza atak z zaskoczenia.

Bothanin wzruszył ramionami, jakby nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

- Ja zaś - kontynuowała - chcę was poinformować, że potrafię zmylić obserwatorów Sojuszu i tym samym dać wam, hm... dziesięć do dwudziestu standardowych godzin na dyskretne rozmieszczenie

waszych sił. Oczywiście, potrzebuję do tego informacji, które ma tylko rząd GS, ale mogę je zdobyć. Udowodnię to, przekazując wam pewne użyteczne dane. Ma się rozumieć, bezpłatnie. - Fawio, wyślij, proszę, pliki - dodała niższym, bardziej

zmysłowym tonem.

- Niezwłocznie, pani - odpowiedział jej głos syntezy.

- Pliki, które właśnie transmituję - ciągnęła Lumiya, zwracając się znowu do K'roylana - pochodzą z tajnych rejestrów Straży Galaktycznego Sojuszu. Zawierają szczegóły dotyczące zabójstw, o których wspomniałam przed chwilą. Naturalnie te szczegóły, które nigdy nie ujrzały światła dziennego. Dokładne terminy, miejsca oraz sposoby popełnienia zbrodni. Rzeczy osobiste ofiar. Informacje na temat tego, co robiły przed śmiercią włącznie z nagraniami ich rozmów i nawiązanych przez nie połączeń. Detale, które mogli znać wyłącznie zabójcy i ich mocodawcy. Sierść na twarzy K'roylana zafalowała, jednak można to było uznać za zwykły dreszcz. Lumiya podziwiała samokontrolę rozmówcy.

W wyniku zabójstw, o których mówiła, zginęło wielu Bothan i było bardzo prawdopodobne, że K'roylan również stracił wtedy kogoś ze swoich bliskich lub przyjaciół.

- Jeśli chodzi o działania bothańskiej floty, to tylko spekulacje - odezwał się Bothanin. - Jeśli jednak te dokumenty okażą się prawdziwe, zasłużysz na naszą wdzięczność. Wykorzystamy je do przedstawienia zarzutów zabójcy lub zabójcom.

- Do usług. - Lumiya obdarzyła go typowo hapańskim, protekcjonalnym uśmiechem. - Pozwól, że wrócę teraz do swoich obowiązków. Ostami z przesłanych plików zawiera informacje, gdzie i kiedy możecie się ze mną skontaktować... w razie potrzeby. Zdawało się, że Bothanin chce coś dodać, ale jego hologram nagle zniknął. Komputer Lumiya został tak zaprogramowany, aby

przerwać transmisję na określony sygnał.

Lumiya opadła wyczerpana na oparcie. Od prób zachowania przez całą rozmowę wyprostowanej sylwetki odczuwała nieustanny

ucisk na okolice miednicy. Przez ostatnią część połączenia z trudem udawało jej się odsuwać ból. Teraz wreszcie mogła przyjąć wygodniejszą pozycję i skoncentrować się na przyniesieniu

ulgi obolałemu ciału.

Nie mogło to jednak trwać w nieskończoność. Bothanie sprawdzą pliki, które przekażą do dalszej weryfikacji. W końcu

większość zamachów, w których zginęli ich ziomkowie, Lumiya

zaplanowała lub przeprowadziła osobiście, więc szczegóły dotyczące

zabójstw siłą rzeczy musiały być dokładne.

Bothanie przyjmą jej dalszą pomoc. A przynajmniej powinni.

Nadszedł czas, aby zająć się innymi sprawami.

- Przetransmituj pakiet Syo na Coruscant i do Jacena - rozkazała.

- Niezwłocznie, pani.

Prywatne lądowisko Elmas,

Koronet, Korelia,

pokład „Komandora Miłości”

Dostanie się na Korelię nie było aż tak trudne, jak obawiali się Leia i reszta załogi.

Osiągnęli wysoką orbitę w pobliżu grupy jednostek Sojuszu.

Nerwowo czekali na zdemaskowanie autoryzacji identyfikującej

ich jako służbę wywiadu, dopóki nie zauważyli, że w pobliżu formuje się niewielki oddział specjalny. W jego skład wchodził

prom, kilka myśliwców i parę bombowców. Było jasne, że został

wyznaczony do przeprowadzenia jednego lub więcej patroli na powierzchni planety. Posługując się kodem autoryzacji dostarczonym

przez porucznika, Han poprosił o pozwolenie na dołączenie do grupy, która właśnie przygotowywała się do wejścia w atmosferę.

- Proszę bardzo - brzmiała odpowiedź dowódcy. - Jeśli jednak coś wam się stanie, nie oczekujcie, że wrócimy i pozbieramy was do kupy.

Chwilę później dołączyli do oddziału, odczekali, aż eskadra koreliańskich

myśliwców TIE podejdzie do ataku, i odskoczyli od

grupy. Leia zanurkowała w stronę planety. Prowadziła statek tak

brawurowo, jak gdyby to Han, a nie ona siedział za sterami, póki

nie wydostali się z obszaru objętego walką i nie zmylili pościgu.

Parę godzin później czekali w hangarze, którego wynajęcie kosztowało niewielką fortunę, jednak zapewniało pewną ochronę

w ramach solidarności między przemytnikami. Utrzymywanie przez Hana dawnych kontaktów wciąż było opłacalne... tak długo,

jak długo ich opłacaniem zajmował się Lando.

Czekali, aż się zupełnie ściemni - o ile mogli liczyć na to w samym

sercu miasta - spędzając czas na przeglądaniu najnowszych wiadomości.

Na wszystkich kanałach powtarzano w kółko informację o rezygnacji

Wedge'a Antillesa ze stanowiska admirała.

- Nigdy nie zrezygnowałby z własnej woli. Nie w takim momencie

- stwierdziła Leia. - Musiał zostać do tego zmuszony.

Lando pogładził swoją sztuczną brodę.

Może został zmuszony, bo nie popierał ataku na Tenel Ka albo atak był jego planem, który nie wypalił?

Han parsknął zniesmaczony.

- Postawił swoją karierę na jedną kartę, odzyskując Tralusa przy minimalnych stratach. Całe to zamieszanie na Hapes nie mogło być jego pomysłem. Nijak nie pasuje mi to do jego taktyki.

- Na pewno jednak wie, kto za tym stał - zauważył Lando.

- Chyba sami powinniśmy go o to zapytać.

Han i Leia wymienili spojrzenia.

- To może być trudne - stwierdziła Leia. - Próbowaliśmy już go złapać poprzez komunikator. Odebraliśmy tylko nagraną

wiadomość, że razem z rodziną świętuje odejście ze służby i wyjechał na wakacje. Żadnych szczegółów: gdzie, na jak długo,

żadnych namiarów kontaktowych.

- Kto mógłby wiedzieć, gdzie go szukać?

- Jego najbliżsi stoją po drugiej stronie barykady - zauważyła Leia. - Tycho i Winter Celchu.

Han zmarszczył czoło.

- Nie ma go na Korelii.

Oboje popatrzyli na niego ze zdziwieniem. Lando wydawał się zbity z tropu, najwyraźniej nie nadążając za tokiem rozumowania

przyjaciela.

- Czemu tak sądzisz? - spytał. - Tutaj jest jego dom.

Han zrobił zniecierpliwioną minę.

- Jego domem jest wojsko. A Korelia może być najwyżej
dobrym

miejszem na emeryturę. Nawet tu nie dorastał. Wychowywał
się na stacji paliwowej, która dawno już nie istnieje. Jestem
pewien, że jeśli nawet jeszcze tego nie zrobił, zamierza
opuścić

Korelię. Popadł w niełaskę u swoich przełożonych, którzy są
zdolni do zabójstwa, i nie będzie narażał swojej rodziny na
niebezpieczeństwo.

- Han przez chwilę rozważał jakąś myśl. - Będzie
się ukrywał. Musimy się dowiedzieć, jak zamierza opuścić
planetę, zakładając, że jeszcze tego nie zrobił, i spotkać się z
nim.

A to oznacza sporo zachodu.

Leia pokiwała głową, przyznając mu rację.

- Możemy dać sobie spokój i od razu ruszyć na poszukiwania
Dura Gejjena albo Denjaksu Teplera.

Wiadomości Koronetu ponownie nadały relację z ataku Jedi:

„Miała miejsce tajemnicza próba zamachu ulicznego na
nieznanych

obywateli Koronetu, przeprowadzona przez Jedi
Galaktycznego

Sojuszu tuż po ogłoszeniu odejścia admirała Antillesa
ze służby w siłach zbrojnych". Holokamera zarejestrowała
wizerunek

wysokiego, silnie zbudowanego młodego mężczyzny,
ubranego w poznaczony plamami potu kombinezon rolniczy.

Większą część jego twarzy zajmował szeroki, sztuczny
uśmiech,

a rozbiegany wzrok przywodził na myśl banthę oślepioną
reflektorami.

- Pierwszy *rodder* zabił jednego Jedi - zaczął mówić z
akcentem

charakterystycznym dla wiejskich obszarów okolic Koronetu.
- A drugi dorwał drugiego Jedi. Wszystko trwało jakieś
dwie sekundy. - Nerwowy uśmiech stał się nagle pełen
zadufania
i satysfakcji. - Jedi nie są wcale takimi twardzielami.
Wcześniej
czy później kilku z nas wyruszy, żeby skopać im tyłki.
Leia się skrzywiła.

- Fałszywi Jedi? Czy cała ta historia to mistyfikacja?
- To nie nasz problem - stwierdził Han. - Dur Gejjen to
gadzina,
a ja nie mam ochoty pakować się do jego gniazda. Denjax
Teppler może i nie ma dużej władzy, ale wydawał się
poprzednio
przyjaźnie nastawiony i może coś wiedzieć. Sprawdźmy, czy
zdołamy do niego dotrzeć.

Koronet, Korelia

W najcichszej godzinie poranka cała trójka siedziała wokół
niewielkiego stolika w jednym z wielu anonimowych lokali
Koronetu.

Ta anonimowość nie była wynikiem odosobnienia. Lokal
mieścił się przy najruchliwszej arterii miasta, tuż obok
głównego
lądowiska, a więc w ciągu dnia, podobnie jak wieczorem,
bywało
tu tłoczno. Klientelę stanowili głównie goście z zewnątrz i
biznesmeni,
i bardzo niewielu tubylców. Obcy nie budzili tu zdziwienia.
Kelnerzy byli wyposażeni w blastery o zmodyfikowanym
polu rażenia, zniechęcające do stwarzania problemów
mogących
przyciągać uwagę służb, zapobiegliwy właściciel zaś płacił
regularnie

wszelkie niezbędne haracze, skutecznie utrzymując służby i bossów lokalnego podziemia z dala od interesu.

Stolik, który zajmowali, mieścił się na tyłach głównej sali, poza feerią kolorowych świateł zalewających wnętrze, co pozwalało

im trzymać się w cieniu. Mieli dobry widok na drzwi, żeby móc obserwować, kto wchodzi do kantyny.

Postaci, która weszła do środka otulona szczelnie peleryną z twarzą skrytą w głębokim cieniu rzucanym przez kaptur, poświęcili

niewiele uwagi. Tajemniczy klient zatrzymał się i rozejrzał uważnie po lokalu.

Han, niepewny, czy nowo przybyły jest posłańcem Teplera, na którego czekali, wstał od stolika, chcąc przyciągnąć uwagę gościa. Postać podeszła i nie witając się z nimi, zajęła czwarte miejsce przy stole. Nie zdjęła kaptura, ale Han rozpoznał Denjaks

Teplera. Miał łagodne rysy faceta, który lubi zajrzeć do kieliszka, a pracuje na stanowisku urzędnika albo kierownika działu sprzedaży.

- Nie bałeś się przybyć osobiście? Byłem pewien, że przyślesz nam tu kulawego Rodianina z blizną który poprowadzi nas do jakiejś sekretnej kryjówki. - Han uniósł brwi w zdumieniu. Tepler parsknął.

- Wszystkie moje kryjówki są kontrolowane. Podobnie jak ja sam. Udało mi się jednak wynająć sobowtóra i zmylić obserwatorów, co oznacza, że mogę od czasu do czasu liczyć na chwilę wytchnienia.

- Bez ochrony - zauważyła Leia.

Tepler przytaknął.

- Właśnie. - Obrzucił wzrokiem wyposażony w osiem kończyn korpus androida-kelnera, który zmaterializował się przy

stoliku. - Whisky z wodą - zamówił lekko zachrypniętym głosem.

- Przedwojenną.

Kelner odtoczył się w kierunku baru, Teppler zaś rozejrzał się po twarzach swoich towarzyszy, zatrzymując nieco dłużej wzrok

na Landzie.

- Nie znam cię.

Ciemnoskóry mężczyzna wyciągnął do niego dłoń.

- Jestem Lando Calrissian.

Teppler uścisnął ją.

- Miło mi cię poznać. Wybrałeś chyba nie najlepszy moment na powrót z emerytury.

- Podobnie jak ty wybrałeś zły moment na zabawę w politykę.

- Racja. - Teppler odwrócił się ponownie do Hana i Leii. - Co was tu sprowadza?

- Atak na królową matkę Tenel Ka - wyjaśniła Leia.

- Ach, tak.

- Po pierwsze - rzucił bez ogródek Han - chcemy wiedzieć, czy miałaś z tym cokolwiek wspólnego.

Teppler pokręcił głową.

- Wiedziałaś o ataku? - naciskał Solo.

- Nie, dopóki do niego nie doszło.

- Han i ja byliśmy w pobliżu miejsca zamachu - oznajmiła Leia. - Między innymi dlatego Galaktyczny Sojusz podejrzewa

nas o udział w nim. A że próbowaliśmy ostrzec wcześniej Tenel

Ka, Korelianie z kolei obwiniają nas o pokrzyżowanie im planów.

Musimy zrobić wszystko, żeby udowodnić naszą niewinność.

- Oraz skopać tyłki osobom, które za tym stoją - dodał

Han.

Leia rzuciła Hanowi spojrzenie mówiące: „To nie było konieczne”,

po czym znów skupiła uwagę na Tepplerze.

- Zdaję sobie sprawę, że stawiamy cię w kłopotliwej sytuacji. Jeśli zgodzisz się nam pomóc, będziesz musiał ujawnić poufne informacje na temat działań własnego rządu. Wiem jednak, że nie popierasz tego, co się dzieje. Thrackan Sal-Solo odszedł, ale jego duch wciąż żyje w niektórych decyzjach nowego rządu.

I ktokolwiek stoi za zamachem na Tenel Ka, zwrócił się tym samym

przeciwko nam, stał się naszym wrogiem. A nasi wrogowie zwykle marnie kończą i zrobimy, co w naszej mocy, żeby stało

się tak i tym razem. Jeśli nie wyjawisz nam, kto zlecił ten atak, pomyślimy, że chcesz tę osobę utrzymać przy władzy.

Teppler milczał przez dłuższą chwilę, nie patrząc na nich. Gdy kelner dotarł do ich stolika z zamówieniem, wręczył mu parę monet

kredytowych. Sącył drinka niespiesznie, dopóki android nie oddalił się poza zasięg słuchu. W końcu przemówił:

- Nie ma już czegoś takiego jak zdrada, wiecie?

Han i Leia wymienili spojrzenia.

- Czemu tak sądzisz, mój dobry człowieku? - spytał Han.

- Cokolwiek zrobicie, pomoże komuś, szkodząc jednocześnie komuś innemu. Jeśli staracie się działać w zgodzie z własną moralnością,

naruszacie prawo - i vice versa. Jedyna różnica polega

na tym, czy kierujecie się egoizmem, czy altruizmem, przy czym

to drugie oznacza jedynie, że chcecie naprawiać świat zgodnie

z własną definicją dobra. A skoro nie ma już czegoś takiego jak

zdrada, nie istnieje też lojalność. Rozumiecie, o czym mówię?

- Podniósł szklanekę do ust, a kiedy postawił ją z powrotem na stole, była pusta.

Patrząc na niego, Han poczuł przyływ współczucia. Oczy Teplera wydawały się puste, pozbawione życia.

- Sądzę - powiedział - że kiedy opuścimy Korelię, powinieneś zabrać się z nami.

Tepler zaśmiał się gorzko w odpowiedzi.

- Nie mogę.

- Możemy cię stąd wywieźć, to żaden problem - zapewnił go Han. - Mamy dobry statek.

- Wierzę ci. Zostawiliście go na lądowisku Elmas, zgadza się? Ręka Hana mimowolnie powędrowała do kabury. Rozejrzał się

niespokojnie dokoła, ale nikt prócz androida-kelnera nie zwracał

na nich uwagi. Zniżył głos.

- Skąd wiesz?

- A gdzie indziej mielibyście dokować? Jesteście przemytnikami.

Zorganizowana przestępczość... mam na myśli syndykat...

kontroluje lądowisko Pevaria, wywiad Sojuszu zaś ma swoje macki wszędzie. Gdybyście byli porządnymi obywatelami GS, zostawilibyście statek bez obaw w pobliżu. Poza tym to właśnie

tutaj KorSek prowadzi poszukiwania tego tajemniczego statku,

który wylądował dziś wcześniej. Ale staroświeccy przemytnicy,

wolni strzelcy nadal mają kontakty w obrębie Elmas. Gdyby

KorSek miał choć cień podejrzenia, że statkiem, którego szukają,

przyleciał Han Solo, byłiby tam już całymi tabunami.

- Coś podobnego... - Han opadł na oparcie krzesła i spróbował się uspokoić. - Ale to tylko potwierdza moje zdanie. Możemy cię stąd zabrać.

- Nie jestem dobrym strzelcem - skwitował Teppler.

Lando zmarszczył czoło.

- Wiesz co? Jesteś bardziej upierdliwym rozmówcą niż większość polityków.

- Nie jestem też stworzony do walki wręcz - przerwał mu Teppler. - Marny ze mnie pilot. Nie mam smykałki do mechaniki.

Wysłuchiwanie petentów, oddzielanie prawdy od kłamstw, dociekanie pobudek, manipulowanie ludźmi i wzajemne szczucie

ich na siebie - oto, w czym jestem dobry. Polityka.

- Nadal nie łapię - stwierdził Han.

- Denjax chce wam wytłumaczyć, że polityka to jego pole bitwy,

a wy próbujecie go właśnie namówić do dezercji - powiedziała Leia.

- Tak? - Han zastanowił się nad jej słowami. - Zgadza się, właśnie to próbuję zrobić.

Teppler spojrział na niego smutno, ale i z lekką pogardą.

- Czy zawsze namawiasz przyjaciół do ucieczki z pola walki?

Han pokręcił głową.

- Już od dawna nie. Zwłaszcza kiedy znam ich na tyle, że wiem, że mogą wygrać. Ale ty, mój dobry człowieku, nie masz

takiej możliwości. Jeśli tu zostaniesz, zginiesz.

- Zgadza się, najprawdopodobniej zginę. - Teppler zapatrzył się w dno szklanki. - Moja była żona, wyruszając na swoją ostatnią

misję dyplomatyczną, również wiedziała, że może zginąć.

Już z niej nie wróciła. Czy tak bardzo się od niej różni?

Pozostali spojrzeli po sobie onieśmieleni.

- Dur Gejjen - rzucił niespodziewanie Teppler.

- Poproszę pełnym zdaniem - powiedział Lando.

- Dur Gejjen jest odpowiedzialny za zlecenie zabicia królowej matki Tenel Ka.

Leia pokiwała głową.

- Jesteś pewien, że to miało być zabójstwo? Nie porwanie?

- Jestem pewien.

Leia indagowała dalej.

- A Wedge Antilles?

- Nic o tym nie wiedział. Został zmuszony do rezygnacji, bo otwarcie sprzeciwiał się ich brudnym politycznym gierkom.

- Teppler uniósł swoją szklankę i dał androidowi znak, że chce ją

ponownie napełnić.

Leia poczuła lekki dreszcz niepokoju. Zagrożenie wydawało się jednak odległe i nieskierowane w ich stronę. Przymknęła oczy

i rozciągnęła poszukiwania w Mocy na cały budynek, poprzez sufit i podłogę, poza otaczające ich ściany...

Na zewnątrz, za frontowymi drzwiami, wyczuła wzburzenie.

Ktoś, kto chciał wejść do środka, został zatrzymany. Nie, nie „ktoś”. Rosnący tłum ludzi...

Otworzyła oczy. Android-kelner właśnie toczył się w ich kierunku.

- Co jest bezpośrednio pod nami? - spytała go.

- Magazyny i gorzelnia, proszę pani - odparł android głosem

przypominającym nieco Threepia, ale mniej śpiewnym. - Nie organizujemy już wycieczek po naszej minigorzelni, ale wynajmujemy piętro na prywatne przyjęcia, nagrania holofilmów...

- Cisza! - krzyknęła nagle Leia. - Han, Lando... drzwi! Drzwi frontowe otworzyły się z hukiem i do środka wpadło dwóch agentów KorSeku w pancerzach bojowych, uzbrojonych w karabiny blasterowe.

Lando wywrócił stół, zapewniając im osłonę przed intruzami, podczas gdy Han wyszarpnął z kabury blaster. Postrzelił pierwszego z atakujących w pancerz na piersi. Strzał nie zranił napastnika, ale siła ładunku odrzuciła mężczyznę w kierunku kolejnych KorSekowców, próbujących dostać się do środka.

Teppler zanurkował; lewą ręką trzymał szklanę, prawą zaś sięgał po blaster. Wystrzelił ponad krawędzią stołu. Wiązka trafiła w napis „Ulica” nad wejściem, obrzucając napastników kaskadą iskier. Leia włączyła swój miecz świetlny. Przykucnęła za stołem, zatopiła ostrze w podłodze i zaczęła wycinać nim szerokie koło.

Jeden z atakujących wystrzelił w kierunku ostatniej stojącej postaci w barze i strumień energii z blastera trafił androida-kelnera na poziomie kolan. Ogłaszając nieco żałośnie komunikat: „Powtarzam”, android runął na bok, a zastawiona drinkami i pustymi szklankami taca poszybowała na dół. Deszcz odłamków szkła, na wpół roztopionych kostek lodu i pojemników z nietłukącej transpastali zasypał podłogę.

Lando wyciągnął spod peleryny swój blaster. Wystrzelił w tym

samym kierunku, co Han, i trafił osłonę twarzową hełmu KorSekowca,

który przed chwilą postrzelił androida. Mężczyzna zachwiał się i upadł do tyłu, dołączając do tarasujących drzwi ciał.

Leia zakończyła swoje dzieło. Nierówny okrąg o średnicy około

półtora metra zapadł się w ciemność, z łoskotem uderzając o twardą powierzchnię.

- Szybko! - zawołała i sama zanurkowała do środka. Rozejrzała

się po pomieszczeniu, które w świetle rzucanym przez jej miecz okazało się ciemnym, wąskim korytarzem.

Lando zerknął na Hana.

- Ty pierwszy.

Strzelił w stronę drzwi, trafiając jednego z żołnierzy KorSeku prosto w kolano.

- Wiek ma pierwszeństwo przed urodą. - Han machnął w stronę

dziury w podłodze.

- Idioci! - Tepler wskoczył do otworu, dzierżąc w jednej ręce blaster, a w drugiej szklanę, i wylądował niezdarnie obok Leii.

Szeregi intruzów wciąż nacierały na stertę ogłuszonych lub rannych żołnierzy przed drzwiami. Czterech nowych zdołało wejść do środka, inni tłoczyli się u wejścia. Han wystrzelił ponownie.

Strzał dosięgnął płyty pancerza kolejnego napastnika, powalając go na podłogę. Jego towarzysze odpowiedzieli ogniem

1 Han z niepokojem obserwował, jak kawałki sztucznego drewna

odłupane z blatu stołu przelatują obok.

Lando uznał, że najwyższy czas opuścić stanowisko. Pilnując, żeby nie zaczepić o nic swoją laseczką, dał susa w wycięty przez

Leię otwór. Wylądował z wdziękiem na dole, ale jego peleryna

zaczepiła o krawędź i zwiśla teraz smętnie z brzegu dziury w suficie.

Lando rzucił zdradzieckiej części swojej garderoby ostatnie złowrogie spojrzenie, po czym dołączył do reszty.

Han chwycił za jedną z nóg stołu i zanurkował w ślad za Landem,

holując za sobą stolik. Jego blat zasłonił otwór, Han zaś niezbyt

fortunny wylądował na podłodze, boleśnie objijając kolana.

Podniósł się niemal natychmiast i ruszył za resztą w kierunku poświaty, jaką rzucał miecz świetlny jego żony.

Dogonił ich tuż za rogiem. Pomieszczenie, do którego trafili, wielkości baru nad nimi, było zastawione stertami plastalowych

skrzynek i beczek ze sztucznego drewna.

Leia stała na szczycie permabetonowej rampy i przecinała górny

z trzech metalowych zawiasów zagrządzających im drogę metalowych

drzwi. Teppler ustawił się za nią, z blasterem i szklanką

w pogotowiu, Lando zaś nonszalancko opierał się o ścianę, kręcąc

od niechcenia młynka swoją laseczką.

Han wskazał na szklankę Tepplera.

- Wyrzuć to.

- Nie mogę - zaprotestował Teppler. - Są na niej moje odciski palców.

Han wyrwał mu naczynie, cisnął je w kąt i posłał w jego kierunku

trzy strzały z blastera. Kiedy dym się rozrzedził, szklanka stanowiła stopioną i zwęgloną kupkę transpastali.

Gdzieś z góry rozległy się kolejne strzały. Han słyszał, jak drzazgi z blatu zasypują korytarz.

Leia skończyła rozprawiać się z drugim zawiasem i zaczęła zniecać się nad ostatnim. Teppler zrobił krok do przodu i wyciągnął

rękę, aby chwycić upadające drzwi.

Odrzucił je na bok. Rampa, na której się znajdowali, przechodziła

na drugą stronę drzwi. Parę metrów dalej Han zauważył pojazdy,

z rykiem mijające wylot uliczki za kantyną. Razem z Leią i Tepplerem pobiegli w tym kierunku. Lando został z tyłu, aby opóźnić pościg.

Gdy dotarli do końca ulicy, Leia zgasiła swój miecz świetlny.

Wąski chodnik mógł być drogą ucieczki; tuż obok przemykały kolorowe smugi śmigaczy.

Han ocenił sytuację. Wyglądało na to, że mogli wybierać między

strzelaniną podczas pieszej ucieczki a strzelaniną w kradzionym

śmigaczu.

- Gotowa, kochanie?

- Śmieciarka! - zawołała Leia.

- Zawsze wiesz, co powiedzieć. - Han podążył za jej spojrzeniem.

W ich stronę, trzymając się nisko nad ziemią, nadciągał na repulsorach pojazd segregujący śmieci. Był wysoki mniej więcej na półtora piętra i szerszy niż normalna ulica. Z jego górnej

krawędzi wystawały ramiona służące do podnoszenia zbiorników

na śmieci i opróżniania ich zawartości do wnętrza pojazdu.

Leia poprowadziła ich kawałek dalej, a sama cofnęła się w stronę pojazdu, skupiając całą uwagę na pilocie maszyny.

- To świetny moment na małą drzemkę - szepnęła. - I doskonale

miejsce.

Lando wybiegł zwawo z uliczki, z laseczką zatknietą na wojskową

modłę pod lewe ramię, i dołączył do nich.

- Mamy jakieś piętnaście sekund - oznajmił zdyszany.

Pochwycił

wzrok Leii i spojrzał w stronę obiektu jej zainteresowania.

Śmieciarka zjechała częściowo z ulicy, tarasując chodnik i zeszła

do lądowania dokładnie u wylotu przecznicy. Mężczyzna

w średnim wieku, o podwójnym podbródku, spał słodko na fotelu

pilota, oświetlony błękitną poświatą kontrolki kabiny.

- Zgaś silniki - zażądała Leia, pochylając się nieznacznie ku niemu.

Han i Lando jak na komendę wycelowali blastery w przednią część podwozia pojazdu i posłali w jej kierunku cztery czy pięć

strzałów. Hałas natychmiast obudził pilota. Han zobaczył, jak mężczyzna sięga do kontrolki i próbuje obudzić śmieciarkę do życia. Za późno: wielotonowy pojazd spoczywał u wylotu uliczki

i całkowicie blokował przejście. Do uszu Hana dotarły przekleństwa

i głuche odgłosy uderzeń z drugiej strony śmieciarki.

Wyglądało

na to, że agenci KorSeku dotarli do celu.

- Czas skołować jakiś śmigacz i wiać - stwierdził Lando.

Teppler pokręcił głową.

- Będę mniej rzucał się w oczy, gdy pójdę sam, na piechotę.

Powodzenia. - Obrócił się na pięcie i popędził wzdłuż chodnika.

ROZDZIAŁ 8

Prywatne lądowisko Elmas,

Koronet, Korelia,

platforma lądownicza numer 601208

- Tato, coś się dzieje na zewnątrz.

Wedge, gwałtownie obudzony, ubrany nadal w zmięty całodzienny

noszeniem kombinezon, zsunął się z łóżka i dołączył

do swojej córki w bocznym pomieszczeniu widokowym hangaru.

Panele były zakryte czarną materią, w której Myri i Iella wycięły

otwory służące do obserwacji.

Było dosyć ciemno, więc jego oczy nie potrzebowały czasu, aby się przystosować. Przejściem między rzędami hangarów do

wynajęcia zbliżała się w pośpiechu trójka ludzi. Zatrzymali się dwa hangary od nich, tuż obok drzwi dla personelu.

- Nie nasza sprawa - mruknął Wedge i potarł oczy. Spał tylko godzinę lub dwie, po sesji zmudnych napraw i prób doprowadzenia

jego myśliwca do stanu używalności. Myri miała rację, że go obudziła, ale jedyne, czego teraz pragnął, to położyć się z powrotem.

- Wydaje mi się, że jednak nasza - głos dobiegający z za jego

pleców należał do Corrana i Wedge o mało nie podskoczył na jego dźwięk.

Odwrócił się w kierunku przyjaciela i posłał mu groźne spojrzenie.

- Jako były członek KorSeku i Jedi, jesteś stanowczo zbyt cwany. Czemu sądzisz, że to może nas dotyczyć? Stąd nawet nie

widać, kim oni są.

- Może i nie widać, ale wyraźnie wyczuwam - Corran wskazał w kierunku grupki - że jedną z tych osób jest Leia Solo.

Wedge jeszcze raz spojrział przez wizjer. Trójka ludzi zniknęła,

prawdopodobnie w drzwiach któregoś z hangarów.

- Jesteś tego pewien?

- Absolutnie.

- Co to za hałas? - Potykając się na rampie „Pulsarowego Ślizgu”, jachtu typu Baudo, z trudem tłumiąc ziewnięcie, nadchodziła

Mirax Horn - żona Corrana, imienniczka Myri. Wedge znał ją od wieków: była córką Boostera Terrika, który uczył Wedge'a przemysłowego fachu, zanim Antilles dołączył do Sojuszu

Rebeliantów. Mimo swojego wieku Mirax nadal zachowała wiele z uroku błękitnookiej piękności, którą była, gdy oboje mieli

po naście lat. Twarz nadal miała gładką a czarne, lśniące włosy

przycięte w krótką praktyczną fryzurę.

- Jest tu Leia z dwoma dziwnymi typami - oznajmił Wedge.

- Skąd wiesz, że są dziwni? - spytała Mirax. - To mogą być Han i Luke.

- No właśnie. Han i Luke są dziwni. - Wedge rozejrzał się

dookoła. Wszyscy stali, oprócz Ielli, która leżała na swoim poślaniu pod płatem X-winga Wedge'a. Zakryła twarz poduszką, wyraźnie sygnalizując, że nie życzy sobie uczestniczyć w konwersacji.

- Chyba za parę minut ktoś z nas powinien do nich zajrzeć.

- Ja! - zgłosiła się Myri. - Tylko za mną KorSek nie rozesłał jeszcze wszędzie listów gończych.

Corran posłał jej blady uśmiech.

- Nic z tego, moja piękna.

- Wujku Corranie, jeśli zamierzasz uraczyć mnie tym samym co zwykle argumentem, że jestem zbyt młoda, aby...

Corran przerwał jej gestem dłoni i pokręcił głową.

- Posłuchajcie...

Wszyscy nadstawili uszu. Z oddali dobiegał ryk repulsorów.

Wedge poczuł się zakłopotany faktem, że nie dał rady rozpoznać

maszyny po dźwięku jej silnika.

Chwilę później uświadomił sobie dlaczego. To, co słyszał, nie było odgłosem jednego śmigacza, ale wielu. Dźwięk ich silników

mieszał się i odbijał echem od ścian hangaru, coraz bliższy i głośniejszy.

- Iella! - krzyknął.

Jego żona zerwała poduszkę z twarzy i spojrzała na niego, wyraźnie

wściekła, ale przytomna.

- Wszyscy przygotować się do natychmiastowej ewakuacji

- rzucił Wedge.

Iella podniosła się ze swojego legowiska i rozpoczęła walkę z butami. Pochwyciła spojrzenie Wedge'a i zerknęła w stronę jego poślania.

Od strony, z której przybyła Leia i jej towarzysze, z wyciem

syren i migotaniem sygnalizatorów świetlnych nadciągał rząd pomarańczowych śmigaczy KorSeku. Zatrzymywały się kolejno przed ciągiem hangarów, a z ich wnętrza wysypywali się agenci koreliańskich służb bezpieczeństwa, kierując się natychmiast w stronę wszystkich wejść do hal. Jeden z nich zaczął dobijać się do ich drzwi.

Corran westchnął.

- Wielkie dzięki, Leia.

Korelia,

sterownia „Komandora Miłości”

- Pełna moc za dwie minuty - oznajmiła Leia.

Lando próbował pozbyć się niezadowolonej miny.

- Nienawidzę statków z wolnym zapłonem - narzekał. - Gdyby ten kretyn miał choć krztynę rozumu, zainstalowałby zapłon dziesięciosekundowy.

- Gdyby miał krztynę rozumu, nie oddałby tego jachtu tobie

- stwierdził Han. - Spokojnie. Mamy masę czasu.

Przez przedni panel widokowy obserwowali rozjarzoną linię, która pojawiła się na drzwiach hangaru, kiedy laserowe ostrze przecinało mechanizm blokujący. Drzwi otworzyły się i do środka

wpadło pół tuzina agentów KorSeku.

Na zewnątrz hangaru mający już swoje lata, ale bez wątpienia nadal groźny czołg TIE kończył nastawianie działek w kierunku

„Komandora Miłości”. Okrągła kabina czołgu, podobna do montowanej

w myśliwcach, spoczywała pomiędzy dwoma niskimi, prostokątnymi segmentami gąsienic. Lando widział wyraźnie

wymierzone w stronę sterowni „Komandora Miłości”
podwójne
działka blasterowe.

Do środka wmaszerował oficer KorSeku i jego ludzie.
Trzymając

przy twarzy monstrualnych rozmiarów komunikator ogłosił:

- Tu siły bezpieczeństwa Korelii. Zgaście silniki i opuście
niezwłocznie statek w celu przeprowadzenia identyfikacji. -
Jego

słowa, zwielokrotnione przez system głośników, słyhać było
wyraźnie nawet przez warstwy poszycia kadłuba.

- Leia, zatrzymaj ich jakoś - polecił Lando. - Nasze pola będą
aktywne już za minutę...

Leia pokręciła głową.

- To nierealne. Otworzą do nas ogień. Na razie możemy się
tylko poddać i spróbować uciec, gdy będą nas transportować...

Kiedy Leia wypowiedziała słowa „poddać się”, Han zacisnął
usta. Teraz to on pokręcił głową.

- Księżniczko, my...

Z zewnątrz dobiegł ich ryk silników. Wszyscy agenci
KorSeku

poza hangarem spojrzeli w prawo. Kilku z nich wbiegło do
środku,

kierując się w stronę „Komandora Miłości”; pozostali zniknęli
z pola widzenia, oddalając się z zasięgu czołgu TIE.

Wiązka czerwonego światła trafiła nisko w prawą gąsienicę
czołgu, niemal na poziomie permabetonu. Pojazd przewrócił
się

na bok, a za nim mignęła sylwetka myśliwca.

- To był X-wing, zgadza się? - zapytał Lando.

Leia kiwnęła głową.

- Wedge?

Han zaprzeczył.

- Zielona szachownica.

- Corran! - rozpromieniła się Leia.

Tuż obok przemknął kolejny X-wing, tym razem w standardowym

szarym kolorze, z czerwonymi pasami na kadłubie.

- Co z naszą mocą? - spytał Lando.

Leia sprawdziła stan panelu kontrolnego.

- Trzy sekundy, dwie, jedna... już!

- Włączyć pola - zakomenderował Lando. - Zabieramy się stąd.

Leia podniosła „Komandora Miłości” na repulsorach i skierowała

statek do przodu. Agenci KorSeku pierzchali im z drogi.

Przy wylocie z hangaru nieznacznie zawadziła o czołg TIE i chociaż

żadna z jednostek nie ucierpiała, Lando zadygotał, słysząc zgrzyt tarcia metalu o metal.

Ruszyli w ślad za X-wingami. Monitory sensorów momentalnie

rozbłysły, zawyły sygnały alarmowe. Lando aktywował swój wyświetlacz, na którym pojawił się obraz noktowizyjny w odcieniach

zieleni, transmitowany przez holokamery na dziobie

„Komandora Miłości”. Widać było niewiele poza śmigaczami KorSeku zaparkowanymi przed wejściem.

- Odczyty wskazują, że z hangaru obok startuje jakiś statek.

Wygląda na jacht - oznajmił Han. - Hej, to może być „Pulsarowy

Ślizg”.

Lando przestawił swój wyświetlacz na widok holokamery na rufie. Z wnętrza hangaru dwa boksy dalej wyłonił się jacht o wydłużonej,

splaszczonej sylwetce, budzącej nieodparte skojarzenie

ze stworzeniem z głębin Kalamaru. Statek miał wdzięczną, płynną linię kadłuba i wyglądał praktycznie jak latające skrzydło,

z podwójnymi silnikami umieszczonymi z tyłu.

- Mamy sygnał wyjścia jakiegoś obiektu z głównego obszaru dokowania. To może być pocisk balistyczny. *Fierfek*\ Wygląda

na to, że jakaś mała jednostka wielkości korwety zbliża się w naszym

kierunku.

- Do działek! - zakomenderował Lando. Niepotrzebnie. Pola ochronne były już włączone, a po chwili zobaczył, jak Han bez

autoryzacji aktywuje systemy obronne jachtu.

- Tak jest, kapitanie.

- Spróbujcie otworzyć drogę naszej eskorcie.

- Tak jest, kapitanie. - Han rzucił Landowi groźne spojrzenie i z powrotem poświęcił uwagę panelowi sterowania.

Leia posłała „Komandora Miłości” w ślad za X-wingami.

Lando poczuł, jak przyspieszenie wgniata go w fotel; widocznie

kompensatory inercyjne nie nadążały za manewrami statku.

- „Komandor Miłości” do eskorty X-wingów. Wchodzimy.

- „Komandorze Miłości”, tu „Pulsarowy Ślizg” - odezwał się kobiecy głos, którego Lando nie rozpoznał. - Przygotujcie się do transmisji kodu szyfrującego. Trzy... dwa... jeden... wysyłam.

Macie?

- Mamy - odpowiedział Han. - Wprowadzam... teraz!

Przez chwilę słychać było zakłócenia, po czym głos powrócił.

- Szyfrowanie aktywowane. Czy nadal mnie słyszycie?

- Całkiem nieźle - odparł Han. - Przełączam cię do naszego

kapitana. Właśnie wybieram się postrzelać, a on najwyraźniej nie

ma nic do roboty. - Wcisnął przełącznik.

Transmisję z holokamery na wyświetlaczu Lando zastąpił widok

młodej i ładnej kobiety. Włosy miała niebieskie, przetykane żółtymi pasemkami. Wyglądała znajomo.

- Tu Myri Antilles - oznajmiła. - Zastępczy oficer łącznościowy

„Pulsarowego Ślizgu”.

Nagle Lando poczuł się o tysiąc lat starszy. Kiedy ostatni raz widział Myri, była małą dziewczynką. Zmusił się do uśmiechu.

- Myri! Poznajesz wujka Lando?

- Lando! Hej! Do twarzy ci z tymi białymi włosami i brodą. To twoje własne?

- Jasne, że nie. To peruka i kamuflaż.

- Aha! Więc zupełnie wyłysiałeś?

- Skądże znowu! Moje włosy są nadal ciemne... no, może znajdzie

się wśród nich parę siwych nitek, ale nadal mam własne.

- Jeszcze - mruknął Han.

Lando zazgrzytał zębami.

- Myri, kochanie, czy twój tata ma wektor wyjścia?

- Jasne. Najpierw musimy zestrzelić korwetę...

- Nie, nie, nie! Musimy umknąć korwecie...

- Korweta jest jedna, a z każdej strony nadciągają w naszym kierunku gromady myśliwców. I okręt. Gdyby nam się udało uszkodzić korwetę, osiągniemy orbitę bez przeszkód. Wtedy jednak natrafimy na statki blokady Sojuszu. I to jest właśnie problem.

Nagle Lando poczuł się znowu młody i potrzebny.

- Wcale nie problem.

- Tak?

- Tak. Pewien młody porucznik przekazał mi ostatnio kod dostępu.

- No cóż, świetnie się składa. Znajdziemy się w strefie ognia za dziesięć sekund, dziewięć...

Podczas gdy Myri odliczała, Lando przestawił swój wyświetlacz

na odczyty sensorów.

Ich niewielki zespół do zadań specjalnych wciąż oddalał się od Koronetu. Od strony miasta nadeszło kilka sygnałów.

Posłały

je najwyraźniej niewielkie jednostki bojowe kierujące się w ich

stronę. Han, kontrolujący łączność, miłosiernie oszczędził reszcie

tej informacji.

„Komandor Miłości” i „Pulsarowy Ślizg” szły teraz burta w burte, kilka metrów od siebie, o parę kilometrów wyprzedzane

przez X-wingi. Tym razem sygnał informował o zbliżaniu się obiektu wielkości okrętu, po chwili zaś na ekranach pojawił się

napis identyfikujący jednostkę jako „Korweta CEC 1177 Silaban”.

Lando spojrzał współczująco na Leię. Kiedy była młodziutką senator planety Alderaan, jej główny środek transportu stanowiła

koreliańska korweta, Tantive IV. Statek miał długi, wąski kadłub

z dziobem w kształcie obucha i prostokątną rufą zawierającą niewiele

więcej poza trzema rzędami silników. Tantive zajmowała

szczególne miejsce w sercu Leii i sytuacja, kiedy niemal identyczny statek próbował ją zestrzelić, musiała być dla niej przykrym przeżyciem.

Odliczanie Myri dobiegło końca. Lando otworzył usta, aby dać

sygnał do otwarcia ognia, jednak Han nie potrzebował komendy.

Lando zobaczył, jak ładunek wystrzelony przez działka jachtu dosięga celu razem z salwą wysłaną z „Pulsarowego Ślizgu”.

Zaraz

potem nastąpił rozbłysk wybuchu.

X-wingi zanurkowały, oddalając się od pola bitwy w manewrze

uniku. Leciały tak blisko siebie, że czujniki rejestrowały je jako jeden obiekt.

Lando zmarszczył czoło.

- Co oni wyprawiają? Zderzą się i będzie po nich.

Zapomniał, że kanał łączności między statkami jest aktywny.

- Zderzą? - głos należał do Mirax Horn. - Podsuń się jeszcze trochę bliżej, Lando, a zaraz zademonstruję ci zderzenie.

- Spokojnie - odezwała się Iella. - Chyba już wiecie, dlaczego mężczyźni powinni dowodzić wyłącznie jednoosobowymi myśliwcami. W przypadku większej jednostki mają za mało do

roboty, więc za dużo gadają.

- Hej! - zaprotestował Lando.

„Komandor Miłości” zatrząsł się, gdy wiązka z podwójnych dział turbolaserowych korwety dosięgła pól ochronnych.

Lando

zaczął coś mówić na temat manewrów wymijających, jednak Leia gwałtownie zanurkowała, aż jego żołądek fiknął koziołka.

Zamknął więc pospiesznie usta i skoncentrował się na próbie niedopuszczenia, żeby zjedzony ostatnio posiłek wydostał się na zewnątrz.

Przez panele widokowe widział, jak dolne turbolasery korwety posyłają salwy w kierunku „Komandora Miłości” i „Pulsarowego Ślizgu”, kierując jednocześnie ładunki z górnego działła w stronę

X-wingów. Gdy zbliżyli się do korwety, X-wingi nagle rozdzieliły

się; jeden z nich skręcił w lewo, drugi w prawo.

Oba działła turbolaserowe skierowały się w stronę X-winga Wedge'a, aby następnie skupić ogień na statku Corrana.

W tym samym momencie obaj piloci minęli rufę korwety.

Lando zobaczył parę jaśniejszych plamek na rufie koreliańskiego

statku w miejscach, gdzie trafił ogień z działek X-wingów.

Myśliwce

wykonały pętlę i obrały kurs na silniki. Dowódca korwety nieco zbyt późno zorientował się, że nadchodzące statki dysponują

większą siłą ognia niż jachty kierujące się w jego stronę,

i podjął ostatni wysiłek, żeby odwrócić się od nich i uchronić silniki przed atakiem.

Ale X-wingi dopadły go. Czerwone wiązki laserowego ognia stopniowo osłabiały pola ochronne rufy jednostki, koncentrując

się na silnikach. Lando ujrzał poświatę oblewającą tył statku i zaraz

przestrzeń wokół rozbłysła w oślepiającej eksplozji.

Korweta nie wybuchła - straciła jedynie przedział silnikowy,

statek zaczął jednak wyraźnie tracić wysokość. X-wingi zawróciły,

kierując się zgodnie z kursem obranym przez oba jachty.

W końcu Lando mógł z powrotem poczuć się dowódcą.

- „Pulsarowy Ślizg” i eskorta X-wingów, utworzyć szyk.

Kierujemy

się na orbitę.

- Co potem? - spytał Han.

Komunikator odezwał się głosem Wedge'a:

- Lecimy spotkać się ze starymi przyjaciółmi - oznajmił.

Coruscant,

Świątynia Jedi

Przeciwnik Bena nie był szczególnie imponujący. Szczupły korpus androida wyposażono w cztery patykowate odnóża, wytrzymałe

tylko na tyle, aby mógł się swobodnie poruszać, dwie kończyny górne zaś zakończone były tubami o średnicy około ośmiu centymetrów. Jego monstrualna głowa dorównywała wielkością

całej jednostce R2. W miejscu oczu były dwa zielone czujniki optyczne, a tam, gdzie u humanoidów zwykle znajdowały się usta, widniały otwory głośnikowe.

W lustrze zajmującym całą długość ściany wydawali się groteskowo

nierównymi rywalami: robot z absurdalnie wielką głową i sprawiający sympatyczne wrażenie nastolatek o jasnorudych włosach, ostrzyżonych najeża.

- Ostatnia seria - zakomunikował android. Jego głos w zestawieniu

z aparycją brzmiał niezwykle ludzko. - Gotów.

Aby lepiej poddać próbie swoje umiejętności, Ben na razie nie zapalał miecza. Odwrócił się tyłem do przeciwnika i spróbował

go odnaleźć poprzez Moc. Po raz kolejny poczuł się rozczarowany faktem, że nie potrafi tego dokonać. - Gotów - potwierdził. W pustej sali rozległo się ciche „ponk” i pierwsza piankostalowa piłeczka wystrzeliła z tuby ramienia androida. Ben odczuł to jako podmuch powietrza, alarmujący jego zmysły za pośrednictwem Mocy. Dzięki temu mógł odgadnąć kierunek lotu piłki, zmierzającej prosto w stronę jego potylicy. Odwrócił się, usuwając z trasy pocisku, po czym zapalił swój miecz. W jego stronę szybowały już druga, trzecia i czwarta piłka. Zamachnął się na pierwszą z nich, ale jego ostrze nie było jeszcze do końca wysunięte i chybił prawie o metr. Druga z piłeczek przemknęła obok, nie robiąc mu krzywdy, jednak trzecią i czwartą zdołał już odbić. Ich lśniące powłoki przez chwilę miały kontakt z ostrzem miecza świetlnego, które jednak nie uczyniło im żadnej krzywdy. W tej samej chwili z ramion robota wystrzelił cały strumień piankostalowych pocisków. Tuby zmieniały konfigurację, posyłając piłki w kierunku stóp Bena, jego torsu, głowy, ramion oraz w otaczającą go przestrzeń, co narażało go na spotkanie z nimi podczas prób uników. Nie zdołał odbić wszystkich. Jedna boleśnie trafiła go w lewe kolano, inna otarła się o jego policzek, jednak średnia odbić wypadła na razie całkiem nieźle. Czuł wokół siebie ruch piłeczek, szybujących nad lśniącą

podłogą z twardego drewna apocji. Rozdzieliły się na dwa strumienie, zakręcając z powrotem w stronę korpusu androida, kontrolowane magnetycznymi impulsami, które wysyłał. Ben odbił dwie kolejne i obserwował, jak poprzednie zawróciły, uniosły się przyciągane impulsami w kierunku głowy robota i zniknęły w czeluści widniejącego w niej otworu. Wróciwszy do zbiornika, mogły zostać ponownie wystrzelone w jego kierunku. Instynktownie wybrał jedną z piłek powracających w kierunku droida i sięgnął ku niej poprzez Moc. Tupnął, fizycznie akcentując kierunek ataku, i posłał w jej stronę ładunek skumulowanej energii. Piłka spłaszczyła się, zmieniając w dysk o średnicy niemal o połowę większej niż poprzednio. Nadal leciała w kierunku głowy droida, a gdy była już blisko otworu, Ben nadał jej dodatkową energię. Dosięgnęła otworu i złożyła się wpół, zatykając wlot. Odbijając cztery następne piłki, Ben obserwował kątem oka, jak pół tuzina kolejnych dotarło do głowy droida, odskoczyło od zapchanego przepustu, opadło na podłogę i odtoczyło się na bok, aby dołączyć z powrotem do dwóch krążących strumieni. Mechanizm androida nie wystrzelił już ani jednego pocisku więcej. Ben czekał, obserwując chmurę piankostalowych kulek, jak krąży, szybuje do góry, odskakuje, spada na podłogę i powtarza

swój taniec.

Po jakimś czasie ruch zamarł. Uwolniona z zasięgu pola magnetycznego

większość piłek zatrzymała się w miejscu. Niektóre odtoczyły się kawałek nieco w jedną lub w drugą stronę, zanim

zatrzymały się na dobre.

Ben poczuł, że miecz delikatnie wysuwa się z jego dłoni.

Chwycił go mocniej, ale poczuł kolejne szarpnięcie, tym razem

nieco silniejsze. Broń stawiała opór, przyciągana przez androida,

ale Ben wzmocnił uścisk lewą ręką. Po chwili wyłączył klingę i uśmiechnął się szeroko do swojego przeciwnika.

W końcu miecz znieruchomiał.

- To sabotaż? - zapytał android.

- Tak - potwierdził Ben. - W celu, eee... unieszkodliwienia wroga.

- W takim razie powinienem zaklasyfikować twój wybieg jako działania taktyczne. Ćwiczenie uznaję za zakończone.

Współczynnik

powodzenia w ostatniej serii wynosi dziewięćdziesiąt cztery procent. Ostatnia sekwencja została zakończona wyeliminowaniem

dwudziestu dwóch procent celów dzięki zastosowaniu

taktyki sabotażu. Unieszkodliwienie broni trenera zakończone

sukcesem. - Android skierował się w stronę drzwi sali treningowej,

a piłki, formując jedną linię, potoczyły się za nim.

Opuszczając salę, robot minął postać stojącą przy drzwiach.

Musiała wejść podczas ćwiczeń. Ben poczuł się nieco zakłopotany,

że nie wyczuł jej obecności - widać zanadto koncentrował

się na zadaniu.

Uczennica Jedi czekająca koło wyjścia była o parę centymetrów

wyższa od niego i jakieś trzy, cztery lata starsza. Jej długie rude loki miały trochę bardziej miedziany odcień niż włosy jego

matki. Zbliżyła się do Bena, gdy tylko ogonek piłek toczących się

po podłodze opuścił salę.

- Cześć.

- Hej. - Ben zaczepił swój miecz świetlny na pasku.

Wyciągnęła w jego kierunku rękę.

- Jestem Seha. Seha Dorvald.

- Wiem. Ja...

Ściskając jej dłoń, wyczuł w niej jakiś niewielki, prostokątny przedmiot, coś na kształt karty. Wyraz twarzy rudowłosej Jedi nie

zmienił się ani na jotę. Nie dała po sobie poznać, że cokolwiek mu przekazuje.

Ben poczuł dreszcz podniecenia. Wiedział dlaczego. Po pierwsze,

jego nowa znajoma podobała mu się, a co więcej - nawiązała z nim rozmowę. Po drugie, wyglądało na to, że za ich spotkaniem

kryła się jakaś tajemnica. Zastanawiał się, co też zawiera karta.

Informacje na temat następnego spotkania? Komunikat od rządu

Korelii, błagającego, aby pomógł im w zażegnaniu kryzysu militarnego?

Propozycję łapówki? Oto prosto z treningu trafił w wir zdarzeń żywcem wziętych z holofilmu - i z entuzjazmem przyjmował

taki obrót spraw.

- Znam cię z widzenia - dokończył, próbując się nie jąkać.

- Jestem Ben Skywalker.

- Wiem. - Uwolniła rękę z uścisku, pozostawiając przedmiot w jego dłoni. - Chciałam tylko powiedzieć...

Czy powinien schować kartę teraz? Nie, zdecydował. Jeśli ktoś

ich obserwuje, może zwrócić uwagę na fakt, że coś mu wręczyła.

A jeśli przekazała mu coś w ten sposób, musi podejrzewać, że są

śledzeni. Ben opuścił rękę z nadzieją, że gest wygląda naturalnie.

- ...że pomysł ze spłaszczeniem piłki był bardzo sprytny i zastanawiałam się, czy...

Musiał dotrzeć do swojego pokoju i dowiedzieć się, co było na karcie. Jednocześnie zaś miał ochotę stać tu i gapić się na nią

przez całą wieczność. Skoncentrowanie się na tym, co dziewczyna

do niego mówi było raczej... trudne.

- ...czy nie mogłabym, no wiesz... zastosować twoją sztuczkę podczas następnego treningu.

Pewnie ze czterdzieści różnych odpowiedzi kłębiło się w mózgu

Bena: „Pewnie!"; „Jesteś naprawdę miła"; „Jeśli jesteś dopiero na etapie tych ćwiczeń... czy podobnie jak ja zaczynałaś później?"; „Masz akcent, jakbyś pochodziła z dolnych poziomów

Coruscant, ale mówisz jak ktoś wykształcony".

Jakby odpowiedział na jej pytanie Jacen? - zastanowił się.

To mu pozwoliło oczyścić umysł. Przeanalizować sytuację,

wyciągnąć wnioski, zachować spokój.

- Czułbym się, eee... byłbym zaszczycony.

Zanim jednak wypowiedział ostatnie słowo, przyszło mu do głowy coś jeszcze.

- Ale to chyba niezbyt dobry pomysł.

- Czemu? - Nie wyglądała na urażoną, jedynie na zaniepokojoną.

Ben wskazał na drzwi.

- Ten android został wyposażony w program analityczny.

Teraz

jego oprogramowanie zostanie zaktualizowane albo zmienione w taki sposób, żeby nie pozwoliło na zastosowanie taktyki spłaszczania piłek. Jeśli więc chcesz ją wykorzystać, musisz zastanowić

się i przygotować na możliwe konsekwencje.

- Tak właśnie zrobię. Masz rację. A poza tym... jesteś sprytny.

Poza? Poza czym?

- Intryguje mnie twój warkoczek - wskazała na cieniutkie pasemko

splecionych włosów, spływające na ramię i kontrastujące z krótką fryzurą. - To trochę staromodne, prawda? Czy zakon wymaga jeszcze czegoś takiego?

Ben pokręcił głową.

- Nie, sam tak chciałem. - Nie był nawet pewien, z jakiego powodu zapuścił warkoczek. Pewnie po to, żeby mieć coś własnego,

coś odróżniającego go od sławnych rodziców. Nie wiedział, jak się wytłumaczyć, aby nie zabrzmiało to dziecinnie czy egoistycznie. - To mój wybór.

- To jest kosmicznie fajne. Tak czy siak, muszę pędzić z powrotem

na zajęcia. Miło było cię spotkać.

- Mnie również. - Obserwując, jak odchodzi, czuł, że pąsowieje.

Schował w końcu kartę do kieszonki na pasie, mając nadzieję, że gest umknie uwadze niewidocznych obserwatorów.

Poza czym?

Wracając do swojego pokoju, zastanawiał się, co powinien zrobić.

Niepokoili go sugestie Sehy, że któreś z nich - lub oboje - mogą być obserwowani. Czyżby rodzice mnie śledzili? - zadał sobie w duchu pytanie i skrzywił się z niesmakiem. A może ktoś

obserwuje Sebę? Ale jeśli to ja jestem śledzony, w jaki sposób zdołam się dowiedzieć, co jest na karcie?

Wykluczone było skorzystanie z komputerów Świątyni.

Mogły

być monitorowane. Musiał to przemyśleć - bo to samo mogło dotyczyć każdego datapadu zdolnego do wysyłania i odbierania

danych. Ale datapad bez komunikatora byłby bezpieczny, gdyby

tylko udało mu się taki znaleźć. Lub skonstruować.

Zatrzymał się w pokoju zabaw zorganizowanym dla Ronto - uczniów o pięć lat młodszych od Bena. Nie było tam żywej duszy, poza grami i zabawkami, porzucanymi tu i ówdzie pomiędzy poduszkami do siedzenia a meblami w jaskrawych kolorach.

Tak jak się spodziewał, znalazł datapady. Większość z nich była wyposażona w przyciski nieco większe niż standardowe, przystosowane do drobnych, niewprawnych paluszków uczniów,

jeden z nich zaś miał własny zestaw słuchawkowy. Zabrał go ze

sobą.

Zaszył się w schowku wykorzystywanym do przechowywania środków sanitarnych. Stojąc w wąskiej luce pomiędzy regałami pełnymi butelek i plastalowych pojemników, z których wydobywał się ostry chemiczny zapach, otworzył datapad i szybko usunął jego czip komunikacyjny. Był zdenerwowany, ale nie podejrzewał - nawet gdyby miał być bez przerwy obserwowany - żeby służby ochrony budynku rozmieszczały holokamery wszędzie. Na pewno nie w schowku na środki czystości. Co to, to nie. Dotarłszy do swojego pokoju, przesunął krzesło tak, żeby mógł siedzieć plecami do kąta. Spędził trochę czasu, starannie i ostentacyjnie wybierając kartę z grą ze swojej niewielkiej kolekcji. Kiedy usiadł, schował ją i zamiast niej wsunął nośnik danych, który dostał od Sehy. Założył zestaw słuchawkowy i aktywował kartę. Na wyświetlaczu pojawiło się logo Galaktycznego Sojuszu wraz z krótką wiadomością. „Agent specjalny Ben Skywalker, proszę podać kod dostępu”. Ben wpisał hasło, którego używał w służbie SGS do odbierania i wysyłania wiadomości. Komunikat zmienił się na zapytanie: „Tryb dźwiękowy w celu zachowania bezpieczeństwa czy tryb tekstowy dla obszaru publicznego?” Wybrał wersję dźwiękową. Ekran zamigotał i pojawił się na nim obraz Jacena. - Witaj, Ben - odezwał się. Jego głos przez słuchawki brzmiał,

jakby dobiegał z dużej odległości. - To ważne. Zapamiętaj informacje

z tej karty. Jeśli będzie trzeba, wysłuchaj ich ponownie.

Kiedy będziesz pewien, że wszystko zapamiętałeś, zniszcz czip. Musisz się go pozbyć w taki sposób, żeby nie można było

odzyskać zapisanych na nim danych. - Zawiesił głos, jakby chciał dać Benowi czas na uświadomienie sobie powagi tych słów.

Ben znów poczuł znajomy dreszcz. To się dzieje naprawdę! To coś ważnego! I oznacza, że Seha pracuje dla Jacena, jest sojusznikiem.

- Jestem zmuszony zlecić ci pewną misję - ciągnął Jacen. - Właśnie

tobie, ponieważ potrzebuję kogoś, kto wspiera Sojusz, komu mogę zaufać, a poza tym jest silny Mocą. Kogoś, kto udowodnił, że

potrafi działać na własną rękę. Są dwie możliwości: to możesz być

ty lub ja. Niestety, tak się składa, że nie mogę w tej chwili porzucić

obowiązków. Przykro mi, że przeszkadzam ci w szkoleniu, tym

bardziej że może to być powodem konfliktu między tobą a twoimi

rodzicami. Jeśli zajdzie taka potrzeba, wezmę całą winę na siebie.

Oto, na czym będzie polegała twoja misja. Zapamiętaj wszystko

dokładnie. W razie gdybyś zapomniiał o jakichś szczegółach, powinieneś

mieć w pamięci chociaż główne wskazówki. Musisz zdobyć amulet Kalary i potajemnie mi go dostarczyć.

Obraz przełączył się na tryb wyświetlania standardowych danych

planety. Na samej górze widniał napis „Almania”. Jacen kontynuował:

- Amulet znajduje się na planecie Almania, w pomieszczeniach

biura Tendrando Arms. Został umieszczony w gablocie na dwieście piętnastym piętrze biurowca. Sam budynek nie jest jakoś

szczególnie chroniony, bo mieści się w nim kilkaset różnych firm. Gablota również nie jest strzeżona zbyt pilnie, ponieważ właściciel nie zdaje sobie sprawy z tego, co posiada.

Na ekranie pojawiło się zbliżenie klejnotu zawieszzonego na srebrnym łańcuchu. Był to szary, owalny kamień o powierzchni

raczej chropawej niż gładkiej. Jego środek przecinała pionowa kreska krwistoczerwonego kryształu, otoczona połyskującymi, czarnymi kamieniami półszlachetnymi. Budziło to skojarzenie ze

srebrnym kocim okiem o wąskiej, czerwonej źrenicy.

- Oto amulet Kalary - wyjaśnił Jacen. - A teraz najważniejsze: Ben, jeśli ten przedmiot dostanie się w ręce osoby wrażliwej na Moc, która zna tajemnicę jego aktywacji, znajdziemy się w ogromnym niebezpieczeństwie. Aktywując go, osoba ta staje

się niewidoczna w Mocy. Nawet przypadki wykorzystywania przez nią Mocy są niewykrywalne dla innych osób posługujących

się nią. Pomyśl, co to oznacza. Właściciel amuletu może stać się równie niebezpieczny, jak wojownik rasy Yuuzhan Vong,

jednocześnie będąc kimś zupełnie zwyczajnym - Rodianinem, Bithem, kimkolwiek. Może zagrozić twoim rodzicom, Radzie,

mnie, całej galaktyce. Jeśli dotrzesz do gabloty i go zdobędziesz, wszystko będzie wspaniale. W miejsce oryginału podłożysz falsyfikat, który otrzymasz, i tyle. Jeśli jednak artefakt dostanie się w niepowołane ręce... - Obraz znów pokazał Jacena, który wydawał się nawet bardziej poważny niż wcześniej. - Musisz założyć, że ten ktoś zna jego tajemnicę, że jest potężnym Ciemnym Jedi lub inną wrażliwą na Moc istotą i w każdej chwili może go wykorzystać. Ben, musisz go unieszkodliwić, zanim on dopadnie ciebie. Przykro mi to mówić, ale to prawda. Ben poczuł ciężar w żołądku. To, co sugerował Jacen, w pewnych okolicznościach mogło oznaczać konieczność dopuszczenia się zbrodni. Jednak jeśli amulet rzeczywiście miał właściwości, o których mówił jego przyjaciel, powinien trafić we właściwe ręce. Koniecznie. - W ciągu dwóch najbliższych nocy musisz dostać się do przebieralni sali treningowej na czwartym piętrze Świątyni. Tam otworzysz ostatnią szafkę po lewej stronie. Kod sześć-osiem-sześć. W środku znajdziesz ubrania oraz sprzęt...

ROZDZIAŁ 9

Ubrany w bezkształtną rdzawą pelerynę i zupełnie nieprzypominający szat Jedi zielony przeciwdeszczowy płaszcz z kapturem,

Ben zamknął schowek i wcisnął guzik. Upewnił się, że drzwi pomieszczenia zostały zablokowane, po czym wsunął swój miecz świetlny do sakwy u pasa. Zmusił się, żeby rozluźnić mięśnie.

Od chwili gdy tu wszedł, nie opuszczała go obawa, że ktoś go przyłapie podczas przebierania, ale nic się nie wydarzyło.

Wybór

najcichszej godziny nocy na potajemną wyprawę do przebieralni

był słuszną decyzją.

Ruszył w kierunku kłapy zsypu. Otwór był na tyle duży, żeby dało się przecisnąć przezeń torby pełne rzeczy do prania, opatrzone

nazwiskami właścicieli. Oznaczało to, że mógł się też tędy prześliznąć ktoś niski i szczupły. Plotka głosiła, że próby dotarcia

zsypem do pralni zawsze kończyły się niepowodzeniem, jednak

dlaczego tak się działo, stanowiło mroczną tajemnicę świątyni. Śmiałkowie, którzy próbowali tego dokonać, opowiadali przeczące

sobie nawzajem historie o śliskich od smaru pochylniach, robotach-strażnikach ze straszliwymi elektrycznymi obcęgami lub urządzeniami do łaskotania w miejscu ramion, okrągłych klatkach, w których intruzi wirowali aż do mdłości, oraz o

rozmaitych przykrych karach za takie numery.

Ben pociągnął dźwignię, otworzył bęben, przez który wrzucało

się worki, i wśliznął się do środka. Wewnątrz było dość ciasno.

Przy swoich prawie czternastu latach był już trochę za duży na

tego typu wyczyny. Wykorzystał ciężar ciała, aby spowodować zamknięcie się bębna, co z kolei automatycznie otworzyło dostęp do zsypu tuż pod nim. Zapierając się o ściany, aby nie runąć w dół, wyciągnął pręt jarzeniowy i zajrzał w mrok szybu.

- To tylko zsyp. Wszystko w porządku - powiedział do siebie, oceniając kwadratowy otwór w plastalowej przegrodzie, prowadzący gdzieś w trzewia świątyni.

Ostrożnie wsunął tam stopy i ponownie zaparł się o boczne panele. Sięgnął do Mocy, aby zminimalizować tarcie stóp o ścian, i zaczął spadać w dół.

Nie tyle spadał, ile zsuwał się, kontrolując szybkość ruchu. Po drodze mijał krawędzie kolejnych plastalowych paneli, którymi wyłożono wnętrze zsypu.

W pewnym momencie zobaczył zestaw czujników i zaczął się zastanawiać, na co miały reagować. Teraz najwyraźniej na nic. Seha czy też może ktoś inny, wyznaczony przez Jacena, musiał dezaktywować je specjalnie dla niego. Nieco dalej zauważył wyszlizgane ślady biegnące wzdłuż ścian szybu. Zwiększył tarcie, aby nieco zwolnić, i minął je ostrożnie, po jednej stronie odnotowując obecność panelu wyposażonego na dolnej krawędzi w zawiasy. Mijając go, pchnął mocno. Kłapa otworzyła się bezgłośnie, po czym z powrotem wróciła na swoje miejsce. Za nią Ben zdążył dojrzeć niewielką jednostkę repulsorową, podobną do tych montowanych w krzesłach lub noszach.

Pokiwał głową. To miało sens. Czujniki reagowały na gęstość lub masę. Jeśli wykryły coś o gęstości większej niż w przypadku torby wypełnionej rzeczami do prania, repulsor się aktywował i wypychał intruza do bocznego szybu. Ten z kolei najprawdopodobniej prowadził do pomieszczenia, w którym amator przygód czekał na poinformowanego przez system alarmowy mistrza. Mistrz udzielał nagany, wyznaczał odpowiednią karę lub przydzielał dodatkowe prace.

Minąwszy zasadzkę, Ben kontynuował podróż w kierunku widniejącego w dole kwadratu światła, który z każdym metrem stawał się większy i lepiej widoczny. Koniec zsypu. Ben zatrzymał się ostrożnie jakieś dwa metry od wylotu szybu. Czuł powiew ciepłego powietrza, słyszał szum i szcęk pracujących w dole urządzeń. Trzy metry od otworu widział gładką, podniszczoną podłogę z permabetonu, na której leżała sterta szarych worków z praniem.

Chwilę później w zasięgu wzroku Bena pojawił się pojazd na kołach, pchany przez srebrzystobiałego androida, którego nie potrafił zidentyfikować. Robot chwycił torby, załadował je na wózek i zniknął z pola widzenia.

Rozciągając zmysły poprzez Moc, Ben mógł śledzić obecność androida, nie wyczuwał jednak w okolicy niczego więcej. Pokonał pięć metrów dzielące go od podłogi, przetoczył się na bok

i bezszelestnie wstał.

Po jednej stronie widział oddalającego się robota. Z drugiej strony również nie zauważył niczego niepokojącego. Był w jakimś

korytarzu, gdzie tu i ówdzie pod ścianami o surowej, szarej powierzchni, piętrzyły się stosy skrzyń. Panele jarzeniowe zapewniające

skąpe oświetlenie umieszczono na suficie w dużych odstępach, co potęgowało ponury nastrój.

Zgodnie ze wskazówkami Jacena Ben ruszył w prawo. Wkrótce

dotarł do miejsca, gdzie korytarz skręcał pod kątem prostym w lewo. Natrafił tu na ciężkie drzwi umocowane w durastalowej

framudze, oznakowane tabliczką głoszącą „Droga ewakuacyjna.

Korzystać wyłącznie w przypadku zagrożenia. Ochrona świątyni

zostanie zawiadomiona".

„Wyłącznie w razie zagrożenia"... Cóż, ostatnio cała galaktyka była w stanie zagrożenia. Ben pchnął metalowy panel uruchamiający

mechanizm drzwi podczas awarii zasilania i skulił ramiona, podświadomie oczekując na wycie alarmu.

Nic się jednak nie stało. Seha dobrze się spisała. Drzwi otworzyły

się bezgłośnie na krótki permabetonowy korytarz. Pięć metrów dalej znajdowały się drugie identyczne drzwi.

Starannie zamknął za sobą pierwsze drzwi, upewniwszy się, że są rzeczywiście zatrzaśnięte. Mógł postępować wbrew woli rodziców, ale nie mógł narażać Świątyni Jedi na możliwość wtargnięcia

intruzów. Zakon miał wrogów, jak na przykład ta zła kobieta,

o której wspominał jego ojciec - Lumiya.

Drugie drzwi również otworzyły się bez problemu. Nie usłyszał

alarmu, jednak tym razem dotarli do niego ciche szmery i poczuł ciepłe, wilgotne powietrze. Padał deszcz i pojedyncze krople rozbijały się o powierzchnię nad jego głową. Zanim jego

oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegł światła strumienia

pojazdów przemieszczających się po swojej prawej stronie.

Widok nie był jednak wyraźny. Ben zgasił swój pręt jarzeniowy

i zamknął również te drzwi.

Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, stwierdził, że stoi na czymś w rodzaju dziwnego durastalowego rusztowania,

długiego i wąskiego jak korytarz. Podłogę i sufit wykonano z metalowych płyt, jednak ściany stanowiła konstrukcja z metalowych

prętów, między którymi widniały wąskie przerwy. Przez szpary po lewej widać było jedynie ciosany kamień, prawdopodobnie

ścianę Świątyni. Po prawej stronie Ben mógł w ciemnościach nocy podziwiać panoramę Coruscant.

Ostrożnie ruszył korytarzem, czując, jak podłoga kołysze się pod jego stopami. Kiedy dotarł do jej końca, wszystko stało się

jasne. Umieszczono tu sterowniki mechanizmu, składające się z zestawu kołowrotek. Rozpracowanie zasady działania systemu

zajęło mu najwyżej kilka chwil.

Cała konstrukcja znajdowała się na czymś w rodzaju wysięgnika.

Jeden z kołowroteków pozwalał mu wysunąć się na pełną długość

- w miarę jak całość się rozciągała, metalowe pręty stawały się coraz cieńsze. Pozostałe koła pozwalały osobie kontrolującej

mechanizm zmieniać kąt nachylenia korytarza względem Świątyni

w poziomie i w pionie. Umiejętne sterowanie mechanizmem pozwalało operatorowi na umieszczenie jego najdalszego krańca

na poziomie któregoś z niższych pięter Świątyni lub wysunięcie

konstrukcji w kierunku trasy ruchu powietrznego, aby umożliwić

śmigaczom ratunkowym przechwycenie osób ewakuowanych z budynku na wypadek pożaru lub inwazji.

Ben przekręcił korbę, która służyła do otwarcia drzwi. Stał na rampie w końcu korytarza i spoglądał w dół, na zewnętrzny mur

Świątyni. Nie widział tu nic, co mógłby wykorzystać jako punkt

oparcia. Pochyła ściana tonęła w mroku Galactic City.

Wszystko, co musiał teraz zrobić, to dostać się w jakiś sposób na dół, zorganizować transport do niewielkiego portu kosmicznego

odległego o jakieś czterysta kilometrów, pokazać fałszywe dokumenty, które znalazł wraz z ubraniami w schowku, i dostać

się na pokład statku, który zabierze go na Almanię.

Łatwizna.

System Kuat,

„Komandor Miłości”

- Nawiązać łączność - zakomenderował Lando.

- Ta zabawa w kapitana chyba ci nie służy - zasugerowała Leia.

Lando przyjrzał się jej z namysłem.

- Masz rację, Leia! Moja najdroższa przyjaciółko, szanowna Jedi! Oddaj, proszę, ostatnią przysługę schorowanemu starcowi, jakim się stałem, zanim duch opuści na zawsze moje słabnące ciało...

Leia wytrzymała jego wzrok.

- W porządku, nic nie mówiłam. Przygotować się do transmisji...

- rzuciła.

- Nie o to mi chodziło, moja droga! Ucieknij ze mną! Tendra to zrozumie. Jestem pewien.

Leia westchnęła, przewracając oczami.

- Dobrze, Han... pozwalam ci go zastrzelić.

- Poczekam jeszcze trochę - odpowiedział jej mąż. - Jeśli zastrzelę go teraz, nigdy się nie dowiemy, w jakie jeszcze kłopoty może nas wpakować.

- Przygotować się do transmisji - powtórzyła Leia. - Teraz!

- Wcisnęła przycisk na panelu łączności.

- Tu Bescat Offdurmin, właściciel „Komandoooooraaa Miłości”

- oznajmił Lando. - Zbliżamy się do „Błędnego Rycerza”. „Rycerzu”, słyszysz nas? Odbiór.

- Tu koordynator lotów „Błędnego Rycerza”. „Komandorze Miłości”, słyszemy cię.

Na ekranie Landa zniknęła odległa sylwetka jedyne w galaktyce niszczyciela gwiazdowego pomalowanego na wściekle czerwony kolor. Na jego miejscu pojawiła się twarz młodej czerwonoskórej

Twi'lekanki. Pomarańczowe i żółte wstążki efektownie ozdabiały jej lekku; to, co miała na sobie, wyglądało raczej na czarną suknię wieczorową niż na mundur.

- Mamy rezerwację i zezwolenie na lądowanie.

„Komaaaaaaandor

Miłości" i drużyna pajaców w komplecie.

Kobieta sprawdziła dane na swoim wyświetlaczu.

- Zgadza się. Możecie lądować... - zająknęła się i zerknęła ponownie na ekran, wyraźnie nieprzygotowana na informacje, które ukazały się jej oczom. - ...w hangarze flagowym.

Wysyłam

wam sygnał naprowadzający.

- Dzięki.

Twi'lekanka uśmiechnęła się i ekran zgasł.

- Co to znaczy „hangar flagowy”? - spytał Lando.

- „Rycerz" jest wyremontowanym imperialnym niszczycielem gwiazdnym - odpowiedział Han. - Wcześniej służył w marynarce

Imperium jako „Zjadliwy".

- Wiem - odpowiedział Lando. - No, może tylko zapomniałem,

jak się wcześniej nazywał.

- Kiedy niszczyciel był flagowym okrętem oddziału szturmowego

lub floty - kontynuował wyjaśnienia Han - przebywający na jego pokładzie admirał miał własne kwatery i osobny hangar,

który nazywano hangarem flagowym.

- Wszystko jasne. - Lando pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Cóż, Han, stary druhu, ile czasu minęło, od kiedy zdarzyło ci się zrobić pożytek z wiedzy zdobytej w Akademii Imperialnej?

- Dużo, ale ten moment właśnie nadszedł - oznajmił Han.

- Zamierzam cię zastrzelić.

**Koreliańska strefa zakazana,
„Anakin Solo”, kabina dowodzenia**

Podczas holotransmisji Luke wydawał się spokojny, jak zwykle,

jednak Jacen czuł, że wielki mistrz Jedi jest zniecierpliwiony i czymś się martwi.

Mara, stojąca nieco z tyłu, nawet nie starała się ukrywać swoich

uczuć. Na jej twarzy malowało się zatroskanie i gniew.

- Jacen, gdzie jest Ben? - zapytał Luke bez ogródek.

Jacen spojrzał na niego zmieszany.

- Z twojego pytania wnioskuję, że nie tam, gdzie powinien.

- Zgadza się - potwierdził jego wuj. - Co nie zmienia faktu, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Jacen poczuł ukłucie gniewu - jak Luke śmiało zakładać, że on coś ukrywa? Fakt, że było tak istotnie, nie miał tu nic do rzeczy.

Luke powinien traktować go z większym szacunkiem. Zamierzał

udzielić mu lekcji pokory i miał nadzieję, że nastąpi to już wkrótce.

- Czy w każdej wypowiedzi doszukujesz się podstępów, Luke?

Poufały sposób, w jaki Jacen zwrócił się do wielkiego mistrza, był zniewagą.

- W porządku. Pozwól więc, że będę szczery. Nie mam pojęcia, gdzie jest Ben.

To akurat było prawdą. To Lumiya kierowała misją Bena, nie Jacen. Ale nawet gdyby chciał skłamać, był pewien, że Luke nie

zdołałby tego wykryć. Jacen już od dawna był dobry w ukrywaniu

swoich prawdziwych emocji. Nabrał wprawy w maskowaniu swoich uczuć pod kuratelą Lumiya.

Mistrz Skywalker milczał przez dłuższą chwilę.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - My... Martwimy się.

Ben zniknął ze Świątyni i nie mamy żadnych wskazówek, dokąd

mógł się udać.

- Czy wyczuwasz jego obecność w Mocy? - spytał Jacen.

- Tak. Ale to nie znaczy, że jest bezpieczny, tylko tyle, że żyje.

I na pewno nie ma go w pobliżu.

Jacen westchnął.

- Jest za duży, żeby uciekać w taki sposób z domu.

Prawdopodobnie

obrazził się za to, że zabroniliście mu się ze mną widywać.

A to oznacza, że mieliście rację. Jeśli zachowuje się w ten sposób,

prawdopodobnie nie jest wystarczająco dorosły, żeby być moim uczniem... przynajmniej na razie.

Luke i Mara spojrzeli po sobie. Wyglądało to naturalnie, ale

Jacen czytał w ich myślach bez większego trudu. Byli zbici z tropu

tym, że przyznał im rację. Poczuł satysfakcję, stwierdzając, że potrafi manipulować ich emocjami.

- Czy kontaktował się z tobą w ciągu kilku ostatnich dni?

- zapytała Mara.

Jacen pokręcił głową.

- Dostałem od niego wiadomość tekstową, która może w pewien

sposób tłumaczyć jego zachowanie. Napisał, że chciałby

„rozruszać nieco” Luke'a podczas treningu. To był ostatni komunikat,

jaki mi przesłał. Jeśli uciekł ze Świątyni i opuścił planetę,

prawdopodobnie będzie próbował się ze mną skontaktować.
Rozumiem,

że chcielibyście, abym w razie czego odesłał go z powrotem.

- Zgadza się - potwierdziła Mara. - Nawet gdyby się nie pokazał,

to jeśli natrafisz na jakiś trop wskazujący na to, gdzie może przebywać...

- Skontaktuję się z wami natychmiast.

- Dzięki, Jacen. - Luke machnął ręką do kogoś, kto znajdował się poza zasięgiem holokamery, i obraz zniknął.

Jacen uśmiechnął się do siebie. Mógł sprawiać, by ludzie czuli i myśleli to, co chciał - i to nawet bez konieczności uciekania się

do sztuczek Mocy. - Przychodziło mu to coraz łatwiej... Nawet w przypadku kogoś tak potężnego jak Luke Skywalker.

System Kuat,

„Błędny Rycerz”

„Komandor Miłości” wpłynął za „Pulsarowym Ślizgiem” do hangaru flagowego. Za nim podążały dwa X-wingi. Przy drzwiach

wyjściowych oczekiwał ich Booster Terrik.

Mimo upływu lat Booster nadal sprawiał onieśmielające wrażenie,

doszedł do wniosku Han. Tęgi, z posiwiałą brodą rozparty w repulsorowym fotelu o gabarytach dorównujących połowie sporego śmigacza. Wstał jednak ze swojego tronu, gdy tylko rampa „Pulsarowego Ślizgu” opadła i zbiegła po niej Mirax.

Może i był w podeszłym wieku, może nie dawał rady pokonywać

dłuższych dystansów o własnych siłach, jednak na pewno nie zamierzał

witać się z własną córką na siedząco.

Lando, Han i Leia ruszyli w kierunku kolejki czekających, aby

się przywitać. Wedge, Iella i Myri uściskali serdecznie gospodarza,

Han i Leia zaś wymienili z nim uścisk ręki. Corran, zięć Boostera, dołączył jako ostatni i również uściskał mu dłoń.

Ponura

mina Corrana dowodziła, że nadal nie wybaczył sobie do końca, że był zmuszony polubić teścia.

W końcu Booster usadowił się ponownie na swoim fotelu i wbił spojrzenie w Corrana.

- Gdzie są moje wnuki?

Corran skrzyżował ręce na piersi.

- Rozrzucone po czterech stronach galaktyki, załatwiają swoje sprawy Jedi. To nie moja wina.

- Ach, tak? - Booster przeniósł spojrzenie na Mirax. - Twój mąż nadal nie potrafi liczyć. Nie można rozrzucić dwojga dzieci

na cztery strony.

Mirax rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

- Jedi uważają że każdego można podzielić na kawałki.

Chodź, tato. Musimy koniecznie porozmawiać.

Zatrzymali się w prywatnym pokoju konferencyjnym, oddalonym

tylko o parę kroków od hangaru flagowego. Lśniąca

powierzchnia czarnego bufetu była zastawiona przekąskami, różnymi napojami i taliami kart do sabaka, ozdobionymi na rewersie holograficznym wizerunkiem „Błędnego Rycerza”.

Większość gości skorzystała z poczęstunku, a właściwie wszyscy

oprócz Myri, która porwała ze stołu talię i zaczęła bawić się kartami - tasować je, układać z nich domki i robić sztuczki.

Leia

obserwowała ją przez chwilę, po czym zwróciła uwagę na resztę

towarzystwa.

- A więc - odezwał się Booster, wymierzając w kierunku Hana i Leii palec w oskarżającym geście - cała galaktyka chce was aresztować. Z wyjątkiem Hapan, z których część chce was

przesłuchać, część zaś zabić. Chcecie, żeby roznieśli mi „Rycerza”

na atomy?

- Miły jesteś - zadrwił Han. - Cóż to, ani odrobiny współczucia

dla kogoś, kogo wszyscy ścigają?

Booster parsknął.

- Dobra odpowiedź.

Leia wiedziała, że Booster trudnił się przemytem, jeszcze zanim

ona przyszła na świat i że ścigały go służby bezpieczeństwa zarówno koreliańskie, jak i Imperium. Ojciec Corrana, agent KorSeku Hal Horn, aresztował go i przemytnik spędził pięć lat w kopalniach na Kessel. Potem ustatkował się i stał się prawnym

obywatelem... prawie jak Han Solo.

- W porządku - podjął Booster. - Czy ktoś mi teraz wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi?

- Jestem pewien, że znasz powszechnie dostępne fakty na temat

wojny między Korelią a Galaktycznym Sojuszem - odezwał się Wedge. - Jestem też pewien, że przyjmujesz zakłady.

Booster przytaknął skinieniem głowy.

- Po twoim odejściu stawki wzrosły do trzydziestu siedmiu do jednego za całkowitym podbojem Korelii, zanim na arenie nie

pojawił się Bothanie... wtedy podskoczyły do czterdziestu do

jednego, ale za rozwiązaniem negocjacyjnym... które oznaczało, że Bothanie zdradzają Korelian i zabierają największą część łupów.

Wedge skrzywił się nieznacznie.

- Taak, to pasuje. Mniejsza z tym, publiczne media nie informują,

że sytuacja ulega podejrzanym zmianom. Mechanizmy, które doprowadziły do rozpętania tej wojny, są łatwe do zidentyfikowania.

Ale poza tym mamy do czynienia z manipulacją...

ktoś pociąga za sznurki. Ktoś, kogo trudno jest zidentyfikować.

- Spójrz na przykład - dodał Lando - na wysiłki różnych grup zmierzające do usunięcia Hana i Leii ze sceny. Spójrz na zabójstwa

polityków bothańskich na Coruscant. Gdyby zostały popełnione

przez Korelian w celu pogwałcenia Bothan, to dlaczego ich agenci nie zaatakowali również kluczowych postaci sceny politycznej

Sojuszu, takich jak admirał Cha Niathal lub Jacen Solo?

W ramach rewanżu za szykanowanie Korelian? To się nie trzyma

kupy.

- Jakoś czuję, że jeśli obstawisz próby obwinienia Bothan wszystkimi kłopotami, przedstawiając to jako zbieg okoliczności,

nieźle na tym zarobisz - podsumował Wedge.

- Chwila - przerwał mu Booster. Pochylił się w kierunku prawej

poręczy swojego fotela. - Zapisz ten zakład - polecił.

- Zarejestrowany - odpowiedziało krzesło damskim głosem

protokolarnego androida.

- A do tego te wszystkie historie z duchami, które każą ludziom

myślącym do tej pory całkiem trzeźwo robić okropne rzeczy

- dodała Leia. - To wyraźnie wskazuje na osobę posługującą się Mocą, ale stojącą po Ciemnej Stronie. Jej cel miało stanowić

doprowadzenie do wojny.

- Jeśli jest ktoś, kto pociąga za sznurki - wtrącił Han - to ten *rodder* najprawdopodobniej zaszył się na Korelii lub Coruscant.

Właśnie tam jest najwięcej marionetek, które tańczą jak im zagrają. Jestem absolutnie przekonany, że Cal Omas i Dur Gejjen

są kukiełkami naszego lalkarza.

- Przybyliśmy na to zgromadzenie rodzinne Antilles-Horn, zabierając

się na gapę - przyznała się Leia. - Ale po drodze - spojrzała na Hana - doszliśmy do wniosku, że „Błędny Rycerz” mógłby stanowić idealny punkt gromadzenia informacji. Stacjonuje w systemie koreliańskim, pełnym zdesperowanych żołnierzy, i zapewnia

im możliwość hazardu i rozrywkę... A tam, gdzie ludzie się upijają chętniej zdradzają swoje - i cudze - tajemnice...

- I nie chodzi wcale o to, że mógłbyś na tym stracić - dodał Han.

- Masz tu pełno zdesperowanych wojskowych, jak zauważyła Leia.

Booster znów prychnął.

- Masz mnie za zgrzybiałego starca? Myślisz, że nie zauważam

już finansowych korzyści? Księżniczko, złożyłem wniosek

o dostęp do strefy zakazanej Korelii w dniu, w którym ją ogłoszono.

GS cały czas trzyma na nim łapę.

Leia stłumiła odruchową chęć zaprotestowania. Booster z takim

przekąsem wymówił słowo „księżniczka”, że poczuła się jak rozkapryszone dziecko. Nie dała się sprowokować, skinęła tylko

ze zrozumieniem głową.

- Cieszę się, że myślimy podobnie. Rozumiem, że wszystko, co musimy teraz zrobić, to poczekać na przyjęcie wniosku.

Booster spojrział na nią kpiąco.

- Sugerujesz, że wasz rząd darzy ciebie i kapitana Krwiste Lampasy aż takim uczuciem?

Leia wytrzymała jego wzrok.

- Nie. Sugeruję, że to mój syn wymachuje swoim mieczem świetlnym w szeregach blokady. A jeśli Lukę Skywalker ogłosi,

że udzielenie „Błędnemu Rycerzowi” zgody na dostęp do strefy

zakazanej jest fatalnym pomysłem, Jacen prawdopodobnie zatwierdzi

wasz wniosek z prędkością nadświatłą.

Przykro jej było wyrażać się w ten sposób o własnym dziecku, jednak od pewnego czasu miała nieodparte wrażenie, że jeśli chodzi o relacje z Lukiem, Jacen postępuje wbrew wszelkim zasadom logiki. Żywił do niego wyraźną urazę i zawsze działał

wbrew jego radom. I chociaż było to dla niej bolesne, Leia uznała,

że już pora na wykorzystanie tego faktu.

- Hm... - Booster coś przez chwilę rozważał, po czym poświęcił uwagę demonstrowanym przez Myri sztuczkom. -

W porządku, moje dziecko, możesz dać sobie spokój.
Zatrudniam
cię.

Myri zamarła w pół ruchu i spojrzała na niego szeroko
otwartymi
oczami.

- Słucham?

- Chciałaś dostać pracę, zgadza się?

Pokreśliła z zakłopotaniem głową.

- Ja tylko ćwiczyłam. Mama mówi, że nadal idzie mi niezbyt
dobrze.

Booster spojrzał na lellę.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś w tym lepsza niż twoja córka?

Obie kobiety zgodnie pokiwały głowami.

- W porządku - skwitował. - Iella, ciebie też zatrudniam.

Iella posłała mu ciepły uśmiech.

- Tylko jeżeli dostaniemy zezwolenie na stacjonowanie w
systemie

Korelii. A jeśli do tego dojdzie, będziemy dla ciebie pracować
za darmo.

- Hej! - zaprotestowała Myri.

- No dobrze, za napiwki.

- Załatwione - potwierdził Booster i zwrócił się ponownie do
Leii.

- Ty też masz załatwione. Szepnij swojemu bratu słówko.

A podczas oczekiwania na pozwolenie, którego jesteście tak
pewni,

pozmieniacie jakoś wasze zbyt sławne bużki i bawcie się do
woli na pokładzie „Błędnego Rycerza” - uśmiechnął się
prawie

serdecznie. -1 nie bójcie się rozrzutności. Nie żałujcie
napiwków.

Coruscant,

apartamentowiec Zorp House

- Jesteś tego pewien? - zapytała Mara.

Neimoidianin obdarzył ją półukłonem, który był do przyjęcia na Coruscant, ale zostałby uznany za zniewagę na światach o bardziej skomplikowanej etykiecie.

- Jestem absolutnie pewien - odpowiedział melodyjnym tonem,

charakterystycznym dla jego ojczystego języka. - Jak zawsze. Współpracuję ściśle z zakonem Jedi, ze Strażą Galaktycznego Sojuszu, z...

- ...i 2 każdym, kto ci zapłaci - dokończył Luke. - A tym razem

zapłacono ci hojnie.

- Nie tyle zapłacono - sprostował urażony Neimoidianin - ile obiecano.

- Przejdźmy do rzeczy - ucięła dyskusję Mara.

Ich przewodnik wcisnął sekwencję przycisków na panelu kontrolnym turbowindy. Na wyświetlaczu zamiast słów „Stan wstrzymania” ukazała się cyfra 1, po czym numery zaczęły rosnać,

w miarę jak nabierali wysokości. Mara poczuła leciutkie szarpnięcie; windy w tak eleganckich budynkach były wyposażone

w kompensatory inercyjne, aby złagodzić dyskomfort związany

z gwałtownymi zmianami wysokości.

- Podczas pierwszego kontaktu - powiedział Neimoidianin

- pytaliście o nagrania z systemu łączności i różne anomalie w nagraniach służb ochrony.

Mara skinęła głową. Parę tygodni temu szczegółowe śledztwo w sprawie zabójstwa mistrzyni Jedi Tresiny Lobi doprowadziło

do tego budynku. Potwierdziło też, że w morderstwo zamieszana

była Lady Sithów Lumiya. Co gorsza, podczas przeszukania jej

apartamentów wyszło na jaw, że ma silne powiązania ze Strażą

Galaktycznego Sojuszu. To z kolei stawiało w kręgu podejrzanych

Jacena, dowódcę SGS.

- Oficerowie śledczy oraz Straż Sojuszu skonfiskowali wszystko, co dało się wynieść z apartamentów - wyjaśnił Neimoidianin.

Turbowinda dotarła właśnie na piętro dwieście dwudzieste ósme. Drzwi otworzyły się, ukazując ich oczom szeroki hol o ścianach pokrytych błyszczącym tworzywem. Neimoidianin opuścił wnętrze windy, a za nim oboje Jedi.

- Zabrali również nagrania z biura monitoringu, osobiste datapady,

legalnie zarejestrowaną broń, androida-służącego, resztki posiłków...

- Dobrze, dobrze - Luke nie był zniecierpliwiony, ale uznał, że musi mu przerwać. - Chyba jednak masz coś dla nas.

- Oczywiście. Zdobyłem kopie wszystkich nagrań rejestrów ochrony. I odkryłem, że podejrzana najczęściej komunikowała się, korzystając z systemu łączności budynku, za pośrednictwem

dwóch portów komunikacyjnych.

Mara wzruszyła ramionami.

- To dość powszechna praktyka w kręgach wywiadu. Sensory wykrywające dźwięk, natężenie i tak dalej, żeby stwierdzić, czy

dana jednostka sieci łączności jest na podsłuchu.

- To nie było tak. - W głosie Neimoidianina zabrzmiało samozadowolenie.

- Nie całkiem. - Poprowadził ich połyskliwym korytarzem, minął dwie pary podwójnych drzwi apartamentów o wysokim standardzie i zatrzymał się przed skromniejszym, nieoznakowanym wejściem. Wyjął datapad i wpisał kod dostępu.

Drzwi otworzyły się z cichym sykiem, świadczącym o złamaniu pieczęci i owionęło ich ciepłe powietrze uwolnione z mieszkania.

Wnętrze za drzwiami skrywał półmrok, ale po chwili panele jarzeniowe na suficie oświetliły wąski schowek i ukazały środki

czystości, dezaktywowanego myszobota, skrzynie pełne części zamiennych i urządzeń elektronicznych.

- Jakies trzy godziny temu podłączyłem nową linię do jej sieci i wysłałem wiadomość z jednego portu do drugiego. Do tej pory nie nadeszła. Za to komunikat wysłany z drugiego portu do

pierwszego dotarł bez problemu.

- Naprawdę? - Mara uśmiechnęła się blado, traktując to jako oznakę jej uznania dla dokonań Neimoidianina. - Więc to tutaj dochodziło do przekierowania.

- Niczego nie dotykałem - zastrzegł się Neimoidianin. - Pamiętam, co mówiliście na temat zasadzek, bomb i trucizn. Zostawiłem wszystko dla was.

- Gdzie to jest?

- Wolałbym najpierw udać się w bezpieczne miejsce, na wypadek

gdyby miało dojść do jakiejś katastrofy. Zanim jednak was

opuszczę, chciałbym dostać obiecaną zapłatę. Wiecie, gdyby coś

się wam stało, moje wysiłki poszłyby na marne...

Mara spojrzała na Luke'a, który kiwnął głową, potwierdzając, że on też nie wyczuwa w słowach ich informatora żadnego zagrożenia.

Wyciągnął z kieszeni u pasa kredkartę i przekazał ją Neimoidianinowi.

- Trzydzieści sekund - powiedział.

Istota ponownie wykonała półukłon.

- Przywołam tymczasem turbowindę. - Pokazał ręką na półki znajdujące się nad głową Luke'a, obrócił się na pięcie i ruszył biegiem.

Luke parsknął rozbawiony.

Mara podskoczyła, wspomagając się Mocą, i wylądowała na najwyższej półce.

Działanie systemu, który odkrył Neimoidianin, wydawało się banalne. Usunięty przez niego panel sufitowy zapewniał dostęp

do kabli przesyłających dane i do rur hydraulicznych.

Podpięty

pod sieć przewodów tkwił wśród nich zwykły datapad. Mara wyjęła

swoje narzędzia i przystąpiła do pracy.

Luke przypatrywał się jej z dołu.

- To pułapka?

- Jakże by inaczej.

Za pomocą rękawic ochronnych, szczypców i innych narzędzi jego żona dobrała się wreszcie do wnętrza datapadu.

- W przedziale zasilania umieszczono baterię mniejszą niż standardowa, a obok ładunek wybuchowy wystarczający do zniszczenia datapadu i urwania ci rąk... - Trochę za późno zorientowała

się, że popełniła nietakt i zerknęła w dół, na swojego męża. - Wybacz, pastuchu.

Luke spojrział na swoją nową dłoń.

- To mało oryginalne jak na kogoś pokroju Lumiyi.

- Zgadza się. - Mara wróciła do rozbierania urządzenia. - Nie byłaby sobą gdyby nie zaserwowała na deser odrobiny trucizny. Trihexalon,

pokryty warstewką środka uszczelniającego. Całe szczęście, że nie wsadziłam w niego palców. Padłabym trupem, a eksplozja

rozpyliłaby dookoła resztę trucizny, która z kolei dostałaby się do

przewodów wentylacyjnych, te zaś umożliwiłyby jej dotarcie do...

- Bardzo ekonomiczne rozwiązanie - podsumował jej mąż.

- W porządku. Już rozbrojone. Mamy ją. - Odłożyła pakunek z trucizną i materiałem wybuchowym na bok, po czym sprawnie

podłączyła własny datapad. Po krótkiej analizie stwierdziła: - Prosty

system przechwytywania i przekierowywania. Komunikaty wysyłane z trzysta siedem-dwanaście alfa do trzysta siedem-dwanaście

beta są przekazywane do minus trzy cztery trzynaście.

- Poziom trzeci, w przyziemiu. To najniższe piętro?

- Tak. Albo prawie najniższe. - Mara odłączyła swój sprzęt, zamknęła datapad Lumiyi i wsunęła materiały wybuchowe wraz

z trucizną do samopieczującego pojemnika. Potem z pudełkiem

w dłoni zeskoczyła na podłogę.

- Wygląda na to, że musimy odwiedzić kolejny lokal.

ROZDZIAŁ 10

Mieszkania na najniższych piętrach były dużo mniej okazałe niż te mieszczące się ponad poziomem ziemi. Plastbetonowy korytarz

pomalowano na neutralny błękitny kolor, na ścianach nie było żadnych ozdób, sufit wisiał nisko nad głową, a drzwi, przy

których umieszczone były otwory na przesyłki, wykonano z jakiegoś

marnego stopu. Wokół unosił się duszący zapach środków sanitarnych, świadczący o podejmowanych przez administrację

budynku próbach walki z awariami kanalizacji.

Mara sprawdzała właśnie elektronikę w okolicy podejrzanych drzwi, kiedy Lukę spostrzegł dwie istoty - Gamorreanina i człowieka

- opuszczające kwaterę położoną kawałek dalej. Obaj nosili niebieskie kombinezony, oznakowane logo apartamentowca Zorp House, i obrzucili ich nieuważnym spojrzeniem, zanim skierowali się w stronę turbowind.

- Wygląda na to, że ten poziom zamieszkują głównie pracownicy

budynku - zauważył Luke.

Mara przytaknęła.

- Może nawet wyłącznie. Zastanawiam się, w jaki sposób Lumiya zdołała uzyskać dostęp do tych kwater.

Niewykluczone,

że fałszowała numery identyfikacyjne i inne dane lub przekupiła

zarządcę, żeby niczego nie zauważał. No, wreszcie mam.

Cofnij

się.

Odsunęła się od wejścia, podobnie jak Luke, który nie czuł w okolicy żadnego zagrożenia. Skrzydła drzwi rozsunęły się ze

zgrzytem sugerującym, że przydałby im się przegląd techniczny.

Odczekali chwilę, licząc się z zasadzką, po czym ostrożnie weszli do środka.

Pomieszczenia były schludne, ale wyposażono je raczej skromnie.

Do głównego pokoju, o rozmiarach mniej więcej cztery na pięć metrów, prowadził krótki korytarzyk, z którego można było

również wejść do dwóch sypialni, kuchni wyposażonej w minimum

niezbędnego sprzętu oraz do odświeżacza. Ściany i sufit pomalowano

na ten sam odcień, co korytarz na zewnątrz, a podłogę wyłożono grubą, miękką wykładziną w kolorze szarawej bieli, wydeptaną tu i ówdzie, ale utrzymaną w czystości. W pokojach

nie znaleźli żadnych mebli poza matą do spania w jednej sypialni

oraz krzesłem w salonie.

Luke i Mara przechodzili ostrożnie z pokoju do pokoju, sprawdzając

dokładnie każdy zakamarek.

W pierwszej sypialni odkryli dwa kombinezony służby Zorp House, w rozmiarze, który pasował na Lumię. Mara przyglądała

się im przez chwilę, po czym wyszarpnęła je ze schowka i cisnęła

na podłogę, aby zbadać dno skrytki.

- Masz coś? - zapytał.

- Ukryty panel, dający dostęp do mechanizmu blokującego.

Na tylnej ścianie schowka są pewnie ukryte drzwi. Co u ciebie?

- Dioda sygnalizacyjna otworu pocztowego nie działa. Znalazłem

datakartę, musiała zostać doręczona po jej ostatniej wizycie.

- Sprawdź ją. Rozpracowanie tego sprzętu zajmie mi jeszcze ze dwie minuty.

Luke wsunął nieoznakowaną kartę do swojego datapadu i obserwował,

jak na ekranie pojawia się żądanie hasła i parę linijek tekstu.

- Zaszifrowane - oznajmił. - Musimy podłączyć go do komputera dekodującego.

Od strony schowka doleciało stłumione przekleństwo po huttańsku.

Luke nie był pewien, czy Mara zareagowała w ten sposób na jego słowa, czy też narzekała na niezbyt skłonny do współpracy mechanizm zamka.

- A propos szyfrowania - podjął - dostałem przed chwilą komunikat

przekierowany z systemu łączności Świątyni. Zaszifrowaną wiadomość od Leii.

Mara wystawiła głowę ze schowka i uniosła brwi.

- Co u niej słychać?

- Mam wrażenie, że nic dobrego. Nie wspomniała o próbie zestrzelenia ich przez Jacena ani o śmierci Noghrich. Mówiła tylko,

że Han wraca do siebie po trafieniu z blastera.

- To chyba dobrze.

- Poprosiła mnie też o coś...

Przedstawił pokrótce swojej żonie plan Leii, zakładający jego rekomendację w sprawie „Błędnego Rycerza”.

Mara wróciła do walki z mechanizmem blokady.

- Brzmi całkiem sprytnie. Jeśli jednak spełnisz jej prośbę, posądzą cię o spiskowanie przeciwko GS. Wiem, jak bardzo ci zależy, żeby nie mieszać się w całą tę zabawę.

Luke westchnął.

- Han i Leia nie są wrogami GS. Są tylko podejrzani o udział w spisku. Jeśli nawet ich zatrzymają i postawią im zarzuty, jestem

pewien, że zostaną szybko oczyszczeni.

- Jasne, jasne. Nie ma to jak nasz wymiar sprawiedliwości, taki łagodny i racjonalny - rzuciła Mara z przekąsem.

- Wiesz, ujawnianie prawdy zawsze jest sprawiedliwe... nieważne,

jak bolesne. Skoro już o tym mowa... - jeśli kiedykolwiek zbankrutujesz, zawsze możesz wymienić mnie na gotówkę.

Mara odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Jak zwykle wiesz, co powiedzieć.

- Nie zaprzeczę.

Odwróciła się do mechanizmu zamka i dokonała paru ostatnich

poprawek.

- I tu cię mam.

Luke usłyszał cichy stuk dochodzący z wnętrza schowka i w tej

samej chwili ujrzał, jak Mara odchyła się gwałtownie w tył i ląduje

płynnie, podpierając się dłonią o podłogę.

Strzałka - jeśli drzewce mierzące około metra, wykonane z polerowanej

durastali, można było nazwać strzałką - wyfrunęła ze

schowka na poziomie jej pasa i utkwiała w przeciwległej ścianie.

Głos Luke'a zabrzmiał, jakby zamawiał posiłek, na który nie miał najmniejszej ochoty:

- Uważaj, pułapka!

- Dzięki. - Mara podniosła się z podłogi.

Z mroku za otwartymi drzwiami schowka dolatywało ciepłe powietrze, przesycone ostrymi zapachami podziemi Coruscant:

naturalnej i yuuzhańskiej flory, zastąej wody, plastbetonu tak wiekowego, że w niektórych miejscach zamienił się w pył, i odległych ścieków.

Zapalili prety jarzeniowe i weszli do korytarza, który stanowił zapewne drogę do tunelu naprawczego umożliwiającego dostęp

do głównych instalacji budynku. Przeszli nim jakieś trzydzieści

metrów w jedną i dwadzieścia w drugą stronę - co wystarczyło,

żeby się upewnić, że wszystkie połączenia z większymi, bardziej

uczęszczanymi odnogami zostały zablokowane potężnymi, plastbetonowymi czopami, wyposażonymi w sprytnie zamaskowane włazy.

- Jej prywatne wyjście i wejście do budynku - ocenił Luke.

- Najprawdopodobniej droga ewakuacyjna. Wygląda na to, że nie korzystała z niej od zabicia mistrzyni Lobi.

- To niestety niczego nie wyjaśnia. - Mara wydawała się poirytowana.

- Może datakarta powie nam coś więcej. Jeśli nie,

proponuję odwiedzić naszego Neimoidianina i odzyskać pieniądze.

**Coruscant, Świątynia Jedi,
siedziba oddziału do poszukiwań Alemy Rar**

Wydawało się dziwne, że fanatycznie oddany wojskowym tradycjom Jag Fel tak swobodnie kieruje swoim niewielkim oddziałem

do zadań specjalnych. Bywały chwile, gdy Jainie taki stan rzeczy bardzo odpowiadał. Tak było i teraz. Biuro, które przekazał do ich dyspozycji Luke, było wystarczająco duże, żeby pomieścić parę stanowisk pracy, sporo wyświetlaczy oraz

całą masę innego sprzętu. Mieli nawet osobne pomieszczenie, gdzie mógłby stanąć śmigacz, gdyby tylko było go jak wprowadzić.

Jag zorganizował w tym pokoju salę do ćwiczeń. Obaj z Zekkiem, półnadzy, podciągali się właśnie na drążkach; Jaina

siedziała przy terminalu, znad którego obserwowała ich ukradkiem.

Walka - bo była to walka, chociaż żaden z mężczyzn nigdy by się do tego nie przyznał - wyglądała na zadziwiająco wyrównaną.

Zekk miał do dyspozycji Moc, która pozwalała mu regenerować

siły, ale był wyższy i mimo że szczupły, cięższy od Jaga.

Każde podciągnięcie wymagało więc od niego nieco więcej wysiłku.

Poza tym nadal dochodził do siebie po doznanych nie tak dawno obrażeniach. Operacja, bacta, techniki uzdrawiające Jedi

oraz zwykły odpoczynek zdziałały cuda, ale widać było, że młody

Jedi nie jest jeszcze w pełni sprawny. Jego pierś przecinała szeroka blizna - jedyny widoczny ślad po odniesionej ranie. Jag był troszkę niższy i bardziej muskularny, ale w zdecydowanie

lepszej formie. Jego mięśnie były bardziej nawykłe do wysiłku i chociaż nie mógł korzystać z Mocy, siła dodawała mu zaciętość, z której słynęli jego przodkowie - rody Fel i Antilles.

Zatrzymał się w połowie ćwiczenia.

- Co tu dużo mówić, czas ucieka, a my nie natrafiliśmy na żaden ślad Alemy. Podpięliśmy nasz program do układu monitorującego

świątynię, do systemu bezpieczeństwa dostępnych części gmachu Senatu, prywatnych kwater Skywalkerów i innych miejsc, gdzie bywają od czasu do czasu... - i nie zarejestrowaliśmy

nic. Kompletnie nic. Zekk, chyba źle to robimy.

- A co, powinniśmy ćwiczyć na siedząco?

Jag skrzywił się, opadł i rozpoczął kolejną serię dziesięciu ćwiczeń na drążku.

- Poczucie humoru typowe dla Jedi. Nie, nie to miałem na myśli.

- Jag chciał powiedzieć - odezwała się Jaina - że wujek Luke może nie być celem Alemy, w przeciwnym razie wykrylibyśmy jej

obecność. Co z kolei może oznaczać, że poluje na moją matkę.

- Tak sądzisz? - Zekk zakończył serię ćwiczeń, opadł na podłogę

i sięgnął po ręcznik. - W takiej sytuacji powinniśmy zacząć śledzić twoich rodziców.

Jaina pokręciła głową.

- Gdyby to było takie proste, Alema już by ich znalazła.

Jag, mrużąc coś pod nosem podczas wykonywania następnej

dziesiątki ćwiczeń, która dawała mu - jak zauważyła Jaina - przewagę jednej serii nad Zekkiem, przytaknął, dokończył odliczanie i opadł na podłogę.

- Musimy zainstalować oprogramowanie monitorujące w miejscach, gdzie twoi rodzice mogą się pokazać. W portach przemysłowych, kasynach oraz wątpliwego autoramentu punktach tu czy gdziekolwiek, nawet na Korelii... - przerwał, zastanawiając się nad tą ostatnią ewentualnością. - Nie wiem, czy nie przydałaby nam się pomoc wywiadu Galaktycznego Sojuszu.

Strumień powietrza z wentylatora na odległej ścianie dotarł do Jaina, która zmarszczyła nos.

- Za to na pewno nie potrzeba wywiadu Sojuszu, żeby stwierdzić, skąd dolatuje ten zapach. Obaj powinniście pognać do odświeżacza, pod paroprysznic. Mówiąc bez ogródek, śmierdźcie.

Jag spojrzał na Zekka i wskazał drzwi.

- Ty pierwszy.

- Ależ nie, to ty masz pierwszeństwo.

- Jestem niższy, więc mniej śmierdzę. To logiczne. Proszę.

Zekk zmarszczył się, ale nie widząc sposobu na pokonanie uporu Jaga i pamiętając, że był od niego wyższy rangą zarzucił

ręcznik na szyję i wyszedł.

Jaina westchnęła. Zekk twierdził, że już mu na niej nie zależy, ale w miarę jak wracał do zdrowia, coraz bardziej pilnował, żeby

nie zostawić jej sam na sam z Jagiem. Nie miał się czym martwić.

Jag najwyraźniej znosił jej obecność jedynie dlatego, że na tym polegała jego praca - i dał jej to wyraźnie do zrozumienia w dniu, gdy Luke przydzielił ją do jego grupy. Jednak z czasem skrepowanie towarzyszące ich paru pierwszym spotkaniom zelzało, a Jag stał się mniej oziębły, jego sposób bycia zaś mniej ostentacyjny. Jaina czuła, że nie żywi już do niej tak wyraźnej urazy. Ciekawa była, czy wybaczył jej, że wzięła udział w pozbawieniu go... no cóż, właściwie wszystkiego. Oprócz tego, co mu zostało - ciała i umiejętności... ...nie, żeby od zawsze ich nie podziwiała. Rozdeptała tę myśl, jak natrętnego insekta. Jej stosunki z Zekkiem stanowiły zamknięty rozdział, łączyła ich tylko przyjaźń i partnerski układ. Nic nie łączyło jej już także z Jagiem, najwyżej konieczność współpracy wynikająca z sytuacji oraz - na co liczyła - szacunek, który być może kiedyś pozwoli mu zapomnieć o żalu do niej. Skończyła z mężczyznami. Miała szczęście w walce, ale nie w miłości. Poza tym była mieczem Jedi. Zrozumienie, co to oznacza i jakie niesie ze sobą konsekwencje, mogło zająć jej całe życie - więc nie pozwoli sobie na dekoncentrację tylko dlatego, że coś ją podkusiło do wplątania się w kolejny zgubny romans. Uświadomiła sobie, że Jag nadal stoi w drzwiach.

- Coś jeszcze, pułkowniku? - zapytała i skrzywiła się mimowolnie.

Nawet w jej własnych uszach te słowa zabrzmiały lekceważąco.

Zwróciła się do niego, używając stopnia, którego został pozbawiony, zupełnie jakby celowo zamierzała go zranić.

Jag zarzucił ręcznik na szyję, naśladując wcześniejszy gest Zekka, i obdarzył ją wymuszonym uśmiechem.

- Pułkownik... chyba niekoniecznie, Jedi Solo - powiedział, odwrócił się i wymaszerował z pokoju.

Wstała odruchowo, by go dogonić, ale opadła z powrotem na krzesło. Nie chciała go urazić - odziedziczyła ostry język po matce, brakowało jej jednak dyplomatycznych manier, które

tak ułatwiały Leii obracanie się w światku polityki. Mówiąc krótko - nie potrafiła ugryźć się w język, gdy zachodziła taka potrzeba. Zważając jednak na zaistniałą sytuację, może tak było

lepiej.

Musiała trzymać się od Jaga na dystans, ale nie chciała go krzywdzić. I nie wiedziała, jak osiągnąć oba cele. Nie wiedziała

nawet, czy chce je osiągnąć - obydwaj lub każdy z osobna. Czasem

miała ochotę go krzywdzić. Czasem nie chciała utrzymywać go na dystans.

A niech go jasny szlag, nie ma prawa mieszać mi w głowie, pomyślała.

Commenor,

rezydencja prezydenta

Transmisja holograficzna ukazywała kobietę nieprzeciętnej urody. Jej rysy stanowiły dobitne świadectwo arystokratycznego

pochodzenia, wzór doskonałości typowy dla rodowitych Hapanek.

Rasowa mieszkanka Hapes, powiedział do siebie Fyor Rodan. Ta myśl sprawiła, że jego podejrzliwość wzrosła.

- Twoi ministrowie wojny i wywiadu kłócą się ze sobą i marnują

czas - oznajmiła jego rozmówczyni. Pokręciła głową ze smutną miną, a jej złociste loki zakołysały się. - A przecież muszą

wiedzieć, że wasza flota może zostać rozbita w pył przez siły Galaktycznego Sojuszu, jeśli popełnią błąd. A to stanowiłoby katastrofę. Opóźnianie działań może być równie zgubne w skutkach.

Korelia wkrótce upadnie, a wtedy wasz atak będzie równoznaczny

z samobójstwem. Już wkrótce Sojusz zwróci uwagę na Commenor i na wasze działania, a wtedy możecie być bardziej niż pewni klęski.

- Wydaje mi się - parsknął Rodan - że liczysz na jakieś korzyści,

starając się dotrzeć do dobrze strzeżonej tajemnicy, chociaż osoby twojego pokroju nie powinny marnować naszego cennego

czasu. To jednak nie dowodzi, że twoje przypuszczenia są słuszne. Tak, rząd Commenoru opowiedział się przeciwko agresji

Sojuszu i za niepodległością Korelii. To nie oznacza jednak stanu

wojny. Nikt nie przygotowuje floty do ataku.

Nieznajoma uśmiechnęła się z odcieniem wyższości.

- Jak na istotę ludzką, wykonałeś niezłą robotę, ustanawiając na Commenorze taki rząd, jaki planowałeś dla Nowej Republiki.

Nie ma w nim miejsca na działania takich bezczelnych luzaków

jak Jedi, wprowadzających własne zasady. Ale ta sama ostrożność,

która kazała ci trzymać Jedi z daleka, może teraz stać się przyczyną twojej zguby. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Jesteś rozsądny...

- Jak na istotę ludzką - dorzucił kpiąco.

- Jak na istotę ludzką - powtórzyła bez śladu ironii. - Zamierzam

wyświadczyć ci dwie przysługi. Przekażę ci pakiet danych, które pochodzą od moich kontaktów w szeregach Straży Galaktycznego

Sojuszu. Fawio?

Odpowiedział jej głos kogoś znajdującego się poza zasięgiem holokamery:

- Transmituję, pani.

Rodan miał ochotę się skrzywić. Wyobraził sobie jej pomocnika

jako typowego hapańskiego dworaka, o ciele wyrzeźbionym dietą i ćwiczeniami, a umyśle spaczonym przez hedonistyczne życie, jakie prowadził - maskotkę kobiety, którą nazywał panią.

Jego rozmówczyni kontynuowała:

- Są to plany dowodzące, że Sojusz zamierza przeprowadzić atak na Commenor, dokładnie miesiąc po upadku Korelii.

- Rozumiem - powiedział Rodan, starając się, aby jego głos brzmiał naturalnie.

- Twoi ludzie poddaje analizie i potwierdzą ich autentyczność

- ciągnęła - co udowodni moją wiarygodność. Parę dni później prześlę wam terminy i schematy działań pozostałych flot,

które mają zaatakować Korelię. Flot, które zdane same na siebie nie dałyby rady odnieść zwycięstwa, ale z pomocą Commenoru muszą wygrać.

- Dziękuję, pani - zdołał tylko wykrztusić Rodan.

Hapanka uśmiechnęła się i jej wizerunek znikł.

Rodan sprawdził wyświetlacz swojego komunikatora, aby upewnić

się, że transmisja została zakończona i że pakiet danych spoczywa

bezpiecznie w jego komputerze. Potem spędził dłuższy czas na

rozmyślaniach, pozornie spokojny, ale roztrzęsiony wewnątrz.

Wiele z tego, co mówiła kobieta, było prawdą, a już na pewno część dotycząca działań jego ministrów. Jeśli była równie szczerą

w kwestii planów ataku, Rodan musi zacząć działać... jego ministrowie

nie mogli dłużej zwlekać.

- Vee-Ell Eight! - zawołał.

Jego android-sekretarz momentalnie znalazł się tuż obok.

- Tak, sir?

- Przetransmituj te dane do ministrów wojny i wywiadu oraz do wszystkich naszych najlepszych analityków wojskowych. Nadaj

temu rangę najwyższej tajności i dołącz notkę, że informacje wymagają szczegółowej analizy. Potem zorganizuj spotkanie wszystkich zainteresowanych ze mną jutro w południe.

- Tak jest, proszę pana.

System gwiazdny MZX32905,

okolice planety Bimmiel

Lumiya czekała, aż android medyczny dotrze do jej posłania.

Zdrowiała w szybkim tempie, powinna odzyskać sprawność fizyczną w ciągu kilku dni. Nadal była jednak osłabiona i musiała mieć opiekę medyczną pod ręką na wypadek, gdyby zadanie, którego właśnie zamierzała się podjąć, zbyt ją wyczerpało. Zamknęła oczy i pozwoliła potężnej Ciemnej Stronie otoczyć ją przeniknąc na wskroś jej ciało i umysł. Teraz mogła się skoncentrować na poszukiwaniach odległego celu - umysłu, którego dotykała wielokrotnie i przekształcała podczas tych kontaktów, umysłu, który uczyniła tak bliskim i wyjątkowym, że mogłaby go odnaleźć w każdym zakątku galaktyki. Było jej tym łatwiej, że wiedziała, na jakiej planecie należy szukać, ale i tak zajęło to długie, pełne wysiłku minuty. Wewnętrzny okiem widziała, jak płonie silnym, złocistym blaskiem, otoczony niewielkimi czerwonymi iskierkami. Blask był nieco słabszy niż poprzednio - zapewne dzięki staraniom przeciwników usiłujących zniwelować jej wpływ. Ale to im się udało tylko częściowo. Lumiya uśmiechnęła się. Techniki wroga nigdy nie dorównywały jej własnym. Oddziaływała na umysł, dopóki całkowicie nie wypełnił jej wizji, a później umieściła w nim cząstkę swojej świadomości. Nadszedł moment na drugi etap tej skomplikowanej techniki Sithów. Wycofała się z umysłu, by poszukać innych obecnych w pobliżu świadomości. I odnalazła je - mieniące się najróżniejszymi odcieniami, jednak żadnej nie otaczały czerwone iskierki stanowiące świadectwo jej ingerencji. Badała każdy umysł po kolei. Większość była czujna i silna,

zbyt silna, żeby Lumiya mogła wpłynąć na nie z tej odległości.

Inne były za bardzo rozkojarzone, zbyt słabe, żeby dało się je wykorzystać.

Gdy dotykała ich za pośrednictwem Mocy, rozpraszały się na mniejsze, niespójne błyski. Wiedziała, że były to umysły

więźniów... czyli pacjentów.

W końcu odnalazła odpowiedni egzemplarz. Był silny i zrównoważony,

ale nie bronił się przed jej dotykiem; istota, do której należał, prawdopodobnie spała. Lady Sithów, penetrując jego zakamarki

jej umysłu, zorientowała się, że to Quarrenka.

Niczym widmowy pasożyt usadowiła się w jego jądrze i nawiązała

stabilną nić kontaktu, wysysając energię zarówno z jaźni, jak i z ciała, które ją podtrzymywało. Nie mogła wykorzystać tej

energii dla swoich celów, chociaż rozpaczliwie tego potrzebowała,

a jej własne ciało zaczynało drżeć z wysiłku. Mogła jednak - i miała taki zamiar - wykorzystać ją w inny sposób.

W końcu udało się jej całkowicie wniknąć w świadomość oddalonej

o wiele kilometrów Quarrenki i wyszukać w jej umyśle miejsca,

które odpowiadały za pamięć otoczenia. Nareszcie mogła widzieć.

Uniosła się nad ciałem swojej ofiary. Ziemno-wodna istota, ubrana w fartuch personelu medycznego, drzemała, pochylona nad biurkiem. Znajdowała się w niewielkim biurze pełnym komputerów,

gdzie półmrok rozjaśniał jedynie nikły blask monitorów.
Okno na przeciwległej ścianie wychodziło na front budynku
i nie widać było przez nie żadnego ruchu na zewnątrz.

Uchylone

drzwi prowadziły na jasno oświetlony korytarz.

Lumiya przystąpiła do roboty. Nadal zanurzona w umyśle
śpiącej kobiety, wyszeptała:

- Otwórz oczy. Wstań. Czeka nas sporo roboty. Kontrola
odczytów,

wydawanie poleceń...

Quarrenka podniosła się od biurka. Jej oczy były szkliste,
a macki twarzowe wiły się niespokojnie.

Parę minut później Lumiya doprowadziła Quarrenkę z
powrotem

do biurka i pozwoliła jej ponownie zasnąć, a sama wysliznęła
się z pokoju w poszukiwaniu pewnej osoby. Niezwykle
przydatnej
osoby.

**Galactic City, Coruscant,
szpital psychiatrycznej opieki zdrowotnej
dla kombatantów**

Matric Klauskin, były dowódca sił zbrojnych Drugiej Floty
Korelii, od paru tygodni również pacjent nadopiekuńczego
szpitala,

zbudził się ze snu. Niewielki pokój, który mu przydzielono,
był jak zwykle pogrążony w mroku i w ciszy. Nieliczne meble
odbijały światła miasta, filtrowane przez transpastalowy panel
widokowy. Wszystko było w absolutnym porządku.

A może niezupełnie. Drzwi do jego celi były otwarte.

Zmarszczył brwi. Pokój otwierano jedynie podczas obchodu
lub gdy jego opiekun społeczny z marynarki Sojuszu
odwiedzał

go, aby zapewnić, że wszystko jest w porządku i że nie zapomnieli o nim.

A teraz drzwi były otwarte i nikogo nie było w pobliżu.

Usiadł na łóżku, a prześcieradło zsunęło mu się z ramion.

Uświadomił

sobie, że ktoś stoi obok jego łóżka. Spojrzał w górę.

To była Edela. Oczywiście, że to Edela, znalazł się tu przecież z jej powodu. Uśmiechała się i patrzyła na niego jakże znajomym,

pełnym miłości i oddania wzrokiem. Miała na sobie połyskliwą

suknię z syntjedwabiu w kolorze burgunda.

Schudła; jej kształty, bardzo obfite, gdy ostatni raz ją widział, można było teraz określić jako „sympatycznie pulchne”. We włosach

nie było śladu siwizny. Matric uświadomił sobie, że była nie tylko szczuplejsza, ale i wyraźnie młodsza - wyglądała jak w czasach, gdy byli jakieś pięć czy dziesięć lat po ślubie.

- Witaj, kochanie - przemówił. - Wiesz, że nie żyjesz?

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Oczywiście, że nie żyję. Od lat. Ale to nie oznacza, że nie istnieję.

- Cóż, w tym sęk, nieprawdaż? Lekarze twierdzą, że istniejesz wyłącznie w mojej głowie. Ale mówią też, że jest z nią nieco lepiej.

- Istnieję nie tylko w twojej świadomości. Jestem prawdziwa. Wytwory wyobraźni nie mogłyby otworzyć drzwi i spróbować cię uwolnić, nie sądzisz?

Klauskin ponownie zerknął na drzwi. Z całą pewnością nadal były otwarte.

- Z tego wynika, że znów śnię. A te drzwi są zamknięte.

- Nie są, i możesz to łatwo sprawdzić. - Nagle Edela wydała

się zniecierpliwiona. - Kochanie, okłamano cię, wszyscy byliśmy

okłamywani. Korelianie mieli rację, my zaś zdradziliśmy własnych ludzi, zwracając się przeciwko nim.

Klauskin zmarszczył czoło. Wiedział, że jego umysł jest nieco przytępiony; może dlatego nie bardzo potrafił zrozumieć, w jaki

sposób wyrządził krzywdę swojemu rodzinnemu Commenorowi,

przeciwstawiając się Korelii. Co prawda rząd Commenoru poparł

Korelię, ale na tym właśnie polegała polityka.

- Commenor i Bothawui zamierzają wesprzeć Korelię - ciągnęła

Edela. - Ty zaś, kochanie, zostałeś uwięziony i wmówiono ci, że jesteś chory... wszystko po to, aby Sojusz nie pozwolił ci pospieszyć na pomoc naszemu światu.

Klauskin westchnął. Prawda była ostatnimi czasy rzadkim towarem, więc trudno było ufać komukolwiek, nie mówiąc już o własnej, nieżyjącej od lat żonie.

- Albo tu jesteś, albo cię nie ma - odezwał się.

W głosie Edeli usłyszał cień zdziwienia.

- Zgadza się.

- A ja jestem albo więźniem, albo pacjentem.

- Dokładnie.

- A Commenor i Bothawui albo są w stanie wojny, albo nie.

- Właśnie.

- Muszę znać prawdę, ponieważ tylko prawdę można zweryfikować.

Przykro mi, skarbie. Zamierzam przejść przez drzwi

1 się obudzić. Jeśli tak się nie stanie, będzie to znaczyło, że mówisz

prawdę.

- Nie przepraszaaj, Matric. Wiem, że to dla ciebie ciężki okres. Klauskin wstał. Poczłł chłód, gdy jego nagie stopy dotknęły płytek podłogi. Wyszedł przez drzwi i rozejrzał się na lewo i na

prawo, przypatrując się uważnie innym drzwiom w korytarzu - wszystkie były zamknięte. Edela również wyszła i dołączyła do niego.

Klauskin podniósł dłoń do ust i zacisnął zęby na płacie skóry łączącej kciuk z palcem wskazującym. Zabolało. Zaciskał szczęki,

aż poczuł smak krwi i nie przestał, dopóki mógł znieść ból.

W końcu opuścił rękę.

- Przekonałaś mnie - powiedział skołowany.

- To dobrze. Bo czeka cię mnóstwo roboty. Zamierzam wyprowadzić

cię z tego więzienia. Na zewnątrz przyjaciele dadzą

ci ubranie, zapewnią transport i dokumenty. - Żona przybrała

współczującą minę. - Byłeś bohaterem Sojuszu... ale ci niewdzięcznicy

zwrócili się przeciwko tobie. Nadszedł czas, żebyś

powrócił jako bohater Commenoru.

System gwiazdny MZX32905,

okolice planety Bimmiel

Gdy stali na chodniku przed szpitalem psychiatrycznym, Lumiya

dała Klauskinowi ostatniego słodkiego całusa. Jej wstrząsane

drgawkami ciało przenosiło dreszcze na widmową postać

żony wojskowego, ale zdołała zachować nad sobą kontrolę do samego końca.

Pozwoliła Edeli rozpląnąć się w nicości, a jej własna świadomość

powróciła do ciała. I wtedy ból i niemoc zaatakowały

niczym rój kąsających wściekle insektów. Po pierwszym silnym

skurczu uniosła się gwałtownie do pozycji siedzącej i o mało nie

zsunęła z posłania. Zmusiła się, aby położyć się ponownie. Jej kończyny - nawet te sztuczne - dygotały z wysiłku.

- Pani? - zagadnął android medyczny. - Słyszysz mnie?

- Tak... - Machnęła lekko dłonią, próbując zasygnalizować, że nie potrzebuje jego pomocy.

Ta wyprawa trwała dłużej i była trudniejsza od poprzednich, co oznaczało, że odzyskiwanie sił potrwa także dłużej.

Zastanawiała

się, co by się stało, gdyby była zmuszona kontynuować misję aż do momentu, gdy opadnie z sił. Umarłaby czy została na

Coruscant, w utkanym z iluzji ciele martwej żony wojskowego,

na zawsze krążąc w pobliżu mężczyzny, którego celowo doprowadziła do obłędu?

Nie znała odpowiedzi i nie miało to szczególnego znaczenia.

Udało

się. Klauskin posłusznie rozpocznie teraz realizację jej planów.

Galaktyczny Sojusz okazał niezwykłą skrupulatność w zatuszowaniu

szczegółów załamania psychicznego Klauskina. Sądzili, że postępują miłosiernie, na wypadek gdyby Klauskin pomyślnie

przeszedł kurację i pewnego dnia był zdolny do ponownego objęcia stanowiska dowódcy, nawet na niższym szczeblu. Jego oficjalne dokumenty wspominały jedynie, że ma urlop zdrowotny,

którego przyczyną mógł być uraz fizyczny lub poważne problemy

rodzinne. Nadal zachował rangę admirała.

W ten oto sposób, nie informując floty, że Klauskin stał się ofiarą niebezpiecznych halucynacji, przesądzili swój los...

Z tą myślą Lumiya zasnęła.

Drewwa, księżyc Almanii,

port kosmiczny Drewwy

Inspekcje celne, jak stwierdził Ben, były stanowczo zbyt uciążliwe.

Podróż do systemu Almanii znajdującego się w obrębie Zewnętrznych

Rubieży była długa i nudna. Ben większość czasu spał albo czytał w swoim datapadzie teksty Jedi. Przeważnie były

to informacje o jego dziadku Anakinie Skywalkerze, potrzebne

mu do napisania pracy na jego temat. Niewiele rozmawiał z towarzyszami

podróży, bo nie chciał, żeby go zapamiętali.

W końcu transportowiec wylądował na księżycu Drewwa. Na razie młody Skywalker mógł o nim powiedzieć tylko tyle, że miejscowy port kosmiczny miał niezwykle skomplikowany system

ochrony i taki sam system celny. Ben ustawił się w kolejce do inspekcji. Niósł swój niewielki plecak i pas z kieszeniami, przygotowany do wejścia do dwudziestometrowego tunelu najeżonego

czujnikami. W środku miał zostać poddany skanowaniu na tuzin różnych sposobów, a potem czekało go wyłożenie na stół swoich rzeczy osobistych, które następnie zostaną poddane

kontroli ręcznej, ze szczególnym uwzględnieniem
wszystkiego,

co czujniki wskażą jako wymagające wyjątkowej uwagi.

Nie było sposobu, aby jego miecz świetlny pozostał
niewykryty,

a chciał go zabrać ze sobą do tunelu.

Każdy, kto wchodził do korytarza kontroli, musiał najpierw
minąć bramkę bezpieczeństwa, wysoką na siedem lub osiem
metrów.

Od szczytu bramki do sufitu były jakieś trzy metry. Nad
bramką, na suficie umieszczono liczne punkty jarzeniowe.

Wspomagając się Mocą Ben mógł spróbować odbić się od
metalowej przegrody nad wejściem do tunelu i dać susa na
szczyt

bramki. Gdyby pobiegł wzdłuż tunelu, minąłby podobną
bramkę

na jego odległym końcu i wbiegł na teren zabudowań celnych,
niepodlegających ochronie, aby następnie zniknąć w
ciemnościach

nocy.

Zakładając, że na zewnątrz panowała noc. Tak czy owak,
holokamery

w całym budynku wszystko zarejestrują i jego zdjęcie

w ciągu godziny znajdzie się w datapadzie każdego strażnika.

Przyznał sam przed sobą że byłoby to nieco... kłopotliwe.

Nagle przypomniał sobie androida treningowego ze Świątyni
Jedi i piankostalowe piłeczki i wiedział już, co ma robić.

Spojrzał w górę i odnalazł klosz osłaniający grupę prętów
jarzeniowych.

Znajdowały się ponad nim i nieco z tyłu.

Sięgnął do klosza poprzez Moc, chwycił go, szarpnął i poczuł,
jak obudowa zakołysała się delikatnie. Zmarszczył czoło.

Osłona

była mocno osadzona w gnieździe. Skupił się bardziej, wkładając

w koncentrację cały wysiłek.

Obudowa ześlizgnęła się ze sworzni mocujących ją do sufitu i spadła na permabetonową podłogę. Tuzin prętów jarzeniowych

roztrzaskał się, posyłając we wszystkich kierunkach odłamki szkła.

Wszyscy odwrócili się, aby sprawdzić, co się dzieje, a do grupy

oczekujących zbliżył się jeden z uzbrojonych strażników. Ben dyskretnie użył Mocy, posyłając swój miecz świetlny w kierunku

sufitu. Ponad prętami jarzeniowymi był ledwie widoczny.

Chłopiec

zmusił go do lotu wzdłuż stropu, dopóki nie znalazł się nad oświetleniem bramki na odległym końcu tunelu... wtedy z niezwykłą

ostrożnością opuścił go, aż wylądował w wiązce prętów jarzeniowych.

- Zatrzymujesz kolejkę, pętaku - odezwała się starsza kobieta, tak chuda, że zdawała się składać z samej skóry i kości.

Patrzyła

na niego surowym wzrokiem.

- Przepraszam - odpowiedział Ben i ruszył w kierunku tunelu.

- Przepraszanie niczego nie zmieni. Trzeba było tego nie robić!

- Przykro mi.

- Jesteś bezczelny.

- Przykro mi... - Ben miał szczerą ochotę wykorzystać swoje umiejętności i sprawić, żeby staruszka się potknęła. Albo zapchać

jej usta permabetonem.

Nie. Nie wolno tak myśleć. Była w podeszłym wieku i nie chciał jej krzywdzić.

Z drugiej strony mała nauczka dobrze by jej zrobiła.

Na drugim końcu tunelu przekazał swoją torbę i pas oficerowi inspekcji w szarym mundurze i czekał, zastanawiając się, co zrobić ze staruszką. Jak w takiej sytuacji zachowałby się Jacen?

Ben pokręcił głową. Nie było się nad czym zastanawiać. Nikt nie

odezwałby się takim tonem do pułkownika Jacena Solo, nawet kiedy jeszcze nie był sławny.

Ale dlaczego? Bo był wysoki i przystojny? Nie. Taki Luke nie był ani zbyt wysoki, ani przystojny... nie pozwalała na to jego pokryta bliznami twarz. Mimo to każdy odnosił się do niego z szacunkiem.

Luke i Jacen budzili respekt, bo każdy wiedział, że kiepskim pomysłem byłoby z nimi zadzierać, zważając na ich wygląd i dokonania.

Ben nie miał tego szczęścia, ponieważ nie był sławny, a jego aparycja nie zapewniała mu szacunku.

- Jesteś bardzo złym chłopcem - zrzędziła nadal starucha.

Ben spojrzał na nią złym okiem.

- Cofam to.

- Cofasz co?

- Przeprosiny. Powiedziałem, że jest mi przykro, ale pani tego nie doceniła. Użyła ich pani jako pretekstu, aby dalej mówić

niemiłe rzeczy. Ma pani maniery chorej na niestrawność banthy.

Mam nadzieję, że pani dzieci wychowały piraniożuki, może są dzięki temu miłsze niż ich matka.

Kobieta zrobiła krok w jego stronę z twarzą wykrzywioną

złością. Ben wyczuł, że ma zamiar powiedzieć mu do słuchu kilka

niezbyt przyjemnych słów.

Skoncentrował na niej pełne gniewu spojrzenie i wzmocnił efekt,

używając Mocy. - Jak ci się to podoba? - zapytał prawie głośno.

Spójrz, kim kiedyś będę.

Cofnęła się mimo woli, a jej twarz poszarzała. Odwróciła się sztywno od Bena, podsuwając swoją torbę oficerowi inspekcji. Rozglądała się rozbieganym wzrokiem dookoła, byle tylko nie patrzeć na Bena, i mamrotała coś do siebie.

Oficer obsługujący Bena zwrócił mu jego torbę, uśmiechając się pod nosem, i uniósł rękę z kciukiem skierowanym ku górze.

Zaskoczony Ben odwzajemnił nieśmiało uśmiech. Odwrócił się i pomaszzerował w kierunku drzwi wyjściowych.

Oto, jak postąpiłby Jacen, będąc w moim wieku, pomyślał z dumą.

Dotarłszy do drzwi, pozwolił, aby miecz wskoczył mu w dłoń, i wyszedł na zewnątrz, znikając w mroku nocy.

ROZDZIAŁ 11

Drewwa, księżyc Almanii

W szarym świetle brzasku Ben stał pod markizą kawiarni z ogródkiem, tuż przy wymarłej ulicy, i patrzył na strzelistą sylwetkę budynku, w którym mieściła się siedziba firmy Crossroutes

Business. Wydawała mu się wyjątkowo niegustowna.

Zielonkawy, okrągły blok ciągnął się osiemset metrów w górę, a żółtawobiałe ozdobne pierścienie otaczały go co pięć pięter.

Te

pierścienie nie mogły, według Bena, służyć czemu innemu niż ozdoba. Chyba że przemieszczały się w górę i w dół budynku jak

ogromne turbowindy.

Datakarta, którą przekazała mu Seha, zawierała informacje na temat Drewwy. Znalazł na niej wzmiankę, że budynek Crossroutes

stanowił dla tubylców jedno z niewielu świadectw, że poza Almanią toczyło się jakieś życie. Trang Robotics, jedno z największych

przedsiębiorstw przemysłowych w systemie, zajmowało się na dużą skalę handlem systemami komputerowymi i androidami.

Prowadzili interesy z Sojuszem, z Chissami i innymi liczącymi się

klientami, jednak mieszkańcy planety świadomie ignorowali fakt,

że poza ich systemem gwiazdnym może istnieć coś jeszcze.

Nieliczne firmy, takie jak Crossroutes, wydawały się istnieć głównie po to, by przekonywać Almańczyków, że są w błędzie.

W budynku mieściły się oddziały lokalne setek firm spoza systemu,

próbujących - zwykle z dobrym skutkiem - zawierać korzystne transakcje z miejscowymi firmami zajmującymi się produkcją urządzeń lub - przeważnie bezskutecznie - sprzedawać własne produkty lokalnym nabywcom.

O tak wczesnej porze do biur Crossroutes płynął już strumień pracowników. Większość z nich rzucała Benowi podejrzliwe spojrzenia, mimo że pochodzili spoza systemu, podobnie jak on

sam. Chłopiec planował w odpowiednim momencie dołączenie

do nich, wjechanie na dwieście piętnaste piętro, włamanie się do gabloty, zamianą prawdziwego amuletu na fałszywy i niepostrzeżenie opuszczenie budynku.

Zaraz, zaraz. Nie tak prędko, zdecydował. Tym razem głos, który szeptał mu do ucha, zdawał się należeć do jego matki, nie

Jacena.

- Pierwszym krokiem w każdej operacji wywiadowczej - powtarzała mu zawsze - jest zgromadzenie danych. Aby opracować dobry plan działania, musisz mieć odpowiednią ilość informacji.

Jeśli działasz bez informacji, możesz być pewien porażki.

- Ale Jedi tak nie robią! - zaprotestował wtedy. - Oni po prostu wkraczają do akcji i rozwiązują problem.

Obdarzyła go chytrym uśmieszkiem.

- I dlatego stają się sławni, zgadza się?

- Tak!

- Cóż, musisz wiedzieć, że agenci wywiadu, którzy dobrze wykonują swoją robotę, nigdy nie stają się sławni. Nikt nigdy się

nie dowiaduje, że zrobili to, co zrobili. Ale tego właśnie wymaga

czasem rozwiązywanie problemów.

Wtedy Benowi nie spodobała się ta odpowiedź, bo zdawało mu się, że matka wyklucza wymachiwanie mieczami świetlnymi,

skakanie po ścianach i wsadzanie złoczyńców za kratki. Teraz jednak wiedział, że zaplanowane działania mają swoje zalety... od czasu do czasu. Jacen dokonywał przecież czynów, o których

nie zawsze było głośno w holowiadomościach. Ben zauważył, że

ostatnio obowiązki Jacena miały sporo wspólnego z tajną służbą.

Niespodziewanie Mara zyskała w oczach Bena.

Uznał, że zgromadzi informacje, a gdy będzie wiedział, co trzeba, podejmie decyzję, czy kontynuować akcję, czy zrezygnować

i wrócić później.

Drzwi za jego plecami się rozsunęły, wypuszczając z wnętrza kawiarni smakowity zapach. Ciepłe powietrze owiało Bena, który

nagle uświadomił sobie, że jest głodny.

Właściciel lokalu, wysoki mężczyzna o budowie Gamorreanina,

który krzątał się między stolikami, rozejrzał się po ogródku, wreszcie spojrzał wprost na Bena.

- Chcesz coś zjeść, synu? - zapytał z zabawnym akcentem.

W uszach Bena zabrzmiało to jak: „Zesysz coś eść, zyn?”.

Ben kiwnął głową.

Mężczyzna klepnął stolik, wskazując mu miejsce. Na blacie wyświetliło się poranne menu. Chłopiec usiadł i przebiegł po nim wzrokiem, zerkając nadal ukradkiem na front budynku.

Zauważył,

że sporo osób zmierzających w stronę wieżowca kieruje kroki do kafejki.

- Kaf, proszę - powiedział Ben. -1 zapiekankę drobiową.

- Wklep zamówienie, synu. 1 włóż kredkartę. Coś mi brzmisz coruscańsko.

- Właściciel poklepał się po uchu, jakby słabo słyszał.

Ben potwierdził zamówienie i umieścił swoją kredkartę w szczelinie

pośrodku stołu.

- Bo jestem Coruscaninem... przeważnie.

- Dwa rodzaje Coruscanów tu mamy. Takich, co to lubieją duże, otwarte przestrzenie, takich, co to strzymać nie mogą, jak

nie mają tuż obok ścian i ciasnych ulic.

- Naprawdę?

Z głośników stolika rozległ się pisk, a nad menu pojawiło się słowo „Odmowa”.

Komunikat pod spodem głosił „Konto nieodnalezione. Proszę włożyć inną kredkartę”.

- Hej! - zaprotestował Ben. - Ten stolik jest zepsuty!

Właściciel podszedł do niego, aby rzucić okiem na blat. Zastukał

palcem w animację wyświetloną w lewym dolnym rogu stołu, przedstawiającą rząd maleńkich strzałek krążących z prawej na

lewą i z powrotem.

- Nic podobnego. Wszystko gra. Przeszukał wszystkie kanały, które mogły znaleźć twoje konto. I nie znalazł. Masz inną kredkartę? Kasę?

Ben pogrzebał w kieszeni i znalazł jedną monetę kredytową.

Nie miał przy sobie gotówki, bo zamierzał pobrać ją na miejscu

za pośrednictwem kredkarty. Pokręcił głową.

Właściciel spojrzał na niego z politowaniem.

- Wróc sobie do matki czy ojca i poproś o więcej.

Żołądek Bena dopominał się o jedzenie coraz gwałtowniej.

- A może - zapytał chłopiec - dałbyś mi j eść, a potem przysłałbym

tatę, żeby zapłacił? - Nadał sugestii spory ładunek Mocy.

Właściciel roześmiał się rubasznie.

- Nic z tego, synu. Parę takich numerów i zostałbym na bruku.

Zmykaj stąd, chłopiec.

Ben wstał z westchnieniem od stolika. Był już porządnie głodny.

A może, przyszło mu do głowy, to właśnie głód nie pozwolił mu się skoncentrować na tyle, żeby udało się wpłynąć na właściciela?

Albo po prostu nie potrafił tego dokonać, ponieważ - jak twierdził jego ojciec - nie zakończył właściwego szkolenia Jedi?

A może właściciel miał za silną wolę?

Nieważne. Ben oparł się chęci okazania frustracji, gdy opuszczał kawiarnię.

Uznał, że jego plan działania wymaga pewnych zmian. Zanim dokona wywiadu, musi znaleźć coś do jedzenia. Poza tym trzeba

będzie się dowiedzieć, co się stało z kontem, z którego miał korzystać

w ramach wypełniania misji.

Wizyta w kilku wypłatomatach nic nie dała. Za każdym razem dwukrotnie wkładał kredkartę, próbując uzyskać dostęp do konta, ale jedyną reakcją jakiej się doczekał, był enigmatyczny

komunikat o treści „Konto nieodnalezione”. Spróbował wysłać

wiadomość do centrali, ale nawet głupie zapytanie o stan konta

wymagało gotówki, a on nie miał przy sobie odpowiedniej kwoty.

Cóż, musiał sobie jakoś poradzić. Powinien - jak robiła to wielokrotnie

jego matka - zdobyć środki. A w tej sytuacji oznaczało to... kradzież.

Przemyślał takie rozwiązanie. Kradzież była czymś złym.

Pewnie, każdemu w jego rodzinie nie raz i nie dwa zdarzało się

nawet porwać statek, ale to były wyjątkowe sytuacje. Nikt nie kradł po to, żeby zdobyć kredyty na kupienie sobie śniadania. Ale w tym wypadku nie chodziło wyłącznie o śniadanie. Pełnił

powierzoną mu misję, ważną misję mogącą ocalić życie Jedi i Strażników Sojuszu... czy to nie była wyjątkowa sytuacja?

Zdecydował, że była.

Przeszedł przez ulicę, aby znaleźć się w pobliżu drzwi wiodących

do budynku Crossroutes. Gdyby ktoś wyciągnął kredkartę, Ben mógłby się zorientować, gdzie ją schował, śledzić jej właściciela...

I co dalej? Nie był tak sprytny jak jego matka. Nie zdołałby wyczyścić komuś portfela w taki sposób, żeby jego właściciel się nie zorientował. Mógł najwyżej pójść za swoim celem aż do

jakiegoś opustoszałego zaułka, a potem go ogłuszyć... jednak na

samą myśl o tym i tak już niespokojny żołądek Bena zaprotestował.

Nagle znalazł się w sytuacji, w której musiałby stać się bandytą,

raniąc lub nawet zabijając kogoś, byle zdobyć garść monet kredytowych.

Pokręcił głową. Takie postępowanie byłoby błędem, a on teraz nie mógł sobie pozwolić na popełnienie błędu.

Rozwiązanie pojawiło się chwilę później. Śmigacz transportu publicznego pomalowany w czerwone i żółte pasy, co czyniło go bardziej widocznym niż świetlna reklama na dachu, głosząca

„Do wynajęcia”, podszedł do lądowania tuż przed frontem budynku.

Jego pilot opuścił kabinę pojazdu, aby otworzyć przedni luk i wyładować bagaże. Pasażer siedzący z tyłu wysiadł i czekał

na chodniku. W jego rękach Ben zauważył niewielką teczkę z imitacji czarnej skóry nerfa, a w jej licznych przegródkach - karty. Niektóre z nich były kartami bankowymi, wymagającymi

potwierdzenia z centrali w celu uzyskania dostępu do funduszy,

ale inne miały oznakowania dowodzące, że stanowią środek płatniczy,

a ich wartość jest zapisana w pamięci.

Nagle wiedział już, co powinien zrobić. Podszedł bliżej pojazdu.

Kiedy pilot skończył opróżnianie luku i trzy walizki stały na chodniku obok śmigacza, pasażer wręczył mu jedną z kart bankowych.

W tym samym momencie Ben wykonał nieznaczny gest i sięgnął Mocą. Jedna z kredkart o mniejszym nominale wysunęła

się z przegródki portfela i sfrunęła na ulicę.

Ben unieruchomił ją za pośrednictwem Mocy. Chwilę później pilot zwrócił pasażerowi jego kartę, wsiadł do kabiny i śmigacz

odleciał spod budynku. Pasażer schował portfel, niezdarnie pozbierał

bagażę i udał się w stronę budynku Crossroutes.

Ben zatrzymał się. Przyklęknął, udając, że zawiązuje sznurowadło

i sięgnął po kartę.

O to chodziło. Dopuszczył się kradzieży, ale zabrał tylko niewielką

część tego, co posiadał mężczyzna, no i nie zrobił nikomu krzywdy. Ograniczył zło, na ile mógł.

Pół godziny później, z żołądkiem napełnionym zapiekanką z mięsa, warzyw i aromatycznego sosu, zapieczoną w grubym cieście, oraz filiżanką kawy, poczuł się gotowy, aby stawić czoło

galaktyce.

Wystarczyło parę minut łączności z terminalem publicznym, aby uzyskać część informacji, których potrzebował.

Tendrando Arms wynajmowała piętra od dwieście dwunastego

do dwieście piętnastego, co oznaczało, że musiał dotrzeć na poziom

dwieście piętnaście, ponieważ to właśnie tam znajdowały się biura zarządu. Jego matka mawiała, że jednym ze sposobów,

w jaki ludzie lubią demonstrować swoją władzę i miejsce w hierarchii,

jest lokowanie gabinetów na wyższych piętrach.

Dekoracyjne pierścienie były rozmieszczone co pięć pięter, poczynając od szóstego, poziom dwieście piętnaście powinien znajdować się więc tuż pod jedną z takich obręczy. Ben przejrzał

listę przedsiębiorstw mających swoje siedziby w budynku i stwierdził, że następne trzy piętra - aż do dwieście osiemnastego

- zajmuje firma Lyster Innovations. Zgodnie z informacjami Lyster Innovations zatrudniała specjalistów do spraw jakości i organizacji pracy, którzy odwiedzali inne firmy, aby mówić pracownikom,

w jaki sposób mogą wykonywać lepiej swoją pracę.

Ben miał wątpliwości co do sensu takich usług, ale zdecydował, że zejście z wyższego piętra może być najłatwiejszym sposobem, aby dostać się niepostrzeżenie na poziom dwieście piętnasty. Następną godzinę spędził, wyszukując szczegółowe dane na temat lokalnej placówki Tendrando Arms oraz Lyster Innovations, resztę poranka zaś i część popołudnia zajęły mu niezbędne zakupy: jedzenie i napoje o przedłużonym okresie trwałości, dwadzieścia metrów mocnej, elastycznej linki, trochę przydatnych narzędzi, pudełko słodyczy, a także kawałek czerwonej wstążki i pojemny plecak. Za ostatnie kredyty za skradzionej karty zjadł ciepły posiłek. Kiedy dzień pracy dobiegał końca i pracownicy opuszczali budynek Crossroutes, Ben wszedł do środka z plecakiem i z obwiązanym czerwoną wstążką pudełkiem w dłoniach. Wjechał turbowindą na piętro dwieście szesnaste, a gdy drzwi się otworzyły, za nimi ujrzał... dżunglę. Wlepił zdziwione spojrzenie w pnie i konary drzew wyrastających z ciemnej, wilgotnej ziemi, wdychał ciepłe, ciężkie powietrze tropikalnego lasu deszczowego i obserwował odległy blask promieni słonecznych przedzierający się przez gałęzie. Gdzieś w oddali słyszał plusk wody, ale żadnych odgłosów typowych dla biura - krzątaniny rozgorączkowanych

pracowników ani rzeżenia przeciążonych terminali.
Zrobił krok naprzód i drzwi turbowindy zamknęły się za nim.
Obejrzał się przez ramię i zobaczył w ich miejscu jedynie litą
powierzchnię skały. Wszystko tutaj musiało być niezwykle
przekonującą
iluzją. Gdy spróbował zbadać otoczenie poprzez Moc,
nie wyczuł prawie nic. Drzewa nie pulsowały życiem. W
glebie
ani w powietrzu nie wyczuwał ruchu owadów.
Wyszczerył się w kierunku drzew w zawadiackim uśmiechu.
- To wszystko technika - powiedział.
- Rzeczywiście - męski głos dobiegł z odległości paru metrów,
z tyłu. - Proszę iść ścieżką.
Ziemia i liście pod jego stopami były realistycznie miękkie
i sprężyste. Dróżka prowadziła prosto, po czym skręcała w
prawo,
wychodząc na sporą polanę. Teraz się wydawało, że powinien
był widzieć jajuż od drzwi turbowindy, był jednak pewien, że
nie
zauważył jej wcześniej. Po prawej stronie polanki
umieszczono
obłożony kamieniami zbiornik wodny, do którego wpadała
woda
z pobliskiego wodospadu, a tuż obok stało biurko,
wyglądające
jak z naturalnego, czarnego kamienia. Znalazłszy się w polu
widzenia swojego gościa, młody, blady mężczyzna siedzący
za
biurkiem zdjął z niego nogi w butach z jaszczurczej skóry i
przyjął
bardziej oficjalną postawę. Jego kombinezon, chociaż
wykonany
z materiału, miał ten sam kolor i fakturę, co buty.

- Witamy w Lyster Innovations - powiedział. - Czym mogę służyć?

- Co to jest? - zapytał Ben, zataczając ręką koło.

- Kultura korporacyjna. - Mężczyzna posłał Benowi szeroki, wyćwiczony uśmiech, pasujący idealnie do wypowiedzianych z dumą słów. - Jedną z rzeczy, którymi się zajmujemy, jest pokazywanie

firmom, w jaki sposób zbudować i utrzymać własną tożsamość kulturalną za pomocą właściwego otoczenia. Tu, gdzie teraz jesteśmy, podłoga, ściany i cała reszta są pokryte opatentowanym

przez nas materiałem zwanym kameleonim, który pozwala na nieskończone możliwości w dziedzinie architektury

wnętrz. Za pomocą kilku słów mogę wyczarować nowe wnętrze,

nowe otoczenie. Na przykład: wystrój, prostota!

Ledwie skończył wymawiać drugie słowo, w pokoju zaczęły zachodzić zmiany. Drzewa wyprostowały się, ich pnie stały się

idealnie symetryczne, a gałęzie stuliły się, zlewając z powierzchnią.

Podłoga zrobiła się idealnie płaska i Ben czuł, jak szybko twardnieje pod jego stopami.

Wokół nich zrobiło się jasno i biało. Drzewa przeobraziły się w lśniące kolumny. Nawet ubranie mężczyzny zbieleło i straciło

łuskowatą fakturę. Biurko lśniło srebrzystym blaskiem chromu,

a kamienie otaczające sadzawkę zmieniły się w rząd srebrnych ławek.

Tak musiało tu wyglądać na co dzień. Pomieszczenie było duże,

na oko dwadzieścia na dwadzieścia metrów, jednak nie sprawiało

już wrażenia, że ciągnie się w nieskończoność. Srebrzyste prostokątne

płyty umieszczone w ścianach - Ben przypuszczał, że to drzwi - wskazywały, gdzie kończy się pokój.

Mężczyzna przyglądał mu się uważnie i Ben nie musiał korzystać

z Mocy, aby wyczuć, że czeka na jego reakcję. Żyje, aby słuchać pochlebstw, pomyślał. Jacen powtarzał zawsze, że jeśli

daje się ludziom to, czego pragną, łatwiej skłonić ich do współpracy.

- O rany! - zawołał Ben. - To znaczy... o rany!

- Nieźle, prawda? - Mężczyzna uśmiechnął się, wyraźnie usatysfakcjonowany. - Czego więc szukasz, młody człowieku?

- Szukam... - Ben udał, że zerka do swojego datapadu. - Mam coś dla... eee... Gilthora Breena.

- To ja.

Wiem, wiem, pomyślał Ben. Twoja twarz i nazwisko są na stronie

firmy, podobnie jak długa lista twoich sympatii i antypatii.

- W takim razie to dla pana - położył obwiązane wstążką pudełko

na blacie biurka.

Gilthor spojrzał uważnie na Bena, ale zaraz zainteresował się pakunkiem. Pociągnął za koniec wstążki, aby rozwiązać kokardę,

i na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech, gdy zobaczył w środku bombonierkę.

- Był też jakiś liścik? - zapytał.

Ben spojrzał ponownie na datapad.

- Nie ma liściku. Zostawiła jedynie krótką wiadomość: „Dwa

dni".

- „Dwa dni"... Kto „zostawiła"? Jak ma na imię? - Urzędnik był wyraźnie podekscytowany.

Ben wzruszył ramionami.

- Nie mówiła. Wiem, że była niewysoka, miała długie czarne włosy i czarne oczy. I była ładna, bardzo ładna. - Ben posłużył się dokładnym opisem Aliniacy Verr, młodej aktorki grającej w holofilmach, będącej akurat u szczytu sławy. Pochodziła, podobnie

jak Gilthor, z Balmorry i była jego ulubioną aktorką - te trzy informacje Ben odnalazł na prywatnej stronie mężczyzny. Nie próbował go przekonać, że to sama Verr była jego cichą wielbicieleką

i wysyłała mu potajemnie czekoladki, ale uznał, że skoro ubóstwia aktorkę, będzie również zainteresowany spotkaniem z kobietą, która jest do niej podobna.

Oczywiście, przynęta chwyciła i Gilthor zaczął wiercić się niespokojnie

na swoim krześle.

- Dwa dni - powtórzył. - I co dalej? Może znów się skontaktuje?

Tak, na pewno o to chodzi. - Przypomniał sobie, że Ben wciąż czeka, więc sięgnął do kieszeni i wyciągnął monetę kredytową.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo. Przepraszam, czy mógłbym skorzystać z odświeżacza?

- Oczywiście, pewnie. Pięknie, otwórz odświeżacz.

Głos androida dobiegający z lewej oznajmił melodyjnie:

- Tutaj.

Ben spojrział w tamtym kierunku i zobaczył, jak jedne ze srebrnych

drzwi pulsują zmieniając co chwila kolor powierzchni na

czarny. Uśmiechnął się i ruszył w ich stronę.
Spędził w odświeżaczu niewiele czasu - dość, żeby zorientować się, że jego czarna podłoga i ściany pokryte błękitnymi kafelkami nie zamierzają zamienić się nagle w dziką dżunglę i że na jednej ze ścian znajduje się okno. O to mu chodziło. Chwilę później maszerował w kierunku srebrzystej turbowindy, machając na pożegnanie Gilthorowi. Urzędnik rzucił mu roztargnione spojrzenie i powiedział coś, czego Ben nie dosłyszał. Drzwi windy otworzyły się. Teraz wszystko się wyjaśni. Ben zrobił pół kroku do przodu, ale nie wszedł do środka. Skoncentrował myśli na Gilthorze i przesłał mu wyraźny obraz, jak wsiada do windy, a drzwi się za nim zamykają. Wsiadłem do turbowindy, powtarzał w duchu. Myśl o dziewczynie. Gilthor opadł na oparcie krzesła i znów położył nogi na biurku. Chyba pogwizdywał pod nosem. Powoli, bezszelestnie Ben cofnął się w stronę odświeżacza. Jestem w windzie. Wszedłem. Nie ma mnie. Gdy dotarł do właściwych drzwi, był już spocony jak mysz, ale Gilthor ani razu nie spojrzął w jego stronę. Ben zamknął się w jednej z kabin i wypisał ręcznie tabliczkę: „Nieczynne. Naprawa wyznaczona na jutro”. Przymocował ją na zewnątrz drzwi i wyostrzył zmysły, starając się usłyszeć lub wyczuć,

czy ktoś się nie zbliża do pomieszczenia. Nikt jednak nie nadchodził. Na zewnątrz rejestrował jedynie obecność Gilthora siedzącego przy biurku. Poza tym wyczuwał strumień świadomości różnych istot, poruszających się w górę i w dół turbowindą - przeważnie w dół, w miarę jak biuro pustoszało o tak późnej porze. Nikt nie przeszkodził mu w przygotowaniach do działania.

Używając przyniesionych narzędzi, Ben usunął jeden z paneli okiennych i przełożył na zewnątrz cały swój sprzęt, umieszczając

go na powierzchni pierścienia tuż poniżej okna. Zapadał już zmierzch i widział z tej wysokości wszystkie światła miasta.

Poświata

spowijająca ulice miała pastelowe odcienie bladego błękitu, jasnej zieleni lub złamanej bieli, w odróżnieniu od nocnej panoramy

Coruscant, z jej widmowym pięknem feerii jaskrawych barw.

Dekoracyjny pierścień okazał się wykonany z plastali i przymocowany

solidnie do zewnętrznej powierzchni budynku. Między nimi znajdowała się mniej więcej dziesięciocentymetrowa szczelina, pozwalająca zobaczyć regularnie rozmieszczone obejmy,

którymi obręcz została przytwierdzona do ściany.

Ben nie sądził, żeby w gęstniejącym zmroku ktoś mógł go zauważyć,

ale na wszelki wypadek poruszał się powoli i ostrożnie.

Umieścił panel z powrotem na miejscu, zacierając ślady bytności

w odświeżaczu. Na lince porobił węzły co metr i przywiązał ją

mniej więcej w połowie jednego z uchwytów obręczy, spuszczając

jeden koniec swobodnie w dół, a drugi przerzucając ponad krawędzią pierścienia.

Ostrożnie opuścił nogi poza krawędź i zaczął się zsuwać.

Po chwili znalazł się dokładnie naprzeciwko jednego z okien siedziby Tendrando Arms. Biuro było słabo oświetlone i z zewnątrz

Ben widział rzędy solidnych szafek wysokości mniej więcej dorosłego człowieka. Sejfy na broń, domyślił się. Wydawało

się to logiczne, skoro firma zajmowała się produkcją uzbrojenia. Zastanowił się, czy nie byłoby dobrze zaopatrzyć się przy okazji w blaster lub dwa. Pokręcił jednak głową. Jedi posługują się wyłącznie własnymi mieczami, no, chyba że akurat

pilotują statki.

Zsunął się kilka metrów niżej, na poziom dwieście czternasty, i rozkołysał linkę, aby znaleźć się bliżej budynku. Kiedy mu się

to udało, chwycił drugą jej część i tuż przy ścianie wspiął się z powrotem piętro wyżej.

Przycisnął nos do panelu okiennego, by przyjrzeć się mechanizmowi

blokady. Wyglądał na prostą dźwignię ręczną, ale rączka była opuszczona, a trzpień blokujący spoczywał bezpiecznie we

wgłębieniu transpystalowego walca, utrzymując go w pozycji zamknięcia.

Ben zastanowił się chwilę i uznał, że już wie, co należy zrobić.

Teraz, gdy rączka była opuszczona, a bolec tkwił w walcu, okna

nie można było otworzyć, nawet na siłę.

Przymknął oczy i skoncentrował się na urządzeniu. Sięgnął ku niemu poprzez Moc, szarpnął i spróbował przekręcić.

Ani drgnęło.

Spróbował w drugą stronę. Teraz klamka poruszyła się nieznacznie.

Zmarszczył czoło, skoncentrował się mocniej i dźwignia zaczęła się obracać, bardzo powoli i opornie.

Stopniowo na górze pojawiła niewielka szczelina: centymetr, dwa... gdy nagle Ben stracił oparcie, ześliznął się i spadł.

Gorączkowo chwycił się linki, czując, jak węzły wrzynają mu się w ciało. Na pewno zostaną mu siniaki. Wzmocnił chwyt

i złapał się drugą ręką. Siła szarpnięcia nadwreżyła mu boleśnie

mięśnie i ścięgna ramion.

Odczekał chwilę, żeby się uspokoić, po czym spojrzał w dół.

Opadł jedynie o dwa piętra. Miał w zapasie jeszcze sporo linki - nie chwycił za sam jej koniec, a dwa poziomy niżej znajdował się kolejny pierścień. Gdyby nie zdążył się przytrzymać,

najprawdopodobniej wylądowałby właśnie na nim

- z hałasem, który prawdopodobnie zaalarmowałby każdego pracownika ochrony w promieniu kilometra.

Zajrzał ostrożnie przez panel widokowy do środka, podświadomie

spodziewając się ujrzeć zaskoczone twarze pracowników biura, ale zobaczył tylko pusty gabinet, hol i kuchnię.

Odetchnął głęboko kilka razy i wspiał się z powrotem, zły na siebie. Tak bardzo starał się skoncentrować w Mocy, że przestał

kontrolować swoje ciało. Nie wolno mu się rozpraszać, bo inaczej

zginie.

Kiedy dotarł znów na właściwy poziom, obwiązał sobie linkę wokół bioder i zacisnął węzeł tak, żeby nie dało się go rozluźnić

zwykłym szarpnięciem, po czym wrócił do pracy.

W ciągu kilku minut otworzył panel na tyle szeroko, że mógł dostać się do środka. Prześliznął się więc przez okno, wciągnął

do środka resztę linki i zeskoczył na podłogę.

Był z siebie zadowolony. Mógł wreszcie odetchnąć, a wszystko,

co zostało do zrobienia, to przeszukanie biura, zlokalizowanie właściwej szafki, podmienienie amuletu i powrót na dół. Łatwizna.

Zajrzał do wnętrza gabloty i serce mu zamarło.

Jej znalezienie nie zajęło mu dużo czasu. Biuro Tendrando było

o tej porze puste, więc nie musiał się ukrywać. Szafka, której szukał, znajdowała się w pomieszczeniu głównym. Oprócz niej

stało tu zwaliste biurko, a za nim siedział android-recepcjonista.

Receptory optyczne miał zgaszone, co dowodziło, że znajduje się

w trybie uśpienia. Poza tym mieściło się tu około tuzina gablot,

zawierających głównie statuetki i tablice upamiętniające szczególnie

korzystne transakcje zawarte na Drewwie. Były tu także oryginalne prezenty, otrzymane od władz lokalnych, na przykład

zestaw maleńkich robotów-akrobatów, z których każdy był nie

większy niż dłoń Bena. Nawet teraz wykonywały na półce swoje akrobacje.

Natomiast transpastałowa pokrywa gabloty z artefaktem, którego

szukał, została ostrożnie usunięta, a amulet Kalary zniknął.

Czerwona aksamitna poduszka, na której przedtem spoczywał, była nadal w środku, podobnie jak czarna tabliczka ze srebrnym

napisem: „Amulet Kalary. Przekazany Stoniasowi Leemowi przez wdzięcznych zwycięzców powstania na Iliabath”.

Samego klejnotu nie było. Zamiast niego Ben znalazł kawałek flimsiplastu zapisany ręcznym pismem: „Zabrałem amulet tam,

gdzie jego miejsce. Cieszcie się, że was oszczędziłem. Faskus z Ziostr”.

W środku odnalazł coś jeszcze: ślad emocji, promieniujący poprzez

Moc, nieuchwytnie uczucie szczęścia. To pewnie triumfy Sithów, które przesiąknęły do amuletu. Teraz część ich chwały

nadal dawała o sobie znać, uznał Ben.

Usiadł na dywanie i spróbował uporządkować myśli.

Ktoś inny ukradł amulet, który miał ukraść on. To nie w porządku.

Musiało do tego dojść niedawno, w ciągu ostatnich paru godzin.

Gdyby amulet zniknął wczoraj lub jeszcze wcześniej, na miejscu kręciłyby się już dawno służby lokalne, prowadząc śledztwo, gablota byłaby zabezpieczona, kawałek flimsiplastu

zaś zabrany do analizy.

Ben zamknął oczy i spróbował coś wyczuć, jakieś szczegóły

kradzieży. Ale nic z tego nie wyszło. Ani śladu emocji, żadnych silnych wzruszeń. Nie potrafił przywołać twarzy sprawcy ani odnaleźć śladów jego obecności. Poza tym w całym biurze nie wyczuwał żywej duszy, co oznaczało, że złodziej zdołał umknąć.

Wydostawszy się z budynku, w ciągu kilku minut mógł znaleźć się w dowolnej dzielnicy miasta, a Ben podejrzewał, że miał na to więcej niż parę minut.

Otworzył oczy i westchnął. Zawiódł na całej linii. Zawiódł Jacena, a Jedi byli teraz w niebezpieczeństwie.

Zaraz, zaraz... może nie wszystko było jeszcze stracone. Zamiast

wracać do domu i przyznać się do porażki, mógłby kontynuować misję, improwizując. A nuż zdoła wysledzić tego Faskusa i odebrać mu amulet?

Ale gdzie go szukać? Ben otworzył swój datapad i wyszukał pliki, dotyczące pochodzenia artefaktu i jego historii, do których wcześniej nie zajrzał.

Amulet pochodził z Ziost i został wykonany jakieś dwa tysiące lat temu. Energia Ciemnej Strony, którą był otoczony, chroniła go przed zniszczeniem i uszkodzeniami. Ben zmarszczył czoło.

Jacen nie wierzył w energię Ciemnej Strony ani w Ciemną Stronę jako taką - podobnie jak on sam. Jednak większość Jedi, z którymi

mieli do czynienia, miała staroświeckie, tradycyjne podejście do tej kwestii, tak że nawet Jacen - choć niechętnie - posługiwał

się tymi terminami, żeby móc się z nimi dogadać.

Skradziony przez kogoś, kto pochodzi z Ziost, wykonany na Ziost... Faskus z całą pewnością zamierzał zabrać amulet z powrotem

na tę planetę.

Ben przypomniał sobie coś i zadrżał. Ziost była kolebką Sithów

- rasy, od której nazwano później zakon Sith. W ciągu następnych

stuleci określano w ten sposób wszystkich spadkobierców starożytnej religii, niezależnie od rasy czy pochodzenia.

Datapad Bena zawierał podstawowe informacje na temat tego tajemniczego miejsca i chłopiec z zaskoczeniem odkrył, że Ziost

leży niezbyt daleko od Almanii - zaledwie kilka godzin lotu promem.

Co z tego, kiedy promy tam nie kursowały. Planeta znana była z kapryśnego klimatu, a jej mroczna sława zniechęcała biura

podróży do organizowania galaktycznych wycieczek w tę okolicę.

Ben musiał załatwić transport w jakiś inny sposób.

Ale co ma zrobić teraz? Zostawić gablotę tak, jak ją zastał?

Według Jacena najważniejsze było, żeby dostarczył mu amulet.

Gdyby kradzież wyszła na jaw i Faskus rzeczywiście zostałby schwytany przez odpowiednie służby, odzyskanie klejnotu mogło

okazać się niemożliwe.

Ben wyjął falsyfikat z wewnętrznej kieszeni i położył go

na poduszce. Obejrzał sobie hologram prawdziwego amuletu w swoim datapadzie i ostrożnie ułożył łańcuch dokładnie tak, jak

był. Zabrał notatkę Faskusa i przykrył gablotę na powrót taflą transpastali.

W porządku. Teraz nikt się nie zorientuje, że prawdziwy amulet

został skradziony, dopóki nie zapragnie przyjrzeć się dokładniej

umieszczonej w szafce kopii. A może nawet i wtedy nie?

Było jasne, że personel ani zarząd Tendrando Arms nie mają pojęcia,

co posiadają, więc może nigdy nie będą w stanie odróżnić podróbki od oryginału.

Ben spędził jeszcze trochę czasu na zacieraniu śladów. Użył Mocy, aby odwiązać linkę od podpórki pierścienia i przyciągnąć

ją do siebie, po czym ponownie zamknął okno.

Teraz nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek nieupoważniony

przebywał w biurze.

Opuścił biuro, przywołał turbowindę i zjechał na poziom ulicy.

Dwie minuty po wyjściu Bena android protokolarny w gabinecie

obudził się. Jego sensory optyczne ożyły, a głowa przekreśliła się w stronę gabloty. Widok zarejestrowany przez czujniki został

skompresowany i przesłany na specjalnej częstotliwości.

Daleko od siedziby Tendrando Arms, w jednym z zewnętrznych

hangarów portu kosmicznego Drewwy spoczywał ciężki,

długi na sto metrów frachtowiec. Podczas dokowania nieszkodliwie wyglądający statek nie budził szczególnego zainteresowania - jego niewielka załoga podobno prowadziła drobny handel przestarzałymi androidami.

Gdyby jednak ktoś zapragnął wejść do środka i przeszukać wnętrze przysadzystego, szpetnego transportowca, miałby sporą niespodziankę.

Inspekcja by ujawniła, że niemal połowę powierzchni ładowni stanowią hangary dla myśliwców, a stacjonujące w niej

ciemnobrązowe statki były znane na wszystkich gwiazdnych szlakach

jako jednostki chętnie wykorzystywane przez piratów.

Kod wysyłany przez transponder frachtowca był fałszywy i identyfikował go jako „Wysoki Przyptyw”, podczas gdy załoga

- a także ofiary - znała go jako „Cmentarne Spotkanie”.

Komputer pokładowy przechwycił wiadomość od androida i wyświetlił na ekranie kapitana wiadomość tekstową.

Właścicielem

statku był Byalfin Dyr, wyglądający na ofiarę klęski głodowej

Bothanin o pięknym, brązowym futrze. Właśnie oderwał wzrok od holofilmu, który oglądał i przeczytał na głos wiadomość,

tak aby słyszała ją reszta załogi na mostku.

- „Czerwony Warkoczyk” wyrusza. Namierzenie aktywne.

Potwierdzić przekaz. - Potem rozparł się ponownie w fotelu i westchnął, zadowolony, że chwilowy postój na tym obrzydliwie

praworządnym księżycu dobiega końca.

Jego oficerem komunikacyjnym i zarazem kucharzem był Hirrtu, Rodianin, który wszystkie wolne kredyty wydawał na przefarbowanie części łusek na swoim ciele z jasnej zieleni na ciemny błękit, co nadawało mu dziwaczny, cętkowany wygląd.

Wybełkotał teraz jakieś pytanie.

- Dobrze, wyślij odpowiedź - potwierdził Dyur. - „Kapitan »Cmentarnego Spotkania« zawiadamia, że twoje niezobowiązujące

uczestnictwo w misji dobiegło końca, a on sam od tej chwili przejmuje odpowiedzialność. Nasza waleczna załoga podejmie

każde wyzwanie, aby mógł spać spokojnie". Zapisałś?

Hirrtu gapił się na niego przez chwilę z dziwnym wyrazem twarzy, po czym wstukał w komputer wiadomość o treści „Przekaz

potwierdzony" i przesłał kontaktowi.

Dyur westchnął i wrócił do oglądania holofilmu.

- Nie ma w tobie ani odrobiny fantazji - mruknął.

Hirrtu pokiwał głową, przyznając mu rację.

- Masz śledzić chłopaka. Chcę wiedzieć, gdzie się znajduje, i to w każdej sekundzie.

ROZDZIAŁ 12

System Bothawui, fregata Galaktycznego Sojuszu „Shamunaar”

Drzwi centrum dowodzenia otworzyły się i w asyście dwóch młodszych oficerów wkroczył przez nie brzuchaty mężczyzna w średnim wieku, któremu biały mundur admirałski wcale nie przydawał dostojności.

- Admirał na mostku! - ogłosił jeden z towarzyszących mu wojskowych.

Dowódca „Shamunaara”, przysadzisty Devaronianin, zerwał się ze swojego fotela i zasalutował.

- Admirale Klauskin, jesteśmy szczęśliwi, widząc pana na pokładzie.

Klauskin odwzajemnił salut, a jego gest był równie nienaganny, jak śnieżna biel jego munduru.

- Kapitanie Biurk, miło pana widzieć - powiedział, potrząsnął dłonią kapitana i rozejrzał się wokół. - Musimy porozmawiać na osobności.

- Tak jest.

Devaronianin zaprowadził admirała do swoich prywatnych apartamentów, utrzymanych w różnych odcieniach brązu. Nie zajął swojego fotela za biurkiem, tylko zaprosił gestem admirała,

żeby usiadł na jednym z dwóch krzeseł.

Sam usiadł na drugim. Klauskin podał kapitanowi datakartę.

- To nie są rozkazy w ścisłym tego słowa znaczeniu. Karta zawiera

wyłącznie moje dyspozycje - powiedział. - „Shamunaar” został wyłączony ze standardowych manewrów floty i przypisany do Straży Galaktycznego Sojuszu w specjalnej misji.

- Sir, obawiam się, że niezbyt dobrze rozumiem... Obecnego zadania „Shamunaara” na pewno nie można określić mianem „standardowego”. Koordynujemy działania wszystkich sił zwiadowczych

i zbrojnych Sojuszu w systemie Bothawui i mamy pilnować, żeby flota Bothan potajemnie nie opuściła systemu. Nasza misja ma znaczenie strategiczne.

- Takie były plany, ale zostaliście zdradzeni.

Biurk zamarł, słysząc te słowa.

- Zdradzeni? W jaki sposób?

- SGS zaplanowała tę misję w obawie przed infiltracją naszych

sił zbrojnych - wyjaśnił Klauskin. - To oczywiście nic zaskakującego

w stanie wojny. Spędziłem kilka ostatnich tygodni, tropiąc zdrajców i planując kroki odwetowe.

Biurk słyszał, że Klauskin został jakiś czas temu usunięty ze stanowiska dowodzenia oddziałami specjalnymi Korelii.

Chodziły

słuchy, że przeszedł jakieś załamanie... ale takie niespodziewane

odwołania ze służby zawsze były powodem plotek.

- Oto, jak się sprawy mają - podjął Klauskin. - Niektórzy z oficerów służących pod twoimi rozkazami pracują tak naprawdę

dla Bothan. Gdy Bothanie podejmą decyzję o przystąpieniu do działania, będą chcieli ukryć ten fakt przed Sojuszem. Ale my

do tego nie dopuścimy. Przekażesz mi listę wszystkich oficerów

pod twoim dowództwem, ja zaś wskażę tych, którzy są zdrajcami.

Zaaranżujemy sytuację, aby każdy z nich w odpowiednim czasie znalazł się bez ochrony i świadków, a wtedy po kolei ich

schwytamy lub unieszkodlimy. Następnie wspólnie z „Shamunaarem”

obsadzimy ich stanowiska w strefie obserwacyjnej.

- Tak jest! - Biurk wydawał się niezbyt przekonany - Jeśli

jednak mogę zauważyć, sir... wielu z tych oficerów znam doskonale.

Nie mogą być zdrajcami.

- Jestem pewien, że ci, za których ręczysz, są całkowicie lojalni.

Zaznacz ich na swojej liście. - Klauskin pochylił się i ze współczuciem poklepał Biurka po ramieniu. - Wiem, że to dla ciebie szok, synu, ale gwarantuję, że damy radę doprowadzić to

wszystko do porządku bez zbędnego rozgłosu. Twoje akta będą

czyste jak łąza.

- Dziękuję, sir.

Drewwa,

księżyc Almanii

Ben spędził prawie dwa dni, planując podróż na Ziost. Przez ten czas ukradł jeszcze dwie kredkarty i z zadowoleniem stwierdził,

że za każdym razem szło mu to lepiej i sprawniej.

Przeprowadził mały wywiad, aby się zorientować, czy jakakolwiek

firma transportowa lub biuro wycieczek organizuje kursy na Ziost. Odpowiedź była jednoznacznie negatywna: planeta nie pojawiała się w żadnych publicznych bazach danych.

Nadal

jednak miał jej współrzędne w plikach, które dostał od Jacena.

Nigdzie w okolicy nie wykrył również działalności przemysłowej.

Trudno zresztą było się spodziewać, że zdesperowani właściciele statków, jak jego wuj Han dawno temu, wysiadują w lokalnych spelunkach, marząc o zabraniu niedoszęłego Jedi na

nieszławną Ziost.

Cóż, w takim układzie pozostawała mu jedynie kradzież. Wiedział, że nie wystarczy podkraść się do B-winga, wskoczyć do niego i dać drapaka. Statki wyposażano w kody bezpieczeństwa, które prawie uniemożliwiały ich uprowadzenie. System bezpieczeństwa wokół portu kosmicznego był dość trudny do obejścia, ale nie powinien stanowić przeszkody dla Jedi, uznał Ben. Największym problemem mogła być konfrontacja z niewielkimi robotami strażniczymi, których mnóstwo kręciło się w pobliżu budynków. Mierzyły mniej więcej połowę wzrostu dorosłego człowieka, miały wrzecionowate korpusy zakończone stożkowatymi głowami wyposażonymi w zestaw czujników oraz humanoidalne kończyny. Całe ich zastępy szwendały się na terenie portu kosmicznego i w okolicy. Czaiły się w okolicach stojących pojazdów albo podróżowały na pakach wózków bagażowych. Ben obserwował je niemal godzinę przez panel widokowy poczekalni i zauważył, że roboty nie zwracają uwagi na pracowników ochrony, noszących jaskrawożółte kombinezony. To ułatwiało sytuację. Ben użył Mocy, aby drzwi wejściowe nie zatrzasnęły się za pracownikami portu wkraczającymi na chroniony teren. Przeszedł za nimi, znalazł odpowiedni schowek i wybrał kombinezon z transponderem, który pozwalał na swobodne przebywanie w pobliżu androidów strażniczych.

Teraz miał dostęp do wszystkich zakamarków. Nadal trzymał się z daleka od personelu, który w większości składał się z ludzi.

Mogli się zainteresować, co w takim miejscu robi nastolatek spoza

planety, prowadzący w dodatku skrupulatny przegląd wszystkich

jednostek na terenie portu. Najważniejsze, że Ben nie musiał już obawiać się robotów.

Odnalezienie maszyny, którą uznał za odpowiednią na kurs na Ziost, nie zajęło mu dużo czasu. Wybrał mający już swoje lata myśliwiec typu Y-wing. Na pierwszy rzut oka widać było, że opiekowano się nim starannie, bo na poszyciu nie było śladu

zadrażnień ani wgnieceń. Chroniła go plandeka, pokryta grubą warstwą kurzu.

Komputer przy drzwiach wejściowych do hangaru zidentyfikował

właściciela jako Hemaliana Barkida, mieszkańca Drewwy.

Mężczyzna ostatni raz używał maszyny pół standardowego roku temu. Ben spędził trochę czasu na przeglądaniu sieci planetarnej,

co pozwoliło mu odnaleźć dane osobiste Hemaliana

Barkida. Był pracownikiem Trang Robotics, a wiadomości do niego miały być teraz przekazywane na Kuat. Wszystko wskazywało,

że Barkid został wysłany poza system i zostawił swój osobisty statek tutaj.

W pobliżu Y-winga nie było nigdzie widać robota astromechanicznego,

system uzbrojenia myśliwca zaś został zdemontowany,

prawdopodobnie zgodnie z lokalnymi przepisami regulującymi

prawo posiadania przez statki cywilne laserów, dział jonowych i torped protonowych. Stan hipernapędu wydawał się jednak bez zarzutu. Niewielka poświata otaczająca panel kontrolny, widoczna przez osłonę kabiny, dowodziła, że komputer jest sprawny i prowadzi procedury diagnostyczne na zasilaniu bateryjnym.

To z kolei podpowiedziało Benowi, co powinien zrobić, żeby doprowadzić Y-winga do stanu używalności.

- Jeśli sam nie potrafisz poradzić sobie z czymś - powiedziała mu kiedyś jego matka - najbardziej oczywistym rozwiązaniem jest znalezienie kogoś, kto zrobi to za ciebie.

Ben załadował dane kontaktowe Hemaliana Barkida do swojego datapadu, po czym poświęcił kolejnych parę godzin na przeszukanie planetarnej bazy danych, aby znaleźć niezbędne informacje oraz wzory listów, takich, jaki musiał napisać. Uważnie i cierpliwie układał treść listu, zanim uzyskał tekst, który według niego brzmiał wiarygodnie.

„Od: Hemaliana Barkida

Konto 7543 BH (Hangar 113)

Do: Zarządca hangaru, port kosmiczny Drewwy

Wracam jutro. Bardzo mi zależy, żeby mój Y-wing był gotowy,

kiedy dotrę na miejsce. Proszę podłączyć zasilanie, przeprowadzić

standardowe testy sprawności i astromechaniczną analizę komputerów, przede wszystkim komputera nawigacyjnego.

Proszę

też wystawić rachunek na moje konto, według odpowiednich

stawek".

Ben uznał, że ostatnia część listu przekona zarządzających portem kosmicznym. Słyszał, że ludzie uwielbiają takie pilne zadania,

bo standardowe stawki były w takich przypadkach zwykle trzy lub cztery razy wyższe od zleceń z odległym terminem wykonania.

Ben wysłał wiadomość z komputera przy wejściu do hangaru, który prawdopodobnie odbierał i wysyłał wiadomości od prawdziwego

Barkida. Wyjął swoją kieszonkową holokamerę, tę samą z której korzystał podczas misji na Adumarze, i przymocował ją

do wspornika, kierując w dół na panel bezpieczeństwa Y-winga, po

czym upewnił się, że reaguje na komendy wysyłane z jego datapadu.

Na koniec przykrył Y-winga z powrotem plandeką, wygładził zakurzoną powierzchnię najlepiej, jak umiał, i urządził sobie kryjówkę

we wnęce między starymi plastalowymi kontenerami.

Nie musiał czekać długo. Trzy godziny później drzwi hangaru otworzyły się i do środka weszły dwie postacie: kobieta mechanicz

w standardowym żółtym kombinezonie oraz robot typu R2.

Ben zaklął pod nosem. Większość operacji na terenie portu przeprowadzana była przez automaty, więc zakładał, że rutynowy

przegląd pojazdu zostanie zlecony androidowi mechanikowi.

Zamierzał odczekać, aż robot skończy swoje zadanie i wtedy skrócić go o głowę, nie pozwalając, aby opuścił hangar wraz z jednostką R2.

Ale nie mógł obciąć głowy kobiecie.

Technicznie to łatwizna, ale Ben wiedział, że nie byłby w stanie zdobyć się na coś takiego. Gdyby jednak musiał wybierać między morderstwem a niewypełnieniem misji... ważnej misji?

Zmarszczył brwi, rozważając, co powinien zrobić w takiej sytuacji.

Kobieta - mocno zbudowana, na oko trzydziestoletnia, z ciemnymi

włosami schowanymi pod żółtą czapkę - ściągnęła plandekę z Y-winga, posyłając w powietrze chmurę kurzu. Natychmiast zaczęła kichać. R2 zaświergotał coś do niej po swojemu.

Gdy cząsteczki kurzu dotarły do kryjówki Bena, również zachciało

mu się kichać. Ścisnął palcami grzbiet nosa i skrzywił się gniewnie pod adresem mechaników.

Kiedy kobieta wdrapała się do kabiny, włączył holokamerę.

R2 zaczął wierkać ponownie, kręcąc kopułką - jego sensory najwidoczniej

szukały czegoś w pobliżu. Ben skulił się, jakby w ten sposób mógł stać się bardziej niewidoczny.

- Nie bądź głupi, Shaker - odezwała się kobieta. - O co się założysz, że właściciel ma tu zamontowany zestaw czujników antywłamaniowych? Prawdopodobnie właśnie go wyłączyliśmy.

Uspokojony R2 znów zaświergotał i podreptał w stronę swojej towarzyszki.

Kobieta wklepała kod bezpieczeństwa w panel kabiny i podniosła

osłonę myśliwca. Uniosła robota magnetycznym podnośnikiem

i opuściła go do jego gniazda, znajdującego się tuż

za kabiną pilota. Ben obserwował, jak odczepia boczne panele

kadłuba i podłącza własny, nieco większy od standardowego, datapad, sprawdzając kolejno stan odczytów. Kiedy R2 zabrał się do testów i analiz, kobieta opuściła hangar na kilka minut. Powróciła za sterami niewielkiej cysterny i zaczęła napełnianie zbiorników Y-winga.

Ben wiercił się coraz bardziej niespokojnie w swojej kryjówce.

Szefowa i jej robot wyraźnie kończyli pracę. Wkrótce kobieta usunie R2 z gniazda za kabiną i Ben będzie musiał podjąć decyzję, co z nią zrobić.

Cóż, na pewno nie obetnie jej głowy. Ale może ją unieszkodliwić.

Korzystając z tego, że niewielka ekipa wydawała się skupiona całkowicie na swojej pracy, Ben wskoczył między wsporniki, dotarł do miejsca, w którym przymocował holokamerę, i odczepił

ją. Doczołgał się do punktu znajdującego się dokładnie nad drzwiami hangaru i odczekał chwilę. W momencie, który wydał

mu się odpowiedni, opadł bezszelestnie na permabetonową podłogę

i wyśliznął się z budynku.

Po chwili wrócił z datapadem w rękę. Robot astromechaniczny nadal siedział w swoim gnieździe, kobieta zaś przygotowywała cysternę do wycofania.

- Cześć - powiedział Ben.

Kobieta obejrzała się na niego.

- Witaj. Nie jesteś za mały na pracownika portu?

- Jestem praktykantem. - Ben postarał się, żeby jego głos

brzmiał poważnie. - Zapewniam cię, że jestem dobry w doręczaniu

wiadomości. Właśnie mam jedną dla ciebie.

- Dawaj.

- Właściciel Y-winga twierdzi, że jego android miał poważne kłopoty z oprogramowaniem i jego pamięć została wyczyszczona.

Będzie potrzebował robota zastępczego i chciałby wypożyczyć

tego, którego wykorzystano do kalibracji komputera pojazdu.

Wytarła ręce w szmatę i wzruszyła ramionami.

- Dlaczego mówisz to właśnie mnie?

- Żebyś mogła zostawić swojego robota.

- Cóż, skoro właśnie tu jest...

Ben pokiwał głową.

Kobieta obejrzała się przez ramię na R2.

- Wygląda na to - odezwała się do niego - że będziesz miał szansę poszwendać się po systemie solarnym przez resztę dnia.

Szczęściarz z ciebie, *roddeń* - Cisnęła szmatę za siebie i zwróciła

się do Bena.

- Znasz kod autoryzacji? - zapytała, wzięła swój datapad z przedniego siedzenia cysterny i podstawiła mu pod nos. -

Proszę

bardzo. Przygotowany do odbioru.

Ben skrzywił się znad swojego urządzenia.

- *Stang!* Mój wyświetlacz wysiadł. Musimy wyjść na światło dzienne.

Z westchnieniem, jakby była przyzwyczajona do niespodzianek

sprawianych przez urządzenia elektroniczne - chociaż możliwe,

że po prostu nie miała ochoty zrobić tych paru kroków -
kobieta

podążyła w kierunku wyjścia.

Ben wyszedł pierwszy i zaraz odbił w lewo, gdzie oboje byli
poza zasięgiem czujników R2. Czekaając, aż kobieta dołączy
do

niego, rozejrzał się dookoła. Jedyłą osobą w polu widzenia
był

robotnik w kombinezonie, krzątający się w oddalonym o
ponad

pięćdziesiąt metrów hangarze. To dobrze - zdecydował Ben.

- W porządku - powiedziała jego towarzyszka. - Transmituj.

Ben przycisnął guzik na swoim datapadzie, chociaż wcześniej
go wyłączył.

- Poszło. Czy robota trzeba jakoś specjalnie przygotować?

- Wystarczy zdjąć mu ogranicznik. Zajmę się tym. Hej, nadal
nie mam kodu!

Krzywiąc się w udawanej złości, Ben ponownie przycisnął
guzik.

- A teraz?

- Nic.

Podszedł bliżej. Kobieta znajdowała się teraz na wyciągnięcie
ramienia.

- Jeszcze raz - powiedział i z całej siły wbił pięść w jej splot
słoneczny.

Oczy wyszły jej z orbit, a powietrze uciekło z płuc z bolesnym
sykiem; zgięła się mimowolnie w pól.

Tym razem zaatakował z dołu, uderzając otwartą dłońią
w podbródek. Poczuł, jak kości szczęki pękają od ciosu.

Osunęła

się, zwiotczała jak worek karmy dla banth, a jej datapad upadł
na

durabeton obok.

Ben poczuł, że kręci mu się w głowie. Przez krótki moment czuł do siebie obrzydzenie, ale po chwili zwyciężyło uczucie triumfu.

Wystarczy, powiedział sobie w duchu. Nie chcę zrobić jej większej krzywdy. Jacen by mi wybaczył, gdybym ją nawet zabił...

ale nie zrobię tego.

Szybko uniósł kobietę do pozycji siedzącej, po czym zarzucił sobie na ramię w podstawowej pozycji ratowniczej, którą musieli

znać wszyscy uczniowie Jedi.

Przeniósł ją za róg budynku i ułożył w wąskim przejściu między

dwoma hangarami. Cofnął się, podniósł datapad kobiety i wrócił za stery cysterny.

Przez parę minut, które zajęło mu zapoznanie się z kontrolkami,

droid świergotał coś do niego bez przerwy.

- Wszystko w porządku - zapewnił go Ben. - Twoja szefowa zajmuje się ostatnimi szczegółami i poprosiła mnie, żebym wyprowadził

tę cysternę. - Uruchomił pojazd i ostrożnie wycofał

go z hangaru. Potem zaparkował tak, żeby całkowicie zasłonić widok na nieprzytomną kobietę.

Miał szczęście. Pracownica otworzyła akurat w datapadzie plik z instrukcją doprowadzenia Y-winga do porządku.

Wszystkie

dane, których potrzebował, włącznie z pełnymi wymaganiami konserwacyjnymi myśliwca, a także informacje dotyczące jednostki R2 miał jak na dłoni.

Pogwizdując, wrócił do hangaru. Używając narzędzi kobiety, usunął ogranicznik z korpusu droida.

- Zamierzam wziąć Y-winga na przelot testowy - oznajmił

robotowi. - Jeśli okaże się, że coś jest nie w porządku, będziemy mogli to zaraz naprawić.

Android zagwizdał i zaszczebiotał; jego ton sugerował, że zmiana planów jest mu kompletnie obojętna, ale chętnie uda się na przejażdżkę.

- W porządku. Zabiorę tylko plecak i możemy rozpocząć procedury kontrolne.

Koreliańska strefa zakazana,

„Błędny Rycerz”

Po udzieleniu „Błędnemu Rycerzowi” pozwolenia na stacjonowanie

w systemie Korelii jego kasyna i inne rozrywki cieszyły się ogromnym powodzeniem personelu wojskowego Sojuszu.

Booster Terrik, pan na włościach latającej jaskini hazardu, chociaż

teoretycznie był na emeryturze i nie pełnił zwykłych obowiązków,

często pojawiał się na pokładach. Sunął majestatycznie na swoim

repulsorowym fotelu, pozdrawiając klientów i motywując pracowników.

Na jego twarzy stale malowało się zadowolenie, wynikające zapewne z szacowania zysków. A te były niewątpliwie spore.

Jego nowe nabytki, pracujące za friko, również nie miały powodu

do narzekań.

Iella i Myri rozdawały karty. Iella zastosowała grubą warstwę makijażu, żeby ukryć swoją prawdziwą tożsamość. Myri nie potrzebowała

takich sztuczek, ale i tak codziennie zmieniała kombinację

kolorystyczną swojej fiyzury, po prostu dlatego, że taki miała zwyczaj. Dwie atrakcyjne kobiety, biegłe w sztuce konwersacji i równie sprawnie obsługujące stoliki karciane, każdego dnia przyciągały rzesze klientów, zastawiających napiwki na tyle wysokie, że Myri zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę chciała kiedyś pracować w wywiadzie.

Lando i Han również mieli ręce pełne roboty, posługiwali się jednak kartami w zgoła innym celu. Zasiadali codziennie w innym kasynie przy stolikach do sabaka. Lando zachował swoje przebranie i przedstawiał się jako Bescat Offdurmin, Han zaś cały czas malował sobie twarz na żółto i przyklejał cieniutkie wąsiki.

Pod koniec każdego dnia porównywali swoje wyniki. Pierwszy tydzień zakończył się niewielką przewagą Landa.

Mirax większość czasu spędzała ze swoim ojcem. Przez te lata, które spędziła na Korelii, beztriosko ignorowała jego wysiłki, aby sprowadzić ją na „Błędnego Rycerza” i wprowadzić w tajniki zarządzania interesem. Teraz Korelia stała się wrogim światem, a że nie miała do roboty nic ciekawszego, zabrała się do nauki z typową dla siebie gorliwością co sprawiało jej ojcu niekłamaną przyjemność.

Leia, Wedge i Corran skupili się na gromadzeniu informacji i ich analizie. Rzadkie wyprawy w ucześniejsze rejony statku

ograniczali do kabiny wyposażonej w sprzęt komputerowy, zapewnionej im przez Boostera. Tam prowadzili szczegółowy przegląd danych, których dostarczali im ich towarzysze. Każda,

nawet najkrótsza wizyta w pomieszczeniach ogólnodostępnych

zmuszała ich do przybierania fałszywych tożsamości.

Informacje pochodziły od wstawionych klientów, ale także tych trzeźwych, od szczęśliwych i rozgoryczonych, od oficerów

mających problemy małżeńskie oraz od wojskowych, którzy najpierw

mówili, a potem myśleli.

Najcenniejsze dane pochodziły od graczy, którzy pod koniec dnia „odpoczynku i rozrywki” byli splukani i za mało trzeźwi, żeby stać prosto. Specjalny zespół pracowników „Błędnego Rycerza” opiekował się nimi, pozwalając im trzeźwieć w niewielkich,

cichych apartamentach, zapewniając sumkę kredytów

wystarczającą na powrót do jednostek wojskowych - chyba że wykupili wcześniej bilety w obie strony, co było dość powszechne.

Nierzadko eskortowali delikwentów do statków, które miały zabrać ich z pokładu „Rycerza”. Han, Lando i reszta ekipy zajmującej się gromadzeniem informacji stali się najlepszymi przyjaciółmi niezliczonego grona młodych wojskowych, pilotów

i personelu technicznego.

Jednak informacje, które zdobywali w ten sposób, bywały przeważnie denerwująco nieistotne. Tydzień po rozpoczęciu operacji

zebrali się, aby sprawdzić, czy spośród zgromadzonych danych

da się wyłowić coś istotnego.

- Chyba powinniśmy zacząć od ciebie - stwierdził Lando, wskazując na Wedge'a. - Wyglądasz na najbardziej załamane.

A to oznacza, że masz jakieś wyniki.

Wedge faktycznie wydawał się rozgoryczony, a spojrzenie, którym obrzucił Landa, tylko wzmocniło takie wrażenie.

- Co do załamania, masz rację - odparł. - Co do wyników, niekoniecznie. Widziałem dziś Syal w kasynie Otchłań.

Syal, starsza córka Antillesów, latała jako pilot sił Sojuszu i Lando poczuł współczucie dla Wedge'a - być tak blisko, a mimo

to nie móc się do niej zbliżyć... wszystko przez to, że z technicznego

punktu widzenia jej ojciec powinien być uważany za wroga.

- Z chłopakiem - dodał po chwili Wedge.

Lando parsknął.

- Z chłopakiem? Co masz na myśli? Ile miał lat, dwanaście, trzynaście?

Spojrzenie Wedge'a nie zmieniło się.

- Mniej więcej w jej wieku. Pilot. Uważam, że są dwa rodzaje pilotów. Dobrzy ludzie, jak ci wszyscy, których chętnie widziałem

w moich eskadrach, ale zastrzeliłbym ich, gdyby zainteresowali

się Syal, i ci gorsi. Tych bym zastrzelił, gdybym przyłapał ich kiedykolwiek na gapieniu się na moją córkę.

- Minęło trzydzieści sekund i już zdążyliśmy zmienić temat

- zauważył Corran. - Myślę, że ludzie nadal są zainteresowani toczącą się wojną i tym, kto kieruje marionetkami.

Wedge westchnął i wbił wzrok w blat stołu.

- Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale nie znalazłam nic, co by

wskazywało, że ta wojna została spowodowana przez kogoś z zewnątrz

- odezwała się Leia. - Przeglądałam sprawozdania, wiadomości,

analizy historyczne, wszelkie dostępne dane i wszystko wskazuje, że główny konflikt pomiędzy Korelią a GS wybuchł po

prostu z przyczyn politycznych.

- Bardzo cię proszę, wyrażaj się bardziej zrozumiale - odezwał się Lando. - Pamiętaj, że jest tu twój mąż.

Han posłał mu ponury uśmiech i przeniósł wzrok na żonę.

- Czy to oznacza, że nie istnieje osoba kierująca całym tym spektaklem?

Leia pokręciła głową.

- Chciałam powiedzieć, że to, co się wydarzyło, może poszło dalej niż plany. Bo czyjeś manipulacje niewątpliwie były... ustaliliśmy

to. Jestem pewna, że możemy wskazać związek przyczynowo-skutkowy... musimy tylko znaleźć motyw.

Iella otworzyła swój datapad.

- Po pierwsze, zasadzka Korelii na flotę Sojuszu, która, jak się wydaje, miała służyć zastraszeniu. Skutek? Korelia utrzymuje

niezależność, ale niedługo. Zasadniczo zarzewiem ruchu niepodległościowego

mogłaby się stać jakaś inna planeta, jak na przykład

Bothawui czy Commenor. Korelia ma jednak coś, czego one nie mają.

Wedge przytaknął.

- Stację Centerpoint i tajną flotę.

- Właśnie - przyznała Iella. - W tym momencie do rozgrywki dołącza admirał Klauskin i jego omamy. Mogłoby to być dowodem

na ingerencję naszego manipulatora. Skutek ingerencji?
Sytuacja się pogarsza, Sojusz zostaje ukazany w złym świetle,
Korelia zaś zyskuje wielu popleczników.

- Przyspieszyło to proces, dzięki któremu inne światy zaczęły
wspierać Korelię - skwitowała Leia. - A potem ta historia ze
stacją

Toryaz, śmierć premier Saxan... Wszystko to przyczyniło się
do zmian w strukturach dowodzenia Korelii, pozwalając
Thrackanowi

Sal-Solo awansować ze stanowiska ministra wojny na
prezydenta. Ten zaś, aby przyspieszyć przygotowania do
wojny,

musiał ujawnić tajną flotę.

Cicho, jakby bała się odezwać w towarzystwie tak
wytrawnych

graczy, odezwała się Myri:

- Zakłóciło to również równowagę sił Jedi.

Leia zmarszczyła czoło.

- Co masz na myśli?

Myri wyglądała na speszoną.

- No cóż, tak naprawdę niezupełnie zakłóciło. Mam na myśli,
że nie dotyczyło to samej Rady Jedi na Coruscant. Jeśli jednak
spojrzeć na powiązania rodzinne Solo - Skywalker... Przez
długie

lata trzymaliście się razem, byliście silni, stanowiliście spójną
całość. Aż tu nagle - bum! - zostaliście rozrzucony po
wszystkich

zakątkach galaktyki, znajdując się niekiedy w skrajnie
przeciwnych

obozach. To całkiem jak wybuch bomby, podrzuconej przez
zamachowca.

Leia i Han wymienili wymowne spojrzenia, Iella zaś spojrzała
na córkę z zaciekawieniem.

- To bardzo ciekawa interpretacja - stwierdziła po chwili Leia z rezerwą. - Nie rozważałam tego w tych kategoriach... i nie wiem, czy to miało wpływ na obecny stan rzeczy.

Myri, zadowolona, że jej sugestia nie została skrytykowana przez słuchaczy, wyraźnie poczuła się swobodniej.

- W szkole uczyli nas dążenia po nitce do kłębka.

„Zidentyfikuj

pieniądze". „Zidentyfikuj kochanka". „Zidentyfikuj

narzędzie"...

Sęk w tym, że czasem nie jest to takie proste.

Corran cały czas potakująco kiwał głową.

- Chcesz powiedzieć, że klan Solo - Skywalker stanowi narzędzie

i że właśnie został wyeliminowany - podsumował.

- Tak.

Leia nie zdołała ukryć lekkiego żalu w głosie.

- Nie zostaliśmy wyeliminowani.

- Jako jednostki nie. - Corran spojrzał na nią ze współczuciem, ale nie dał się zbić z tropu. - Jednak jako rodzina... powiedz mi, proszę, że nadal możesz rozesłać sygnały, jak jeszcze pół roku temu, i skupić uwagę i umiejętności całej swojej rodziny

na jednym problemie lub wrogu. Dalej, powiedz mi to.

Leia zastanawiała się przez chwilę, po czym opuściła z rezygnacją

głowę.

- Nie mogę.

- Zostaliście zdjęci z afisza. Zniknęła wasza siła wynikająca z jedności. - Corran skinął z uznaniem głową w stronę Myri.

- Dobra robota, mała.

- Dziękuję. - Myri wyglądała na zadowoloną, ale i skrepowaną pochwałą.

- Możemy więc założyć, że rozbicie waszej rodziny stanowiło

jeden z głównych celów tego animatora. A na dłuższą metę, zważając

na dotychczasowe losy galaktyki, jest to ogromnie istotne.

- Powinniście zrobić wszystko, aby znów się zejść - podsumował

Lando.

Han nie potrafił powstrzymać bolesnego grymasu.

- Nie jestem pewien, czy to jeszcze możliwe. Nie jestem nawet

pewien, czy niektóre z kawałków uda się w ogóle do siebie dopasować... - powiedział.

- Mimo wszystko, Lando ma rację - powiedziała Leia stanowczo.

- Han, skupialiśmy się nie na tym, co trzeba. Udowadnianie naszej niewinności, próby zdecydowania, którzy z kumpli Dura Gejjena powinni zostać wyeliminowani... nic z tego nie jest

tak naprawdę istotne. Myślę, że powinniśmy dać sobie spokój ze

spiskowcami na Korelii.

- A przynajmniej do chwili - wtrącił Wedge - gdy rozpoczną się procesy o zbrodnie wojenne.

- Masz rację. Koniec z próbą wykrycia spiskowców, odkładamy

sprawę manipulatora na później i koncentrujemy się na rozwiązywaniu prawdziwego problemu: jak przywrócić Skywalkerów

i Solo na arenę jako zjednoczoną siłę.

- Pewnie, czemu nie? - Han uśmiechnął się krzywo. - Wszystko,

co Luke i Mara muszą zrobić, to też udać się na wygnanie.

A wtedy będziemy przemierzać szlaki kosmicznej przestrzeni jako jedna wielka szczęśliwa rodzina - powiedział kpiąco.

Wyraz jego oczu sugerował jednak, że nie powiedział wszystkiego.

A Lando był całkiem pewien, że wie, co Han chciał dodać: wszyscy oprócz Jacena.

Wiele pokładów niżej niewielka jednostka transportowa kierowała

się w stronę hangaru „Błędnego Rycerza”.

Nie był to szczególnie piękny statek. Mierzył około czterdziestu

metrów długości, od dziobu do rufy. Jego przednia część, czyli

główny kadłub ładunkowy, była kanciasta i bezkształtna niczym

kawał steku z nerfa postawiony na sztorc. Tuż za nią znajdował

się przedział manewrowy, zapchany silnikami oraz urządzeniami

pozwalającymi zmieniać ustawienia płatów - długich, skrzydłopodobnych

powierzchni, wystających po bokach z bryły kadłuba.

Ogólnie rzecz biorąc, statek wyglądał jak zmutowany pomiot ptaka i cegły, przekonstruowany przez Verpinów w taki sposób,

żeby latał do tyłu.

Ten szczególnie egzemplarz frachtowca YV-666 szczylił się mnóstwem wgnieceń, blizn po trafieniach z działek oraz łat rdzy

na całym kadłubie, co go raczej nie upiększało.

Ze sterowni, znajdującej się na górnym pokładzie, kapitan Uran

Lavint ostrożnie manewrowała niezgrabnym statkiem, przelatując

przez gródź hangaru w ślad za świecącym androidem o kulistym kształcie, wzdłuż sznura mrugających świateł rozmieszczonych na podłodze hangaru, aż do wyznaczonego stanowiska.

- Jak tylko wylądujemy, ukryjesz się w schowku przemytniczym.

Będą skanować statek z zewnątrz - rzuciła w przestrzeń pozornie pustego pokładu.

- Rozumiemy. - Głos Alemy dochodził z nieprzeniknionej plamy cienia na tyłach mostka. - Co ich obchodzi, czy na pokładzie

znajdują się jacyś niezadeklarowani pasażerowie?

- Chodzi o kasę. - Lavint posadziła statek w miarę delikatnie, choć manewrowi towarzyszyły podejrzane zgrzyty i jęki wydawane

przez durastalowe części maszyny.

Skrzywiła się na ten dźwięk.

- Jeśli o tobie nie wiedzą nie mogą ci nic zarzucić. Jak tylko się dowiem, gdzie przydzielono mi kabinę, skontaktuję się z tobą.

- Dobrze. Czemu przyleciałyśmy akurat tutaj? Co takiego szczególnego jest w tym gigantycznym kompleksie kasyn i centrów handlowych?

- Za długo byłoby tłumaczyć... ale przypomnij mi kiedyś, żebym zaprezentowała ci moją teorię na temat przemytników z Korelii.

- Przypomnimy.

Lavint nie zauważyła, kiedy cień zniknął, ale mostek po odejściu

Alemy wydał jej się nagle jaśniejszy.

Trzy piętra niżej pracownicy hangaru za pośrednictwem zewnętrznego systemu łączności skontaktowali się z nią, oferując cały wachlarz drogich usług, włącznie z tankowaniem, odrdzewianiem, malowaniem, transmisją najnowszych holofilmów... Machnęła ręką i posłała w stronę komunikatora lekko nieprzytomne spojrzenie, jakby nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Pragnęła tylko jednego: żeby na „Błędnym Rycerzu” trafiły wreszcie na Solo - a wtedy będzie mogła zostawić Alemę Rar i jej obłąd na zawsze za sobą.

ROZDZIAŁ 13

Coruscant, Świątynia Jedi

Mara pochyliła się do przodu i oparła podbródek na dłoniach, a łokcie po obu stronach datapadu, który wynieśli z kwatery Lumiyi.

Znad notatnika spoglądał na nią siedzący po drugiej stronie stołu Luke.

- Złamałaś kod datakarty?

- W końcu się udało.

- Jakoś nie wyglądasz na zadowoloną.

- Nie potrzebujesz więzi Mocy, żeby to stwierdzić, pastuchu.

- Mów.

- Część z tych dokumentów to faktury, wystawione prawdopodobnie przez jakiegoś łowcę nagród pracującego dla Lumiyi.

Zawierają szczegółowe listy wydatków: godziny pracy, paliwo,

liczba trafień z blastera. Prócz tego mamy tu status misji oraz

swego rodzaju sprawozdanie. Nawet w takiej formie informacje

trudno rozszyfrować. Każda z nich jest w jakiś sposób zakodowana.

Jednak zakładając, że właściwie rozpoznałem szyfr przypisany niektórym z tych słów kluczy, wynik jest... interesujący.

- Na przykład?

- „Potwierdzam, że córka Lady zmarła z powodu obrażeń zadanych

przez Wnuka Trzy-dwa-siedem-zero-siedem - przeczytała

Mara. - Proszę o informacje, jeśli misja Lady ulegnie zmianie ze statusu ingerencji/obserwacji na decyzję o zemście”.

Luke zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- „Lady” musi oznaczać Lumię. Sama określa się mianem Czarnej Lady Sith... od kiedy w pobliżu nie ma Imperatora Palpatine'a

czy mojego ojca, którzy daliby jej popalić za taką impertynencję.

- Też tak sądzę. Jeśli zaś chodzi o ten sam przedział czasowy w odniesieniu do reszty z tych zaszyfrowanych imion, „Wnuk”

może oznaczać jednego z wnuków Dartha Vadera, nie sądzisz?

Jacena lub Bena.

- Trzy-dwa-siedem-zero-siedem - powtórzył Luke. - Chwileczkę.

- Wyciągnął swój datapad, połączył się zdalnie z komputerem Świątyni i rozpoczął poszukiwania raportu, który Ben przedstawił parę tygodni wcześniej. - Mam: B-M-X-3-2-7-0-7. Niezamieszkaną system w pobliżu planety Bimmiel. To tam kobieta

o imieniu Syo sprowadziła Jacena i Bena. Jacen pokonał

tam jakiegoś przedstawiciela Ciemnej Strony na terenie asteroidy

przez nią zamieszkaną.

- I właśnie tam zginęła Nelani Dinn. - Mara wydawała się zakłopotana. - Czy Nelani była córką Lumiya?

- Nie. Informacje na temat rodziców Nelani figurują w bazie danych zakonu, a Nelani jest... była - poprawił się Luke - bardzo

podobna do swojej matki. Poza tym Nelani zginęła tego samego

dnia, kiedy Jacen i Ben przybyli na Bimmiel. Według tych danych

„córka Lady” była wtedy ciężko ranna.

Luke jeszcze przez chwilę analizował fakty.

- Była tam jeszcze jedna kobieta, Brisha Syo - przypomniał.

- „Brisha” może stanowić anagram. „Shira B” - Shira Brie.

- Prawdziwe imię Lumiya - skwitowała Mara.

Luke przytaknął.

- Nie skojarzyłem tego wtedy, bo całe lata minęły od czasu, kiedy słyszeliśmy cokolwiek o Lumiya.

Dojrzewała w nim teraz pewna myśl, a wraz z nią rodził się problem - duży problem.

- Powiedzmy, że Lumiya ma córkę. Daje jej na imię Brisha, co jest w pewnym sensie hołdem złożonym przeszłości. Brisha pracuje razem z nią. Zwabia Jacena i Bena w pułapkę. Wraz z tajemniczym

domniemanym Sithem zamieszkują na asteroidzie...

Możliwe, że jej towarzysz jest Ciemnym Jedi, którego wynajęła,

ewentualnie uczniem Lumiya. Wspólnie zamierzają zabić Bena

w zemście za wszystko, co zrobiłem Lumiya, albo też schwytać

go i wyszkolić na Sitha. Co byłoby jeszcze gorszą zemstą.

- Też mi się zdarzało pomieszać jej szyki.

- Zgadza się. W takim układzie to byłaby zemsta na nas dwojgu. Ale na miejscu jest również Nelani, co równoważy siły.

Ciemny Jedi i Nelani zostają zabici, Brisha jest poważnie ranna,

Ben inkasuje cios w głowę i zapomina, co się działo, Jacen zaś prawdopodobnie nie zauważa nawet, że Brisha to jeden z wrogów.

Jacenowi udaje się uciec razem z Benem... a kilka tygodni później Brisha umiera z powodu doznanych obrażeń.

- A jej matka... - Mara skrzywiła się. - Jej matka chce się zemścić.

Na Jacenie. Młodemu Solo chyba zanadto weszło w krew mszczenie się na córkach naszych przeciwników.

Luke pokręcił głową.

- Nie wiemy, czy to Jacen zranił Brishę. Jak mógłby to zrobić i potem opuścić to miejsce, nie zdając sobie sprawy, że jest wrogiem? To Ben musiał tego dokonać podczas jednego z zaników

pamięci. Co czyni z niego potencjalną ofiarę... - powiedział Luke, a strach nagle ścisnął mu gardło. Nieważne, że ich syn był

tylko zarozumiałym smarkaczem w galaktyce ogarniętej wojną;

mógł teraz stanowić cel jednej z najbardziej niebezpiecznych postaci

galaktyki - kobiety, która o mało nie zabiła Luke'a zaledwie parę tygodni temu.

- Twoja teoria mnie przeraża, pastuchu - westchnęła Mara.

- Może dlatego, że stanowi odpowiedź na wiele pytań, które

sobie zadawaliśmy. Na przykład dlaczego Lumiya potrafiła infiltrować

szeregi Straży Galaktycznego Sojuszu i gromadzić informacje na temat Jacena oraz Bena, a potem przygotować się do zemsty. I dlaczego krążyła w pobliżu tak długo, nie atakując...

pewnie do momentu, gdy dowiedziała się o śmierci córki.

- Mara zacisnęła wargi. - A co, jeśli to ona jest powodem wszystkich złych decyzji Jacena? Jeśli Brisha lub uczeń Jedi na

tamtęj asteroidzie w jakiś sposób zakazili go wpływem Ciemnej

Strony?

- Gdyby rzeczywiście tak było, może się okazać łatwe do wyleczenia

- stwierdził po chwili namysłu Luke.

Mara walnęła pięścią w stół i odwróciła się od Luke'a. Była wyraźnie wzburzona - i nawet nie korzystając z Mocy, Luke domyślał się dlaczego.

Jeśli Jacen stał się ofiarą techniki Sithów polegającej na praniu mózgu, nie odpowiadał za swoje czyny. W takiej sytuacji Mara

nie miała prawa wykorzystywać wszystkich swoich umiejętności,

poświęcając się bez reszty próbie wyeliminowania go, jak powinna postąpić jako była Ręka Imperatora.

- Musimy się dowiedzieć, co zaszło na asteroidzie - stwierdził Luke. - A w tym celu musimy osobiście spotkać się z Jacenem.

Nie możemy pozwolić, by nami manipulował.

- Masz rację. - W głosie Mary było rozdrażnienie.

- W porządku. Przygotuję nasze myśliwce.

- Jeszcze jedno, zanim wyjdiesz... - odezwała się Mara cicho.

- Luke, kim był ojciec Brishy?

Jej mąż wzruszył ramionami i wstał od stołu.

- Skąd miałbym to wiedzieć? - odpowiedział. Kiedy jednak spojrzał na żonę, zobaczył na jej twarzy cień podejrzliwości i nieme błaganie, żeby jego odpowiedź rozwiała jej wątpliwości.

- Na pewno nie ja - pokręcił zdecydowanie głową.

- Jesteś pewien?

Obdarzył ją ciepłym uśmiechem.

- Maro, byliśmy zaangażowani w ten związek uczuciowo, ale nie fizycznie.

- W porządku. - Mara wyglądała już normalnie, ale poprzez łączącą ich więź Mocy Luke nadal wyczuwał odrobinę niepokoju.

Podczas przygotowań do wyprawy na Korelię przeklinał Lumię

za to, że ponownie zdołała zburzyć równowagę jego życia, tym razem nawet bez szczególnych starań.

Koreliańska strefa zakazana,

„Błędny Rycerz”

Wszyscy we wszechświecie zdawali się spiskować przeciwko niej - i Alema Rar zaczynała mieć tego dosyć.

Na pokładzie „Błędnego Rycerza” oprócz niej był jakiś inny Jedi. Nie miała co do tego wątpliwości. Przemierzała korytarze

i odwiedzała pogrążone w półmroku kasyna, wędrowała, zakutana

w szaty ukrywające jej okaleczone ciało, podpytywała pijanych

hazardzistów i cały czas odbierała za pośrednictwem Mocy

lekkie sygnały, świadczące o tym, że w pobliżu znajduje się ktoś

wrażliwy na Moc. Jedi.

To, że ani razu się na niego - czy na nią - nie natknęła, oznaczało

dla niej tylko jedno: ten ktoś się ukrywał. Ukrywał się przed nią a z tego wynikało, że musiała to być Leia Organa Solo.

Wieczorem poruszyła ten temat w kabinie, którą dzieliła ukradkiem

z kapitan Lavint.

- Zaufałyśmy ci - oznajmiła. - Zaprowadziłaś nas tam, gdzie przebywają Solo, a przynajmniej Leia. A jednak nie możemy jej

znaleźć. Ich znaleźć. Kiedy ich odnajdziemy, będziesz wolna.

- Nie spiesz mi się - odparła Lavint. Siedziała ze skrzyżowanymi

nogami na łóżku, trzymając butelkę drogiej, przedwojennej whisky. - My... to znaczy ty i ja, to znaczy, nie tylko ja... wygrywamy

przy stolikach do hazardu. Czy myślałaś kiedykolwiek

o porzuceniu swojej misji, cokolwiek tam knujesz, i spróbowaniu

sił w profesjonalnym hazardzie?

- Nie.

- W porządku. W takim razie powiem ci, co zauważyłam.

Używasz wyłącznie swoich sztuczek Jedi zamiast mózgu.

W normalnej sytuacji Alema poczułaby się obrażona takim posądzeniem. Nie musiałaby tego okazywać, wystarczyłaby jej

cicha zemsta. Ale Lavint wcale nie próbowała jej obrazić. Po prostu

brakowało jej hamulca między mózgiem a ustami. Cokolwiek pomyślała, wydostawało się na zewnątrz, szczególnie gdy była nieco wstawiona.

- Powiedz nam w takim razie, co robimy źle. Czemu uważasz,

że nie myślimy.

Lavint uniosła palec wskazujący.

- Raz. Kim jest Han Solo?

- Awanturnikiem, przyjacielem Jedi, mężem, ojcem, przemytnikiem, generałem, kapitanem statku...

- Wszystko inne się nie liczy. Oprócz przemytnika. To jest ważne. Koreliański przemytnik. - Odgięła dwa kolejne palce. - Dwa. Wedge Antilles, który właśnie zniknął z Korelii. Kim jest?

- Trzy.

- Co masz na myśli?

- Zagiąłeś trzy palce, nie dwa.

Lavint spojrzała w dół na swoją dłoń i wyprostowała z powrotem jeden palec.

- Antilles.

- Generał, admirał, pilot, mąż, ojciec, przyjaciel Jedi...

- A zaczynał swoją karierę jako koreliański przemytnik.

Alema rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie.

- Czy to twoja teoria na temat przemytników z Korelii?

- No właśnie. - Lavint ponownie odgięła trzeci palec. - Trzy.

Kim jest Booster Terrik?

- Przedsiębiorcą, właścicielem statku i... koreliańskim przemytnikiem?

- Na emeryturze. - Lavint się uśmiechnęła. - Zaczynasz łapać!

A poza tym jest ojcem Mirax Terrik. A kim jest córka Terrika?

- Koreliańskim przemytnikiem?

- Dobrze. Teraz uważaj. Wszyscy oni to pnie, wyrosłe na tym samym koreliańskim gruncie - przemycie. A teraz: w jaki sposób

splatają się ich konary? Han Solo jest mężem Leii Organy. Tu

mamy powiązania z Jedi - i to nie byle jakie, bo Leia jest siostrą

Wielkiego Mistrza. Antilles poślubił byłą agentkę wywiadu Nowej Republiki, więc jego konary sięgają wywiadu Galaktycznego

Sojuszu. Córka Boostera wyszła za Corrana Horna, kolejnego Jedi, związanego z KorSekiem. Horn i Antilles latali razem.

Wyszperałam jeszcze trochę informacji na ich temat; Antilles ma córkę, która otrzymała imię na cześć córki Terrika.

Widzisz,

w jaki sposób te gałęzie są ze sobą połączone?

Alema spróbowała złożyć wszystko w jedną całość.

- Oznacza to, że Solo są tu ze względu na wszystkich swoich przyjaciół i na bezpieczeństwo, które im zapewniają...

- Zapewniają też pieniądze i sprzęt. Dlatego, moja droga, nie znajdziesz ich w Centralnej Alei, ponieważ nie mogą szwendać

się w tłumie. Są tu gdzieś wszyscy razem, blisko właściciela tej

łajby. Szukałaś w miejscach ogólnodostępnych, a tymczasem cała paczka prawdopodobnie przechadza się po mostku, pijąc i opowiadając sobie żarciki.

Alema poczuła zadowolenie, że nie zabiła tej kobiety. Było to dla niej niezwykle rzadkie doznanie.

- Musimy zacząć przeszukiwać inne miejsca - doszła do wniosku.

- Najlepiej zrób to od razu, żebym zdążyła się przespać - mruknęła Lavint.

System Bothawui, „Shamunaar”

Rejestry danych i wyświetlacze prezentowały system rzadko rozmieszczonych myśliwców i uzbrojonych promów z czujnikami

dalekiego zasięgu, strzegący zewnętrznej granicy systemu.

Każdy manewr floty, która kierowałaby się w stronę Korelii, zostałyby zarejestrowany przez sensory statków tworzących system. Dane zostałyby przekazane „Shamunaarowi”, który z kolei przetransmitowałby informacje Drugiej Flocie. Bothanie nie mieli szans, aby zaatakować z zaskoczenia oddziały specjalne stacjonujące w okolicach Korelii.

No, przynajmniej teoretycznie.

Teoria jednak nie zawsze szła w parze z praktyką.

Admirał Klauskin zidentyfikował część personelu z sił specjalnych

jako zdrajców. Pieczołowicie zaznaczył na specjalnej liście tych, których kapitan Biurk wskazał z różnych powodów jako podejrzanych, oraz odhaczył innych, których jego podwładny określił jako bezwarunkowo godnych zaufania. Potem wyznaczył

każdemu z nich pozycję w systemie jednostek statków monitorujących

granice Zewnętrznych Rubieży. Razem z Biurkiem

ustawili „Shamunaara” w samym sercu chronionego obszaru i wzywali po kolei każdego z pełniących służbę pilotów; część z nich aresztowali, przejmując dowództwo ich statków.

Nadal oficjalnie pełnili służbę, ale każdy z nich był więźniem.

„Shamunaar” dryfował samotnie, przejąwszy obowiązki całego

zespołu.

Oczywiście, świetnie sobie radzili. Statek był wyposażony

w najlepsze czujniki dalekiego zasięgu, jakie dało się zainstalować

na fregacie. Co prawda musiał opuścić przydzielone mu stanowisko,

znajdujące się daleko poza systemem Bothawui, w korytarzu Bothawui - Korelia, ale i tak był tam zbędny. Tutaj natomiast wykonywał zadanie, które mogło przesądzić o losach galaktyki.

- Wszystko jest pod kontrolą - zapewnił Klauskin Biurka.

- Doniosłem o naszym sukcesie admirał Niathal. Niezwłocznie przyśle nam jednostki zastępcze.

- Mam nadzieję. - Biurk stał na środku mostka, usiłując kontrolować

wszystkie wyświetlacze naraz. Był wyraźnie zdenerwowany; wyglądało na to, że się nie uspokoi, zanim na własne oczy nie ujrzy obiecanych oddziałów zastępczych.

- Twoi oficerowie wyglądają na znudzonych.

Biurk spojrział na admirała z zaskoczoną miną.

- Nie sędzę.

- A jednak... Rozruszajmy ich trochę, co ty na to? Spędziłem wczoraj sporo czasu na opracowywaniu symulacji. Wyobraź sobie:

trzy floty bothańskie przełamują blokadę, a jedna z nich kieruje

się prosto na „Shamunaara”. Możemy wtedy iść na całość albo spróbować zestrzeliwać ich słabsze jednostki.

Biurk uśmiechnął się, od razu wyłapując błąd Klauskina.

- Sugeruje pan taktykę, admirale, wykluczającą rzetelność sprawdzających służb.

- Co? A tak, masz rację. Cóż, przekaz obowiązkowi pierwszemu oficerowi. Poprowadzimy ćwiczenie wspólnie, z mostka awaryjnego.

- W porządku. - Biurk odwrócił się do swojego pierwszego oficera, wysokiego Gotala. - Poruczniku Siro! Obejmuje pan mostek

na czas symulacji. Admirał i ja poprowadzimy ją z mostka awaryjnego.

Klauskin i Biurk przeszli na mostek awaryjny - było to niewielkie, rzadko używane pomieszczenie o ścianach zapchanych ciasno wyświetlaczami. Ekranów budziły się właśnie do życia, podobnie jak światła na suficie. Drzwi mostka zamknęły się cicho za mężczyznami.

- W tym miejscu nie obowiązują zwykłe zasady, zgadza się?

- zapytał Klauskin.

- Dlatego nazywamy je mostkiem awaryjnym - skwitował Biurk. - Och, przepraszam, admirale. Nie chciałem, żeby zabrzmiało to sarkastycznie.

- Naprawdę powinieneś uważać na to, co mówisz, synu -

warknął Klauskin. Z kieszeni wyciągnął podręczny blaster.

Biurk otworzył szeroko oczy; uważał to za niesmaczny żart.

Do chwili, kiedy admirał strzelił mu w środek piersi.

Biurk upadł na plecy, aż jęknęły panele podłogowe. Smużka dymu uniosła się ze zwęglonej plamy na jego mundurze, a z rany

wyciekła strużka krwi.

Devaronianin próbował coś powiedzieć; sięgnął po komunikator,

ale Klauskin pokręcił ze smutkiem głową i wystrzelił jeszcze dwukrotnie.

To by było na tyle. Jedno ponure zadanie mniej.

Wykorzystując kody, które zapamiętał, gdy Biurk otwierał i aktywował mostek awaryjny, Klauskin upewnił się, że drzwi pozostaną zamknięte.

Podszedł do panelu komunikacyjnego, aktywował połączenie z głównym mostkiem i powiedział:

- Poruczniku Siro? Odcinam cały system komunikacji zewnętrznej.

Od tej chwili każda próba nawiązania komunikacji będzie stanowiła część programu symulacji. Jeśli otrzyma pan jakąkolwiek informację od floty, czerwony błysk musi potwierdzić, że jest prawdziwa. Czy to jasne?

- Tak jest, sir.

Teraz Klauskin odpowiednimi przyciskami dezaktywował wszystkie anteny komunikacyjne na pokładzie fregaty - wszystkie oprócz jednego kanału, zarezerwowanego na jego wyłączny użytek.

Podszedł do głównego komputera i wsunął na miejsce datakartę.

Komputer zatwierdził program i uruchomił go.

Na całym statku wszystkie wewnętrzne drzwi i włazy automatycznie rozsunęły się i zablokowały w pozycji dostępu. Klauskin wyobraził sobie zaskoczone miny oficerów na mostku i wewnętrzny system łączności rozbrzmiewający pytaniami.

Tylko drzwi dzielące mostek od reszty pokładu były szczelnie zamknięte. Klauskin nie zamierzał umierać razem z innymi, chociaż

gdyby nawet nie udało się tego uniknąć, jego misja zakończyłaby się sukcesem.

Główny ekran wyświetlił wiadomość tekstową informującą, że wszystkie protokoły bezpieczeństwa dotyczące włazów zewnętrznych

zostały naruszone. Admirał pokiwał głową. Wszystko, co musiał teraz zrobić, to czekać. Jeszcze tylko przez dziesięć sekund mógł odwołać tę sekwencję.

Nie zrobił tego. Kiedy odliczanie dobiegło końca, zapaliły się

lampki i zabrzmiały sygnały alarmowe.

Klauskin po kolei przestawiał główny wyświetlacz na oddzielne

segmenty fregaty. Pierwsze obrazy pochodziły z niewielkiego lądowiska

dla myśliwców, gdzie pole siłowe utrzymujące w środku atmosferę właśnie przestało istnieć. Powietrze z sykiem wypływało

przez otwór, którym zwykle wlatywały lub wylatywały myśliwce.

Kilka z maszyn stacjonujących w hangarze zakołysało się lekko.

Samotny mechanik, stojący zbyt blisko głównej śluzy stracił równowagę

i został wyssany na zewnątrz wraz ze strumieniem powietrza.

Dryfując bezwładnie, wymachiwał rozpaczliwie ramionami, dopóki nie nastąpiła dekompresja, a wraz z nią śmierć.

Następny obraz ukazywał personel w mesie statku. Żołnierze rozglądali

się ze zdziwieniem dokoła, z coraz większym trudem łapiąc powietrze; admirał widział grozę w ich oczach. Niektórzy ruszyli

w stronę awaryjnych paneli kontrolnych umieszczonych w ścianach.

Inni obracali się bezradnie wokół, szukając źródła awarii.

Na całym pokładzie fregaty działo się to samo. Każde wewnętrzne

drzwi, wszystkie włazy były otwarte i wysyłały cenną atmosferę w przestrzeń kosmiczną, która niebawem pochłonie resztę powietrza. Jedyne mostek awaryjny był bezpieczny -

Klauskin czuł chłodny powiew na szyi, płynący z wentylacji pod

sufitem. Przełączył wyświetlacz, aby spojrzeć na mostek.
Obiektyw

holokamery zasłaniała twarz oficera komunikacyjnego. Była tak blisko, że jej rysy wydawały się groteskowo zniekształcone.

Za nim miotali się inni oficerowie, przekrzykując się nawzajem

i spazmatycznie próbując złapać oddech.

To nie potrwa długo, a gdy już będzie po wszystkim, Matric Klauskin zostanie ponownie bohaterem Commenoru.

Tymczasem

myśl o tym, tak droga admirałowi w ciągu paru ostatnich dni, tym razem nie zdołała zdjąć mu ciężaru z serca.

Powrócił do panelu komunikacyjnego, wybrał częstotliwość i nawiązał połączenie.

- Klauskin do K'roylana, czekam na odpowiedź.

Chwilę później na wyświetlaczu pojawiła się twarz Bothanina o czarnobrunatnym futrze.

- Tu K'roylan.

- Oko zamknięte. „Shamunaar” gotowy na przyjęcie zwycięskiej

załogi. Do czasu waszego przybycia atmosfera zostanie przywrócona.

K'roylan się uśmiechnął.

- W samą porę, admirale. Podziwiam pańską punktualność.

- Nagle na jego twarzy pojawił się niepokój. - Wszystko w porządku, admirale?

- Tak, oczywiście. Czemu pan pyta?

- Zdawało mi się, że pan płacze.

Klauskin podniósł dłonie do twarzy. Wyczuł na policzkach ślady

łez. Zdziwiło go to, ale nie mógł pozwolić sobie na zakłopotanie w obecności Bothanina.

- Eee... tak, wiem, o co ci chodzi. To wynik zmiany ciśnienia atmosferycznego na pokładzie.

- Rozumiem. - Na twarz Bothanina powrócił uśmiech. - Moja załoga będzie na miejscu już wkrótce. K'roylan, bez odbioru.

Koreliańska strefa zakazana, „Błędny Rycerz”

Leia i Luke przez długą chwilę trwali w uścisku, niespeszeni faktem, że się na nich gapią - w końcu to tylko rodzina i przyjaciele.

Prywatne pomieszczenia konferencyjne, które Booster przydzielił swoim sekretnym gościom, nie były tak przytulne jak

komfortowe apartamenty na pokładach reprezentacyjnych statku,

ale dla nikogo nie miało to większego znaczenia.

Luke uwolnił się z objęć siostry i dołączył do Mary, ściskającej

dłonie i odwzajemniającej uściski Hana, Lando, Wedge'a, Corrana, Mirax...

- Dobrze was widzieć - powiedział po prostu, ale z głębi serca. Zdziwiło go, że poczuł taką ulgę, widząc przyjaciół i przekonując

się, że żyją i mają się dobrze. Serce nie zawsze wierzyło w to, co rozum uznawał za prawdę.

- Was też miło spotkać - dodał Han i stało się jasne, że mur, który powstał między nimi, zbudowany z różnych sympatii politycznych,

wreszcie runął. - Ale przyznam, że jesteśmy nieco zaskoczeni waszą wizytą w takim miejscu.

- Byliśmy w pobliżu - wyjaśniła Mara. - Przybyliśmy do systemu, bo chcemy się zorientować, czy uda się wymusić na Jacenie odpowiedzi na kilka ważnych pytań. Bo wiecie... Ben zniknął.

Uwadze Leii nie umknął krótki grymas bólu na twarzy Mary; jeszcze wyraźniej wyczuła to poprzez Moc.

- Nie sądzę, żeby Jacen coś o tym wiedział, ale musimy wyciągnąć

z niego informacje przydatne w poszukiwaniach - dodał Luke.

- Nie mogliście wybrać lepszego momentu na wizytę - odezwał

się Wedge. - Jacen jest tutaj. Na pokładzie „Błędnego Rycerza”.

Luke spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Jacen i hazard?

- Jasne, że nie. - Corran pokręcił głową, wyraźnie zniecierpliwiony.

- Kręci się tylko w pobliżu, obserwuje, węszy. Może doszedł do takiego samego wniosku jak my: że „Błędny Rycerz”

stanowi bardzo dobre źródło zdobywania informacji. Wygląda na

to, że Jacen poświęca się dla SGS. A może po prostu chce się upewnić, że nikt na statku nie przemyca pomocy czy wsparcia dla Korelii. Tak czy siak, jest tutaj, więc ci z nas, których zna, powinni trzymać się na uboczu.

- Żadnego hazardu, nawet w przebraniu, dopóki Jacen nie opuści statku - zapowiedział Han.

- Jest coś jeszcze - dodała Leia. - Coś, co wyczuwałam poprzez

Moc w ciągu ostatnich paru dni. Ktoś jest na pokładzie statku... ktoś, kogo nie jestem w stanie zidentyfikować, ale jest

tutaj. Czuwa.

- Będę o tym pamiętał - powiedział Luke. - Nie obrazisz się chyba, jeśli opuścimy was teraz na kilka minut, żeby zadać Jacenowi

parę pytań?

Leia pokręciła głową.

- Uważajcie na siebie.

- Możesz na to liczyć - powiedział Luke, a potem dodał z wahaniem:

- Mamy też parę nowinek, z którymi musimy was zapoznać.

- Chodzi o rewelacje na temat Alemy Rar i Lumiyyi, Czarnej Lady Sithów - uzupełniła Mara. - Dysponujemy od niedawna pewną techniką Mocy, opracowaną przez Mistrzynie Cilghal, która pomoże nam uporać się ze sposobem, w jaki Alema manipuluje

pamięcią. Nauczymy was tego.

Jacen zatrzymał się w pobliżu jednego ze stolików w kasynie Otchłań. Nazwa kasyna pochodziła od konkretnego miejsca, a jego wnętrze zostało odpowiednio zaaranżowane. Prawdziwa

Otchłań była obszarem otoczonym przez gromady czarnych dziur, które połykały całe docierające z zewnątrz światło. Nic więc dziwnego, że kasyno Otchłań skrywał mrok, a jego ściany

utrzymane były w ciemnych barwach. Srebrzyste stoliki były otoczone dającymi słaby blask prętami jarzeniowymi, a sufit tonął

w ciemności. Kelnerzy i personel kasyna nosili ubrania ozdobione

fosforyzującymi elementami, które lśniły w ciemnościach.

Wszystko to podkreślało intymny nastrój, służący poufnym rozmowom

i potajemnym schadzkom.

Jacen stanął obok stolika, przy którym dokonywano zakładów w zapasach mikrodroidów. Wyświetlacze na blacie pokazywały walkę, toczącą się w specjalnym pomieszczeniu na pokładzie statku - pojedynkę między androidami najwyższej dziesięcentymetrowej wysokości, zaprojektowanymi i zaprogramowanymi przez hobbystów, których głównym zajęciem było wystawianie swoich pupilów do walki. Inne wyświetlacze prezentowały notowania zakładów. W pojedynku, który właśnie się odbywał, robot przypominający kształtem piraniożuka na gąsienicach próbował pokonać robota wyglądającego jak tatooiński piaskoczołg. Dzieliło je parę metrów powierzchni stylizowanej na majestatyczny las na Kashyyyku. Ale to nie androidy przyciągnęły uwagę Jacena. Spowodowała to kobieta, która siedziała na środku dłuższego boku stołu. Znał jej twarz, chociaż nigdy nie spodziewałby się zobaczyć jej tutaj. Okrążył stolik i skierował się w jej stronę. Kapitan Uran Lavint zerknęła znad swojego wyświetlacza i nie odstawiając drinka, skinęła głową na powitanie.

- Pułkownik Solo. Witam.
- Kapitan Lavint. Jak się tu dostałaś?
- Głupie pytanie. Dotarłam tu na frachtowcu, który mi dałeś.
- Uniosła szklaneczkę, wyciągnęła w jego kierunku w wymownym geście i pociągnęła długi łyk. - Wybacz, że nie wysłałam

ci kartki z podziękowaniami. „Durawrak” stał się moim talizmanem. Od kiedy przejęłam dowodzenie nad nim, stałam się bogata. Zrobiłam trzy kursy, każdy przyniósł mi fortunę.

- Nie miałaś żadnych problemów?

- Cóż, to stary gruchot. Wydałam część twojej zapłaty na jego remont. Ale nie stało się nam nic poważnego. Miło, że pytasz. Jacen gapił się na nią zbity z tropu. Jedi zwykle orientowali się, kiedy ktoś kłamie, a Lavint - był tego pewny - coś ukrywała,

jednak nie wyczuwał żadnych emocji, wskazujących na to, że mija się z prawdą. A tego właśnie się spodziewał. Jeśli jej hipernapęd

zawiódł, powinna być na niego wściekła, a nie była.

Gdyby zataiła fakt, że Jacen ją zrujnował, promieniowałaby od

niej uraza. Nic takiego nie czuł. A to by oznaczało, że jego rozkaz

zniszczenia hipernapędu nie został należycie wypełniony.

Musiał

się dowiedzieć dlaczego.

Nagle poczuł niewielkie zawirowanie w Mocy. Obejrzał się.

Luke i Mara stali w wejściu do kasyna i patrzyli prosto na niego.

Uśmiechnął się nieszczercze do pani kapitan.

- Cóż, znajdziemy się później. Na pewno.

- Jasne, jasne... a na razie możesz postawić mi drinka.

Ignorując Lavint, Jacen podszedł do Luke'a i Mary i przywitał się wojskowym uściskiem dłoni.

- Mistrzowie Skywalker! Powinniście byli mnie uprzedzić, że wybieracie się na Korelię.

- A gdzie byś był, gdybyśmy cię uprzedzili? - spytała Mara.

Jacen zamrugął.

- Prawdopodobnie na pokładzie „Anakina Solo”.

Luke usłyszał w głowie niedopowiedziane słowa siostrzeńca: Wszędzie tam, gdzie nie groziłoby mi spędzanie czasu w waszym towarzystwie.

Uśmiechnął się wesoło do Jacena.

- Cóż, byłoby miło, gdybyśmy cię tam wtedy złapali. Na pewno miałbyś więcej czasu na pogaduszki. Zajmijmy miejsca i zamówmy drinki. - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył w kierunku niewielkich stolików w pobliżu baru. Wybrał

taki, który wyglądał na niedawno umyty - jego lśniąca, gładka powierzchnia była nadal wilgotna - i usiadł.

Mara i jego siostrzeniec dołączyli do niego.

Jacen musiał uważać, żeby nie okazać rozdrażnienia. To spotkanie było dla niego niezbyt wygodne.

Kelnerka - Bothanka o srebrzystoszarym futrze, którego niewielką

część zakrywała czarna, króciutka sukienka - pojawiła się, aby przyjąć od nich zamówienie.

Kiedy odeszła, Luke nachylił się w stronę Jacena.

- Jacen, to ważne. Musimy wiedzieć dokładnie, co zaszło na asteroidzie w pobliżu Bimmiel.

Młody Solo trzymał emocje na wodzy; pozwolił sobie tylko na okazanie lekkiego zniecierpliwienia. W duchu jednak poczuł

ulgę i pewność siebie. Luke i Mara na pewno znaleźli już ślady

pozostawione celowo przez ludzi Lumiyi. Wszystko, co musiał

zrobić, to trzymać się ściśle wytycznych, które mu przekazała.

- To prawda, nie miałem czasu na napisanie raportu. Wszystko

przez tę nominację w Straży, która nadeszła od razu po powrocie

na Coruscant. Czy coś w raporcie Bena jest niejasne?

- Cóż, jest niekompletny - pospieszyła z odpowiedzią Mara.

- Nie ujawnia, co się stało w czasie, gdy był nieprzytomny, ani co

działo się z tobą gdy was rozdzielono.

- Tak, to prawda. - Jacen zmarszczył czoło, jakby próbował powrócić do wspomnień pogrzebanych pod nawalem bardziej aktualnych wydarzeń. - No dobrze, skupmy się więc na tych dwóch okresach. Brisha Syo, Nelani, Ben i ja wsiedliśmy do czegoś

w rodzaju wagonika, który zabrał nas do wnętrza asteroidy.

Impuls energii Mocy wyszarpnął Bena i Nelani z wagonika.

Chwilę później wyleciała również Brisha. Wagonik zatrzymał się

w głębokiej pieczarze. Tam zostałem zaatakowany przez kogoś

posługującego się Mocą kto promieniował Ciemną Stroną i miał

twoją twarz, Luke.

Luke pokiwał głową.

- W tym samym czasie walczyłem z wizją w Mocy wyglądającą

zupełnie jak ty. Mara i Ben także walczyli ze swoimi sobowtórami.

- Zgadza się. - Umysł Jacena sortował informacje, które dostarczyła

mu swego czasu Lumiya. Próbował ustalić właściwy porządek przedstawienia biegu zdarzeń. - Mój pojedynek zakończył się, kiedy fałszywy Luke cisnął w moją stronę głaz, a ja odwróciłem

się ku niemu z mieczem. Oberwałem skałą w głowę i przez chwilę byłem nieprzytomny. Kiedy się ocknąłem, mój przeciwnik leżał martwy. Parę metrów dalej znalazłem jego głowę i przyjrzałem się jego prawdziwej twarzy. To był Devaronianin. Nie miał przy sobie karty identyfikacyjnej, a jego miecz świetlny zniknął.

- Zniknął? - Mara zmarszczyła czoło. - Czyżby ktoś przyszedł, kiedy byłeś nieprzytomny, i go zabrał?

Jacen wzruszył ramionami, jakby szczegół nie miał dla niego znaczenia.

- Prawdopodobnie wpadł w jakąś szczelinę i dlatego nie mogłem

go znaleźć. Ta asteroida miała bardzo niską grawitację. Rękojeść

miecza mogła odpłynąć nawet na kilometr.

- A Ben? - zapytał Luke.

- Znalazłem go w pieczarze trochę wyżej - wyjaśnił Jacen.

- Nieprzytomnego. Obok leżała Brisha Syo. Straciła ramię, miała

obrażenia głowy i poważną ranę na piersi... - wszystko pochodziło

od miecza świetlnego. Udzieliłem jej pierwszej pomocy. Była przekonana, że androidy medyczne na jej planecie będą w stanie

ją wyleczyć. Powiedziała, że natknęła się na wściekłą rudą wariatkę...

to jej własne słowa... wyglądającą jak Mara, która szykowała się do obcięcia Benowi głowy. Brisha rzuciła mu się na pomoc. Została poważnie ranna, ale zdołała zmusić fałszywą Marę do odwrotu.

Luke i Mara spojrzeli po sobie.

- Jeśli mówiła prawdę - zaczął Luke - sprawy musiały przebiegać

następująco: Ciemny Jedi - kimkolwiek był - przybrał postać Mary i zaatakował Bena. Wygrał tę walkę, ale Brisha powstrzymała

go od zabicia Bena. - Wtedy napastnik uciekł, przybrał moją postać i zaatakował Jacena, a Jacen go zabił.

Mara pokręciła głową.

- To nie trzyma się kupy, jeśli założymy, że istniał jakiś związek

między walkami Jacen - Luke i Ben - Mara. Pamiętaj, że moja walka z fałszywym Benem i twoja z fałszywym Jacenem działały się jednocześnie.

- Z tego wynika, że moja walka z fałszywym Lukiem i Bena z fałszywą Marą również odbyły się w tym samym czasie. - Jacen

udawał, że głowi się nad tą kwestią. - Jedyne logiczne wnioski,

jaki się nasuwa, to taki, że mieliście do czynienia z dwoma wrogami w dwóch jaskiniach.

- Zgadza się. - Luke spojrział na Jacena i zawahał się chwilę, zanim podjął: - Jacenie, mamy dowody na to, że Brisha Syo była

córką Lumiya.

Jacen opadł na oparcie krzesła i przywołał na twarz wyraz zaskoczenia.

- Nie wierzę. Nie dałbym się tak łatwo zwieść.

- Musiała być bardzo dobra w manipulowaniu - powiedziała Mara - jeśli została wyszkolona przez swoją matkę.

- A więc... - Jacen udawał, że się zastanawia - ...prawdopodobnie

to Brisha zabiła Nelani. I to Brisha walczyła z Benem.

- A Ben zadał jej śmiertelny cios - podsumowała Mara z dumą.

- Ona jednak pokonała go za pomocą jakiejś sztuczki. A później

usunęła jego wspomnienia, zanim się na nich natknął.

Oto próba odwagi, pomyślał Jacen. Czy sugerujesz, że moje wspomnienia również zostały zmanipulowane? Że mój sposób myślenia uległ zmianie?

Luke chyba chciał coś dodać, nagle obejrzał się za siebie.

Chwilę później Jacen i Mara również to poczuli - silną falę zaskoczenia

wymieszanego z przerażeniem. Do tej fali dołączyły

inne uczucia: strach, uniesienie, gniew...

Tak silne emocje musiały napływać od setek, może tysięcy osób jednocześnie.

Jacen złapał swój komunikator i rzucił:

- Pułkownik Solo do „Anakina Solo”. Raport o sytuacji.

- Tak, pułkowniku! - Jacen rozpoznał głos jednego z oficerów komunikacyjnych „Anakina Solo”. - To... - Przez parę sekund panowała cisza. - Flota, sir. Zbliży się flota, otaczają nas, zaatakowali

nasze oddziały specjalne w okolicach Korelii...

Jacen wstał i ruszył pędem w kierunku wyjścia. Po drodze potrącił

bothańską kelnerkę, która wylała trzy drinki na dywan.

ROZDZIAŁ 14

W chwili gdy Jacen Solo zaczął biec, po drugiej stronie spowitego

mrokiem kasyna, w cieniu pogłębionym dodatkowo przez jej własne manipulacje, Alema Rar zastanawiała się, co powinna

zrobić.

Wiedziała, że pułkownik Solo jest na pokładzie, ale specjalnie jej to nie interesowało. Spędziwszy parę godzin na przeszukiwaniu

chronionych hangarów, w których nie natrafiła na żaden ślad „Sokoła Millenium”, odnalazła kapitan Lavint i dołączyła do niej

w kasynie, wspomagając Mocą jej hazardowe sukcesy. Widziała,

jak Jacen po rozmowie z Lavint kieruje się w stronę drzwi, aby

spotkać się z dwojgiem ludzi, którzy właśnie wchodzili.

Niewielki impuls w Mocy kazał jej podejść bliżej i przyjrzeć się lepiej rozmówcom Jacena - i wtedy poznała Luke'a i Marę Skywalkerów.

To odkrycie podniosło jej poziom adrenaliny tak bardzo, że z trudem się uspokoiła. Miała przy sobie dmuchawkę; najwidoczniej

przewidziała okazję, jaką zamierzał dać jej los.

Skoro są tu Skywalkerowie, rosły szanse, że znajdą się również

Han i Leia Solo - albo niedługo przybędą. A wtedy Alema będzie mogła zakończyć swoją misję - wykończyć Hana i Marę na oczach ich bliskich, powodując cierpienia Luke'a i Leii, co z kolei przywróci Równowagę w jej duszy i we wszechświecie.

Przytrzymała dmuchawkę pod niesprawnym ramieniem i poszperała

w zakamarkach szaty w poszukiwaniu strzałek. Jeszcze kilka sekund i wystrzeli zatruty grot w kierunku Mary.

Ale zakłócenia, które teraz wyczuła, musiały najwidoczniej zaalarmować Jacena, a to wzmogło czujność obojga Skywalkerów.

Mara wyciągała właśnie komunikator, a Luke rozglądał się bacznie wokół. Odprowadził wzrokiem Jacena i spróbował ocenić sytuację w kasynie. Gdyby Alema teraz spróbowała... zostałaaby z pewnością złapana. Ale czy trafi się lepsza okazja? Wsunęła strzałkę do dmuchawki i już podnosiła ją do ust, kiedy Luke wstał i spojrzał w stronę jej kryjówki. Zamarła w pół ruchu. Raczej nie mógł jej dostrzec w tym mroku... Gdyby jednak zaatakowała teraz, gdy zmysły Luke'a są wyjątkowo wyostrzone, niemożliwe, żeby nie zauważył jej obecności. Komunikatory w całym kasynie zaczęły piszczeć na różne tony. Klienci wstawali od stolików, znad swoich drinków; pchali się na linię strzału pomiędzy nią a Marą. Alema zasyczała z rozdrażnieniem. Musiała znaleźć się bliżej. Ruszyła naprzód, trzymając się cienia. Nagle Mara wstała, powiedziała coś i razem z Lukiem ruszyła biegiem w kierunku wyjścia. Tłum gości kasyna również zaczął się tłoczyć w tym kierunku - większość z nich rozmawiała przez komunikatory. Alema zrobiła krok, ale utknęła w tłumie. Kikut kalekiej stopy bardzo utrudniał jej pościg. Torowała sobie drogę, używając łokci i Mocy. Mimo tych wysiłków długie, frustrujące minuty minęły, zanim dotarła do wyjścia, w samym środku gromady mężczyzn

i kobiet w mundurach. Musiała podskakiwać raz po raz, żeby cokolwiek zobaczyć.

Znalazła ich wreszcie. Luke i jego żona kierowali się w pośpiechu na dziób okrętu, na samym skraju jej zasięgu rażenia.

Alema przyłożyła dmuchawkę do ust, odczekała sekundę, żeby

się uspokoić, uniosła końcówkę, aby nadać strzałce odpowiednią trajektorię lotu, i dmuchnęła.

Straciła Marę z oczu już w momencie, gdy grot opuścił wnętrze

dmuchawki. Podskoczyła raz i drugi, żeby dostrzec chociaż jej plecy. Strzałka powinna właśnie docierać do celu...

Skywalkerowie dotarli do skrzyżowania korytarzy i skręcili w lewo. Ociężały Ortolanin, pokryty krótkim niebieskim futrem,

o długich obwisłych uszach i trąbie sięgającej niemal pokaźnego

brzucha, szedł naprzeciwko nich, zmierzając w stronę kasyna Otchłań.

Chwilę później zachwiał się i runął twarzą na podłogę.

Alema warknęła ze złością. Jej strzałka chybiła!

Tłum gości próbujących się wydostać z pokładu „Rycerza” stał

się tak gęsty, że nie dysponując Mocą nie dałaby rady się precyzyjnie przycisnąć.

Wszyscy kierowali się w stronę hangarów statku. Kiedy Alema

dotarła do skrzyżowania, oboje Jedi już dawno gdzieś znikli.

Ktoś wpadł na nią z impetem. Przyjrzała się sprawcy zderzenia

- ciemnoskóremu, przystojnemu mężczyźnie z szopą białych włosów i zarostem w tym samym kolorze. W ręku miał laseczkę zakończoną srebrną gałką a jego jaskrawa jedwabna peleryna zahaczała o ciała mijanych osób.

Alema zdążyła przejść dwadzieścia metrów, zanim uświadomiła sobie, kim był ten człowiek.

Lando Calrissian.

Stłumiła wściekły skowyt. Jeśli był tu Lando, w pobliżu musieli

przebywać również Han i Leia. Alema tkwiła w miejscu niezdecydowana, czy powinna podążyć za Landem, czy ścigać Skywalkerów. W końcu jednak ruszyła za Calrissianem.

Mostek „Dodonna”

- Wezwać wszystkie załogi zwiadowcze! - zawołała admirał Tarła Limpan. Szaroskóra, czerwonoooka Durosjaneczka rzucała się

w oczy wśród załogi mostka okrętu, co w chaosie bitwy było zdecydowanie korzystne.

- Wysyłajcie eskadry, jak tylko będą gotowe. Ocena zagrożenia!

Na co czekamy?

W końcu na środku mostka ukazał się holograficzny schemat przestrzeni wokół Korelii. Admirał Limpan znalazła się w samym

centrum hologramu i musiała cofnąć się o dwa kroki. Wizerunek

sfery Korelii dzieliła na pola sieć niebieskich linii. Statki Sojuszu

oznaczono niewielkimi zielonymi symbolami, a jednostki koreliańskie

na powierzchni planety lub w jej atmosferze miały barwę żółtą.

Statki niezidentyfikowane pulsowały na czerwono, a wokół znajdowało

się ich całe mnóstwo - niektóre wchodziły już w atmosferę z przeciwnej strony planety. Większość z nich kierowała się na „Dodonnę”

wzdłuż wektorów orbitalnych. Było ich stanowczo za dużo.

Pułkownika Moyana, odpowiedzialnego za eskadry myśliwców,

nie było w pobliżu - znajdował się w pomieszczeniu kontrolnym

w przedziale położonym nieco dalej - ale jego warkliwy głos słycać było wyraźnie z systemu głośników mostka:

- Mamy tu dwa krążowniki, fregatę i minimum dwanaście eskadr

myśliwców zmierzających wprost na nas. A to tylko nowe jednostki. Jest ich co najmniej tyle samo, co statków opuszczających

Korelię. Mają miażdżącą przewagę. Nasze jednostki rozmieszczone

wokół stacji Centerpoint i reszty światów informują o podobnych sytuacjach.

Limpan spojrzała w stronę głośników, jakby Moyan znajdował

się gdzieś obok nich.

- Skąd do cholery się wzięli?

- To bothańskie krążowniki szturmowe, pani admirał.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się, ale poczuła lekkie współczucie

dla Moyana. Był Bothaninem.

- W porządku. Nawigacja, ustawić kurs na stację Centerpoint!

- zawołała. - Wydać rozkaz naszym statkom z tamtych okolic,

niech skoncentrują atak na stacji. Nie możemy dopuścić, żeby dostała się w ręce Korelian. „Dodonna” przyłączy się do operacji

niezwłocznie. - ...jeśli dotrzemy tam w jednym kawałku, dodała

w duchu. Na miejscu będziemy musieli podjąć decyzję, czy zostajemy i walczymy, czy uciekamy z podkulonymi ogonami.

- Głośno zaś zapytała: - Gdzie jest „Anakin Solo”?

Niszczyciel gwiazdny należący do Straży Galaktycznego Sojuszu,

dowodzony przez Jacena Solo, nie odpowiadał na jej wezwania.

Nie zawsze wiedziała, gdzie on się znajduje, podobnie jak nie zawsze ujawniano przydzielane mu zadania.

- Opuścił swoje stanowisko ponad orbitą Soronii, w obrębie bezpośredniego korytarza z Coruscant. Zbliży się do nas - poinformował

bez chwili zwłoki jej operator czujników.

- Przekaż mu, aby dołączył do nas nad Centerpoint. - Limpan wyczuwała niewielkie zmiany w sztucznej grawitacji utrzymywanej

na statku. Przez panele widokowe mostka obserwowała, jak „Dodonna” powoli zmienia pozycję i kieruje się w stronę przeciwną do planety. - Ile eskadr myśliwców mamy na pokładzie?

- Trzy, pani admirał.

Limpan ponuro pokręciła głową. Wyglądało na to, że dostaną lanie. I powinni modlić się, żeby to było tylko lanie.

Jakby czytając w jej myślach, jeden z młodszych oficerów powiedział

wystarczająco głośno, żeby dosięgło to jej uszu:

- Jesteśmy ugotowani.

- Myśliwce wroga wchodzą w nasz zasięg rażenia - oznajmił Moyan.

- Otworzyć ogień - zarządziła Limpan. - Wytyczne brzmią: „Strzelać bez rozkazu”.

„Błądny Rycerz”

Wedge i Corran wbiegli do hangaru flagowego, ślizgając się na zakręcie korytarza. Ich roboty astromechaniczne rozpoczęły

już wstępne procedury lotu; osłony każdego z myśliwców były

podniesione. Wedge pierwszy dotarł do swojego, ale Corran miał

tę przewagę, że zamiast wspinać się po drabince zwieszanej z kabiny,

mógł wskoczyć zwinnie na miejsce pilota, co też uczynił.

Wspinając się po drabince, Wedge posłał w kierunku koreliańskiego

Jedi parę niecenzuralnych słów.

- Jak tam, skarbie? - rzucił do komunikatora.

- Niezidentyfikowany przeciwnik ostrzeliwuje wszystkie większe

pozycje zajmowane przez Drugą Flotę wewnątrz systemu.

Czekaj,

czekaj... już nie jest niezidentyfikowany Siły stacjonujące nad Centerpoint zgłaszają że napastnicy mają oznaczenia Commenoru.

Siły blokady Tralusa i Korelii informują o flocie bothańskiej.

W naszym kierunku zmierza niewielka grupa uderzeniowa: jedna

fregata plus eskadra myśliwców. A „Dodonna” wydał „Błądnemu

Rycerzowi” rozkaz zabraniający wejścia w nadprzestrzeń, dopóki

do bitwy nie przystąpią wszystkie uzbrojone jednostki zdolne do

walki, znajdujące się na jego pokładzie.

Wedge wskoczył do kabiny X-winga. Rozkaz „Dodonny” oznaczał, że Booster będzie musiał rozegrać tę partię ostrożnie.

Jeśli postawi na skok w nadprzestrzeń, zanim wszyscy wojskowi

opuszczą jego statek, ryzykuje ukaranie przez Sojusz - wysokie

grzywny, które mogą nawet doprowadzić go do bankructwa.

Jeśli

tego nie zrobi, a siły, które ich zaatakują, będą miały znaczną przewagę, ryzykuje utratę „Rycerza” razem z życiem - własnym

oraz tysięcy pracowników i gości, bo jego statek nie był uzbrojony.

Wedge szarpnięciem uwolnił drabinkę i cisnął ją na podłogę hangaru. Wśliznął się na siedzenie, założył hełm i zamknął osłonę

myśliwca.

Z głośników usłyszał głos Corrana.

- Głupie pytanie natury operacyjnej. Jak brzmi nazwa naszej eskadry?

Wedge parsknął. Pytanie brzmiało w tej sytuacji nieco niedorzecznie,

ale rzeczywiście powinni przyjąć jakieś kryptonimy, aby móc się komunikować.

- Ganner - zdecydował. - Ja jestem „Ganner Jeden”, ty

- „Ganner Dwa”. - Sprawdził status na swoim wyświetlaczu.

- W porządku, gotów. Otworzyć drzwi hangaru.

- Powiedz „proszę” - odezwała się Iella, ale zaraz dodała:

- Żartowałam.

Światła hangaru flagowego nieco przygasły i skrzydła śluzy rozsunały się na boki. Wedge aktywował swoje repulsory, posyłając

X-winga w chwiejny, dwumetrowy ślizg, po czym wcisnął dopalacze i przeleciał przez otwór, jeszcze zanim śluza zdążyła

całkiem się otworzyć.

To był niezbyt udany start. Dysze silników przysmażyły ściankę

hangaru za X-wingiem. Taki wybryk w czasach, gdy Wedge latał jeszcze w szeregach Sojuszu Rebeliantów czy Nowej Republiki,

kosztowałoby go co najmniej naganę. Tutaj nie miało to znaczenia - musiał jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz, gdzie

właśnie rozgorzała bitwa.

Maszyny pilotowane przez Wedge'a i Corrana zatoczyły koło, aby skierować się ku rufie „Błędnego Rycerza”. Ich oczom ukazały

się chmary myśliwców i innych jednostek, wypluwanych z trzewi hangarów okrętu na podobieństwo ładunków ciskanych

przez bombowiec. Myśliwce przechodziły z repulsorów na napęd

jonowy, kierowały się ku Korelii i przyspieszały, aby dotrzeć jak najszybciej do punktów zbornych. Te, które były nieco dalej,

w miarę zwiększania dystansu znikały, dokonując skoków w nadprzestrzeń.

Z głównych hangarów nadleciały dwa X-wingi, zrównując szybkość i kierunek ze świeżo utworzoną eskadrą Ganner.

Wedge zmarszczył czoło - sensory jego statku nie wykryły ich,

dopóki nie znalazły się w odległości kilkuset metrów, kiedy jednak

pojawiły się w zasięgu wzroku, zrozumiał dlaczego. Były to jednostki typu StealthX. Ciemna, dziwacznie cętkowana powierzchnia

ich kadłubów powleczone była substancją która rozpraszała czujniki.

Wedge zmienił częstotliwość łączności myśliwca na kanał wojskowy.

- Kogo tu mamy? - zapytał, choć był pewien, że zna odpowiedź.

- Cześć, Wedge.

- Luke! Rozumiem, że twoja pogawędka z pułkownikiem została przerwana. Mara jest twoim skrzydłowym, zgadza się?

- Tak. Zamierzacie stawić czoło próbie przechwycenia „Błędnego Rycerza”?

- Dopóki nie zdoła skoczyć w bezpieczne miejsce.

- Racja. Zdajesz sobie sprawę, że atakujesz swoich ludzi?

- Nikt, kto próbuje zestrzelić staruszka, który nie dał mi zginąć po śmierci moich rodziców, nie jest moim człowiekiem,

Luke. A przy okazji - jesteś teraz „Ganner Trzy”, a Mara „Ganner Cztery”.

Przez chwilę panowała cisza.

- To od Gannera Rhysode? - zapytał w końcu Luke.

Jedi Rhysode zginął na Coruscant w czasach konfliktu z Yuuzhan

Vongami, zabijając w swojej ostatniej walce więcej wrogów, niż udało się to jakimkolwiek innemu żołnierzowi w ciągu tej

wojny.

- Nie wymyślisz chyba lepszej nazwy dla garstki straceńców, próbujących opóźnić atak sił nieprzyjaciela?

- Nie. Kto jest „Ganner Dwa”? Corran?

W eterze rozległ się głos Corrana:

- Witaj, szefie.

Przestrzeń wokół Korelii

Prom Jacena był już gotowy do skoku w nadprzestrzeń, w kierunku

„Anakina Solo” stacjonującego tuż na skraju systemu, kiedy Solo otrzymał nową wiadomość ze swojego niszczyciela.

Chodziło o prośbę admirała Limpan o dołączenie do sił gromadzących

się nad stacją Centerpoint. Jacen potwierdził zmianę planów, szybko wprowadził współrzędne nowego skoku i chwilę

później znikł w nadprzestrzeni.

Opuścił ją w pobliżu Centerpoint. Na tle przestrzeni kosmicznej

rozpoznawał sylwetkę stacji - brzydką, wydłużoną bryłę przedzieloną pierścieniem. Nieco bliżej mógł odróżnić ciężki lotniskowiec

kalamariański należący do sił Galaktycznego Sojuszu

- „Błękitnego Nurka” oraz dwa krążowniki typu Carrack. W porównaniu

do kalamariańskich statków w organicznych kształtach

krążowniki wydawały się toporne i kanciaste jak maczugi

prymitywnych barbarzyńców. „Błękitny Nurek” ostrzeliwał

z turbolaserów i dział jonowych siły wroga. Jednak nie wiadomo

dlaczego te salwy, które nie mogły być wykorzystane do ataku na krążowniki, były kierowane w stronę stacji Centerpoint.

Trzy

okręty oplatała sieć niewielkich eksplozji i strumieni energii, stanowiąca efekt wysiłków uwijających się wokół myśliwców. Jacen trzymał się na razie nieco z dala - lekkie działa laserowe jego promu nie mogły w żaden sposób przeważać szali w toczącej się bitwie, za to w razie konieczności mógł szybko się wycofać, gdyby sytuacja wyglądała niepomyślnie. Wyświetlacze czujników statku migotały w miarę przybywania w ten rejon przestrzeni coraz to nowych jednostek. Między nimi pojawił się właśnie błękitny klin „Anakina Solo”, który parę sekund temu wyskoczył z nadprzestrzeni i kierował się w sam środek zawieruchy. Jacen przechylił prom, obierając kurs na „Anakina”, i zdołał do niego dołączyć jeszcze przed epicentrum walk. „Anakin” otworzył ogień, zanim jeszcze zaatakowały go myśliwce wroga. Jacen miał szczęście. Żaden z wrogich statków zaangażowanych w wymianę ognia wokół stacji nie odłączył, aby zaatakować „Anakina”, więc młody Solo w ciągu kilku minut dotarł do sali dowodzenia. Oficer Twizzl, dowodzący „Anakinem Solo”, powitał go skinieniem głowy. Siwowłosy mężczyzna był słusznego wzrostu; wyglądał jak żywcem wzięty z holoreklam sprzętu do ćwiczeń i napakowanego proteinami jedzenia. W jego głosie brzmiał ślad coruscańskiego akcentu, stłumionego przez lata służby, które spędził w otoczeniu wielu różnych ras i klas społecznych.

- Wydałem rozkaz ostrzelenia krążowników z dział laserowych dalekiego zasięgu.

- Odwołać - zdecydował Jacen. - Użyjcie ich przeciwko stacji,

wspierając działania „Błękitnego Nurka”.

Twizzl skrzywił się z niezadowoleniem.

- Poświęcić życie, byle tylko zabić więcej żołnierzy? Pułkowniku,

ośmielę się zasugerować, że to niezbyt dobry pomysł... w tych okolicznościach.

- To nasz jedyny wybór. Nie widzisz, co się dzieje? Admirał Limpan nie zarządziłaby ataku na tę stację, gdyby nie była pewna,

że siły wroga mogą nas wykurzyć z systemu. A jeśli go opuścimy

i pozostawimy za nami nietkniętą Centerpoint...

- Tak jest, pułkowniku. - Twizzl nie wydawał się do końca przekonany, ale odwrócił się w stronę oficera uzbrojenia. - Zmiana

planów. Nasz nowy cel to Stacja Centerpoint. Ogień ciągły.

Spowodujcie tyle zniszczeń, ile się da - zakomenderował, a w jego

głosie słyhać było urazę.

„Błędny Rycerz”

Z dala od uczęszczanych pomieszczeń „Błędnego Rycerza”

i tłumu spanikowanych gości Lando wynurzył się z ciemnego zaułka

i wszedł do niewielkiej turbowindy. Drzwi zamknęły się za nim i rozległ się głos systemu obsługi urządzenia:

- Proszę wcisnąć numer pokładu.

- Upoważnienie Trzy.

- Proszę okazać odcisk palca, wzór tęczęwki lub inny dowód

potwierdzający tożsamość.

Lando podniósł dłoń, aby postąpić zgodnie z instrukcją, ale zanim zdołał to zrobić, drzwi otworzyły się ponownie i do środka

weszła, wyraźnie kulejąc, niewysoka kobieta w ciemnej pelerynie

z kapturem. Stała w drugim kącie windy.

Lando skinął jej uprzejmie głową. Byłoby niegrzecznie kazać jej wyjść, więc postanowił, że pojedzie z nią na jej piętro, po czym - zabezpieczywszy się tym razem na wypadek najścia niechcianych

pasażerów - wróci do sztabu operacyjnego ich zespołu w pomieszczeniu konferencyjnym.

- Proszę wcisnąć numer pokładu.

Kobieta zignorowała prośbę systemu. Ściągnęła z głowy kaptur,

pokazując twarz i lekku, z których jedno było ucięte w połowie

długości. -1 twarz, i lekku należały bez wątpienia do Alemy Rar.

- Jak się miewasz, Lando?

Nogi ugięły się pod Calrissianem, aż musiał oprzeć się o ścianę

turbowindy. Sięgnął po swój podręczny blaster, zanim jednak zdołał go wyciągnąć z ukrytej kabury, broń pofrunęła z jego dłoni

prosto do Alemy.

Alema spojrzała na blaster, zanim cisnęła go na podłogę.

- Jesteśmy rozczarowani. To nie jest odpowiedni sposób na powitanie starej przyjaciółki.

Lando odchrząknął.

- Masz rację, jasne. Wybacz. Już nie te lata.

Popatrzył na nią, próbując nie okazywać przerażenia. Po raz

pierwszy spotkał Alemę całe lata temu, w samym środku wojny

z Yuuzhan Vongami, kiedy była jeszcze nastolatką, pogrążoną w żałobie po śmierci swojej siostry Numy. Kiedy jej ciało było

jeszcze perfekcyjne. Kiedy była przy zdrowych zmysłach.

Teraz stała naprzeciwko niego z błyskiem obłędu w oczach, a jej ramiona zwisały pod różnymi kątami. Słyszał o licznych ranach, których doznała, i wiedział, że równie okrutnie ucierpiał

jej umysł.

Jej głos brzmiał dziwnie przyjaźnie, nie było w nim ani odrobiny

groźby.

- Gdzie są Solo?

- Solo? Eee... Na Korelii?

- Nie. Tu. Na pokładzie. Gdzie?

- Jeśli ci powiem, darujesz mi życie?

- Nigdy byśmy cię nie zabili. Zawsze cię podziwialiśmy - powiedziała

niemal miękko.

- To miło z twojej strony.

Lando wycelował w nią swoją laseczkę...

...która również została wyszarpięta z jego dłoni przez niewidzialną

siłę i pofrunęła do rąk TwiTekanki.

Teraz Alema wyglądała na naprawdę urażoną.

- Zamierzałeś nas zabić za pomocą ukrytego blastera?

- Nie całkiem. Bang-bang.

Na sygnał Landa błękitne łuki ładunków elektrycznych wystrzeliły

z końców laski i sięgnęły ciała Alemy. Jej oczy rozszerzyły się z bólu; zgięła się w konwulsyjnym skurczu, a wszystkie

mięśnie zadrżały porażone prądem.

Ale nadal była przytomna. Lando zaklął pod nosem.

Producent

broni, który wykonał laskę zgodnie ze wskazówkami Landa, zapewnił

go, że ładunek jest zdolny powalić dobrze zbudowanego

Wookiego.

Ale producent broni nie miał najwidoczniej nigdy do czynienia

z Jedi.

Alema upadła, ale widać było, że toczy walkę ze swoim sparaliżowanym

ciałem, nawet gdy zaczęły unosić się z niego smużki

dymu. Jednocześnie ładunek generowany przez urządzenie wydawał

się z każdą chwilą słabnąć...

Drzwi turbowindy otworzyły się i Lando wybiegł, kierując się w stronę skrzyżowania korytarzy, w stronę ludzi, w stronę światła.

Postanowił, że nie będzie trwonił oddechu na wzywanie pomocy

przez komunikator, dopóki nie znajdzie się wśród ludzi.

Włożył cały wysiłek w bieg.

Coś się działo w jego głowie, jakby jakiś tłusty robak wił się w środku czaszki, torując sobie drogę na zewnątrz przez jedno z uszu. Zignorował to. Biegł dalej.

Znalazł się u zbiegu korytarzy, gdzie było dosyć pustawo.

Skreślił w prawo, w stronę większego natężenia ruchu. Jego nerwowe

zachowanie nie zwracało niczyjej uwagi - wielu ludzi biegło.

Parę chwil później był już bezpieczny w gęstym tłumie pracowników

„Błędnego Rycerza”, napływającym od strony kasyn,

gdzie przeprowadzano ewakuację.

Wyciągnął swój komunikator. Teraz już mógł...

Mógł... co?

Zawiadomić kogoś? Chyba o to chodziło. Ale kogo? O czym?

Przed czym uciekał?

I gdzie, u licha, posiał swoją przeklętą laskę?

Kręcąc z dezaprobatą głową i zastanawiając się, czy wiek naprawdę

zaczyna dawać mu się we znaki, schował komunikator

i rozejrzał się w poszukiwaniu najbliższej turbowindy.

Przestrzeń wokół Korelii

Luke musiał przyznać, że zaimprovizowany plan Wedge'a był dobry. Byłby dobry, poprawił się w myślach, gdyby się sprawdził.

Jednak zaraz stwierdził, że na tym właśnie polegał problem ze wszystkimi planami: po fakcie były uznawane za dobre tylko

wtedy, gdy okazywały się skuteczne, obojętne jak błyskotliwe mogły się wydawać przed ich realizacją.

Wyprzedzali z Marą Wedge'a i Corrana o kilka kilometrów, chociaż byli mniej więcej w takiej samej odległości od sił wroga.

Gdy tylko ich czujniki zarejestrowały zbliżającą się fregatę, wyłączyli

większość systemów myśliwców i dryfowali w przestrzeni, prawie niewidzialni. Zrezygnowali z wykorzystania systemów łączności, dopóki nie dołączą do reszty niewielkiej eskadry.

Więc

w Mocy, nie do wykrycia przez jakiegokolwiek czujniki, stanowiła

teraz jedyny środek komunikacji między nimi.

Czujniki informowały, że myśliwce Wedge'a i Corrana osiagają

już pozycje statków wroga, osłaniających fregatę. Luke pokiwał głową. To była rozsądna, prosta taktyka. Okręt wraz z eskortą chroniących go myśliwców przemknął obok Luke'a i Mary. Czujniki zidentyfikowały go jako fregatę typu Nebulon-B, o charakterystycznej sylwetce przypominającej kształtem topór.

Jedi czekali na swoich pozycjach i obserwowali początek walki.

Wedge i Corran, lecąc tak blisko siebie, że czasem zlewali się na wyświetlaczach w jeden punkt, dotarli do jednego końca osłony.

Nastąpiło jakieś zamieszanie i nagle koreliańscy piloci wykonali odwrót. Myśliwców nieprzyjaciela było teraz jednaście, jeden zaś dryfował bezwładnie w przestrzeni. Luke słyszał, jak jego pilot na otwartej częstotliwości prosi prom, żeby go przechwycił.

Luke posłał Marze niewielki impuls za pośrednictwem Mocy, odpalił dysze silników i rozpoczął manewry pod brzuchem statku.

Jego żona po chwili do niego dołączyła. Czuł promieniującą od niej chłodną determinację, wolę niszczenia, zabijania, a nawet -jeśli byłoby to konieczne - poświęcenia własnego życia.

Zbliżali się niespiesznie, mając tę przewagę, że ich myśliwce były prawie niewidoczne dla czujników statku. Musieli podejść tak blisko, jak to możliwe, i wystrzelić torpedy protonowe, zanim załoga okrętu uświadomi sobie, że w ogóle byli w pobliżu.

Fregata

zwiększyła moc pól dziobowych, co wydawało się rozsądnym posunięciem, skoro Wedge i Corran atakowali ją z przodu. Za to

rufa nie była już tak silnie chroniona.

Podeszli bliżej - byli teraz jakieś sto metrów od niej, dziewięćdziesiąt...

Kiedy byli wystarczająco blisko, żeby ich pociski mogły osiągnąć statek w ciągu kilku sekund, ale nie na tyle, żeby odpowiadająca

ogniem jednostka zdołała ich dosięgnąć, Luke odpalił torpedę. Sekundę później Mara poszła w jego ślady. W tej samej

kolejności, połączeni więzią Mocy, aktywowali pola ochronne swoich maszyn.

Ładunki niemal jednym torem poszybowały w kierunku rufy okrętu. Torpeda Luke'a dosięgnęła skraju jego tylnych pól. Po chwili pocisk Mary dotarł w to samo miejsce i również wybuchł.

Rozgrzane gazy towarzyszące eksplozji przez jakiś czas uniemożliwiały

oszacowanie szkód wyrządzonych okrętowi. Kiedy się rozwiały, odsłoniły sporą wyrwę na rufie fregaty. Luke nie zauważył ani jednego sprawnego silnika. Pozwolił sobie na cichy

okrzyk triumfu. Jeden nieprzyjaciel został usunięty z pola walki, przy zminimalizowaniu liczby żywych ofiar. Prawdopodobnie

na pokładzie fregaty nikt nie doznał poważniejszych obrażeń. Skywalkerowie przyspieszyli, zawracając po łuku w kierunku bitwy toczącej się między myśliwcami. Czujniki wskazywały teraz

w strefie walki osiem sprawnych jednostek - Wedge'a, Corrana

i sześć statków nieprzyjaciela. Sensory stealthX-a Luke'a zidentyfikowały wrogie maszyny jako 1-7 Wyjcobiegacze. Luke

znał dobrze ten typ: gładkie, prostokątne kadłuby z krótkimi skrzydłami manewrowymi na jednym końcu i działkami laserowymi

na drugim. Wiedział, że są chronione przez pola ochronne i dość wytrzymałe, ale nie miały zbyt dużej siły ognia. Wprawdzie

skład eskorty w liczbie dwunastu myśliwców był więcej niż wystarczający do zniszczenia dwóch X-wingów... ale nie X-wingów

pilotowanych przez Wedge'a i Corrana.

A teraz mieli do nich dołączyć Luke i Mara.

StealthX-y były już tylko parę kilometrów od pola bitwy, kiedy

pięć nadal sprawnych wyjcobiegaczy złamało szyk i zawróciło w kierunku fregaty. Luke i Mara pozwolili im uciec. Myśliwce przeciwnika zajęły pozycje wokół uszkodzonej jednostki.

Widok

był dużo bardziej żałosny niż jeszcze kilka minut temu.

Luke przywrócił łączność z resztą ich eskadry.

- Co teraz? - zapytał.

- Jak dla mnie, możemy już wrócić na „Błędnego Rycerza”

- odezwał się Wedge. -1 zapewnić mu ochronę, dopóki nie skoczy

w nadprzestrzeń. Nie zamierzam się angażować w główną bitwę. Szczerze powiedziawszy, nie wiem nawet, po której stronie

powinienem stanąć.

- Co ty na to, Corran? - zapytała Mara.

W głosie Horna słychać było niezdecydowanie.

- To chyba zależy od ciebie, Luke. Zamierzałem załatwić

parę spraw na Korelii, ale to nic pilnego... gdzie mnie potrzebujesz?

- W Coruscant - bez namysłu odpowiedział Luke. -
Potrzebujemy

w świątyni każdego o bystrym umyśle i umiejętności
trzeźwego osądu. Ale teraz pozwólcie, żebyśmy z Marą
zawrócili

i spróbowali zestrzelić jeszcze kilka statków wroga ku chwale
Sojuszu. Lecisz z nami, Corran, czy od razu do świątyni?

- Z wami.

- Luke, jesteś teraz Gannerem Jeden - powiedział Wedge.

- Powodzenia.

- Nawzajem.

Kiedy Wedge odłączył od ich eskadry i ustawił kurs na
„Błędnego

Rycerza", Luke przestawił swoją łączność na częstotliwości
wojskowe, żeby zorientować się, jak wyglądają sprawy w
rejonie

głównych walk.

„Dodonna"

Admirał Limpan wycofała się do sali dowodzenia, która była
niewielka i panował w niej mniejszy rozgardiasz niż na
mostku.

Teraz mogła się skupić na analizie sytuacji z pola bitwy.

I obserwować prawdopodobny koniec „Dodonny".

Lotniskowiec

typu Galactic, zamówiony nie dalej niż rok wcześniej, był
właśnie kawałek po kawałku rozszarpywany przez bothańską
sforę. Nie wiadomo, czy da radę uciec z systemu. Nieustanne
ataki

laserowych dział krążowników i zniszczenia poczynione przez
pociski i torpedy myśliwców zbierały okrutne żniwo na statku
flagowym Limpan.

- Gotowi do wejścia w nadprzestrzeń, pani admirał - zameldował nawigator.

- Skacz - poleciała.

Widok wyświetlany na ekranach sali pokazał wirujące gwiazdy,

które zmieniły się w smugi światła, żeby zaraz stać się ponownie

punktami. Był to bardzo krótki skok, wewnątrz systemu.

Główny wyświetlacz ukazywał stację Centerpoint i walkę toczącą

się wokół niej.

- Nawigacja! - zawołała Limpan. - Kurs na stację, zachować optymalny zasięg dział. Zrobimy jeden kurs, spowodujemy tyle

zniszczeń, ile się da, a następnie się wycofamy. Nasz kolejny skok zabierze nas... Fenn, jak brzmi nazwa punktu koncentracji,

której użyłaś podczas pierwszego ataku na system?

Pułkownik Fiav Fenn, Sullustanka, odwróciła się od swojego komputera.

- Ponury Punkt - oznajmiła.

Fenn była adiutantem poprzednika Limpan, admirała Klauskina.

Limpan miała własnego adiutanta, ale przydzieliła Fenn obowiązek koordynacji myśliwców. Była zadowolona z jej pracy

na tym stanowisku.

- Kiedy miniemy Centerpoint... - jeśli przeżyjemy, pomyślała

- nasz następny skok zabierze nas do Ponurego Punktu.

Skontaktujcie

się z resztą floty Sojuszu i przekażcie im, że mają opuścić

pole bitwy i dołączyć do nas. Przekażcie „Błędnemu Rycerzowi”,

że może skakać razem z nami.

- Proszę o ponowne potwierdzenie rozkazów, pani admirał

- odezwała się Fenn.

Limpan spojrzała na nią surowo.

- Nieco jaśniej, pani pułkownik.

- Jeśli wszystkie siły Sojuszu ze strefy walki wokół Centerpoint

skoczą w to samo miejsce, to nie ma problemu. Wróg może wtedy

namierzyć kierunek, ale nie odległość skoku, więc próba pościgu

będzie bez sensu. Jeśli jednak statki Sojuszu z sześciu różnych punktów skoczą w to samo miejsce, wszystko, co nieprzyjaciel

musi zrobić, to dokonać triangulacji i znajdzie nas w ciągu minuty.

Limpan usiłowała opanować kipiący w niej gniew. Kiedy została

powołana na stanowisko admirała, pełniła służbę kapitana w czasie

pokoju, jaki nastąpił po wojnie z Yuuzhan Vongami. Podczas tej wojny

nie raz była zmuszona wycofywać siły Nowej Republiki z pola bitwy, ale w tamtych czasach dowodziła nie więcej niż jednym statkiem

naraz. Oczywiście znała w teorii taktykę wycofywania pełnej floty, ale nie nauczyła się jeszcze wykorzystywać tej wiedzy.

- Ma pani rację, pułkownik Fenn - odezwała się w ciszy, która zapanowała w salonie dowodzenia. - Celna uwaga. Nawigacja, odwołać rozkaz dotyczący Ponurego Punktu dla wszystkich jednostek

w tej strefie. Łączność, przekażcie koordynatorowi każdej ze stref działań, aby ustalił indywidualne współrzędne skoku wewnątrz

systemu i nawiązał kontakt po dotarciu do tego punktu. To samo dotyczy tego cholernego statku hazardowego.

- Tak jest!

Limpan opadła na swoje krzesło i wykrzywiła się w stronę pleców Fenn. Krzesło zatrzęsło się pod nią gdy „Dodonna” oberwała

kolejną torpedą. Coraz więcej czerwonych światełek rozbłyskiwało

na wyświetlaczu diagnostycznym.

Ich turbolasery zostały unieszkodliwione. Moc pól spadła do sześćdziesięciu ośmiu procent i wciąż słabła. System podtrzymywania

życia nie działał na większości pokładów i personel z tamtych rejonów trzeba było ewakuować do bezpieczniejszych miejsc.

Niektóre z silników zniszczyły ataki nieprzyjaciela, inne zaś uległy

przeciążeniu w trakcie działań. Nieustanne trafienia sprawiały, że

„Dodonna” przez cały czas dygotała niczym w febrze, co oznaczało,

że jej konstrukcja ulegała coraz większemu przeciążeniu.

Był co prawda cień szansy, że jej okręt przetrwa tę potyczkę, ale wtedy musiałby powrócić niezwłocznie do stoczni remontowych.

Zostałby wyłączony ze służby na całe miesiące.

Limpan dodała ciszej:

- Łączność, przekażcie „Błękitnemu Nurkowi”, że gdy tylko dotrzemy do Ponurego Punktu, ma na nas czekać. Przekażę im dowodzenie.

- Tak jest!

Limpan zauważyła, że parę osób unosi głowy. To dobrze, pomyślała, że zachowali poczucie honoru. To była jedyna rzecz, której nie stracili zupełnie. „Dodonna” siała zniszczenie na Centerpoint. Pozioma, wciąż poszerzająca się rana, ziejąca rozdartym metalem i wybuchami przecinała podobną wyrwę, systematycznie drażoną w ciele stacji przez „Błękitnego Nurka”. Jednak niedające im chwili wytchnienia koreliańskie i bothańskie myśliwce, których nie mogły powstrzymać kiepskie pola ochronne maszyn Sojuszu, kontynuowały swój atak na lotniskowiec. „Błękitny Nurek” oderwał się od stacji, aby podążyć za statkiem flagowym. Wykorzystywał swoje baterie do wyeliminowania tylu ścigających go myśliwców, ile się da. Przypominało to wysiłki niedoświadczonego Jedi, żeby wyrwać kawał ociekającego krwią mięsa z kłębówiska piraniożuków. W końcu „Dodonna” dokonała skoku, po chwili zaś dołączył do niej „Błękitny Nurek” oraz wsparcie w postaci wyposażonych w hipernapęd myśliwców. „Anakin Solo” był ostatnim statkiem, który wszedł w nadprzestrzeń. Po przybyciu do Ponurego Punktu trzy okręty ustawiły się jak najbliżej siebie, by zapewniać sobie wzajemną ochronę i osłaniać nadwerężone pola ochronne.

Żaden statek nieprzyjaciela nie wyskoczył za nimi z nadprzestrzeni.

Mieli więc czas na ocenę zniszczeń, skontaktowanie się z Coruscant, zgromadzenie danych.

Nie minęło wiele czasu, a sieć HoloNetu zatrzęsała się od wiadomości

o starciu w przestrzeni wokół Korelii. Premier Dur

Gejjen promieniał, dumny z zakończonej sukcesem próby „zrzucenia

jarzma Galaktycznego Sojuszu". Wychwalał pod niebiosa siły Bothawui i Commenoru, a także koordynatora działań wojennych,

admirał Delpin. To jej podobno zawdzięczali „doprowadzenie do sytuacji, jakiej nie potrafił osiągnąć admirał Antilles"

- zupełnie jakby miała jakikolwiek udział we wprowadzeniu Bothan i Commenorian do gry.

Admirał Niathal skierowała „Dodonnę" na Coruscant i zleciła Limpan dopilnowanie odpowiednich napraw. Potem miała zostać

na miejscu i monitorować system koreliański. Niathal przypomniwała

również Limpan o możliwości zdrady lub sabotażu - było już oczywiste, że przybycie floty z systemu Bothawui było wynikiem

katastrofalnej porażki sił Sojuszu monitorujących ten system.

W krótkim czasie Galaktyczny Sojusz ogłosił, że jest w stanie wojny - oprócz Korelii - także z Bothawui i Commenorem.

Komentatorzy polityczni w holowiadomościach - poważni lub radośni, zależnie od sympatii ich macierzystych serwisów informacyjnych

- spekulowali, który z systemów jako następny dołączy do - jak to ostatnio określano - Konfederacji Koreliańskiej.

Odczytano listy pochwalne i oddano honory poległym.

Wraz ze zmianą klimatu politycznego oraz wykluczeniem negocjacji pokojowych między odseparowaną Korelią a Sojuszem - Jacen Solo z „Anakinem Solo” został oddelegowany na Coruscant.

ROZDZIAŁ 15

Ziost

Z wysokiej orbity planeta Ziost nie wyglądała jak siedlisko zła.

Ot, typowy, błękitno-zielony świat, zrównoważona kombinacja

łądów i otwartych zbiorników wodnych, z lodowymi czapami na biegunach, kłębamii białych chmur i charakterystycznym

wirem huraganu szalejącego nad jednym z oceanów.

Łądy w okolicach równika były soczyście zielone, przechodząc

w tereny biało-zielone wraz ze zmianą stref klimatycznych, a następnie nieskazitelną biel, oznaczającą ogromne polarne czapy lodowe. Nigdzie nie było widać śladu pustyni ani formacji

innych niż las i tundra.

Było to niezwykle piękne miejsce, ale tylko dla zwykłego obserwatora.

Tymczasem Ben miał też inne zmysły - i poprzez Moc wyczuwał

coś jeszcze, coś złowrogiego w tej dziwnej planecie. Zupełnie jakby nieustannie patrzyła w jego stronę cętkowanym okiem, tkwiącym w paskudnej, wykrzywionej nienawiścią twarzy.

Ben spoglądał na Ziost, Ziost spoglądała na Bena. Chłopiec przełknął ślinę.

- Shaker, masz odczyt śladów spalin? - zapytał robota.
Nie oczekiwał zbyt wiele. Ślady emisji silników jonowych rozpraszały się dość szybko, a kiedy ruch wokół planety był duży, wszystko mieszało się ze sobą i trudno było cokolwiek stwierdzić bez szczegółowych analiz.

Robot astromechaniczny zaświergotał twierdząco i na jednym z wyświetlaczy pojawiło się kilka linijek tekstu:

„Silne ślady wskazują na obecność jednego lub kilku statków. jednostka(i) opuściła(y) orbitę mniej więcej osiem standardowych

godzin temu i udała(y) się w kierunku powierzchni planety”.

Wyświetlacz czujników w kabinie przełączył się z transmisji odczytów na żywo na diagram przedstawiający powierzchnię planety, z wykropkowaną linią wskazującą opuszczoną orbitę oraz ścieżkę zejścia.

Ben poczuł nagłą ulgę. Jasne, Ziost to świat zabity dechami - w rozumieniu cywilizacji planetarnej. Niewiele jednostek tu docierało, więc ślady spalin były wyraźnie widoczne przez długi

czas. To zmieniało sytuację: szanse na znalezienie pojedynczego

pojazdu na powierzchni planety urosły z „żadnych” do „niewielkich”.

Ben przekazał dane R2 do swojego komputera nawigacyjnego i wyznaczył drogę lądowania.

Z wysokości kilku kilometrów, podróżując z taką prędkością, aby nie spowodować fali dźwiękowej ani nie zostawiać smugi widocznej z dołu, Ben obserwował statek, którym Faskus musiał

przybyć na Ziost.

Był to lekki transportowiec koreliański YT-2400 w kształcie

dysku, podobny do sędziwego „Sokoła Millenium” należącego do wujka Hana. Tyle że jego sterownia mieściła się na sterburcie,

stanowiąc zakończenie swego rodzaju wysięgnika.

Faktem jest, że może kiedyś był to YT-2400. W tej chwili stanowił

zwęglony stos pogiętej durastali, osmalonej w wielu miejscach przez ogień. Ze szczelin w kadłubie wciąż unosił się dym.

Sterownia i korytarz prowadzący do niej oderwały się od głównej

części transportowca i leżały jakieś dwadzieścia metrów od reszty kadłuba. Cienka warstewka śniegu pokrywała obie części

zniszczonego statku.

Rozbił się podczas lądowania? Ben powiększył obraz na wyświetlaczu

i pokręcił głową. To nie to. Ślady osmażeń na częściach kadłuba wskazywały wyraźnie na ostrzał z turbolaserów.

Transportowiec został wielokrotnie trafiony, a potem najwidoczniej

się zapalił.

Ben szybko przełączył monitor z powrotem na odczyty sensorów,

ale wokół nie było śladu ruchu powietrznego. Napastnik musiał już dawno odlecieć.

Ben opadł po trajektorii spirali, lądując na tej samej polanie, którą wybrał Faskus. Posadził Y-winga w sporej odległości od wraku statku i ruszył pieszo obejrzeć szczątki frachtowca.

Poszycie było już na tyle chłodne, że mógł się zbliżyć do statku,

a nawet zajrzeć do wnętrza, tam, gdzie włazy zostały wygięte przez siłę wybuchu. Potem zdecydował się dostać do środka,

gdzie nie znalazł nic prócz dymu i swądu zwęglonego tworzywa i sztucznej skóry.

Szukając jakichś wskazówek, otworzył się na Moc... i przeszedł

go dreszcz. Znow to uczucie, że jest obserwowany... silniejsze niż

na orbicie. Próbował odsunąć je na bok, sięgnąć głębiej, ale nie

wyczuł śladu śmierci. Nie sądził, żeby pilot zginął tu, na miejscu.

W takim razie gdzie się podział? Ben nie był wytrawnym tropicielem.

Nie umiałby niezauważenie śledzić celu - szczególnie takiego, który został właśnie ostrzelany, więc musiał zachować

ostrożność - w gęstym lesie.

I wtedy natrafił na inne uczucie, na samym skraju Mocy: niewielki

ślad radości - podobny do tego, który promieniował z gabloty na Drewwie.

Wyczuwał to nadal, kiedy wrócił do Y-winga.

- Shaker, zamierzam dalej iść piechotą. Może to potrwać wiele dni - obwieścił androidowi, który w odpowiedzi zaświergotał pytająco. Ben nie musiał wyciągać swojego datapadu z wyświetlanym

tekstem, żeby zrozumieć, o co robot chciał go zapytać:

„Co mam robić?”

Zastanowił się nad tym. Na tym niegościnnym świecie czujniki,

narzędzia i różne umiejętności R2 mogły być bardzo przydatne,

pod warunkiem że mały robot nie utknie w bagnie czy czymś

takim. Ben jednak nie miał wyciągarki, potrzebnej do wydostania

Shakera z jego gniazda w Y-wingu. Niektóre roboty astromechaniczne

były już zmodyfikowane i mogły swobodnie się wspinać albo bezpiecznie opuszczać na dół, ale Shaker wyglądał na zdecydowanie

starszy model.

Nadal jednak Ben miał dostęp do Mocy, więc postanowił ją wykorzystać. Nie był tylko pewien, czy zdoła wykonać precyzyjny

manewr czymś tak ciężkim jak jednostka R2.

- Poczekaj chwilę, mały - polecił, zamknął oczy i skoncentrował się.

Poprzez Moc wyczuwał bryłę kadłuba Y-winga, a nawet granice

jego konturów. Był tam również Shaker, ale Ben nie dał rady oddzielić w swoim umyśle małego robota od samego myśliwca.

A przecież nie zamierzał podnosić całego statku. Wolał nawet nie

próbować.

Nagle Shaker zaćwierkał zdziwiony i Ben poczuł, jak R2 odłącza

się od myśliwca. Chłopiec uśmiechnął się szeroko i skoncentrował

jeszcze bardziej.

Delikatnie szarpnął, jakby próbował wyciągnąć wtyczkę z kontaktu. Urządzenie było uparte, więc pociągnął mocniej.

Alarmujące skrzeczenie Shakera o mało nie rozproszyło uwagi Bena, ale skupił się ponownie. Już po chwili wyczuł, jak android

unoszą się w powietrze i dryfują swobodnie ponad Y-wingiem. Wycelował w niego dłoń i Shaker przepłynął na bok. Najostrożniej, jak potrafił, Ben posadził droida na ziemi i otworzył oczy. Chwiejąc się lekko z wysiłku, powiedział:
- Zabierasz się razem ze mną.
Droid zaszczębiotał z wyraźną ulgą. Wkroczyli w las, kierując się na zachód, w stronę, z której Ben wyczuwał ślad emocji. Dzień był chłodny. Na polanie, w lekko zamglonym słońcu chłopiec nie odczuwał zimna, ale w lesie baldachim drzew zasłaniał światło słoneczne i Ben zaczął marznąć. Masywne, ciemne, powykęcane pnie drzew, wyglądające jak zastygłe w spazmach bólu ciała wzmagały tylko uczucie niepokoju. Wyciągnął swój płaszcz Jedi z plecaka i włożył go, wdzięczny za ciepło i symboliczną ochronę, jaką zapewniał. W lesie nie było ścieżki i trzeba było iść po gęstym poszyciu. Posuwali się do przodu w niezbyt imponującym tempie, bo kółka Shakera działały sprawnie tylko na płaskim, twardym podłożu. Teraz kiwał się niezdarnie z boku na bok, opóźniając marsz. Podczas pierwszej godziny podróży Ben nie wyczuł, żeby uczucie, za którym podążał, oddalało się. Wydawało się raczej, że powoli się do niego zbliża. Nagle ze strony, z której wyruszyli, dobiegły jakieś odgłosy. Dźwięk był bardzo odległy, stłumiony przez dystans i gęsty las,

ale młodemu Jedi wydało się, że rozpoznaje jęk silników jonowych

i strzały z działek laserowych.

Shaker świergotliwie przekazał jakąś wiadomość. Czując ciężar

w żołądku, Ben wyciągnął swój datapad i otworzył go. Seria raportów diagnostycznych przewinęła się przez ekran zbyt szybko,

aby mógł je odczytać, ale po krótkiej chwili informacje się ustabilizowały. Ostatnia linijka głosiła:

„Raport diagnostyczny dla Y-winga: zniszczenia wykluczają dalsze działanie. Łączność została przerwana, prawdopodobieństwo,

że Y-wing został całkowicie zniszczony, wynosi 84%”.

Ben usiadł na ośnieżonej ziemi. A więc wrogowie Faskusa powrócili

i zniszczyli jego transport, uniemożliwiając mu powrót do domu.

Z tego, co Ben się dowiedział, wynikało, że nikt nie miał pewności,

czy na Ziost żyją jakiegokolwiek inteligentne istoty. Faskus mógł więc nie spotkać nikogo, kto pomógłby mu wydostać się poza planetę. Nikt z zewnątrz nic wiedział, gdzie on jest.

Czekała

go śmierć w osamotnieniu, na Ziost.

Ben przywołał się do porządku. Cokolwiek się zdarzy, ma do wykonania misję. A gdy ją wypełni, przyjdzie pora na drugą osobistą.

Musi znaleźć ludzi, którzy doprowadzili do wygnania Faskusa na ten odległy świat, i sprawić, żeby tego gorzko pożałowali.

Coruscant,

Świątynia Jedi, sala obrad Rady

Zajmowali krzesła ustawione w kręgu - eleganckie, ale twarde

siedzenia, na tyle niewygodne, żeby nie przeciągać odbywanych

tu spotkań w nieskończoność. Mara, Corran, Kyle Katarn, Cilghal, Kyp Durrón zaczęli czekać na Luke'a, zanim usiedli.

Wielki

Mistrz miał złudną nadzieję, że kiedyś pożegnają się z tą głupią

tradycją.

Kiedy już wszyscy usiedli, Luke przemówił:

- Cilghal, byłbym wdzięczny, gdybyś objęła na naszym spotkaniu

rolę *taras-chi*.

Kalamariańska Jedi zamrugała ze zdziwieniem. Jej wyłupiaste oczy podkreślały wyraz zaskoczenia.

- Wybacz, Wielki Mistrzu. Jaką rolę?

Kyp zakasłał cicho, jakby się krztusił. Luke rzucił mu ukradkowe

spojrzenie i zauważył, że Jedi z całej siły próbuje powstrzymać

śmiech.

- *Taras-chi* - powtórzył Luke. - Zwyczaj, który ostatnio kultywujemy.

Musisz szukać słabych stron idei lub propozycji, która według ciebie nie została należycie przedyskutowana.

- Ach, tak - burknęła Cilghal. - Rozumiem, jasne.

Twarz Kypa wykrzywiła się w ostatniej próbie zachowania powagi,

ale wreszcie się uspokoił.

- Mamy kilka kwestii do rozważenia - ciągnął Luke. - W dowolnym

porządku. Zakon nie narzuca nam żadnych dodatkowych wymagań, ale jest wojna, więc każdy z mistrzów musi poświęcić

sprawie dodatkowy czas. Sytuacja może się pogorszyć i jest pewne, że ucierpi na tym proces nauczania. Proponuję, abyśmy

rozważyli, kto ze starszych rycerzy Jedi jest odpowiednio przygotowany

do przyjęcia tytułu mistrza. Nie musicie przedstawiać

kandydatur dziś, ale każdy z was powinien przygotować listę osób, które uznacie za właściwe.

Obecni pokiwali głowami - wszyscy z wyjątkiem Cilghal, która

rozważała pytanie. Jej wyłupiaste oczy biegały w różne strony,

ale nie zaprotestowała.

- Druga sprawa - kontynuował Luke. - Jak zapewne wielu z was wie, Ben zniknął. Mógł uciec, żeby spróbować dotrzeć do

Jacena. Mógł też opuścić Świątynię, udając się na osobistą misję,

żeby stawić czoło jakiemuś wyzwaniu. Mógł... - dopiero po chwili przeszło mu to przez gardło - mógł zostać uprowadzony,

informacje, na które z Marą natrafiliśmy, sugerują, że mógł przyczynić

się do śmierci pewnej kobiety... córki Lumiya.

Wiadomość wywołała wyraźne wzburzenie wśród obecnych.

Cilghal szybko zadała pytanie:

- Czy to dlatego Lumiya zaatakowała Mistrzynie Lobi?

Luke przytaknął.

- Wiemy, że Lobi śledziła Bena. Jeśli Lumiya w jakiś sposób kontaktowała się z Benem - rozmawiała z nim, podrzuciła mu urządzenie naprowadzające czy coś w tym stylu - prawdopodobnie

chciała wyeliminować świadków.

- Twierdzisz więc, że nie mamy tu do czynienia jedynie z dwojgiem mistrzów nadmiernie przywiązanych do ucznia - podsumowała Cilghal. - Mogli zginąć również inni Jedi.

Dobra robota, pomyślał Luke, a głośno powiedział:

- Zgadza się.

- Muszę jednak zapytać - kontynuowała Kalamarianka - czy twój i Mistrzynie Skywalker stosunek do Bena jest wystarczająco

neutralny, abyście mogli podejmować w tej kwestii trafne decyzje.

Mara pochyliła się do przodu, jakby chciała rzucić gniewną ripostę. Luke ostrzegł ją spojrzeniem i uspokajającym dotknięciem

za pośrednictwem Mocy. Mara nie zmieniła pozycji, ale nie odezwała się ani słowem.

- Myślę, że tak - odpowiedział w końcu Luke. - Jedno jest pewne: Mara i ja nie posunęliśmy się zbyt daleko w rozwikłaniu

zagadki zniknięcia Bena. Dzisiaj nie mogłem odnaleźć Bena w Mocy. A to może oznaczać kilka możliwości: że nauczył się ukrywać, że jest w miejscu takim jak Dagobah, gdzie specyfika

otoczenia niweluje działanie Mocy, lub... - Nie dokończył tej bolesnej myśli, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, co chciał powiedzieć.

- Jeśli jednak chcecie zyskać pewność co do naszej bezstronności, musicie ostrzegać nas za każdym razem, jeśli będziemy

zachowywać się nieracjonalnie. Pierwszy przyznam, że musimy zachować obiektywizm w tej sprawie.

- Jak również w kwestii używania więzi, jeśli będzie to konieczne

- dodała Cilghal. - Mistrzu Horn, czy uporządkowałeś

już swoje sprawy rodzinne?

Corran skinął głową.

- Wszyscy Jedi, oprócz tych, którzy pomagają Sojuszowi w gromadzeniu informacji, opuścili już Korelię. Moja żona także.

Może jednak zażądać rozwodu, bo nie dałem jej buzi na pożegnanie.

Cilghal nie skomentowała tej wypowiedzi.

W czasach Starej Republiki, a także w dawniejszych epokach, Jedi musieli przestrzegać najważniejszej zasady: nie powinni wchodzić w związki. W wyniku własnych obserwacji i wniosków

Luke złagodził surowość tej reguły, nie wymagając od swoich uczniów jej ścisłego przestrzegania. Sam wybrał życie w rodzinie,

nie mógł więc wymagać od innych dożywotniego celibatu.

Teraz wielu Jedi oficjalnie wstępowało w związki małżeńskie i często dochowywało się potomstwa. Luke musiał przyznać, że

w takich sytuacjach prawdziwa bezstronność czasem bywała nieosiągalna.

Było mało prawdopodobne, żeby Cilghal zgłosiła w tym punkcie

krytyczne uwagi; nigdy nie twierdziła, że wierzy w absolutną słuszość starych tradycji. Ale wyraźnie było widać, że przejęła

się rolą *taras-chi* i poważnie traktuje nowe obowiązki.

- Chciałbym też poruszyć temat Leii - powiedział Luke.

-Wszyscy okazaliście cierpliwość i zaufanie, pozwalając na jej związek z Hanem. Jestem absolutnie przekonany, że interesom zakonu Jedi i Galaktycznego Sojuszu służy spojrzenie z innej perspektywy na pewne sprawy. Mara i ja widzieliśmy się z Leią

podczas naszej wizyty w przestrzeni Korelii. Proponuję, żebyśmy zachowali dystans i nie krytykowali jej za domniemane działania wbrew interesom Sojuszu... nawet jeśli Sojusz będzie wymagał od nas interwencji.

Tym razem to Kyle Katarn zaprotestował. Ten Jedi o jasnej, krótkiej bródce i blond włosach był parę lat starszy od Luke'a, wyglądał jednak młodziej. Pewnie dlatego, że nie zdołał się dorobić

tak imponującej kolekcji blizn na twarzy jak Wielki Mistrz.

- Jesteś pewien, że twoja więź z siostrą nie wpływa na sposób, w jaki próbujesz rozwiązać tę kwestię? - odezwał się.

Luke pokręcił głową.

- W przeciwieństwie do przypadku mojego syna nie odczuwam niepokoju i nie mam wątpliwości co do własnych decyzji.

- Galaktyczny Sojusz ma dość wiarygodne poszlaki - zauważył

Katarn. - Nie są to co prawda niezbite dowody, ale jednak.

Nie proszą nas, żebyśmy zaprowadzili ją w kajdankach przed try-

Wnał. Jeśli jednak zakon deklaruje, że wspiera Sojusz, a któreś

z Jedi pomaga wrogom, Sojusz twierdzi, że taki Jedi powinien zostać wydalony z zakonu.

- Sama się z tym zgodzę - zabrała głos Mara. - Ale tylko wtedy,

jeśli uczciwy proces udowodni, że rząd się nie myli w swoich przypuszczeniach, które cały czas są tylko podejrzeniami. Leia i Han uczestniczyli w pewnych wydarzeniach, zgadza się. Ale

nawet Tenel Ka, niedoszła ofiara domniemanej próby zamachu,

nie wierzy, że mogli mieć z nią cokolwiek wspólnego.

- A poza tym - dodał Kyp - należy sobie odpowiedzieć na pytanie: czy w obecnej sytuacji jest możliwy uczciwy proces? Katarn zignorował ich uwagi.

- Bądźmy obiektywni - zaapelował. - Czy wykluczenie Leii Solo z zakonu cokolwiek by zmieniło? Byłaby nadal z Hanem, cały czas dostarczałaby Luke'owi istotnych informacji - w końcu

nie przestanie być jego siostrą... no i moglibyśmy przyjąć ją ponownie,

gdyby proces udowodnił jej niewinność.

- Rząd Sojuszu byłby usatysfakcjonowany - powiedział chłodno Luke. - Czy jednak byłoby to słuszne, Mistrzu Katarn?

Wyrzucanie kogoś za podejmowanie inicjatywy i próbę rozwiązywania

problemów, które dostrzega? Któż z nas tego nie robił?

Nikt nie podniósł ręki, Luke zaś kontynuował:

- Czy naprawdę chciałbyś jej wydalenia, czy może przejąłeś na chwilę obowiązki Cilghal jako *taras-chil*

Katarn uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- Czy to ma znaczenie? Propozycja może mieć zalety lub wady, niezależnie od mojego zdania na ten temat.

- Racja - przyznała Cilghal. - Musimy przeanalizować tę sugestię pod kątem jej wad i zalet, ale najpierw poznać zdanie Wielkiego Mistrza.

- Proszę bardzo, oto moja opinia - zgodził się Luke. - Jeśli pozbawimy Leię tytułu rycerza Jedi z powodu stawianych jej zarzutów

i tym samym unikniemy kar nałożonych przez Sojusz...

kar, które mogą nam zaszkodzić... wybierzemy mniejsze zło, zapobiegając większemu. Jednak misja Jedi nie polega na czynieniu zła. Naszym celem jest wskazywanie złych rzeczy i zapobieganie im. Nawet jeśli musimy zapłacić za to naszym szczęściem czy nawet życiem.

Katarn pokiwał głową wyraźnie zadowolony z odpowiedzi. Zwrócił się w stronę Corrana.

- Mistrzu Horn, zauważyłem, że rzadko zabierasz głos.

Corran przez większość czasu siedział spokojnie, marszcząc brwi. Teraz się odezwał:

- Wydawało mi się, że *taras-chi* to jakiś gatunek owada z Kessel. Booster mówił, że smakują zupełnie jak spalony olej silnikowy.

Mara rzuciła Corranowi groźne spojrzenie, dając mu do zrozumienia:

„Nie teraz, idioto!”

Kyp ukrył twarz w dłoniach.

- Zbaczamy z tematu - powiedział.

Corran rozchmurzył się nieco.

- W porządku. A więc do rzeczy. Mówiliśmy o obiektywnej postawie. Całym sercem popieram poddanie sytuacji bezstronnej analizie. Właśnie w taki sposób ściga się i skazuje przestępców.

Jednak jesteśmy Jedi i musimy zaufać swoim uczuciom.

Ostatnio miałem okazję spędzić w towarzystwie Leii kilka dni i odniosłem wrażenie, że nie sprzyja Korelii w większym stopniu

niż Sojuszowi. Chce tylko poznać prawdę. Prawdę o tej wojnie. Prawdę o kontrowersyjnych decyzjach podejmowanych

przez jej syna, które również mają zły wpływ na zakon, chociaż rząd je popiera. Leia próbuje zidentyfikować zło i zmierzyć się z nim. Chyba nie powinniśmy jej tego zabraniać. Nie należy jej się nawet nagana. Myślę, że powinniśmy zaufać naszym uczuciom.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Luke'a zaś rozpierała radość.

W końcu Katarn powiedział:

- Prawdopodobnie jestem tu osobą najslabiej związaną z Leią Solo, więc mogę oficjalnie zaproponować, żebyśmy nie podejmowali na razie żadnych działań przeciwko niej.

Pozostali zgodzili się z nim.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o porządek spotkania. Czy ktoś chce coś dodać?

- Chciałabym zabrać głos - odezwała się Cilghal. - Na wojnie coraz więcej Jedi odnosi rany... niestety, niektórzy również giną.

Nie mieliśmy do tej pory problemów z gromadzeniem środków medycznych. Ale teraz... wojna się rozprzestrzenia.

Ziost

Noce na Ziost były chłodne.

Późnym wieczorem Ben znalazł zagłębienie terenu osłonięte przed wiatrem, owinał się ciasno swoją szatą Jedi i niemal od razu zasnął.

Dwie godziny później obudził się, drżąc z zimna i szcękając zębami. W dodatku był przekonany, że oślepl, bo nie mógł dojrzeć

Shakera z odległości mniejszej niż metr. Kiedy jednak zdołał

zesztywniałymi z zimna palcami wyciągnąć z kieszeni pręt jarzeniowy i zapalić go, uświadomił sobie, że to po prostu wyjątkowo gęsta mgła.

Kiedy wydostali się z płytkiej jamy, zauważył, że jest o kilka stopni cieplej.

Idąc w kierunku szczytu, skorzystał z miecza świetlnego, aby naciąć martwych gałęzi, z których ułożył spore ognisko.

Podpalił

je mieczem świetlnym, porządnie ogrzał ręce, a potem umościł

sobie blisko ognia coś w rodzaju gniazda ze śniegu i liści.

Dopiero

wtedy usnął ponownie.

Jeszcze kilkakrotnie w ciągu tej nocy budził się z zimna, a raz ze snu wyrwały go odległe krzyki; brzmiało to tak, jakby kogoś

poddawano torturom. Za każdym razem zasypiał znowu, zapadając

w dziwne marzenia senne, w których ciemne sylwetki

podpełzały blisko jego śpiącego ciała i szeptały mu coś do ucha

w obcym języku, którego nie rozumiał.

Nad ranem obudził się trochę bardziej wypoczęty, jednak chętnie

przepracowałby miesiąc w firmie zajmującej się sprzątaniem odświeżaczy dla Huttów w zamian za namiot i przenośny grzejnik.

Gdy słońce było wystarczająco wysoko, żeby zapewnić odrobinę

ciepła, wyruszyli z Shakerem w dalszą drogę. Słabe uczucie szczęścia nadal tliło się gdzieś w dali.

Przed południem Benowi skończyły się zapasy, w które zaopatrzył się na Drewwie.

- Nie masz przy sobie przypadkiem jakiegoś prowiantu? - zapytał

Shakera, znając odpowiedź.

Droid odpowiedział niskim trelem w jednoznacznie przeczącej intonacji.

- A może wiesz coś na temat polowania?

Shaker udzielił mu takiej samej odpowiedzi.

- Nie pytam, czy umiesz polować - tłumaczył mu Ben. - Zastanawiałem

się tylko, czy masz jakieś informacje o polowaniach...

coś, co mógłbym przeczytać, żeby nauczyć się, jak to robić.

Tym razem Shaker odpowiedział serią podekscytowanych pisków.

Potem R2 przechylił się do przodu i zakołysał energicznie.

Znajdowali się właśnie na krawędzi dużej, ośnieżonej polany i Shaker ruszył ochoczo w kierunku otwartej przestrzeni.

Podążając za nim, Ben dostrzegł przyczynę podniecenia robota.

Kawałek dalej, zza następnej kępy drzew w niebo unosiła się smuga dymu. Ktoś rozpałił ognisko - w dodatku w kierunku,

skąd do Bena docierało uczucie uniesienia.

Jakąś godzinę później przycupnęli na skraju następnej polany, obserwując obóz. Widzieli namiot, zmontowany z jaskrawoczerwonych

koców ratowniczych i żółtej linki, oraz ognisko,

podobnie mizerne jak to, które poprzedniej nocy rozpałił Ben.

W pobliżu stał również olbrzymi plecak, zaimprovizowany z dużego

worka, paru durastalowych prętów bez wątpienia ocalonych z rozbitego YT-2400, i takiej samej żółtej linki.

I był tam mężczyzna.

Zostawiając Shakera z tyłu, Ben podkradł się kawałek, kryjąc za zaspami śniegu. Gdy był na tyle blisko, że mógł zobaczyć mężczyznę całkiem wyraźnie, poczuł ukłucie rozczarowania.

Faskus z Ziost nie wyglądał na strażnika artefaktu Sithów. Był bladym mężczyzną o cofniętym podbródku i nastroszonych czarnych

wąsach, które tylko podkreślały dysproporcję między podbródkiem

a resztą twarzy. Miał na sobie szary, nijaki kombinezon.

Krzętał się ospale po obozowisku, dokładając gałęzi do ogniska

i mamrocząc coś do siebie - Ben nie mógł zrozumieć słów.

Kiedy odwrócił się w stronę Bena, aby dorzucić do ognia garść

patyków, chłopiec spostrzegł, że na szyi ma zawieszony amulet

Kalary.

Zamarł. Jeśli Faskus wie, że on tu jest, może zamaskować swoją

obecność w Mocy, wysledzić go i zabić. Ben musiał odzyskać amulet bez przyciągania uwagi Faskusa.

To zaś oznaczało, że musi czekać na odpowiednią okazję...

Ale jak długo? Ben był głodny i będzie jeszcze głodniejszy.

Będzie mu też coraz zimniej. Jeśli będzie czekał, osłabnie i zeszywnieje

z zimna. A wtedy nie zdoła wypełnić swojej misji

i zamrznie na śmierć.

Doszedł do wniosku, że musi zaatakować Faskusa - i to zaraz.

Nie wolno się nad nim litować. Jeśli mógł ukraść amulet i korzystać

z jego mocy, musiał być bezwzględny przeciwnikiem.

Gdy Faskus ponownie odwrócił się plecami do Bena, cały czas

coś mamrocząc, chłopiec podkraść się jeszcze kawałek w stronę

obozowiska. Obniżenie terenu pozwoliło mu zbliżyć się na odległość

dziesięciu metrów do namiotu. Mógł już zrozumieć niektóre słowa wypowiedane przez Faskusa:

- ...wcale martwić... musi być schronienie... nie tak źle, jak wygląda...

Ben podniósł się, aby zerknąć ponad krawędzią niecki. Faskus nadal był odwrócony do niego tyłem. Skoczył więc w jego stronę,

korzystając z Mocy, by nadać swojemu skokowi dodatkową energię i wysokość. Wyciągnął miecz świetlny i zapalił go.

Syk klingi zaalarmował Faskusa, który zaczął się odwracać.

W ostatniej chwili Ben zobaczył małą dziewczynkę. Siedziała na kocu przed namiotem i wlepiała w niego zdumione oczy.

Ben jęknął w duchu. Mało brakowało, a skróciłby człowieka o głowę na oczach dziecka.

Wylądował, posyłając Faskusa kopniakiem w stronę namiotu.

Kiedy usiadł okrakiem na piersi mężczyzny, usłyszał jego jęk i głośny pisk dziecka. Miecz świetlny zahaczył o koc na wierzchu

namiotu i podpalił go. Ben wyłączył broń, uwolnił ręce, sięgnął

po amulet i szarpnął. Łańcuch nie poddał się tak łatwo, podobnie

jak szyja Faskusa. Ben zaklął i pociągnął ponownie, tym razem

zrywając łańcuch. Dopiero wtedy wycofał się na czworakach i wsunął amulet do sakwy.

Dziewczynka wygramoliła się spod nóg Faskusa i rozglądała się dokoła oszalałym wzrokiem. Miała krótkie ciemne włosy i niebieskie oczy - mogła mieć jakieś sześć standardowych lat. Była ubrana w dziecięcą wersję pomarańczowego kombinezonu

pilotów X-wingów. Gdy napotkała wzrok Bena, znów zaczęła krzyczeć. Chwyła garść patyków i liści i cisnęła w stronę chłopca. Jeden z patyków upadł obok jego buta, reszta śmieci nie

przeleciała nawet pół metra.

- Zamknij się! - warknął Ben.

Mała rzuciła się w stronę Faskusa.

- Tatusiu? Obudź się! Tatusiu!

„Tatusiu”? Ben podniósł się i ruszył w ich stronę.

Dziewczynka odwróciła się i zaczęła macać wokół, szukając czegoś, czym mogłaby rzucić w Bena. Tym razem trafiła na duraluminiową

patelnię. Ben odbił ją na bok bez większego wysiłku i zatrzymał się obok namiotu.

- Przestań! - huknął na nią.

- Nie rób tatusiowi krzywdy! - Sięgnęła w dół i chwyciła...

Blaster. Ben wyszarpnął go pospiesznie z jej rąk za pośrednictwem

Mocy. Broń pofrunęła do jego dłoni.

Dziwnie lekki był ten blaster. Zbyt lekki. Obejrzał go i stwierdził,

że to dziecięca zabawka, miniaturowa kopia klasycznego pistoletu blasterowego DL-44, którym posługiwał się zwykle wujek Han. Ben cisnął go na polanę.

- Przestań rzucać rzeczami - rozkazał. - Mówię poważnie.

Dziewczynka zamarła, ściskając w uniesionej rączce widelec.

Próbując mieć ją cały czas na oku, Ben zerknął na Faskusa.

Mężczyzna był nieprzytomny, co wydawało się dziwne, bo przecież

Ben nie uderzył go mocno. Jednak fakt, że groźny złodziej amuletu leżał bez czucia, był chłopcu na rękę. Przypiął miecz do

pasa i zaczął obszukiwać Faskusa.

Blaster w jego kaburze był prawdziwy. Podobnie jak dwa mniejsze, ukryte w bucie i kaburze w prawym rękawie. W lewym

rękawie znalazł wibroostrze. Zarekwirował cały asortyment, po

czym rozejrzał się dokoła.

W jednym z rogów namiotu zobaczył kłębek żółtej linki.

Sięgnął

po nią i przewrócił Faskusa na brzuch, odkrywając kolejny blaster w kaburze u dołu pleców. Zabrał pistolet i zajął się krępowaniem

rąk ofiary w nadgarstkach.

I wtedy coś wbiło mu się w policzek. Widelec.

- Robisz mu krzywdę! - pisnęła dziewczynka.

Ben pomacał twarz, a gdy spojrział na palce, zobaczył na nich krew.

- Nic mu nie robię. Tylko go wiążę - wyjaśnił.

- Jest już ranny, a ty robisz mu jeszcze większą krzywdę.

Ben skończył z rękami Faskusa i przeszedł do wiązania nóg.

- Gdzie jest ranny? - rzucił przez ramię.

- W brzuch.

Ben odwrócił Faskusa na plecy i podciągnął szarą bluzę.

I aż gwizdnął. Zaimprovizowany opatrunek z paru warstw materiału przytrzymał bandaż z podartej na paski koszuli.

Bandaż zakrywał cały dół brzucha Faskusa. Był przesiąknięty krwią.

Ben odwiązał go ostrożnie i uniósł opatrunek. Zobaczył

ranę długą na jakieś siedem centymetrów. Mężczyzna odniósł też prawdopodobnie obrażenia wewnętrzne. Gdy Ben zdjął opatrunek, rana zaczęła krwawić mocniej. Ranny jęknął, ale nie ocknął się.

Ben rozpiął Faskusowi ubranie. Przeszedł szkolenie pierwszej pomocy w szeregach Jedi, a potem w Straży, ale tu potrzeba było

czegoś więcej niż pierwsza pomoc.

Położył dłonie na piersi i czole rannego, próbując go zbadać za

pośrednictwem Mocy. Nie był zbyt biegły w technikach uzdrawiających

Jedi, ale mistrzyni Cilghal i jego ojciec nauczyli go paru podstawowych metod.

Obecność Faskusa w Mocy była bardzo słaba. W porównaniu ze swoją córką był jak drżący płomyk świecy. Ben czuł płynące

z okolic rany sygnały cierpienia. Sięgnął głębiej i dostrzegł krew

sączącą się z uszkodzonych organów wewnętrznych. Widział, jak

wraz z nią ucieka życie tego człowieka.

Nie miał praktycznie żadnej wiedzy na temat obrażeń jamy brzusznej. Słyszał, że czasem takie rany nie krwawiły zbyt silnie,

ale zwykle bywały bardzo bolesne i niebezpieczne.

Faskus właściwie powinien już nie żyć i było jasne, że jedynie siła woli i troska o córkę trzymały go przy życiu. Ale nawet to na

dłuższą metę nie mogło wystarczyć. Ben zawahał się; nie wiedział,

co powinien powiedzieć dziewczynce.

- Jak masz na imię? - zapytał w końcu.

- Kiara. Pomożesz mu?

- Nie potrafię.

Faskus otworzył szkliste oczy. Spróbował z marnym skutkiem przekreślić się na bok. Jego wzrok wyostrzył się nieco, gdy zauważył

Bena.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Ben Skywalker. Straż Galaktycznego Sojuszu.

- Jakiś krewny Luke'a Skywalkera?

- Jestem jego synem.

- To dobrze. - Faskus położył się i przymknął oczy. Ben przeraził

się, że mężczyzna umiera, jednak była to tylko oznaka ulgi.

Faskus zaraz otworzył oczy, aby spojrzeć na swoją córkę.

- Zaopiekuje się tobą teraz strażnik Skywalker - powiedział.

- Nie, tato, nie! - Kiara przytuliła się do piersi ojca. - Zrobił ci krzywdę!

- Tylko mnie uderzył. Byłem już ranny. Myśliwiec mnie zranił.

Ben niezbyt zadowolony z takiego obrotu sprawy, spytał:

- Dlaczego ukradłeś amulet Kalary?

Faskus spojrział na niego zmieszany.

- Nie ukradłem go.

- Ukradłeś. Z biura na Drewwie.

- Dostałem go na Drewwie, zgadza się. Tam mieszkam i pracuję.

- Myślałem, że pochodzisz z Ziost.

Faskus pokręcił głową, powoli i z trudem.

- Pochodzę z Almanii. Jestem kurierem.

- Kto dał ci amulet?

- Bothanin o imieniu Dyur. Kazał mi go tu dostarczyć.

Przekazał

mi szczegółowe współrzędne lądowania i polecił zanieść amulet do pobliskiej jaskini. Miałem lecieć sam... - Spróbował się roześmiać, ale ból mu nie pozwolił. - Wybacz mi, Kiara. Żałuję,

że tak nie zrobiłem. Tak mi przykro...

- Zestrzelono twój statek? - Ben musiał dowiedzieć się prawdy.

Faskus potwierdził skinieniem głowy.

- Byłem w połowie drogi do jaskini, kiedy usłyszałem ryk silników. Wróciłem do „Czarnego Kła”. Myśliwiec TIE strzelał

w jego kierunku. Kiara była wciąż w środku. Musiałem ją stamtąd

wydostać...

Ben nie musiał pytać o nic więcej. Dalsze wydarzenia były dla niego jasne. Faskus wydostał córkę z transportowca, ale jakaś

katastrofa - prawdopodobnie wybuch - posłał mu w brzuch odłamek durastali, który miał być przyczyną jego powolnej śmierci.

- Proszę... - głos rannego był słaby i niewyraźny. - Rozwiąż mi ręce. Chciałbym ją przytulić.

Ben zastanowił się chwilę, po czym używając wibroostrza Faskusa,

przeciął więzy kępujące jego nadgarstki.

Kiara szlochała w ramionach ojca, który przemawiał do niej łagodnym, cichym głosem. Ben zwijał obozowisko i gromadził

wyposażenie.

I rozmyślał.

Mam amulet, więc nie może zostać użyty przeciwko mnie, doszedł do wniosku. Ten etap misji był zakończony. Ben mógł odhaczyć go na liście. Teraz musiał tylko znaleźć sposób, aby

wydostać się z planety albo przynajmniej wysłać wiadomość do

Jacena.

Jeśli to nie Faskus wykradł amulet, kto to zrobił? Pewnie Dyr - kimkolwiek był. I to Dyr zwał winę na Faskusa, zostawiając

notatkę. Ale w takim razie dlaczego Dyr dał Faskusowi prawdziwy

amulet, żeby ten ukrył go w jaskini? Bo ten przedmiot musiał być prawdziwy. Z bliska emanował energią Ciemnej Strony

i jakąś groźną radością, która przyciągnęła tu wcześniej Bena. Coś było nie tak.

Ben naliczył sześć dużych koców - jeden z nich lekko uszkodzony

przez jego miecz świetlny, kilka drewnianych słupków użytych do konstrukcji schronienia, cztery durastalowe szpice utrzymujące namiot w pionie, trzy blastery i wibroostrze - każda

broń miała dodatkowe ogniwo zasilające. Znalazł także racje żywnościowe, które mogły starczyć na tydzień, oraz sporą ilość linki, plecak i zawartość sakw Faskusa - w tym datapad, parę monet kredytowych, kredkarty, datakarty i karty identyfikacyjne

oraz ubrania mężczyzny, które, jak uznał, nie będą mu potrzebne.

Ostrożnie złożył namiot - na dziewczynkę przytuloną do ojca zaczął

padać śnieg - i złożył wszystkie koce, oprócz tego z podłogi namiotu, na którym nadal leżeli Faskus i Kiara. Mężczyzna miał

otwarte oczy, ale już się nie odzywał. Ben nie wyczuwał jego świadomości w Mocy.

Ben zabrał się do rozdzielania dobytku między swój plecak i zaimprovizowany

tobolek Faskusa. Do obozowiska zbliżył się R2.

- Dobre wiadomości, Shaker - poinformował go Ben. - Znalazłem

parę ogniw zasilających. Jeśli masz odpowiednie gniazdo, możemy zapewnić ci działanie przez długi czas.

Odpowiedź droida nie brzmiała zbyt entuzjastycznie. Mały robot

skierował czujniki optyczne na Kiare i jej ojca, ćwierkając nieskładnie.

- Masz rację - zgodził się Ben. - To smutne.

Jeszcze smutniejsze było to, co musiał zrobić za chwilę, ale rozkaz brzmiał wyraźnie: musi dostarczyć amulet Jacenowi. A to

oznaczało, że nie może narażać swojej misji na niepotrzebne komplikacje.

Zastanawiał się, czy nie poprosić Kiary, żeby wstała, bo wtedy mógłby zabrać dwa ostatnie koce, ale zdecydował, że to by było

niestosowne. Cztery koce w zupełności mu wystarczą.

Parę następnych minut poświęcił na przywiązywanie dużego plecaka do kopułki R2, a potem ruszył w dalszą drogę.

Nie słyszał, żeby robot szedł za nim. Obejrzał się i zobaczył, że jego mały pomocnik nadal tkwi w miejscu. Kręcił kopułką, przenosząc receptory optyczne to na niego, to na Kiare.

- Chodź, Shaker - zawołał Ben.

Robot astromechaniczny zaczął dreptać w jego stronę. Benowi zdawało się, że robi to niechętnie, ale odsunął tę myśl od siebie.

Shaker nigdy wcześniej nie spotkał tych ludzi. Poza tym był tylko

robotem. Nie miał prawa się o nich martwić.

- Hej! - Kiara usiadła prosto. Śnieg pokrywał jej włosy, a łyzy zamarzały na policzkach. - Nie możesz odejść! Tatuś powiedział,

że się nami zaopiekujesz!

- Przykro mi - rzucił Ben. - Wcale nie powiedziałem, że to zrobię.

- Nie możesz go tak zostawić! Zjedzą go zwierzęta!

- Przykro mi - powtórzył.

Porzucenie zapłakanej dziewczynki w środku lasu wymagało silnej woli, ale poczucie obowiązku pozwoliło mu odrzucić sentymenty.

Podjął powolny marsz. Shaker dreptał z tyłu.

Chwilę później droid wyszczebiotął długi i skomplikowany komunikat. Ben otworzył swój datapad i przeczytał wiadomość:

„Jaki jest nasz cel?”

- Muszę zerknąć w datapad Faskusa - powiedział Ben i poklepał

sakwę u pasa, upewniając się, że urządzenie nadal bezpiecznie w niej spoczywa. - Są tam przydatne informacje na temat Ziost - dorzucił - na przykład współrzędne lądowania, zamiary na jaskinię, gdzie miał zostawić amulet... pewnie porzucił tę część planu, kiedy został ranny... i różne miejsca oznaczone jako

„Ruiny”. Założę się, że kiedy natrafimy na te ruiny, coś tam znajdziemy.

Może nawet ludzi? A może bazę, z której wystartował myśliwiec TIE? Kierujemy się w stronę najbliższych ruin. Założę

się, że Faskus też tam zmierzał.

„Dlaczego zostawiłeś dziewczynkę?”

Ben znów poczuł ucisk w gardle.

- Gdybyśmy ją wzięli ze sobą - zaczął się tłumaczyć - nasze

zapasy, na przykład jedzenie, skończyłyby się szybciej. I moglibyśmy nie dotrzeć tam, gdzie musimy. Nasza misja jest ważniejsza niż jej życie.

„Czy misja jest także ważniejsza niż twoje życie?”

Ben rozmyślał nad tym przez jakieś pięćdziesiąt następnych metrów, zanim odpowiedział:

- Tak. Ważniejsza.

„Powiedz mi więc, na czym polega twoja misja, żebym - jeśli załabniesz - mógł cię zostawić i ją dokończyć”.

Ben odwrócił się i kopnął robota z całej siły w baryłkowaty korpus. Shaker zaskrzeczał i przewrócił się na bok. Na szczęście

wiązania, którymi Ben przymocował do niego plecak, nie puściły.

- Zamknij się, ty... ty chodząca puszek! Gdybyś nie miał paru pożytecznych, podłączonych do twojego zdezelowanego mózdzka

funkcji, ciebie też bym zostawił!

Shaker nie odpowiedział.

Ben spróbował się uspokoić. Kiedy już się upewni, że robot nie jest mu do niczego potrzebny, odda go na złom albo go po prostu gdzieś porzuci.

Tylko że to nie miało sensu. Robot był zbyt cenny. Ben mógłby

na przykład zapłacić nim za podróż poza planetę, gdyby znalazł

się ktoś chętny.

Z westchnieniem podniósł robota do pionu i ruszył przed siebie.

Jakaś godzinę później, gdy mijali rzadko zadrzewioną równinę,

datapad Bena zapiszczał. Shaker nie odzywał się od momentu

ich sprzeczki i nic nie wskazywało na to, że to on był źródłem dźwięku. Ben zatrzymał się i otworzył swój datapad.

Na miniaturowym wyświetlaczu zobaczył wizerunki swoich rodziców. Oboje uśmiechali się do niego.

- Ben - odezwała się Mara. - Na wypadek, gdybyś zapomniał... kończysz dziś czternaście lat!

- Wszystkiego najlepszego! - dodał Luke. - Jakiegokolwiek tortury przygotowali na dziś twoi nauczyciele, włącznie z nami,

zapomnij o wszystkim! Odezwij się do mnie w sprawie urodzinowych

kredytów. Resztę dnia możesz spędzić jak ci się żywnie podoba.

Ich twarze znikły, ekran na powrót stał się czarny.

Shaker podszedł bliżej i czekał z typową dla robotów cierpliwością.

Ben poczuł się nagle dziwnie, jakby był pusty w środku. Nie był w stanie myśleć, nie był w stanie nic czuć.

Rodzice musieli nagrać to na krótko przed jego wyruszeniem na misję.

- Cześć, mamó - powiedział. - Cześć, tato... Z okazji moich czternastych urodzin... pozwoliłem umrzeć małej dziewczynce.

Usiadł, opierając się plecami o robota. Pochylił się, oplótł ramionami

kolana...

...i zaczął szlochać.

Kiara dźgała ziemię nożem - zwykłym kuchennym nożem, nie wibroostrzem. Uderzając o ziemię, narzędzie wydawało głuchy

dźwięk. Od czasu do czasu udawało jej się odłupać złodowaciałą

grudę, ale częściej nie. Po ponad godzinie dłubania, przerywanej płaczem, udało jej się wygrzebać dołek niewiele większy niż jej rączka.

Mimo to nie zaprzestała wysiłków. Jej tata umarł, więc musi zakopać go w ziemi, żeby nie zjadły go zwierzęta, które na pewno niedługo przyjdą.

Poprzez płatki padającego śniegu zobaczyła przed sobą czyjeś buty. Podniosła główkę i spojrzała w twarz Bena Skywalkerera. Robot astromechaniczny wkraczał właśnie na polanę, kiwając się niezdarnie w obie strony.

Ben milczał dłuższą chwilę i rozglądał się dokoła.

- Powinniśmy chyba - powiedział wreszcie - zawinąć go w koc, a potem ułożyć na nim kopiec z kamieni. Wtedy będzie bezpieczny.

- Nie zjedzą go zwierzęta?

- Nie zjedzą. Zawinę go i poszukam skał. Przykryj się kocem i usiądź obok Shakera.

Kiara posłuchała. Łzy nadal płynęły jej po policzkach, ale teraz

już wiedziała, że jej tacie nic się nie stanie.

ROZDZIAŁ 16

Coruscant

Tygodnie, które nastąpiły po militarnej klęsce nad Korelią, nie zapowiadały szybkiego rozwiązania konfliktu.

Fondor, świat szeroko znany ze swoich stoczni, a dotknięty ograniczeniami produkcyjnymi nałożonymi przez Galaktyczny

Sojusz, zadeklarował odłączenie od niego i podpisał akt solidarności z Korelią oraz jej sprzymierzeńcami. Była to kolejna planeta dołączająca do Konfederacji, której już nie nazywano Konfederacją Koreliańską. Powodem zmiany były oburzone głosy z Bothawui i Commenoru. Z czterech systemów, wchodzących obecnie w skład Konfederacji, dwa - Korelią i Fondor - dysponowały stoczniami, kluczowymi dla zaopatrzenia sił zbrojnych Sojuszu. Utrata Fondoru stała się więc głównym tematem poruszonym w serwisach holowiadości. Wkrótce Bepin, główny dostawca gazu tibanna, oraz Adumar ze swoim przemysłem zbrojeniowym również dołączyły do Konfederacji. Przyłączenie do nowej koalicji rozważały kolejne światy. Planety rządzone przez Huttów nie kryły swojej sympatii dla Konfederacji. Huttowie byli gorącymi zwolennikami Sojuszu tak długo, jak długo zapewniał on im przywileje, które dawały znaczne korzyści finansowe. Nieliczne planety Resztek Imperium, które czuły się niezbyt komfortowo jako członkowie Sojuszu, coraz częściej zdradzały sympatię prokoreliańskie, jednak Rada Moffów wciąż dotrzymywała umów zawartych z Sojuszem. Wielki Admirał Pellaeon, który przeszedł na emeryturę i przebywał obecnie na Bastionie, postulował konieczność odbudowy i przywrócenia świetności stolicy Resztek Imperium, a przy tym optował za zachowaniem dobrych układów z Sojuszem. W ciągu tych tygodni dochodziło jedynie do sporadycznych

starć pomiędzy Sojuszem a Konfederacją. Oddziały specjalne admirała Limpan kilkakrotnie dokonywały rajdów na koreliańskie stocznie, nadal sprawną stację Centerpoint oraz zakłady przemysłowe na innych światach sprzymierzonych z Korelią, jednak nie miały one szczególnego znaczenia strategicznego. Siłom Konfederacji w systemie Bothawui udało się przy minimalnym wysiłku zmusić statki patrolowe Sojuszu do odwrotu. Żadna ze stron nie atakowała. Światy Konfederacji siedziały cicho, wzmacniały swoje siły obronne, wysyłały dyplomatów z propozycjami przystąpienia do koalicji do wciąż nowych systemów i utrzymywały produkcję stoczni na najwyższych obrotach. Sojusz wycofywał swoje siły i patrole z odległych placówek, gromadził informacje i umacniał zabezpieczenia. Wojna toczyła się głównie w serwisach wiadomości - rozmaici analitycy obstawiali, gdzie dojdzie do decydującej bitwy, kto ją rozpocznie i jak się zakończy. Admirał Matric Klauskin, który zniknął jakiś czas temu ze szpitala na Coruscant, odnalazł się nagle na rodzinnym Commenorze. Jego doradcy przekazali rządowi na Coruscant informację o rezygnacji ze służby w szeregach Galaktycznego Sojuszu. Na uroczystej kolacji, którą zorganizowano na jego cześć na Commenorze, został obwołany bohaterem planety, po czym z całą pompą przeszedł w stan spoczynku. Zauważono, że podczas uroczystości

admirał prawie nie zabierał głosu, baczni obserwatorzy zaś opowiadali, że był obojętny i nieobecny duchem.

Kwatery główne Galaktycznego Sojuszu, pokój konferencyjny starszych oficerów

- Tak zwany dokument chasiński - oznajmił generał Tycho Celchu - jest prawdziwy.

Wysoki, elegancki i przystojny generał, którego blond czuprynę

przetykały już srebrne nitki, promieniował pewnością siebie i kompetencją.

Admirał Niathal nie obchodziło, co promieniuje od ludzkiego analityka wojskowego. Z jej oczu biło wzburzenie.

- To niemożliwe, generale. Nie planowaliśmy inwazji na Commenor.

- Owszem, planowaliśmy - zapewnił ją Tycho. - Jakieś trzydzieści

lat temu.

To przyhamowało nieco Niathal; wydawała się teraz zaciekawiona.

Słowa Tycho podziały też na innych starszych oficerów obecnych na spotkaniu. Niathal słyszała ich rozmowy, prowadzone

ściszonym głosem dokoła długiego stołu konferencyjnego.

- Kontynuuj, proszę - powiedziała, ucinając niespokojne szmery.

- W czasach, gdy Sojusz Rebeliantów przygotowywał wyzwolenie

kluczowych systemów planetarnych spod władzy Imperium, generał Garm Bel Iblis opracował plany dla poszczególnych

systemów. Dokument chasiński, przechwycony ostatnio

przez nasze służby wywiadowcze, stanowi zmienioną wersję

planu operacji nazwanej przez Bela Iblisa „Niebieska Wtyczka”.

„Niebieska Wtyczka" nie została jednak nigdy wprowadzona w życie, ponieważ Commenor dobrowolnie sprzeciwił się imperialnym rządów parę miesięcy po przyłączeniu się Coruscant do Sojuszu.

- Czy szczegóły dotyczące operacji ujrzały kiedykolwiek światło dzienne? - spytała Niathal.

Tycho pokręcił głową.

- Nie, przez dziesięciolecia były otoczone ścisłą tajemnicą. Zapomniano o nich, bo w nowej sytuacji okazały się nieprzydatne.

Nie miałem o nich pojęcia. Kiedy jednak prowadziłem analizę dokumentu chasińskiego, uderzyło mnie, jak bardzo przypomina

on taktykę stosowaną przez generała Bel Iblisa. Przyszło mi do głowy, że musiał zostać opracowany przez któregoś z uczniów

generała... jednak w końcu uświadomiłem sobie, że plan nie uwzględnia wykorzystania nowoczesnych statków, a to wzbudziło

moją podejrzliwość. Zacząłem przeglądać rejestry danych.

- Rozumiem. Czy mamy jakieś wskazówki, w jaki sposób oryginalne plany wpadły w ręce kogoś, kto dokonał w nich zmian

i przekazał je Commenorowi?

- Owszem. - Mimo opanowania Tycho zdradzał pewne objawy niepokoju. - Nasza ochrona zawiodła. Analitycy baz danych, gdzie ten plik był przechowywany, zapewniali, że ostatnio był udostępniony jeden jedyny raz: podczas procesu automatycznego

kopiowania i porównywania materiału z przechowywanymi kopiami. Programiści wojskowi nie znaleźli śladów włamania do

systemu, więc zasugerowałem pomoc wywiadu. Wtedy ujawniono

zastosowaną metodę...

Zamilkł, bo wśród pozostałych uczestników rozległ się szmer niepokoju. Rozejrzał się spokojnie po twarzach osób zasiadających

przy stole. Niathal wiedziała, że generał znalazł się w niełasce, odkąd wprowadził w tajne działania osoby z zewnątrz. Ona sama również żałowała, że generał Celchu wyjawiał komuś obcemu

fakt zaistnienia usterki w ich systemach bezpieczeństwa, była mu jednak wdzięczna, że zdołał rozwiązać problem.

- Rozumiem, że wywiad w tym przypadku oznacza pańską żonę? - zapytała Niathal.

- Zgadza się.

Żona Tycho, Winter, była agentką tajnych służb od czasów Rebelii.

Pracowała jako agent terenowy w czasach, gdy Nowa Republika

stanowiła jeszcze raczej ideę niż rzeczywistość. Pomagała w wychowywaniu najpopularniejszego syna galaktyki, Jacena Solo. Sam Solo, był jednym z oficerów siedzących wokół stołu;

nie zareagował na wspomnienie swojej byłej opiekunki.

- Winter odkryła - podjął Tycho - że kod kopiujący został podmieniony. Nadal wykonywał właściwe operacje, jednak prócz

tego wysyłał pliki w inne miejsca. Kiedy wiedzieliśmy już, czego

szukać, odnaleźliśmy podobne programy, kopiujące inne bazy danych. To oprogramowanie miało zdolności samoreplikujące i mogło rozprzestrzenić się na całą sieć wojskową, ale przechwyciliśmy

je na czas. Zdążyło dotrzeć jedynie do starszych plików i paru spisów uzbrojenia.

- Sposób interwencji?

- Usunęliśmy złośliwy kod i przekazaliśmy odpowiednie informacje

wywiadowi wojskowemu, wywiadowi Galaktycznego Sojuszu oraz Straży Galaktycznego Sojuszu. Moglibyśmy wykorzystać

je do celów dezinformacji, jednak musiałoby to być przedsięwzięcie na dużą skalę. Nieprzyjaciel prawdopodobnie by zauważył, gdyby jego kod przestał rozprzestrzeniać się w naszej sieci, zorganizowaliśmy więc po prostu drugą sieć, zawierającą pełen zbiór fałszywych danych oraz niezbyt istotnych

informacji. Aktualizujemy ją synchronicznie z prawdziwą siecią.

Niathal pokiwała głową. Taka operacja miała sens, chociaż na pewno dużo kosztowała.

- Czy wiemy, w jaki sposób system został zainfekowany?

- Częściowo - odparł Tycho. - Zapisy, które zbadaliśmy, sugerują,

że pierwszy atak miał miejsce podczas rutynowego badania.

Dostęp uzyskano za pomocą kodu SGS.

Jacen zareagował natychmiast.

- To niedorzeczne!-parsknął.

Tycho spojrzał na niego ze spokojem.

- Ale można to sprawdzić.

- Nikt, kto ma upoważnienia do realizacji programów sieci wojskowej, nie naraziłby bezpieczeństwa naszych sił na szwank

- głos Jacena brzmiał surowo. - Dysponujemy najlepszymi środkami

bezpieczeństwa, a poza tym przypominam, że jestem Jedi.

Niemal niemożliwe, żeby ktokolwiek z moich starszych oficerów zdołał mnie oszukać.

- „Niemal niemożliwe” nie znaczy „niemożliwe” - skwitował Tycho.

- Podaj mi kod dostępu - zażądał Jacen.

Tycho wyrecytował z pamięci:

- Trzy siedem dziewięć HOL 44 podkreślnik B dziewięć dwa jeden.

Jacen wyciągnął swój datapad, wprowadził kod i zaczął przeglądać

wyświetlone na nim informacje. Na jego twarzy pojawiło się najpierw lekkie zmieszanie, a potem wściekłość i wzburzenie.

- To kod nieprzydzielony - powiedział. - Pod koniec listy nieprzydzielonych.

- Proponuję, żebyś sprawdził również pozostałe nieprzypisane kody, aby upewnić się, że nie zostały wykorzystane - odezwała się Niathal.

Jacen zatrzaskał datapad.

- Zaraz to zrobię.

- Proszę też o sprawozdanie z wyników analizy.

- Tak jest, pani admirał. - Zdenerwowany Jacen odwrócił się od niej i przez resztę spotkania unikał kontaktu wzrokowego.

- Czy ktoś chciałby poruszyć jeszcze jakąś kwestię? - spytała Niathal.

- Tak. Ja.

Powiedziała to ciemnoskóra, ciemnowłosa kobieta, ubrana w ciemne szaty cywilne. Była to Belindi Kalenda, pełniąca funkcję

dyrektora wywiadu Galaktycznego Sojuszu od chwili zakończenia

wojny z Yuuzhan Vongami.

- Mam jeszcze jedną informację dotyczącą spraw militarnych. Dotarły do mnie słuchy, że Konfederacja ma poważne problemy,

spowodowane dołączaniem do niej kolejnych światów, a dokładniej

z koordynacją ich sił zbrojnych.

Niathal uniosła głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Jedyna zaskakująca rzecz to fakt, że do tej pory nie wybrali jeszcze naczelnego dowódcy.

- Nie jedyna. Pani admirał, podobno Bothanie zażądali, aby naczelnny dowódca został wybrany na zamkniętym spotkaniu reprezentantów

wszystkich światów Konfederacji.

Tycho gwizdnął pod nosem, Jacen pokiwał głową a pozostali oficerowie zaczęli szeptać między sobą.

- To do nich podobne - skwitowała Niathal. - We własnym, zamkniętym kręgu mogą wpłynąć na wyniki wyborów.

- To coś więcej - dodała Kalenda. - Wydaje się, że Konfederacja

wykorzystuje to jako sposób przyciągnięcia nowych

chętnych, ogłaszając światom, że nadal mają możliwość wyboru.

„Przyłączcie się teraz, a będziecie mieli szansę wysłać delegatów

na kongres wyborczy! Wasz kandydat może zostać naszym naczelnym

dowódcą!"

- Interesujące. - Niathal zadumała się chwilę. - Na ile rzetelne są te informacje?

- Mamy niepodważalne dowody, że Huttowie otrzymali komunikat dotyczący wyborów i że Bothanie gorączkowo szukają kandydata, którego poparłoby jak najwięcej liczących się polityków.

- Musimy tam być - powiedział Jacen.

Niathal przytaknęła.

- Pułkownik Solo ma rację. Delegacje będą się składać z najlepszych

przywódców Konfederacji i najbliżotliwszych umysłów.

Nie mówiąc już o politykach, którzy wiedzą wszystko na temat planów swoich światów. Gdybyśmy zdołali wyeliminować

część uczestników spotkania, zmniejszylibyśmy skutecznie zdolności

strategiczne Konfederacji. A gdyby udało się ich schwytać, moglibyśmy zyskać znaczną przewagę i zgromadzić istotne informacje.

Proszę panią dyrektor Kalendę o włożenie maksymalnego wysiłku w przygotowania. Może pani bez wahania wykorzystać

wszelkie dostępne środki.

- Tak jest, pani admirał.

Coruscant,

sala treningowa Świątyni Jedi

- Wydaje mi się, że całą tę sprawę z Mieczem Jedi traktujesz nieco zbyt poważnie - powiedział Zekk.

Jaina rzuciła się naprzód, trzymając pionowo swój miecz.

Wyprowadziła cios z góry, wizualizując atak, zanim pchnęła.

Był to jednak podstęp. W rzeczywistości sięgnęła końcówką ostrza daleko za blokadę Zekka i zadała cios w żebra z prawej strony.

Broń wydała charakterystyczny dźwięk w zetknięciu z ciałem

przeciwnika. Miecz ćwiczebny nie dodał nowej rany do kolekcji

obrażeń Zekka, poraził go tylko niewielkim ładunkiem elektrycznym.

Ciemnowłosy Jedi cofnął się o krok, rozcierając obolałe miejsce.

- Hej! Oszukiwałaś!

Jaina przytaknęła.

- Cały czas starałeś się przewidzieć, co zrobię. To cię zwiodło. Na przyszłość daruj sobie.

- Może masz rację.

- I wcale nie traktuję tej historii z Mieczem Jedi zbyt serio.

Jak mogłabym to robić, skoro nawet nie wiem, co to takiego?

Nawet wujek Luke na dobrą sprawę nie wie, o co w tym chodzi.

Nigdy nie był pewien, dlaczego to powiedział. Może przemawiała

przez niego Moc?

Zekk przygotował swój miecz treningowy do ataku.

- Może to oznacza, że jesteś nowym Wybrańcem?

Jaina wzruszyła ramionami, gotowa do obrony.

- Mam nadzieję, że nie. Pójście za przeznaczeniem kosztowało mojego dziadka dziesięciolecia, wielokrotne amputacje

i niezliczone tragedie. - Zrobiła krok naprzód i cięła mieczem w dół, wyprowadzając cios, który zmieniła w płynne pchnięcie

w kierunku końcówki ostrza Zekka.

Jej przeciwnik wykorzystał jednak fakt, że był wyższy i dzięki temu miał większy zasięg, więc odbił miecz JAINY do góry, tak że

jej ostrze nie dosięgło jego twarzy. Zekk spróbował teraz odbić

klinę na bok, ale Jaina podjęła wyzwanie i skierowała miecz

w dół, blokując atak Zekka i przyjmując cios na miecz tuż koło rękojęści.

- Poza tym - mówiła dalej swobodnym tonem, jakby walka nie kosztowała jej najmniejszego wysiłku - nie ma żadnego Imperatora, którego musiałabym się pozbyć.

- Ale jest Lumiya - usłyszeli znajomy głos.

Walczący odstepili od siebie i spojrzeli w kierunku, z którego dobiegał.

Jag Fel siedział na macie treningowej ze skrzyżowanymi nogami,

ubrany w swój zwykły czarny strój. Jaina uświadomiła sobie, że nie widziała ani nie poczuła poprzez Moc, kiedy wszedł.

- Chciałbym, żeby przestał nas wreszcie szpiegować - wymamrotał

Zekk na tyle cicho, że Jag nie powinien go usłyszeć.

Jaina wyłączyła swój miecz treningowy. Zamiast ostrza miał durastalowy pręt generujący ładunek elektryczny.

- I co z tego? - zapytała.

Jag wzruszył ramionami.

- Wybraniec zniszczył przywódcę Sithów. Lumiya jest Sithem, zgadza się?

Zekk wyłączył swoją klingę.

- Raczej popłuczyną po Sithach. Wątpię, żeby taki niezwykle wybawca, jakim podobno jest Miecz, miał wyeliminować właśnie

kogoś takiego.

- Przyznaję się, że nie mam wystarczającej wiedzy na temat Jedi, aby spekulować...

- Twoje szczęście - mruknął Zekk.

Jag uśmiechnął się promiennie, jakby słowa Zekka były doskonałym

żartem, a nie bezczelną i niepotrzebną uwagą, po czym podjął na nowo:

- Z mojego punktu widzenia Miecz stanowi oczywiście broń.

Broń Jedi może zostać wykorzystana zgodnie z ich wolą przeciwko

wrogowi Jedi. Wrogami Jedi są Sithowie i inni przeciwnicy,

jakkolwiek ich nazwiemy. Dlatego moim zdaniem Miecz Jedi musi

zwrócić się przeciw Sithom. Czy taki tok rozumowania uważacie

za prosty, uproszczony czy po prostu błędny?

- Głosuję za „uproszczony”. - Zekk zwrócił się do Jaina.

- Jeszcze jedna runda?

Jaina pokręciła głową.

- Chciałabym posłuchać Jaga. Na dobrą sprawę nigdy nie patrzyłam

na to z perspektywy kogoś spoza zakonu. A sposób myślenia Jaga zawsze był interesujący.

Młody Jedi westchnął przeciągle, przewracając oczami, po czym wyciągnął w jej kierunku dłoń. Jaina podała mu swój miecz

treningowy, a Zekk posłusznie odwrócił się w kierunku stojaka,

gdzie trzymano broń do ćwiczeń.

Jag spojrzał na Jainę przeproszającym wzrokiem.

- Nie jestem pewien, czy mam do powiedzenia coś jeszcze prócz tego, co właśnie usłyszałaś. Ale zawsze można pospekulować.

- Zaczynaj. - Usiadła na macie naprzeciwko niego, przyjmując podobną pozycję.

- Nie jestem chyba odpowiednią osobą do analizowania ścieżek

Mocy, bo jej nie odczuwam. Wiem tylko tyle, co usłyszałem, odkąd tu jestem, a to w sumie całkiem sporo. Jeśli jednak Moc przemawiała przez Wielkiego Mistrza, kiedy ogłaszał cię Mieczem

Jedi, Miecz zaś ma być kimś w rodzaju Wybrańca, to musi istnieć ktoś, niebezpieczny, z kim powinien się zmierzyć. A to mogłoby wskazywać na Lumię.

Jaina skinęła głową.

- Może nasz zespół powinien skoncentrować się na niej, zamiast

na Alemie Rar?

- Albo na nich obu, skoro najwyraźniej współpracowały ze sobą przeciwko Skywalkerom w magazynach Roqoo. - Zekk już

wrócił i stanął obok. - Nie sędzę, żeby nasza trójka mogła stanowić

jakieś wyzwanie dla Lumi. Sama zdołała unieszkodliwić Wielkiego Mistrza i chyba dorównuje mu poziomem. Nasz zespół

składa się jedynie z dwojga Jedi i jednego ślepego na Moc gwiazdneho dżokeja.

Jaina odwróciła się do niego z gniewną miną.

- Zekk, to było niepotrzebne.

- Chciałem tylko powiedzieć, że Fel nie powinien wypowiadać się w kwestiach związanych z Mocą.

- Zekk, przestań!

Zacietrzewiony Jedi kontynuował swój oskarżycielski wywód.

- Takie teoretyzowanie na pewno nie jest mu obce. - Wycelował

palec w Jaga. - Czy to przypadkiem nie ty powiedziałeś

kiedyś Jainie, że nie jestem wystarczająco dobrym pilotem, żeby

latać w jej eskadrze? To według ciebie była chłodna, logiczna analiza?

Jaina skrzywiła się z niesmakiem. Sytuacja, o której wspomniał

Zekk, miała miejsce podczas wojny z Yuuzhan Vongami, na Borleias.

A Jaina polegała wtedy bezkrytycznie na ocenie Jaga.

Wyraz twarzy Fela nie zmienił się, ale sformułowanie odpowiedzi

zabrało mu trochę czasu.

- Nie, to nie była chłodna analiza - przyznał. - Było to po prostu

zdanie zazdrosnego faceta, który próbuje pozbyć się rywala.

Zekk wyglądał na zaskoczonego. Najwyraźniej spodziewał się wszystkiego, tylko nie szczerości.

Jag wyciągnął rękę w stronę Zekka.

- Powinieneś się na tym znać... to znaczy na zazdrości. Inaczej nie krążyłbyś wokół jak kwoka jastrzębionietoperza za każdym

razem, gdy chcę spytać Jainę o godzinę.

Jaina poczuła, że czerwienieje.

- Jag... - odezwała się.

- Zawsze wiesz, która jest godzina! - warknął Zekk. - Wynajdujesz

preteksty, byle tylko z nią porozmawiać!

- Chłopcy, zaczynacie mnie wkurzać...

Jakieś elektroniczne urządzenie, które miał przy sobie Jag, zaczęło

piszczeć. Pojedyncze dźwięki komponowały się w dziwny układ tonalny; brzmiało to, jakby robot astromechaniczny próbował

recytować wiersze. Takiego sygnału jeszcze nie słyszeli, chociaż Jag miał mnóstwo najrozmaitszych urządzeń. Zaskoczony tak samo ja oni Fel wyciągnął z kieszeni swój datapad.

- Transmisja o najwyższym priorytecie - wyjaśnił.

Otworzył datapad, przeczytał kilka linijek tekstu i poinformował:

- Wiadomość z centralnego komputera „Błędnego Rycerza”:

„Rozpoznanie i analiza kodu przeprowadzona przez holokamerę

Świątyni Jedi ustaliły dziewięćdziesiąt cztery procent prawdopodobieństwa

zgodności z celem Alema Rar przy załączonej sekwencji”.

Zapominając o sprzeczce, Zekk usiadł koło Jainy.

- Wyświetlę to na dużym ekranie.

Odwrócił datapad w stronę wyświetlacza, który zajmował większą część ściany naprzeciw wejścia. Nacisnął guzik i chwilę

później większy ekran obudził się do życia, wyświetlając nagranie

z holokamery.

Wyglądało to na obraz z kamer ochrony zamontowanych na suficie. Przedstawiał tłum ludzi - większość z nich stanowili umundurowani wojskowi Sojuszu - spieszący w stronę wyjścia.

W samym środku cizby widać było szczelnie otuloną w ciemne

szaty kobietę rasy humanoidalnej, niewątpliwie błękitnoskórą, najprawdopodobniej Twi'lekanę. Jej twarz na wyświetlaczu nie

była na tyle wyraźna, żeby Jaina mogła ją rozpoznać.

Po chwili uaktywnił się kod Jaga i archiwalny wizerunek

twi'lekańskiej kobiety został nałożony na cel. W miarę jak dopasowywał się do jej postaci, od kolejnych części ciała: stóp, ramion, głowy odchodziły cienkie linie, obok zaś, zbyt szybko, aby można było coś odcyfrować, pojawiały się słowa i wartości procentowe. Siatka przystosowywała się coraz szybciej; skróciła jedną stopę o połowę i skrzywiła lewe ramię, które opadło, sugerując trwałe kalectwo. Sekwencja zakończyła się i monitor wyświetlił kolejne nagranie, prawdopodobnie zarejestrowane tuż po poprzednim. Widok z holokamery ukazywał teraz szeroki korytarz statku. Umundurowany personel wlewał się przez drzwi z większego pomieszczenia, a szło to powoli z uwagi na tłok. Błękitnoskórą kobieta usiłowała się dostać w sam środek tłumu, podskakując. Teraz obraz przeszedł w zbliżenie jej twarzy. Rysy kobiety niezwykle przypominały twarz Alemy Rar. Alemy z Mrocznego Gniazda. Jag wrzucił trzeci plik, tym razem jednak nie było to nagranie, a rejestr usterek z zapisów holokamer z pokładu „Błędnego Rycerza” w miejscach dostępnych publicznie. Rejestr analizował tysiące przypadków i schematycznie nakładał je na plany pokładów, co układało się wyraźnie w ścieżkę biegnącą wzdłuż korytarzy i przewodów wentylacyjnych, zahaczającą o kasyna i centra handlowe.

Było jasne, że Alema Rar przebywała na pokładzie „Błędnego Rycerza” przynajmniej w czasie, kiedy rejestrowano i poddawano

analizie dane tego raportu, czyli nie więcej niż parę dni temu.

„Błędny Rycerz” znajdował się w systemie Coruscant, odkąd dostał prawo do stacjonowania tam po ewakuacji z Korelii.

Jag poderwał się na nogi, jakby ktoś go ukłuł.

- Łowy rozpoczęte - oznajmił i pobiegł w stronę wyjścia z sali treningowej.

Przestrzeń wokół Coruscant,

„Błędny Rycerz”

Kapitan Uran Lavint, zataczając się, skręciła w wąski korytarz prowadzący do jej kabiny. Odkąd wychyliła szóstą whisky tego

wieczoru, generatory sztucznej grawitacji na statku hazardowym

zaczęły działać bardzo dziwnie. Chyba się psuły.

Na samą myśl o powrocie do kabiny westchnęła ciężko. Na pewno zastanie tam Alemę, przyczajoną, gotową do opowieści o niepowodzeniach swojej misji szpiegowskiej, znów skłonną do pogroźek. Lavint znowu się zdenerwuje i nie będzie mogła zasnąć. Poza tym odkąd pokieroszowana Twi'lekanka przebywa

w jej kabinie, nie da się zaprosić kogokolwiek do towarzystwa.

Nadal jednak Moc, którą dysponowała Alema, dawała Lavint przewagę przy stolikach z zakładami. Twi'lekanka czaiła się w kącie i komunikowała z Lavint za pomocą drobnych bodźców

kinetycznych, dając jej znać, jakie karty mieli inni gracze.

Lavint

dzięki temu wygrywała duże sumy. Mogła sobie pozwolić

na wynajęcie kabiny na pokładzie tego drogiego latającego hotelu.

Mogłaby też kupić ładunek, który przyniósłby wielki zysk w kolejnym kursie przemytniczym. Taki zysk, że wystarczyłby

na komfortowe życie do końca jej dni.

Musi tylko pozbyć się Alemy.

Snując smętne marzenia, wlokła się korytarzem, kiedy od przeciwległej ściany oderwał się cień i zagroził jej drogę.

Lavint sięgnęła po swój podręczny blaster i uniosła go do strzału,

zamierzając przestraszyć przeciwnika, jednak intruz wyrwał go jej z ręki. Nie celował w nią po prostu trzymał broń z lufą skierowaną w dół.

Dobrych kilka sekund zajęło Lavint zogniskowanie wzroku na twarzy niespodziewanego gościa. Rozpoznała ją wreszcie.

- Pułkownik Solo! - powiedziała. - Przyszedłeś mnie sprzątnąć?

Pokręcił głową i zwrócił jej blaster.

- Nie. Jesteś mi potrzebna.

- Hm, nie jestem teraz w najlepszej formie, ale szepnij słówko, a coś na to poradzimy.

Wyraz niesmaku przemknął po twarzy Jacena.

- Nie to miałem na myśli.

- Tak przypuszczałam. Chciałam się tylko upewnić. - Za trzecim

razem udało jej się wcelować blasterem do ukrytej kabury.

Wyjęła z kieszeni datapad i otworzyła drzwi kabiny, odsłaniając

niewielkie pomieszczenie z minimalną liczbą mebli. I bez Alemy,

chyba że chowała się gdzieś pod łóżkiem lub przyłgnęła do sufitu.

Lavint wprowadziła swojego gościa do środka i opadła ciężko na jedyne krzesło, dając Jacenowi do wyboru zajęcie łóżka albo

pozostanie w pozycji stojącej. Wolał stać.

- Potrzebuję twoich usług - powtórzył.

- Nie wierzę ci - pokręciła głową Lavint, ale że ten ruch wprowadził

kabinę w nagłe kołysanie, zaprzestała gwałtownych gestów.

- Bardzo dobrze pamiętam, co powiedziałaś: „Nigdy nie współpracuję

dłużej z kimś, kto sprzedaje Kushibanów”.

- „Sprzedaje własnych kompanów” - poprawił ją Jacen. Wyglądał

na zirytowanego. - Sytuacja uległa zmianie.

- A razem z nią etyka. Gratulacje! Mówisz jak prawdziwy przemytnik.

Jacen milczał przez chwilę, jakby musiał się uspokoić, po czym podjął:

- Potrzebuję twoich usług jako przemytnika. Większość istot związanych z przemytniczym fachem albo nie miesza się w sprawy

wojny, albo trzyma z Konfederacją.

- I mają ku temu powody. Chcesz nas pozbawić źródła zarobku.

- Nieprawda, chcę, żebyście zajęli się legalnym rzemiosłem.

A jeśli mi pomożesz, ja też ci pomogę.

- Mów.

- Za parę dni ma dojść do spotkania okrętów Konfederacji z różnych systemów. Ich przywódcy zamierzają wybrać wspólnego

naczelnego dowódcę i zjednoczyć się przeciwko wspólnemu wrogowi. Muszę być na tym spotkaniu, żeby dowiedzieć się, kto będzie w nim uczestniczył... kto jest spiskowcem.

- Zrób po prostu zasadzkę i zidentyfikuj zwłoki, kiedy już powyrzynasz ich w pień.

Zignorował jej słowa.

- Ile będzie kosztowało, jeśli mnie tam zabierzesz? - spytał.

- Nie zrobię tego. Nie można ci ufać. Psujesz hipernapędy.

Błysk gniewu przemknął po jego twarzy.

- Twój hipernapęd sam się zepsuł.

- Oczywiście. A ja spędziłam parę długich, bardzo długich godzin przekonana, że umrę samotnie w przestrzeni kosmicznej.

A że wcześniej przywłaszczyłeś sobie mój statek, to nie był dobry

dzień. Wierz mi.

- Straciłem dwóch dobrych ludzi przez twoje kłamstwa - warknął Han.

Lavint wzruszyła ramionami.

- To nie byli dobrzy ludzie, tylko sabotażyści. Poza tym okazali

się niekompetentni, bo w końcu zdołałam naprawić napęd, który uszkodzili. Byli szumowinami. Jak ja, pamiętasz? Taki miły

chłopczyk jak ty nie powinien zadawać się z szumowinami.

Jacen zamknął oczy, żeby się uspokoić. W końcu powiedział:

- Jakąkolwiek sumę ustalimy, płacę całość od ręki. Tobie albo pośrednikowi, którego wskażesz.

- W porządku. - Lavint nie musiała długo się namyślać. -

Chcę dostać z powrotem „Strumień Spalin”.

- Nie zdołam dostarczyć ci go od razu. Jest w remoncie i został

przydzielony do służb jako transportowiec GS. Tygodnie, a może

miesiące potrwa, zanim da się go odwołać ze służby, sprowadzić na miejsce i przygotować rejestry własności. - Namysłał się przez chwilę. - A co powiesz na średni transportowiec z Gallofree Yards, dwunastoletni, przechwycony na Korelii, świeżo odnowiony i wyremontowany w stoczniach Coruscant, nadal bez przydziału? Mogę zażądać go dla SGS i przekazać tobie. Kartoteka czysta i nieobciążona.

- Zgoda. Pod warunkiem że będzie zatankowany, uzbrojony, zaopatrzone... i nieuszkodzony.

- W porządku. Coś jeszcze?

- Żeby zdobyć informacje, których potrzebujesz, będę musiała wyłożyć sporo kredytów. Piętnaście, dwadzieścia tysięcy.

- Zrobione.

- Chciałabym jeszcze, żebyś przekazał wiadomość ode mnie swoim rodzicom.

- Co takiego?

- Możesz to zrobić, zgadza się?

- Jaką wiadomość?

- Chciałabym, żeby przesłali mi wiadomość, jak się z nimi skontaktować. Nie spieszy mi się. Chodzi tylko o jedną transmisję.

- Znasz ich?

- Nie.

- No to dlaczego...

- Nie twój interes. Obiecałam, że to zrobię. To nie dotyczy ciebie. W żaden sposób nie przyniesie ci szkody. - Patrzyła na niego spokojnym wzrokiem.

Jacen zastanawiał się przez chwilę.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Myślę, że to da się

zrobić.

Lavint uśmiechnęła się do niego.

- I o to chodzi!

- Spodziewałem się, że poprosisz o znacznie więcej. Z powodu zranionych uczuć.

- Cała sztuczka w negocjacjach... a mogłeś ją poznać, gdyby twój ojciec odpowiednio cię wychował... nigdy nie prosić o tyle, żeby druga strona wolała cię zabić, niż wejść w układ - powiedziała.

Jacen rozważał te słowa, przyglądając się jej przez długą chwilę.

Potem powiedział tylko:

- Dziękuję.

I wyszedł.

Uśmiechnięta Lavint wyciągnęła się na łóżku. Teraz musiała ustalić plan działania. Jeśli się okaże, że jej współlokatorka była

cały czas w pokoju, ostatnia część negocjacji mogła spowodować

śmierć Solo, Lavint zaś byłaby wolna. Chyba że Alema zdecyduje

się zabić również ją... a Lavint mogła się wszystkiego spodziewać

po szalonej Twi'lekance. Jeśli jednak kaleka Jedi nie słyszała rozmowy, negocjacje prawdopodobnie skończą się jej śmiercią.

Takie wyjście bardzo Lavint odpowiadało.

- Hej, niebieska wariatko! Jesteś tu? - rzuciła.

Nie było odpowiedzi. Lavint uspokoiła się.

Zamknęła oczy i dwie minuty później smacznie spała.

ROZDZIAŁ 17

Ziost

Każdego ranka Ben budził się ze wspomnieniem głosów szepczących

mu do uszu. Jakaś część jego umysłu pragnęła ich wysłuchać, dowiedzieć się, co takiego mówiły, ale cała reszta nie chciała tego wiedzieć. Gdzieś w środku Ben się orientował, że gdyby słuchał ich wystarczająco długo i zdołał zrozumieć, to chciałby zastosować się do ich poleceń - tymczasem były to bardzo,

bardzo złe rady.

Tak więc sen nie był dla Bena odprężeniem nawet wtedy, kiedy

ogień palił się przez całą noc, a Kiara tuliła się do jego boku, smutna, ale pełna ufności.

Podczas tych nocy często budził go nagły lęk albo niespokojny

świergot zaalarmowanego Shakera. Widział wtedy oczy jarzące

się w mroku po drugiej stronie ogniska. Nocne drapieżniki, jak powiedziałyby Jacen. Ben wyczuwał je poprzez Moc jako silne, dzikie i wolne istoty, przepelnione energią... i złem. Były równie

złe, jak stare, i pokrzywione drzewa porastające planetę.

Do tej pory stworzenia nie odważyły się zaatakować, ale Ben zawsze pilnował, żeby Kiara nie oddalała się od niego bardziej niż na krok lub dwa - chyba że któreś z nich musiało pójść za potrzebą. Wtedy dziewczynce zawsze towarzyszył Shaker. Obecność robota zdawała się nie naruszać jej poczucia prywatności.

Ben wyczuwał również coś innego. Tego dnia, kiedy znalazł

Kiare, około południa zatrzymali się na szybki posiłek z puszkowanych racji. Ben przeżuwał jakąś ociekającą tłuszczem imitację mięsa, starając się to robić szybko, żeby nie poczuć jej smaku. Wyczulony na obecność dzikich bestii, które nadal były niewidzialne, fizycznie i za pośrednictwem Mocy patrolował nieustannie teren w pobliżu - i nagle poczuł, że ktoś mu się przygląda. Wstał i rozejrzał się, chwytając za miecz świetlny, ale nie zauważył nic niepokojącego. Po paru sekundach uczucie go opuściło. Następnego dnia, gdy słońce stało prawie w zenicie, historia powtórzyła się znowu. Tym razem stało się to w chwili, gdy dotarli do śladów starego traktu. Teraz rosły tu poskręcane drzewa i chaszczce, ale tu i ówdzie można było trafić na spore kawałki równego terenu, a wtedy Shaker mógł poruszać się nieco szybciej. Mały robot toczył się przodem na swoim trzykołowym podwoziu, gdy Ben poczuł skierowane na niego spojrzenie. I znowu trwało to najwyżej minutę. Następnego dnia około południa czekał - i nie zawiódł się. Przez krótki czas, który miał do dyspozycji, rozpoczął poszukiwania obserwatora w Mocy. I udało mu się. Ktokolwiek się mu przyglądał, robił to z wysoka. Ben zerknął w górę; przez bezlistne korony drzew prześwitywało niebo. Nie zobaczył jednak nic godnego uwagi, oprócz słońca przyćmionego warstwą chmur.

- Shaker, skieruj czujniki do góry - polecił.

Robot zaćwierkał potwierdzająco.

I znów uczucie minęło. Ben wyciągnął swój datapad.

- Widzisz coś?

„Wykryto słaby ślad silników jonowych” - zameldował robot.

- Ślady spalin jonowych, mówisz... takie, jakie zostawiłby za sobą myśliwiec TIE?

„Zgadza się”.

To oznaczało, że ktoś, kto zestrzelił wcześniej oba statki, śledził

ich. Ale dlaczego? No i w jaki sposób?

Ben spędził część popołudnia, sprawdzając każdy fragment wyposażenia zabranego z obozu Faskusa, szczególną uwagę poświęcając

urządzeniom elektronicznym. Nie znalazł żadnych tajemniczych nadajników.

Miał oczywiście datapad Faskusa, który - podobnie jak notes elektroniczny Bena - był wyposażony w nadajnik krótkiego zasięgu. Aby sprawdzić, czy urządzenie nie wysyła sygnałów naprowadzających, Ben musiałby trafić na moment transmisji. Oprogramowanie notatnika mogło pozwalać na emitowanie w dużych

odstępach czasu pojedynczych impulsów identyfikujących, więc Ben musiałby kazać Shakerowi nasłuchiwać na wszystkich

częstotliwościach komunikacyjnych fal dźwiękowych, żeby to wykryć.

Cóż, zamiast tego mógł po prostu wyjąć zasilanie z urządzenia,

wkładając je z powrotem wtedy, kiedy chciał zajrzeć do plików. Zrobił

to niezwłocznie i dopiero wtedy, niewiele mądrzejszy niż przedtem

ruszył przed siebie, wśród zasp śniegu i powykręcanych drzew.

**System gwiazdny MZX32905,
okolice planety Bimmiel**

Hologram wychudzonego Bothanina o brązowym futrze migotał

i zanikał. Lumiya udawała, że tego nie zauważa. Wybrała Dyura i jego załogę między innymi dlatego, że ich statek miał urządzenia komunikacji holograficznej, jednak najwyraźniej nie

były one zbyt wysokiej jakości.

- W samą porę - przemówiła, zmuszając się, żeby jej głos zabrzmiał

ciepło. - Jakie wieści?

- Faskus nie żyje - odpowiedział Dyur. - Chłopiec i robot kierują się prawdopodobnie w kierunku jednej ze starożytnych budowli. Jest pewien problem.

- Tak?

- Wygląda na to, że Faskus zabrał ze sobą dziecko, które ocalało.

Chłopak zabrał dziewczynkę ze sobą.

Lumiya opadła na oparcie fotela i namyślała się przez chwilę.

Sprawy nie układały się pomyślnie.

Rozkazy, które szczegółowo opracowała razem z Jacenem, nie precyzowały, co Ben powinien zrobić w takiej sytuacji.

Owszem,

uratowanie dziewczynki mogło początkowo dać mu poczucie satysfakcji,

ale z drugiej strony ochranianie jej musiało negatywnie wpłynąć na jego koncentrację i energię. To nie był sposób myślenia

kogoś, kto chce za wszelką cenę przetrwać. Nie był to sposób myślenia Sithów.

A chłopiec musiał o tym wiedzieć. Niestety, był zbyt podobny do swojego ojca.

A to oznaczało, że nigdy nie będzie dobrym materiałem na Sitha.

- Zabij ich - rozkazała.

- Zrobione.

- Uznam to za załatwione, kiedy zameldujesz mi, że już po wszystkim. Coś jeszcze?

- Nie, pani.

Lumiya przesunęła rękę poza zasięgiem wzroku Dyura i hologram zniknął.

Skrzywiła się lekko; na szczęście jej robot-służący nie mógł tego widzieć pod szalem zakrywającym jej twarz. Właśnie zleciła

zamordowanie syna Luke'a Skywalkera. Jeszcze jeden powód, żeby Luke ją zabił. Jeśli się o tym dowie.

Cóż, zapewne nigdy się tak nie stanie. Nawet gdyby do tego doszło, za wszystko odpowie Jacen. A on nie będzie przynajmniej

musiał się martwić uczniem o słabym umyśle i chwiejnym charakterze.

Ziost

Następnego dnia przed południem znaleźli pierwsze miejsce, oznaczone na mapie Faskusa jako „Ruiny”. Było to rumowisko

z ociosanych kamieni, które musiały tworzyć niegdyś ściany niewielkiej

twierdzy - zanim jakaś potężna siła nie rozwaliała jej na kawałki. Ben zauważył, że odkryte powierzchnie kamieni uległy

zwietrzeniu, jednak nie znalazł żadnych śladów - strzałów,

pęknięć, nadtopień - wskazujących na sposób zburzenia warowni.

Nie znalazł również wejścia do ruin. Ani za pośrednictwem Mocy, ani badając rumowisko, nie potrafił odszukać przejścia do

nienaruszonych pomieszczeń. Zawiodły też czujniki Shakera.

- Odpocznijmy i zjedzmy coś - zaproponował. - Shaker, przygotuj się do rejestracji obecności śladów spalin jonowych i prób nawiązania łączności.

Droid potwierdził melodyjnym świergotem. Niecałe dziesięć minut później, gdy Ben kończył właśnie zimną puszkę potrawy

z nerfa, Shaker zaświergotał ponownie, przekazując mu skomplikowaną serię informacji.

Ben wyciągnął swój datapad i przeczytał:

„Właśnie wysłałeś sygnał”.

Spochmurniał.

- Naprawdę?

„O długości krótszej niż jedna setna sekundy”.

- Czy był sygnał zwrotny?

„Nie”.

Ben zerknął na wyświetlacz czasu w rogu ekranu datapadu.

Dwie pozycje wskazywały czas lokalny i godzinę na Coruscant.

Według czasu miejscowego było nieco przed południem.

Czyżby zdradzał go jego własny datapad? A może jakaś inna część wyposażenia? Pospiesznie rozpakował oba plecaki, segregując

rzeczy na dwie sterty: to, co sprawdził już wcześniej,

i przedmioty, których nie sprawdził. Zabrał się do drugiego stosu,

szczegółowo badając każdy z jego składników.

Jutro spróbuje zbadać, czy to jego datapad stanowi urządzenie naprowadzające. Zakładając, że łączność nawiązywano o tej samej

porze każdego dnia, zostawi włączony datapad krótko przed południem i wraz z Shakerem odejdą parę metrów dalej. Jeśli datapad wyśle sygnał, robot będzie mógł określić, czy była to sprawka urządzenia, czy czegoś innego.

Ben metodycznie sprawdzał wszystkie przedmioty, a na koniec

wytrząsnął nad stosem sakwę odpiętą od pasa, aby upewnić się,

że nic w niej nie ma.

Coś jednak było. Nic nie wypadło, ale dno sakiewki dziwnie ciążyło w dłoni Bena. Wydawała się ważyć więcej, niż powinna.

Wywrócił ją na lewą stronę i znalazł urządzenie naprowadzające.

Wyglądało jak niewielka metalowa kulka, z pajęczymi odnóżami

wczepionymi w materiał sakwy, które przytrzymywały małego

intruza bezpiecznie w jednym miejscu. Nóżki miały jakieś sześć lub siedem centymetrów długości.

Ben wpatrywał się w kulkę osłupiałym wzrokiem. Kiedy to świństwo zdołało się do niego przyczepić? Wyglądało na to, że

mogło się samodzielnie poruszać - więc może wpełzło do jego kieszonki? Mogło do tego dojść w każdej chwili między ucieczką

ze Świątyni Jedi a przybyciem do obozu Faskusa. Przypomniał

sobie opinię matki o szpiegach wypełniających niepostrzeżenie

swoje misje i uśmiechnął się.

- Dobra robota, szpiegu - powiedział głośno.

W tej samej chwili wyczuł obserwujące go z nieba oczy.

Sprawdził swój datapad. Było dokładnie południe.

Tym razem uczucie, że jest obserwowany, nie zniknęło po minucie.

Stało się silniejsze i Ben wyczuł w nim coś jeszcze - jakiś ślad nikczemnej uciechy, pragnienie czynienia krzywdy.

Zerknął w górę. Wysoko na niebie widać było niewielki punkcik,

mniej więcej pośrodku chmury tłumiącej najjaskrawsze promienie

słoneczne.

- Shaker, schowaj się gdzieś, szybko! - zawołał.

Kiara, która bez większego entuzjazmu kończyła swoją puszkę

pikantnych kiełbasek, spojrzała w górę. Ostatnio nie odzywała się zbyt często. Teraz również nic nie powiedziała, ale podskoczyła,

gdy Ben dał susa w jej stronę.

Dokładnie w chwili gdy pierwsze strzały zwęgliły ziemię tuż obok nich. Salwy laserowe trafiły grunt u podstawy kamieni

parę metrów na prawo od Bena. Kiara krzyknęła przenikliwie.

Ben podniósł ją i odskoczył w lewo, w kierunku najbliższej linii

drzew, do której mieli jakieś sześćdziesiąt metrów.

Silniki TIE zajęczały, gdy myśliwiec przeleciał nisko nad nimi,

po czym rozpoczął pętlę, aby zawrócić do kolejnego bombardowania.

Ben widział go jako rozmytą czarną plamę. Zdołał zauważyć parę szczegółów, na przykład listwy obramowania paneli na powierzchniach skrzydeł w kolorze lśniącego brązu.

Zatrzymał się. Jeśli nadal będą próbowali dotrzeć do linii drzew, znajdą się na otwartej przestrzeni podczas następnego przelotu wrogiej maszyny. Zmienił więc kierunek i pociągnął dziewczynkę w stronę hałdy kamieni. Było to jedyne schronienie,

do którego mogli w miarę szybko dotrzeć.

Skoczył za skalny załom i wyjrzał na zewnątrz. Myśliwiec TIE

leciał nisko, najwyżej pięćdziesiąt metrów nad ziemią, i kierował

się prosto na nich. Shaker, podrygujący niezdarnie w pobliżu drogi, stanowił łatwy cel, ale pilot myśliwca najwyraźniej się nim

nie interesował.

Ben zanurkował z powrotem, w chwili gdy TIE wystrzelił. Kamienie

po jego prawej stronie zakołysały się i runęły do tyłu, lądując tuż przy nim, pchnięte olbrzymią energią laserów myśliwca. Z miejsc trafień unosił się czarny dym, któremu towarzyszył ostry śwąd.

Ben spojrzał w dół, na Kiarę. Tuliła się do ziemi, a raczej do kamienia, na którym leżała, z głową zadartą do góry i oczami przepełnionymi strachem.

Na chwilę Ben powędrował myślą w sto innych miejsc, kryjąc się razem z przerażonymi uciekinierami, podczas gdy eskadry myśliwców

TIE przelatywały z rykiem silników nad ich głowami.

A więc tak wyglądało Imperium? - przemknęło mu przez głowę.

Jacen twierdził, że podczas panowania Imperium znalazłoby się parę rzeczy godnych podziwu, chociażby metody, jakimi utrzymywano porządek... ale teraz Ben wiedział już, jak wyglądał

ten porządek z innej pozycji.

Potrząsnął głową, żeby odegnąć wizję i popatrzył w górę. Zobaczył,

że myśliwiec zbliża się w kolejnej rundzie. Rozejrzał się za blasterowym pistoletem Faskusa.

Broń leżała nadal na ziemi, tam, gdzie rzucił ją przeglądając swój dobytek. Stłumił cisnące mu się na usta przekleństwo i sięgnął po pistolet za pośrednictwem Mocy. Z takiej odległości

nigdy nie udało mu się przywołać własnego miecza świetlnego

ani żadnego innego przedmiotu, blaster jednak od razu pofrunął

do jego dłoni. Ben chwycił go i wycelował... ale zaraz pokręcił

z rezygnacją głową. Pistolet blasterowy przeciwko uzbrojonemu

myśliwcowi? Nie miał żadnych szans, żeby zrobić przeciwnikowi

krzywdę. Potrzebował większej broni.

Potrzebował Mocy. Był Jedi, nawet jeśli na razie tylko uczniem,

a Moc była jego sprzymierzeńcem, chroniła go.

Rozejrzał się wokół, szukając jakiegoś pocisku; uświadomił sobie,

że jest nimi otoczony. Zamknął oczy i skoncentrował się, podobnie

jak ostatnio, kiedy uwolnił Shakera z gniazda Y-winga.

Usłyszał zdziwione westchnienie Kiary, kiedy głaz, który dopiero

co upadł, uniósł się parę centymetrów w powietrze.

Nadlatywał myśliwiec TIE. Ben wyczuwał nie tyle maszynę,

ile pilota w samym sercu kulistej kabiny. Skoncentrował się kolejno

na kamieniu i na istocie wewnątrz maszyny... i spróbował sprawić, aby zbliżyli się ku sobie.

Potężny kawał skały powoli ustawił się na torze podejścia myśliwca.

Ben usłyszał wycie laserów i otworzył oczy w samą porę, żeby ujrzeć, jak jeden z zielonych boltów trafia w ścianę po jego

lewej stronie, kolejny zaś - w sam środek kamienia, roztrzaskując

go na tysiąc odłamków.

Myśliwiec zawrócił, ale nie udało mu się uniknąć chmury szczątków. Ben słyszał głucho bębnienie kawałków głazu o lewy

panel słoneczny.

Myśliwiec nagle nabrawł wysokości, zatoczył jeszcze jeden krąg, wspiął się w niebo i zniknął im z oczu.

Ben spojrzał na Kiarę.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją. - Zły człowiek zniknął.

W jej oczach nadal był strach.

- To znaczy, nie na zawsze - sprostował. Nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć, aby mu uwierzyła. Schylił się i objął dziewczynkę, czując, jak cała drży. - Już dobrze. Wszystko w porządku.

- On wróci? - zapytała stłumionym głosem.

- Tak, pewnie tak. Ale następnym razem będziemy gotowi.

- Czemu on chce mnie zastrzelić?

- Ciebie? - Ben cofnął się na odległość ramienia. - On nie chce zastrzelić ciebie. Chce zastrzelić mnie.

Pokręciła z powagą główką.

- Nie. Strzela! do „Czarnego Kła”, kiedy byłam w środku

i tata zosta! ranny. Powiedział, że chcieli zastrzelić jego, ale teraz

chcą zastrzelić mnie. Chcą, żebym nie żyła.

- Nie, wcale tego nie chcą.

- Ale ty chciałeś. - Jej głos nie brzmiał nawet oskarżycielsko, był w nim jedynie smutek.

- Nie, nie chciałem. Ja tylko... - Ben przerwał, próbując dobrać odpowiednie słowa. - Mam do wypełnienia ważną misję i pomyślałem, że muszę cię zostawić, żeby mi się udało... nawet

gdybyś miała umrzeć.

- Zmieniłeś zdanie?

- Tak. Nie miałem racji.

Nagle Ben poczuł, że kręci mu się w głowie. Usiadł na kamieniu

obok Kiary.

- Co się stało? - zapytała go.

Nie potrafił jej odpowiedzieć, chociaż domyślał się, co było przyczyną. Teraz wiedział, że odruchowo chciał postąpić tak, jak zachowałby się Jacen. Tak samo jak on zdecydował, że jedna

rzecz jest ważniejsza od innej, dążenie do celu ważniejsze niż poświęcenie czyjegoś życia. I był gotów poświęcić to życie, nie

myśląc nawet o próbie pogodzenia obydwu spraw.

Mylił się. Może Jacen też bywał czasem w błędzie...

Ben pokręcił głową. Niemożliwe. Jacen był ponad dwa razy starszy od niego. Starszy, mądrzejszy, potężniejszy. Nigdy nie popełniłby takiego błędu.

Dopóki był człowiekiem.

Pytający świergot Shakera wytrącił Bena z zamyślenia.

- Nic nam nie jest - odkrzyknął. - Zaraz do ciebie dołączymy.

Orbita Ziost,

„Cmentarne Spotkanie”

Dyur spojrział na postać w kasku widniejącą na wyświetlaczu i parsknął śmiechem.

- Co takiego? - zapytał, nie wierząc własnym uszom.

Osoba, do której się zwracał - mężczyzna w brązowym kombinezonie

pilota myśliwca TIE - była wyraźnie zakłopotana.

- Rzucił we mnie kamieniem.

- A ty podkuliłeś ogon i zawróciłeś?

- To nie tak, kapitanie. Użył sztuczek Jedi, żeby cisnąć we mnie ćwierćtonowy kawał skały. Gdybym nie rozbił jej na kupę

gruzu, ściągnąłby mnie na dół.

- Cóż, to zmienia postać rzeczy.

- Jakie są rozkazy, sir?

Głos Dyura zabrzmiał groźnie, jak głos każdego Bothanina w trudnych sytuacjach. Efekt faktycznie mroził krew w żyłach.

- Keldan, powinieneś natychmiast wrócić i go wykończyć.

Bez wahania, bez zadawania pytań. Tym razem nie dostaniesz kolejnej szansy. Proszę o niezwłoczny raport. Myra'tur wyląduje

jutro o zwykłej porze i dokończy robotę.

Głos pilota wydawał się jednocześnie urażony i skruszony.

- Tak jest, sir.

- Nie nagradzamy tu wpadek, Keldan. „Spotkanie”, bez odbioru.

System Gyndine, stacja naprawcza Tendrando, sterownia „Sokoła Millenium”

Han zakończył procedury startowe.

Stwierdził, że pracownicy Landa odwalili kawał dobrej roboty.

Wszystkie sprawdzone systemy funkcjonowały sprawnie - ma się rozumieć, poza pojedynczymi mankamentami kapryśnych systemów statku. Skuteczność komunikacji między nimi wahała się od zadziwiająco płynnej do katastroficznie niskiej, zupełnie jak między trojgiem Jedi, którzy tworzyli śmiertelnie skuteczny szyk bojowy, by za chwilę zachowywać się jak skłócone dzieci w piaskownicy.

Han zgiął na próbę swoje lewe ramię. Wydawało się w porządku.

Był zdrowy. Niby wszystko jak trzeba, ale nic nie zostało jeszcze przetestowane.

Posłał krzywy uśmiech Leii, siedzącej w fotelu drugiego pilota.

- Gotowa na wycieczkę, skarbie?

Kończyła właśnie zapinanie sieci bezpieczeństwa.

- Gotowa.

- Lando?

- Tak mi się wydaje. - Calrissian zajmował z tyłu stanowisko nawigatora. - Szkoda, że nie będę mógł ci rozkazywać.

- Leia, przypomnij mi, żebym wyposażył fotel nawigatora w opcję katapultowania.

- Nie zapytał pan o zdanie mnie! - C-3PO, stojący w przejściu do sterowni, wydawał się głęboko urażony.

- To dlatego, że zaraz zamierzam wcisnąć gaz do dechy i słuchać,

jak się turlasz po pokładzie. - Han podniósł „Sokoła” na repulsorach

i posłał go lotem ślizgowym w stronę wylotu z hangaru naprawczego. - Co nastąpi za jakieś pięć sekund.

- O jejku! Chyba powinienem znaleźć sobie miejsce!
- Dwie sekundy... - przelecieli przez pole utrzymujące atmosferę
w hangarze i weszli w rozświetloną gwiazdami przestrzeń.
Han przechylił statek, mając gwiazdy po prawej, nocną stronę Gyndine po lewej stronie. Mimo wcześniejszych pogroźek powoli i gładko nabierał wysokości.
Silniki brzmiały jeszcze bardziej melodyjnie niż przed chwilą. Han uśmiechnął się szeroko i eksperymentalnie zwiększył moc, podrywając transportowiec jeszcze wyżej.
- Nieźle, Lando - pochwalił.
- Jedną z zalet bycia bogatym. Możesz sobie pozwolić na wszystko, co najlepsze.
Słońce Gyndine pojawiło się w zasięgu ich wzroku, nieprzysłonięte już przez planetę, i panele widokowe sterowni spolaryzowały się gwałtownie. Sensory ukazywały na niskiej orbicie główne skupisko stoczni - dużo mniejsze niż te w okolicy Kuat czy Korelii, ale i tak całkiem okazałe.
Przelatywali właśnie nad stoczniami, gdy czujniki zasygnalizowały pojawienie się sił wroga.
W momencie gdy nieprzyjaciel znalazł się bezpośrednio na ich trajektorii lotu, na pokładzie „Sokoła” zawyły alarmy. Han skrzył drążek sterowniczy do tyłu w gwałtownym manewrze, który wcisnął całą załogę w siedzenia, a sam schował głowę w ramiona, słysząc, jak coś szoruje po spodzie „Sokoła”.

- Pola, zawadziliśmy polami - mruknęła Leia.

Ich nowy kurs nie było wiele lepszy. „Sokół” przemknął przez eskadrę myśliwców, zbyt szybko, aby Han zdołał zauważyć cokolwiek

poza tym, że coś wyminęli.

- Włączyć pola! - zawołał. - Co do jasnej plamy się dzieje?!

Leia była nadal spokojna.

- Zgodnie ze wskazaniami sensorów, to był bothański krążownik

szturmowy i sześć eskadr wyjcobiegaczy.

Eskadra, przez którą przeleciał Han, właśnie zawracała. Okręt, bez wątpienia zaskoczony obecnością „Sokoła” w tym miejscu,

przymierzał się wyraźnie do ostrzału z turbolaserów. Han posłał

swój statek w przyprawiający o zawrót głowy manewr wymijający.

- Kochanie... i ty, Lando, muszę was prosić...

Leia odpięła sieć.

- Jasne, zestrzelimy dla ciebie te niedobre futrzaki - powiedziała

i wraz z Landem ruszyli w stronę wieżyczek.

Pierwsze strzały ze ścigających ich wyjcobiegaczy trafiły w tylne pola. Han wydał pomruk niezadowolenia. Latał pięknie

odnowionym „Sokołem” niecałe dziesięć minut, zanim ktoś spróbował ponownie go pokiereszować.

- Threepio! - krzyknął. - Chodź tu, będziesz obsługiwał panel sensorów i łączności!

- Tak jest, kapitanie Solo. - Robot protokolarny chwiał się gwałtownie w przód i w tył. Akrobacje Hana o mało nie zbiły go

z nóg, ledwie zdołał wśliznąć się na siedzenie zwolnione przez

Leię. Niezwykle ostrożnie zapiął sieć.

- Jeśli mogę spytać, proszę pana...

- Nie możesz. - Han obrócił statek o dziewięćdziesiąt stopni na prawą burtę i naprowadził go na kurs oddalający od powierzchni planety. Nitki laserowych strzałów ścigających ich

statków otaczały „Sokoła”, chybiając o metry. Teraz jednak kapitan

Solo słyszał, że jego działka również posyła salwy w stronę atakującej floty.

- ...co się dzieje, proszę pana?

- Bothanie wysłali kilka oddziałów, aby zniszczyć lub przejąć stocznice - odpowiedział Han. - Musieli skakać prosto na Gyndine,

na pewno pozwolili grawitacji planety wyciągnąć się z nadprzestrzeni.

Dlatego pojawili się tak blisko.

- Nasi prześladowcy są w sile dziesięciu... nie, dziewięciu jednostek. Ktoś zdaje się został trafiony, a jeden kieruje się w inną stronę.

- Dobry strzał! - uszu Hana dobiegł krzyk Landa. Uśmiechnął się szeroko. Cała Leia - zawsze strzelała do tych, którzy chcieli

przysporzyć mu zmartwień.

- Ma pan wiadomość - dodał C-3PO.

- Z bothańskiego statku? Z żądaniem poddania się?

- Cóż... niekoniecznie. Pochodzi od kapitan Uran Lavint.

Han skrzywił się. Jacen nie miał bezpośredniej łączności z rodzicami, więc przez Winter Celchu i Iellę Antilles przekazał

im ostatnio informację, że Lavint pragnęła się z nimi skontaktować.

Han słyszał o tej zręczliwej, starej przemytniczce z Sektora Wspólnego, ale nigdy jej nie spotkał osobiście.

- Powiedz jej, że nie mogę teraz rozmawiać.

- Och, to nie jest transmisja na żywo. Nagranie. Zachowałem je w komputerze „Sokoła” i we własnej pamięci. Uważam, że nadmierna ostrożność bywa czasem bardzo wskazana.

- Niesamowite - nieco zbyt późno wpadło Hanowi do głowy.

- Skontaktuj się z personelem stacji naprawczej i przekaz im, żeby dokonali ewakuacji. Niech wskakują w najbliższe kapsuły

ratunkowe i spadają w kierunku powierzchni planety.

- Już to zrobiłem. Pan Lando przekazał mi te instrukcje przez interkom statku. Aha, pościg zmalał do liczby siedmiu statków.

Jeśli dobrze liczę, jeden został uszkodzony, dwa zniszczone.

Han posłał „Sokoła” w kolejną serię uników i dzikich manewrów.

Salw kierowanych w jego tylne pola było wyraźnie mniej, ale widział, jak głowa C-3PO podskakuje na metalowej szyi raz

za razem, akcentując trafienia z laserów.

- Proszę pana! Pan Lando sugeruje zachowanie nieco większej stabilności!

- Nie może być!

- Cóż, tak właśnie zinterpretowałem jego dość kwiecistą wypowiedź...

Sześciu ścigających. Dwóch uszkodzonych, dwóch zniszczonych. Mm., mówię, że... Uciekają!

Han zerknął na wyświetlacz czujników. Robot miał rację: pozostała

połowa eskadry wyjebiegaczy wycofywała się, zawracając w kierunku planety.

- Nie jesteśmy ich celem - powiedział. - Ale skoro uciekliśmy,

gdy się pojawili, to oczywiście zaczęli nas gonić. Dopóki ich dowódca nie stwierdził, że to strata czasu, i odpuścił. Leia! Chodź ustawić kurs. Wynośmy się stąd.

Głos Leii brzmiał przesadnie słodko.

- Przynieść ci również butelkę zimnego piwa? A może kapcie? Han skrzywił się.

- Niekoniecznie.

Chwilę później byli w nadprzestrzeni, Han zaś sprawdzał wiadomość,

którą przesłała mu Lavint. Wyświetlił ją na dużym ekranie, tak aby wszyscy mogli widzieć.

Wydawało się, że została nagrana na taniej holokamerze kieszonkowej.

Obraz poranej bruzdami twarzy kobiety w takim powiększeniu był pokryty widocznymi pikselami.

- Witajcie - odezwała się. - Przesyłając tę wiadomość, robię wam przysługę i mam nadzieję, że w odpowiedni sposób się odwdzięczycie.

- Typowe wyrachowanie przemytnika - szepnęła Leia.

- Znajduję się na pokładzie „Błędnego Rycerza”. Jest tu ze mną ktoś jeszcze. Twi'lekanka o imieniu Alema Rar.

Han zerknął na Leię. Jej rysy stwardniały.

- Podejrzewam, że coś dla was szykuje, i nie jest to nic miłego.

Dlatego postanowiłam się z wami skontaktować. Mogę się założyć, że mnie również zabije, gdy już nie będę jej potrzebna.

Liczę na to, że to wy dopadniecie jej pierwsi. Kobieta, o której mówię, twierdzi, że jest Jedi - gdyby byłoby inaczej, spróbowałabym

sama się jej pozbyć... jednak z tego, co wiem, zadzieranie z Jedi nie kończy się zwykle niczym dobrym. Mam do was prośbę. Chodzą słuchy, że w najbliższym czasie ma się odbyć

spotkanie ważnych osobistości Konfederacji. Muszę koniecznie umożliwić pewnej osobie uczestnictwo w nim. Nie wiem, jakie

są wasze sympatie, i nie obchodzi mnie to, ale nie zamierzam zrobić niczego, żeby przeszkodzić w spotkaniu. Dysponujecie najlepszymi źródłami informacji, więc gdybyście mogli dać mi

znać, gdzie i kiedy, byłabym wdzięczna. Proszę, usuńcie tę wiadomość,

gdy ją odtworzycie. Kilka osób zabiłoby mnie, gdyby wiedziały, że ją wysłałam.

Wiadomość zakończyła się i ekran na powrót pociemniał.

- Hm... nieźle - podsumował Han. Spojrzał na swoją żonę.

- Co o tym sądzisz?

- Trudno stwierdzić cokolwiek po takim kiepskim nagraniu

- odparła Leia. - Musiałabym porozmawiać z nią osobiście, żeby

wyczuć, czy mówi prawdę. Ale to i tak wiele wyjaśnia, między

innymi obecność, którą czułam na pokładzie „Błędnego Rycerza”.

Po naszej ostatniej rozmowie z Lukiem zastanawiałam się, czy to mogła być Alema... lub Lumiya.

Han przytaknął.

- Wracajmy na „Błędnego Rycerza” - zaproponował.

- Nie pytacie mnie o zdanie? - odezwał się Lando z pretensją w głosie.

Han westchnął.

- Lando, czy powinniśmy wrócić na największe latające centrum

rozrywkowe i hazardowe galaktyki?

- Co to za głupie pytanie!

ROZDZIAŁ 18

Ziost

Ben śnił o czerwonych oczach pojawiających się wokół ogniska.

Sen był tak realistyczny, że chłopiec obudził się dopiero w połowie zadawania ciosu. Odruchowo wierzgnął.

Jego kopniak trafił w coś twardego i ciepłego, co posłał w powietrze.

Sam Ben wylądował z daleka od posłania.

Shaker świergotał niespokojnie. Ben widział światełka na korpusie

droida, lśniące w półmroku przygasającego ogniska, i nic więcej. Wokół panowała ciemność. Chwycił swój miecz świetlny

i włączył go, oblewając otoczenie miękkim, błękitnym światłem.

Kiara leżała zawinięta w koce. Właśnie się obudziła, a jej oczy stawały się coraz szersze. Dwa metry dalej, między nią a pobliskim

drzewem, jakieś zwierzę podnosiło się na tylne łapy i szykowało

do ponownego ataku.

Miało szeroką pierś i cztery grube kończyny, zakończone trójpalczastymi

łapami. Jego szyję chroniło coś w rodzaju płyty lub grzebienia kostnego, otaczając ją niczym kołnierz, a głowa była

zakończona długą paszczą pełną spiczastych kłów. Przypominało

stworzenie z hologramów przedstawiających neki, ale na jego

ciele nie było widać żadnych wszczepów cybernetycznych.
Całe

było pokryte krótkim szarym futrem, ale wcale nie wyglądało
jak

pluszowa maskotka.

Zwierzę przysiadło na tylnych łapach i zawarczało. Jego głos
odbił się wielokrotnym echem dobiegającym spoza kręgu
światła

rzucanego przez miecz świetlny.

Kiara odruchowo odwróciła się w stronę, z której dobiegł
warkot.

Stworzenie zauważyło ruch i zamiast skoczyć na Bena,
skoczyło

na nią.

Ben rzucił się do przodu, jednak ruchy miał spowolnione
przez

resztki snu i wyczerpanie. Nie zdołał dotrzeć do dziecka dość
szybko.

Tymczasem ramię Shakera, zakończone spawarką, dosięgło
szyi neka. Nastąpił krótki błysk i bestia zawyla boleśnie.

Odwróciła

się i wgrzyła w wyciągnięty chwytak z kłapnięciem szczęki.

Ale Ben już był na miejscu. Zdecydowanym ciosem ciął przez
kołnierz i szyję zwierzęcia. Ostrze zagłębiło się w ciełe na tyle
głęboko, żeby przeciąć kręgosłup. Bestia padła w
spazmatycznych

drgawkach, ale w pobliżu z pewnością było więcej takich
stworzeń. Ben słyszał, jak krążą w mroku, skamląc i wydając
ciche, groźne pomruki.

Rozmawiały ze sobą.

Ben, już całkiem przytomny, wiedział, że musi działać.

Sięgnął poprzez Moc, szukając swoich wrogów. Znalazł ich,

całą szóstkę, otaczających obozowisko. Wyczuł, że czekają tylko

na chwilę jego nieuwagi, licząc na to, że zgasi miecz świetlny. Wiedziały już, że niebezpiecznie jest zbliżyć się do błękitnego światła.

Ben uśmiechnął się drapieżnie, jakby chciał powiedzieć: „Jeszcze

mnie nie znacie". Lewą dłoń wyciągnął blaster Faskusa.

Celując za pośrednictwem Mocy, wypalił.

Z ciemności rozległ się skowyt bólu. Ben usłyszał, ale i wyczuł

poprzez Moc, jak zraniony nek ucieka w głębszy mrok.

Wybrał kolejny cel, nie starając się nawet patrzeć w tamtym kierunku, i wystrzelił ponownie. Skutek był podobny: ranił następnego

potwora.

Reszta wycofała się i znikła w otaczającym ich lesie. W obozowisku

zapanowała względna cisza. Słysząc tylko buczenie klingi miecza świetlnego. Ben zadrżał; znów odczuwał dojmujący chłód.

- Poszły sobie? - zapytała Kiara.

Ben schował blaster do kabury, wyciągnął pręt jarzeniowy z sakwy i zapalił go, wyłączając jednocześnie miecz świetlny.

- Tak. Ale resztę nocy spędzimy na drzewie. Tam wysoko będziemy

bezpieczni. - Spojrzał na Shakera. Robot schował kikut chwytaka i zamknął płytę schowka. Resztki elektrycznej spawarki

wały się żałośnie na śniegu.

- Przykro mi, mały - powiedział Ben. - Bardzo nam pomogłeś.

Shaker ćwierknął z zadowoleniem.

Parę minut później, gdy siedzieli już bezpiecznie na drzewie - chyba wystarczająco wysoko, żeby neki ich nie dosięgły - Ben

znow postanowił przemyśleć pewne kwestie.

Powinien być przygotowany na atak bestii, ale zaskoczyły go pogrążonego w głębokim śnie. Czuł się coraz bardziej wyczerpany,

a przecież powinien mieć lekki sen, jak przystało na czujnego Jedi i Strażnika Sojuszu.

W dodatku miewał sny.

Głosy, które słyszał dokoła w tych snach, w końcu poznały jego imię.

- Ben, Ben, Ben, Ben... - zawodziły tak głośno, że trudno by było ich nie usłyszeć.

A kiedy głosy zorientowały się, że Ben słucha, nauczyły się mówić różne rzeczy.

- Chron dziewczynkę - szeptały. - Chron dziewczynkę.

To dziwne, że w takim miejscu, słynącym wśród Jedi jako siedlisko zła, widmowe głosy przekazywały taki pozytywny komunikat.

Czy to z troski o dziecko?

A może głosy wiedziały, że takiego przesłania Ben na pewno posłucha?

Z tą myślą zasnął, a głosy powróciły.

- Ben... Ben...

System Coruscant,

„Błędny Rycerz”

Tym razem dyskusja wniosła coś nowego. Wedge uznał to za interesujące. W końcu każdemu z ich grupy przyświecał inny cel,

a jednak doszli do wspólnych wniosków.

- Lando i ja skorzystaliśmy, egzekwując stare długi - mówił

Han. - Czasem bardzo stare. No i okazało się, że kapitan Lavint

ma rację. Spotkanie przedstawicieli Konfederacji naprawdę ma

się odbyć. I to nie tylko po to, żeby wybrać głównodowodzącego

siłami militarnymi. Wszystko wskazuje na to, że w punkcie wyborów

gromadzą flotę, stamtąd zaś nowy wódz ma poprowadzić atak.

Nikt jednak nie wie, gdzie i przeciwko komu ma być skierowany

- Stocznie! - powiedzieli jednocześnie Wedge i Jag i spojrzeli po sobie.

- Kuat, Coruscant... - zaczął wyliczać Wedge.

- ...Sluis Van, Thyferra...nieważne gdzie, byle stocznie - dokończył

Jag.

Zekk zmarszczył brwi.

- Dlaczego jesteście tacy pewni?

Wedge zauważył, że Zekk marszczył brwi za każdym razem, gdy odzywał się Jag, Jag zaś krzywił się, gdy tylko Zekk miał coś

do powiedzenia.

- Przyjrzyj się celom ostatnich ataków światów Konfederacji

- zaproponował Wedge. - Przeważnie napadali na planety zajmujące się budową statków. Najwyraźniej chcą uszczuplić możliwości Sojuszu w zakresie produkcji i naprawy okrętów.

W ten sposób zamierzają wyrównać szanse. Mają mniej planet,

ale większą flotę...

- Co może wskazywać na to - wszedł mu w słowo Jag - że mają jasno sformułowaną taktykę. Zastanawiam się, po co im

w ogóle naczelny dowódca sił zbrojnych, skoro idzie im tak dobrze?

- Współpraca bez dowódcy, który ma powszechne poparcie, może nie potrwać zbyt długo - zauważyła Leia. - Możemy teraz

wrócić do sprawy Alemy?

Wedge uśmiechnął się.

- Wybacz. Naturalnie.

Jaina odwróciła swój wyświetlacz na białe, żeby wszyscy mieli dobry widok. Na ekranie widniał plan pokładu niszczyciela gwiazdowego.

- Zdobyliśmy nagrania ochrony „Błędnego Rycerza” z paru ostatnich dni. Booster spowodował, że komputer statku nadał analizie najwyższy priorytet. Przekazał nam też dokładniejsze plany pokładu, żebyśmy mogli dokonać porównania. Możemy potwierdzić wszystkie ruchy Alemy. - Jaina postukała w ekran,

wywołując kolejne poziomy. - Na przykład spójrzcie tutaj. Kasyna

i sklepy. Mamy tu dużo śladów. Pewnie szukała czegoś i nie znalazła. - Ponownie stuknęła w monitor. - To kasyna, gdzie też spędziła trochę czasu. Nie sądzę, żeby była hazardzistką

albo żeby chciała prowadzić życie towarzyskie. Podczas odwiedzin Alemy holokamery zawsze rejestrowały również obecność Lavint, więc sądzę, że chciała mieć po prostu swoją partnerkę na oku.

Kolejne stuknięcie i na ekranie pojawiły się plany niewielkiej prywatnej kabiny. Na tym obszarze widniała jasna plama i linie

prowadzące z pomieszczenia we wszystkich kierunkach.

- Przedział Lavint - wyjaśniła Jaina. - Nic nadzwyczajnego.

Ale tu mamy coś, co może nas interesować.

Przełączyła widok na schemat części statku oddalanej od apartamentów,

z których korzystali pasażerowie.

- Tuż przed bothańsko-koreliańskim przełamaniem blokady Alema zaczęła wędrówki w rejony kajut załogi statku.

Mirax, dotychczas milcząca, podniosła się i podeszła do monitora.

- Mostek, przedziały techniczne... a to? Kwatera mojego ojca? I moja kwatera! Była w moim pokoju?

Zasadniczym tonem agenta wywiadu Corran zapytał:

- Czy zauważyłaś jakieś poszlaki świadczące o tym, że ktoś używał twoich kosmetyków lub przymierzał twoje ubrania?

Mirax spiorunowała męża wzrokiem, w którym nie było rozbawienia.

- To znaczy kto? Ktoś inny niż ty?

- Dobrze, dobrze. - Corran podniósł ręce do góry. - Poddaję się.

- To nie jest wcale zabawne, Corran. - Mirax wróciła na swoje miejsce i usiadła, wyraźnie wzburzona.

Jaina podchwyciła wzrok Leii.

- Mamo, niewykluczone że wracając w odpowiedniej chwili, ocaliłaś Boosterowi życie. Kiedy Alema przestała wyczuwać twoją obecność, pewnie pomyślała o dotarciu do ciebie poprzez

tatę, a jednocześnie przez sieć przemytników. Booster zaś wydaje

się tu oczywistym celem.

- Cóż, upewnijmy się, że nie wykorzysta kolejnej szansy - skwitowała Leia. - Musimy ją znaleźć i wyeliminować raz na zawsze.

To będzie łatwe, jeśli zechce współpracować, w co raczej wątpię. A to oznacza konieczność udziału Jedi.

Han spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Nie zamierzam tu zostać, podczas gdy ty...

Spojrzała na niego ostro, dając do zrozumienia, że nie zamierza

z nim dyskutować.

- A powinieneś. Alema jest Jedi o instynktach zabójcy. Jakie szkolenie przeszedłeś, aby móc sprostać takiej kombinacji?

- Nie potrzebuję szkolenia, wystarczą mi własne odruchy

- odciął się Han.

Wedge dotknął jego ramienia.

- Han, ona ma rację. Ty i ja będziemy dużo bardziej przydatni, prowadząc obserwację za pośrednictwem holokamer. Możemy wykryć pułapki i zasadzki... ostrzec o jej potencjalnych współnikach...

- Cóż... - zawahał się Han. W tym momencie dotarł do niego fragment rozmowy Jaga i Jainy:

- ...potrzebuję jakichś pięciu minut, żeby zabrać z mojego X-winga trochę sprzętu.

- Hej! - wszedł im w słowo. - Jeśli ja nie idę, on też zostaje.

Jag odpowiedział spokojnie i rozsądnie:

- Przygotowywałem się do tego przez całe lata. To moja misja.

- Jag ma rację, tato. - Jaina podeszła do Hana, pochyliła się i pocałowała go w czoło. - Proszę.

Han jęknął cicho - i ustąpił.

Alema drżała z podniecenia. Zaledwie pół godziny temu wyczuła

w Mocy obecność Leii. Prawdopodobnie była znów na pokładzie

„Rycerza”.

- Miałaś rację - powiedziała do Lavint. Włożyła swoją czarną pelerynę z kapturem i jedyną sprawną ręką obszukała jej zakamarki,

żeby się upewnić, że ma przy sobie całą broń u wszystkie

narzędzia.

- Jak zwykle - burknęła Lavint. Wstała z łóżka, podeszła do płytkiego schowka i wybrała sobie strój: stylizowaną piracką marynarkę

z syntjedwabiu w kolorze purpury, ozdobioną ogromnymi złotymi guzikami.

- Chyba pójde się trochę rozerwać, podczas gdy ty będziesz zabijać ludzi. Hej, umowa nadal jest umową, zgadza się?

Masz

na oku oboje Solo, a ja wypełniłam warunki układu.

- Nie inaczej - zapewniła ją Alema.

Prawda była oczywiście nieco bardziej złożona. Jeśli Alema znajdzie Hana, ale nie uda się jej go zabić, może będzie musiała

pozbyć się Lavint, żeby uniknąć schwywania pani kapitan przez

Solo. Lavint wiedziała za dużo o działaniach Alemy. Jeśli jednak

Han umrze, wiedza Lavint nie będzie już miała znaczenia, więc

będzie mogła pozwolić jej odejść.

Oczywiście, Lavint doskonale zdawała sobie sprawę.

Ziost

- Ben... ocal dziewczynkę. Ben... chroń dziewczynkę.

- Muszę ją zabrać z tej planety - wymamrotał Ben przez sen.

- Potrzebuję statku.

- Statek! Ben, statek. Nauczyć się statek. Ben nauczyć się statek!

- Wiem, jak się pilotuje statki - zaprotestował Ben. Walczył z władzą, jaką miał nad nim sen, a przy tym coś przypominało mu cały czas, że nie powinien się poruszać. Jeśli się poruszy, wtedy... co? Spadnie.

- Nauczyć się statek - mówił głos niezwykle stanowczo

i w umyśle Bena pojawił się obraz kulistego statku.

Dziwaczny pojazd był najwyraźniej organicznego pochodzenia;

chropowata faktura powierzchni mieniła się odcieniami czerwieni.

Pośrodku kuli znajdował się przezroczysty właz czy też osłona.

Czerwone maszty sterczały ze statku na wszystkie strony.

Chyba miały konstrukcję przegubową, jak odnóża owadów.

Pojazd

jednak nie był żywy w normalnym znaczeniu tego słowa, a przynajmniej nie w taki sposób, jak statki Yuuzhan Vongów.

Ben czuł, że to maszyna, ale maszyna świadoma, która oczekiwała

na niego.

Obudziły go promienie słońca, przesiane przez gałęzie drzew.

Świeciły mu prosto w twarz. Ben nagle poczuł pewność, że wie,

gdzie znajduje się czerwony statek. Czy raczej wie, gdzie się kierować,

żeby go znaleźć. Był bez wątpienia prawdziwy.

Tym razem myśliwiec TIE nie odnalazł ich w południe. Stało się tak, ponieważ Ben zdemontował pająkowate urządzenie naprowadzające. I dobrze zrobił. Odczekali jakiś czas przed południem

i po południu. Cała trójka odpoczywała w niewielkim wąwozie, gdzie trudniej byłoby wykryć ich ślady w podczerwieni,

chyba żeby ustawiło się czujniki pionowo z góry na dół. Ben wyczuwał dziś oko na niebie, ale tym razem było odległe i nie zbliżało się do nich.

W razie konieczności mógł zmontować antenę z powrotem.

Tego dnia nic nie zakłóciło ich spokoju, ale to nie znaczy, że nie mieli kłopotów.

Zaczynało im się kończyć pożywienie. Zostały dwie puszki konserw, które muszą im wystarczyć nie wiadomo na jak długo.

Ben z radością zjadłby obie naraz i nadal byłby pewnie głodny.

Z dostępem do wody nie mieli problemu. Wystarczyło napęścić

śniegiem menażkę Faskusa i nosić ją blisko ciała, dopóki zawartość

się nie rozpuściła - co było raczej nieprzyjemne, ale proste.

Czasem przechodzili przez zamrożony strumień; wtedy Ben używał swojego miecza świetlnego, żeby przeciąć lód i zapewnić

im dostęp do świeżej wody.

Czasami zastanawiał się nad składem śniegu i wody na tej dziwnej planecie. Widywali od czasu do czasu ptakopodobne stworzenia, o błoniastych skrzydłach, często przedziwnie zmutowane

- miały jedną nogę grubszą albo zdeformowany dziób. Czy było możliwe, że jakiś składnik w wodzie działał w ten sposób?

Ben miał nadzieję, że nie.

Co gorsza, był pewien, że neki podążały za nimi. Trzymały się z dala, ale wyczuwał, że śledzą jego i Kiarę - to z lewej, to z prawej, cały czas blisko.

Byli dla neków mięsem, Ben wiedział to doskonale. I nie podobała

mu się zbytnio perspektywa zostania posiłkiem. Miał nadzieję, że starczy mu sił, żeby ich obronić, gdy przyjdzie co do czego.

System Coruscant,

„Błędny Rycerz”

W jednym z obszernych pomieszczeń statku, gdzie światła świeciły jasno, a goście kręcili się z dala od rozmaitych drogich

atrakcji oferowanych przez kasyna i sklepy, za to w pobliżu innych

drogich atrakcji oferowanych przez pobliskie bary, Alema spędziła parę minut w recepcji, przeglądając listy pasażerów, którzy

ostatnio wylądowali na pokładzie statku.

Oczywiście, nie każdy, kto przybywał na „Błędnego Rycerza”, wyrażał zgodę na umieszczenie na takiej liście. Jednak przeważnie

nie mieli nic przeciwko temu, bo automatyczny kod wyszukiwania

mógł odnaleźć ich nazwiska i poinformować przyjaciół o ich przybyciu.

Przejrzała parę setek nazwisk, nie rozpoznając żadnego z nich, kiedy wyczuła zawirowanie w Mocy.

Po chwili sygnał się wzmocnił. Alema spojrzała w stronę, z której dochodził.

Do sali wkraczał właśnie mężczyzna - niezwykle wysoki, o jasnej cerze, z długimi czarnymi włosami związanymi w kucyk.

Był ubrany po cywilnemu - w czarne spodnie i buty, ciemnoniebieską

bluzę z żółtymi pasami na piersi, czarną kamizelkę oraz takiego samego koloru pas.

Alema poznała go od razu. Był kiedyś Dwumyślnym i należał do gniazda Killików. Nazywał się Zekk.

Jednak to, jak się zachowywał, wprowadziło ją w zakłopotanie.

Szedł powoli przez środek, uśmiechając się i witając skinieniem

głowy każdego, kogo mijał. Czasem zamieniał parę słów z innymi

gośćmi, przeważnie z kobietami. Niektóre z nich odwracały się za nim z wyraźnym zainteresowaniem.

Alema nawet je rozumiała, ale to wszystko nie miało dla niej większego sensu. Zekk promieniował poprzez Moc witalnością

i władzę, co musiało być atrakcyjne dla każdego, może z wyjątkiem

osób kompletnie odpornych na wpływ Mocy. Jeśli zaś w tłumie znajdowały się osoby szczególnie podatne na Moc, Zekk niewątpliwie przyciągał ich uwagę.

Nie dowierzała własnym oczom. Ten facet wykorzystywał swoje zdolności Jedi, aby przyciągać do siebie kobiety! Wydawało

się to niemal nieprawdopodobne. Zawsze był taki cichy i zdystansowany

- pomijając żalosne zadurzenie w Jainie Solo... Alema zastanawiała się, co też mogło być powodem takiej zmiany.

Zastanawiała się też, czy powinna go zabić. Nie miał nic wspólnego z jej obecnymi planami, było jednak nieuniknione, że

kiedy Alema zabije Hana, Jaina poprzysięgnie jej zemstę - albo

przynajmniej będzie jej szukać, aby sprawiedliwości stało się zadość.

A jeśli Jaina ruszy na polowanie, Zekk podąży za nią. Gdyby Alema wyeliminowała go teraz, miałyby o jedno zmartwienie mniej.

Ruszyła w kierunku Zekka.

Zatrzymała się jakieś dwadzieścia metrów od niego. Mocno trzymała dmuchawkę, nadal niezdecydowana. Zekk z nową przyjaciółką

przy każdym boku zatrzymał się, aby podziwiać plującego ogniem devaroniańskiego kuglarza, który zabawiał klientelę. I wtedy Alema uświadomiła sobie kolejną silną obecność w Mocy,

ale dużo bliżej.

Odwróciła głowę i zobaczyła barczystego mężczyznę z siwiejącą

przystrzyżoną brodą i zaskakująco zielonymi oczami. Stał dwa metry od niej, uśmiechając się kpiąco. Był ubrany w szaty

Jedi.

- Horn - wysyczała.

- Poddaj się - powiedział Corran. - Nie będę powtarzał dwa razy.

Podniosła do ust dmuchawkę i posłała w jego kierunku strzałkę.

Horn przechwycił ją w locie - otworzył swój datapad i pozwolił,

aby pocisk utkwiał w ekranie, po czym zamknął urządzenie.

To dało Alemie czas na zapalenie miecza świetlnego. Corran zrobił to samo; jego srebrne ostrze kontrastowało żywo z jej niebieskoczarnym.

Alema uświadomiła sobie, że słyszy oklaski. Corran również.

Rozejrzał się wokół.

Klientela „Błędnego Rycerza” wycofała się, ale niezbyt daleko.

Wielu z obecnych klaskało. Niektórzy robili zakłady. Alema usłyszała, że Corran przeklina pod nosem ich głupotę.

Zekk zbliżał się w ich kierunku, trzymając w dłoni rękojeść swojego miecza.

To była pułapka. Teraz to Alema przeklinała swoją głupotę.

I wtedy sama się rozbroiła. Cisnęła swój miecz wysoko w powietrze,

nadając mu poprzez Moc odpowiednią trajektorię i nie pozwalając, aby jego ostrze zgasło.

Corran i Zekk śledzili trasę lotu miecza. Ostrze dosięgło sufitu i cięło poprzez podpory podtrzymujące skomplikowaną konstrukcję ogromnego żyrandola. Żyrandol spadł w tłum zgromadzony

w dole; jego pręty jarzeniowe zgasły, pograżając salę w półmroku.

Alema odwróciła się i pobiegła tak szybko, jak tylko pozwalały

jej kaleka stopa i okaleczone ciało. Pozwoliła, aby jej miecz świetlny zgasł, ale przyciągała go ku sobie, aż rękojeść wpadła w jej wyciągniętą dłoń.

Wyczuła z tyłu spiętrzoną falę Mocy - to Zekk, sięgając po żyrandol, próbował kontrolować sytuację. Obejrzała się przez ramię, oczekując, że ujrzy Corrana zmierzającego w jej stronę, jednak musiał zostać w tyle. Uśmiechnęła się. Jej wrogowie nie

działali zespołowo. Gdyby tak było, Corran zaatakowałby ją, kiedy

Zekk zajmował się żyrandolem. Mimo wszystko miała cień szansy.

Odłamki transpastali ze zniszczonego żyrandola raniły zebranych

- do jęku zaskoczenia dołączyły teraz okrzyki bólu. Ostatni z prętów zgasł i salę oświetlała teraz tylko poświata pobliskich barów. Alema pobiegła w stronę wyjścia i zaszyła się w kącie; po

drodze wyciągnęła dmuchawkę spod lewego ramienia i załadowała ją ponownie.

Szeroki korytarz, w którym się znalazła, był dobrze oświetlony,

a panika jeszcze tu nie dotarła, więc bez trudu zauważyła postać biegnącą w jej kierunku.

To była Leia. Leia Solo. I patrzyła prosto na nią. Alema poprzez

Moc wyczuwała w niej iskrzenie gniewu; takim samym gniewem emanował ktoś na drugim krańcu korytarza.

Alema skrzywiła się. To nie było w porządku. Han powinien być tu razem z Leią. Wtedy mogłaby zabić Hana i napawać się cierpieniem Leii. A potem uciec.

Teraz jednak, z dwojgiem Jedi z tyłu i jednym blokującym jej drogę ucieczki, Alema musiała się bardzo postarać, jeśli chciała ujść

z życiem. Najpierw trzeba się stąd wydostać, porzucając sprawiedliwość

na rzecz rozsądku. Musiała jednak przedtem zabić Leię.

Podniosła dmuchawkę do ust.

Leia uniosła dłoń.

Alema poczuła, że jej broń drży, a strzałka z rurki cofa się prosto

do jej ust.

Zamarła na jedną mrozącą krew w żyłach chwilę.

Nic się nie stało. Zatruty koniuszek nie dosięgnął jej języka.

Alema ostrożnie odwróciła głowę i wypluła strzałkę na bok.

Zanim otrząsnęła się z przerażenia, zaczęła biec.

Jedi było zbyt wielu, żeby mogła ich pokonać, a ta perfidna pułapka wytrąciła ją z równowagi. Musiała znaleźć bezpieczne

miejsce, żeby się zastanowić, co dalej.

Pięćdziesiąt metrów od niej, promieniując gniewem, pojawiła się Jaina Solo. Zmierzała nieuchronnie w jej kierunku.

Alema zawyła z frustracji. Odwróciła się w kierunku rzędu turbowind

i wpadła do tej, której drzwi były akurat otwarte. Kiedy

zamknęły się za nią, rozejrzała się.

Patrzyła na nią rodzina składająca się z trojga Durosjan; głowy mieli przechylone na bok ze zdziwienia. Dziecko niosło na ramieniu

kowackiańską małpojaszczurkę; i obrzydliwe małe stworzenie pokazało na Alemę palcem i zachichotało.

- Pokład, proszę? - zapytał automatyczny głos windy.

- Na dół - wykrztusiła Alema.

Nic się jednak nie stało. Minęło parę sekund i uczucie zagrożenia

Alemy jeszcze bardziej wzrosło.

Wiedziała, co się dzieje. Jej wrogowie otaczali ją; przejęli kontrolę

nad „Błędnym Rycerzem”, potrafili nawet używać drzwi i turbowind, aby ją dręczyć i opóźniać jej działania.

Włączyła swój miecz świetlny i zatopiła klingę w podłodze.

Durosjanie cofnęli się przerażeni.

Wycięcie otworu zajęło jej tylko parę chwil. Od razu zanurkowała

w szyb turbowindy.

Kilka minut później była już w ładowni. Kluczyła pomiędzy wysokimi stertami połączonych ze sobą plastalowych kontenerów,

poruszając się tak szybko, jak mogła. Miała przeczucie, że ścigający ją Jedi są tuż-tuż.

Musieli korzystać z systemu holokamer statku, chociaż nie powinno

tak być. Alema była przekonana, że wszystkie unieszkodliwiła.

Wrogowie mogli też wykorzystywać jakieś nowe techniki.

Drzwi w przepierzeniu przed nią otworzyły się z sykiem i wszedł

przez nie mężczyzna ubrany w obcisły, błyszczący kombinezon

i kask. Przez szybkę w kasku Alema rozpoznała Jaggeda Fela. Wyciągnął w jej stronę dłoń.

- Alemo, poddaj się. Gwarantuję...

Podniosła dmuchawkę i wypluła w jego kierunku strzałkę.

Rzucił się do przodu.

Ale nie padł jak długi. Klęknął i wyciągnął blaster. Alema zrozumiała,

że on wcale nie umiera. Pancierz, musiał mieć na sobie pancierz.

Uniósł blaster i wystrzelił w jej stronę.

Strzał trafił ją w lewe ramię, obrócił wokół osi i posłał na ziemię.

Wraz z bólem przyszła świadomość, że ma złamany obojczyk. Znów ją okaleczono.

Odotoczyła się na bok, gdy strzelił ponownie. Wiązka z blastera tym razem chybiła celu. Oszalała z bólu i wściekłości Alema sięgnęła ku niemu poprzez Moc, posyłając daleko, na ścianę plastalowych

kontenerów. Złączone ze sobą pojemniki runęły, grzebiąc Jaga pod swoją masą.

Wstała i zaczęła biec, zataczając się bardziej niż poprzednio.

Minęła drzwi, którymi przed chwilą wszedł Jag.

- Wchodzi do dziobowego hangaru długoterminowego dokowania

- zameldował Wedge.

Han, siedząc przy swoim stanowisku obserwacyjnym, pokiwał głową. Przełączył się z widoku magazynu na jedną z zatok hangaru.

Obaj widzieli, jak Alema kuśtyka między statkami, rozglądając

się w poszukiwaniu tego, którym mogłaby uciec.

- Nie zakłóca już zapisów holokamer - powiedział Han. -
Założę

się, że kosztuje ją to zbyt wiele energii lub koncentracji.

Wedge skupił się na swoim wyświetlaczu, ukazującym stertę kontenerów, pod którymi zniknął Jag.

- Jag, słyszysz mnie?

W odpowiedzi usłyszał bełkotliwe słowa, których nie rozumiał;

brzmiały jak zgrzyt rozdzieranej durastali.

- To chyba chissański - mruknął Han. Aktywował ponownie swój komunikator. - Nasz cel właśnie wkracza do hangaru dla klientów wynajmujących kabiny na dłużej.

Leia pierwsza dotarła do hangaru wykorzystywanego przez klientów „Błędnego Rycerza”, wynajmujących pokoje na więcej

niż jeden dzień. Główna śluza na piętrze była otwarta i właśnie

startował przez nią sfatygowany transportowiec YV-666.

W kabinie siedziała Alema Rar. Wymieniły mordercze spojrzenia

i transportowiec oddalił się z zasięgu wzroku.

- Han, dlaczego nie zapieczętowałeś hangaru? - jęknęła oburzona

Leia.

- Próbowałem - usprawiedliwił się Han. - Niestety nie mogłem.

Siły zbrojne GS zainstalowały na „Rycerzu” oprogramowanie uniemożliwiające ograniczanie dostępu jednostkom należącym

do sił zbrojnych. Jeśli choć jeden ich zasmarkany skoczek

T-16 przebywa na pokładzie, śluzy nie można zablokować.

Leia usłyszała w tle głos Wedge'a:

- Jak, u diabła, była w stanie złamać tak szybko kody dostępu?

- Ukradła mój statek! - Lavint zatykała uszy dłońmi, jakby spodziewając się eksplozji. Kręciła się w kółko niczym zwierzę

w klatce. - Mój statek!

Han spojrzał na Leię i wzruszył ramionami.

- Na dobrą sprawę dokonała tego szybciej, niż oczekiwałem.

Leia niezdarnie poklepała panią kapitan po ramieniu.

- Wiem, że musiałaś kochać ten statek...

Lavint uspokoiła się nagle.

- Tak naprawdę, to go nienawidziłam. Ale zawsze był coś wart - wzruszyła ramionami. - No cóż, niedługo będę miała następny.

- Skoro już jesteśmy przy wydarzeniach mających nastąpić niedługo... - Han wyciągnął datakartę i zamachał przed nosem Lavint.

Sięgnęła po nią, ale usunął ją z jej zasięgu. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co to?

- Lokalizacja spotkania przywódców Konfederacji, o którym wspomniałaś - odpowiedział Han. - Czas i miejsce.

Oczy Lavint zalśniły.

- Dawaj. Spełniłam warunki umowy, prawda?

Leia pokręciła głową, uśmiechając się z odrobiną złośliwości.

- To nie była umowa. Poprosiłaś nas o to, pamiętasz?

- Zgadza się. - Lavint nie wyglądała na szczególnie rozczarowaną.

-Ale skoro uzyskaliście odpowiednie dane i macie je tutaj, musicie mi je przekazać.

- Zgadza się - odpowiedział Han. - Najpierw jednak chcemy wiedzieć, do czego ci te informacje. Ich uzyskanie kosztowało mnie sporo wysiłku.

- Eee... po co? - Lavint zamyśliła się, unikając wzroku Hana.

- Zamierzam przekazać je komuś. W zamian za statek. Żeby

zniknąć na zawsze z jego życia.

- Czy według ciebie ta osoba przekaże informacje rządowi Galaktycznego Sojuszu? - zapytała Leia.

Lavint bez chwili wahania przytaknęła.

- Na sto procent.

- Nie sądzę, żebyśmy mogli... - zaczęła Leia, a Han podał kartę Lavint. - ...specjalnie protestować. Po tej pomocy, której nam udzieliłaś... - zakończyła gładko i zmierzyła męża skonsternowanym spojrzeniem.

- Jesteśmy kwita? - spytała pani kapitan.

- Chyba tak. - Han obdarzył Lavint uśmiechem profesjonalisty i ruszył za Leią do drzwi.

- Trzymaj się z dala od kłopotów - rzucił jeszcze.

- Już wkrótce - odpowiedziała Lavint. - Miło było was w końcu spotkać.

Na korytarzu Leia powiedziała do męża:

- O co tu chodzi? Jestem kompletnie skołowana. Jeśli dotąd wspierałeś Korelię...

- ...czemu nagle stałem się zdrajcą? - dokończył Han. - Kochanie, nie miałem żadnych problemów z uzyskaniem tych informacji.

A wiesz, co to oznacza? Po pierwsze, że spotkanie wcale nie jest tajne, a w takim układzie Galaktyczny Sojusz zaraz zdobędzie

wszystkie dane. Daliśmy Lavint najwyżej parę dni przewagi.

Druga ewentualność to działania dezinformacyjne Sojuszu.

A jeśli jest tak w rzeczywistości, to każdy, kto zechce kopać wystarczająco

głęboko, otrzyma inną odpowiedź, a wszystkie będą

błędne. Pierwsza opcja umożliwi Lavint zdobycie nagrody od swojego kontaktu w rządzie, a to żadna strata dla mnie czy dla

Korelii. Jeśli mamy do czynienia z drugą możliwością Lavint i jej kontakt w rządzie wpadną w pułapkę, prawdopodobnie zastawioną

przez Dura Gejjena na nas.

Leia pokiwała głową.

- Wiesz, gdybyś wykorzystywał ten swój przemytniczy mózdek

w prawdziwej polityce, mógłbyś mi prawie dorównać.

- Ale wtedy nie mógłbym wyciągnąć blastera i po prostu wystrzelać

polityków. Nazywasz to korzystną wymianą?

ROZDZIAŁ 19

Ziost

Ten fragment ruin był czymś więcej niż stosem gruzu.

Całe szczęście, bo Ben nie wiedział, czy zdołają dotrzeć do kolejnego miejsca zaznaczonego na mapie.

Już trzeci dzień nic nie jadł, Kiara od wczoraj. Shaker korzystał

z resztek zasilania z różnych baterii, które zabrali z obozu

Faskusa. Ben zachował częściowe zasilanie w pistolecie blasterowym.

Datapady się nie liczyły - ich baterie nie zawierały wystarczającej

ilości energii, żeby pozwolić jednostce R2 przejść więcej niż cztery kroki.

Jednak te ruiny...

Piętrzyły się na grzbiecie górskim, tuż poniżej wysokiej na kilkaset metrów ściany skalnej. Wyglądało to, jakby część góry

została odkrojona przez gigantyczny miecz świetlny miliony lat

temu, wystawiając skały na wietrzenie, dopóki jakaś rasa nie postanowiła

wybudować tu twierdzy.

Nie , jakaś rasa", poprawił się, Sithowie.

Twierdza była zbudowana z czarnego, szaro nakrapianego kamienia

i wyglądała na wystarczająco dużą żeby pomieścić tysiąc osób. Jednak teraz nikt tu nie mieszkał, pomyślał Ben. Co prawda

nie był tego pewien. Wyczuwał niewielkie migotania życia poprzez

Moc, ale wrażenia te tłumila zawsze fala energii Ciemnej Strony, która emanowała z tego miejsca. Twierdza była nasiąknięta

tą energią podobnie jak cała planeta, jednak w tym miejscu koncentrowała się ona w szczególny sposób.

Głosy ze snu wydawały się zadowolone, że tu dotarł. Słyszał je teraz nawet na jawie. A kiedy śnił, uczyły go, jak pilotować dziwny statek w kształcie kuli, który mu pokazały.

Odpowiednio ukierunkowane pragnienie przygotowywało statek

do startu. Gniew kierował jego uzbrojeniem - Ben nie rozumiał,

jak to ma działać, i nawet nie mógł tego sobie wyobrazić.

Za pomocą statku mógł też nawiązać kontakt z innymi jednostkami,

pokierować je na misje...

- Ben... Ben...

Był już zmęczony tymi głosami. Zastanawiał się, czemu go ciągle wołają skoro i tak poświęca im teraz całą uwagę.

Nagle uświadomił sobie, że to nie głosy. To Kiara.

Spojrzał na nią i zmarszczył czoło.

- Co takiego?

Mimowolnie cofnęła się o krok.

- Znów taki jesteś.

- Jaki?

- Straszny.

Zastanowił się, co odpowiedzieć dziecku. „Muszę być czasem taki. W ten sposób się uczę”. Wyobraził sobie Jacena, jak mówi

do niego te słowa, dawno temu, gdy uczył się ścieżek Mocy, gdy

Moc go przerażała.

Chwileczkę. Skąd Kiara wiedziała? I co wyczuwała?

Próbował

rozjaśnić umysł - co przychodziło mu z coraz większym trudem,

od kiedy był głodny.

Mała szła za nim, więc musiała zauważyć coś w jego gestach, postawie - albo wyczuć poprzez Moc. Być może była wrażliwa

na Moc.

A jeśli tak, to z pewnością wystraszyła się manifestacji Ciemnej

Strony. W nim samym.

Postanowił przestać myśleć o różnicy między Ciemną i Jasną Stroną. Wszystko zależało od tego, w jaki sposób wykorzystywało

się Moc,

A teraz, w tym miejscu, otaczała go wroga siła, która nie pochodziła

od żadnej żywej istoty. Była energią ukształtowaną i pozostawioną

tu przez setki pokoleń Sithów i ich uczniów. A jeśli

energia miała konkretny wymiar, nawet nie pochodzący od żadnej

z żywych istot, czy nie była to Ciemna Strona?

Wziął głęboki oddech i spróbował odepchnąć głosy od siebie, aby oczyścić umysł. Czuł, jak staje się spokojniejszy, bardziej opanowany. Otaczała go teraz cisza, zakłócana jedynie przelotnym

szelestem wiatru w martwych gałęziach drzew, oddechem Kiary, cichym jękiem serwowatorów Shakera.

W końcu spojrzał na Kiareę.

- Lepiej?

Pokiwała głową, zadowolona.

- Lepiej.

**Coruscant, gmach Senatu,
biuro admirał Niathal**

Niathal odpowiedziała na brzęczyk komendą:

- Wejść.

W drzwiach pojawił się Jacen Solo w nieskazitelnej czerni munduru Straży i czarnej pelerynie. Zasalutował służbiście.

- Witam, pani admirał.

Niathal odwzajemniła salut.

- Siądź. I proszę o zwięzłość. Mam spotkanie za pół godziny.

Jacen zajął miejsce.

- Gilatter.

- Nie rozumiem.

- Może dlatego, że starałem się być zwięzły. Gilatter Osiem to miejsce, gdzie odbędzie się spotkanie Konfederacji. Wybrał je

ich naczelny dowódca sił zbrojnych. Wyznaczył również punkt

wyjściowy kolejnych działań floty Konfederacji.

Niathal wyprostowała się na krześle.

- Wywiad pracował nad tym tyle czasu, a ty przychodzisz pierwszy ze ściśle tajnymi informacjami?

- Mam inne źródła niż wywiad.

- Jak na przykład twoi rodzice?

Uwadze Niathal nie umknął krótki nerwowy tik na twarzy Jacena.

- Moi rodzice w żaden sposób nie przyczynili się do uzyskania tych informacji. Pochodzą z innego źródła, z którym utrzymuję kontakt od miesięcy.

- To interesujące. Szczególnie w świetle faktu, że wywiad przedstawił niezależne potwierdzenie informacji o wyborach, po których nastąpi atak. Atak na stocznię.

Jacen pokiwał głową.

- Podobnie twierdzi moje źródło.

- Obiecujące. Kiedy to ma nastąpić?

- Za dwa tygodnie. A dokładniej, za trzynaście standardowych dni.

Niathal wypuściła z sykiem powietrze; wydawała się rozdrażniona.

- Tyle zajmie nam samo zorganizowanie odwetu. Opracowując plan w pośpiechu, możemy posłać naszych ludzi na pewną śmierć.

- Jeśli mogę... — Jacen wyciągnął z kieszeni datakartę i położył

na biurku przed Niathal. - Pozwoliłem sobie przedstawić propozycję

planu kontrataku. Prawdopodobnie uznasz go za niezbyt wyszukany, jednak to umożliwiłoby nam umieszczenie naszych

sił w systemie szybko i dyskretnie... a nasi wrogowie raczej nie

będą na to przygotowani.

Niathal spojrzała na niego z powątpiewaniem i wsunęła kartę

w szczelinę czytnika danych.

Plan Jacena był prosty, ale oryginalny.

Gilatter była niewyróżniającą się niczym szczególnym gwiazdą

w pobliżu Ansion. Żaden z jej światów nie miał warunków odpowiednich do zamieszkiwania przez większość ras ludzkich

galaktyki.

Planeta Gilatter Osiem była zaś gazowym gigantem, światem, który z wysoka wyglądał jak urzekające kłębowisko wirów nakrapianych

czzerwienią, oranżem i żółcią. W pewnym okresie odległej przeszłości otaczający ją pierścień satelitów wypoczynkowych stanowił ulubione miejsce rekreacyjne mieszkańców Starej Republiki, z której mogli podziwiać naturalne piękno planety.

Jednak gusta się zmieniły i krótki okres, w którym podziwianie

urody Gilatter Osiem stanowiło główną rozrywkę bogatych rodzin, zakończył się, a wraz z nim użyteczność całego systemu.

Ostatni satelita wypoczynkowy zwinął interes blisko półtora wieku temu i Jacen przypuszczał, że to właśnie ta stacja będzie

miejscem spotkania.

Punktem pierwszym jego planu miało być wysłanie pilotowanych

przez Jedi stealthX-ów do systemu. Stąd piloci mieli przekazywać

Sojuszowi informacje na temat sił zbrojnych, które już się gromadziły, a w szczególności rozmieszczenia czujników.

Punkt drugi obejmował wprowadzenie w ten rejon sił zadaniowych,

wybranych starannie spośród floty Sojuszu, w taki sposób,

by nie osłabiać zbytnio poszczególnych oddziałów oraz uniemożliwić

szpiegom i analitykom określenie, gdzie te siły są wysyłane.

Punkt trzeci polegał na kierowaniu przez Jedi sił Sojuszu do systemu w taki sposób, aby uniknąć wykrycia przez sensory lub

patrole zwiadowcze, a następnie ukrycie ich w atmosferze Gilatter

Osiem. Jej pole było w górnych warstwach tak rozrzedzone

- niewiele gęściejsze niż przestrzeń standardowego systemu słonecznego

- że mogły tam spokojnie stacjonować statki. Świat

miął lekko podwyższony poziom promieniowania elektromagnetycznego,

co czyniło komunikację pomiędzy statkami trudniejszą

ale i uniemożliwiało do pewnego stopnia ich wykrycie.

Miało to trwać tak długo, dopóki dowódca misji nie zdecydował

o zakończeniu kierowania statków do atmosfery Gilatter Osiem.

Wtedy w wyznaczonym punkcie poza systemem mogły zacząć gromadzić się większe statki i czekać na sygnał do skoku.

Na czwartym etapie obserwatorzy w stealthX-ach mieli zaszyfrować

rozpoczęcie spotkania... a wtedy siły Sojuszu starłyby się z siłami Konfederacji.

Niathal i jej taktycy przeanalizowali propozycję Jacena, a nazajutrz

rozważyli i odrzucili parę innych. Ostatecznie wybrano

plan pułkownika Solo. Należało go oczywiście poddać modyfikacjom

i dopracować szczegóły, ale posłużył jako podstawa. Na

kolejnym spotkaniu Niathal poinformowała Jacena o podjętej decyzji

i zapowiedziała:

- Poprowadzę tę misję osobiście.

Jacen skinął z zadowoleniem głową.

- Chciałbym również uczestniczyć w misji - poinformował.

- Na pokładzie „Anakina Solo”?

- Tak.

- Dobrze. Czuj się upoważniony.

- Mój wuj nie liczy się ostatnio z moim zdaniem - powiedział po chwili milczenia Jacen. - Jeśli chcesz uzyskać zgodę Jedi, nie

powinnaś chyba wspominać o moim udziale w akcji.

- Uzyskam zgodę Jedi, na pewno. Wszystko, co muszę zrobić, to wydać odpowiedni rozkaz.

Jacen uśmiechnął się.

- Miałem na myśli chęć uczestnictwa.

- No cóż, chyba masz rację.

Gdy Jacen wychodził z budynku, poczuł w pobliżu znajomą obecność. Nie zareagował, kiedy wysoka kobieta, o twarzy w połowie

zasłoniętej szalem, dołączyła do jego boku.

- Co u ciebie? - zapytał.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała Lumiya. - Czuję się wyleczona.

- Masz ochotę towarzyszyć mi w ekspedycji?

- Wyczułam, że przechodzisz trudny okres. Bardzo niebezpieczny.

Dlatego przybyłam.

- Rozumiem, że to oznacza „tak”. Jakież wiadomości na temat Bena? - zmienił temat Jacen.

- Nic. Moi obserwatorzy stracili ostatnio jego sygnał. - W głosie

Lumiya pojawiło się zaniepokojenie. - Mógł nie przetrwać.
- Poczuję, gdyby zginął.
- Nie wiadomo... zważywszy na miejsce, gdzie się znajduje.
Jacen nie zapytał o to.
- Wierzę w niego.
- Nie wątpię - odparła Lumiya.

Ziost

Ostatnie kilometry wspinaczki do twierdzy okazały się stosunkowo łatwe. Droga z czarnych kamiennych płyt była spękana, ale były to tylko skutki upływu czasu, niezliczonych kół i stóp, które przemierzały ją wieki temu. Shaker mógł teraz kroczyć nieco szybciej, jednak jakieś dwieście metrów od rumowiska, które okalało wejście do twierdzy, zwolnił i wreszcie stanął. Ben również czuł, że traci siły. Drżał z zimna i z głodu. Odwrócił się powoli w stronę Shakera i wyciągnął swój datapad.
- Co się stało, mały?
„Brak mi zasilania. Nie mogę iść dalej”.
Ben chciał westchnąć, ale wolał nie marnować energii. Shaker korzystał z ostatniego pakietu zasilającego pistoletu blasterowego. Jeśli Ben chce utrzymać go dłużej na chodzie, musi poświęcić baterię ze swojego miecza świetlnego.
- Na jak długo starczy ci zasilania, jeśli będziesz nieruchomy - zapytał.
„Okolo dwunastu godzin”.
- W porządku. Wyłącz się na razie. Obudzę cię, kiedy znajdziemy źródło zasilania.
Robot posłał mu wdzięczny tryl i jego światła zgasły.

Ben odwrócił się chwiejnie w stronę Kiary, bo poczuł nagły zawrót głowy... i w tym momencie skoczył na niego nek. Droga do twierdzy wznosiła się dość stromo i stworzenie musiało

iść za nimi od momentu, kiedy zaczęli się wspinać. Ben, spowolniony przez głód i brak snu, mógłby stać się kolejnym posiłkiem neka, gdyby nie to, że w pobliżu był Shaker. Ben odbił

się od korpusu robota, zachwiał się i upadł, zawadzając o Kiare.

Nek chybił, ale zaraz skoczył, wylądował zwinnie i odwrócił się

w ich stronę. Ben podniósł się na drżące nogi i zapalił swój miecz

światlny.

Nek łypał na niego spode łba, najwyraźniej zastanawiając się, czy zaatakować, ale w końcu zrezygnował i oddalił się szybko od traktu.

- Chcą nas zjeść? - zapytała Kiara.

Ben wyłączył miecz świetlny.

- Nie, nie chcą.

- Teraz już się nie boję.

Bała się, Ben nie miał wątpliwości. Wiedział jednak, że powiedziała

to, aby pokazać, jak bardzo mu ufa.

- Jeśli któryś cię połknie, wskoczę za tobą do brzucha i wytniemy

sobie razem drogę na zewnątrz - zapewnił ją.

- A co, jeśli pogryzie mnie na kawałki?

Tym razem to Ben pozwolił sobie na westchnienie.

- Myślisz stanowczo zbyt racjonalnie.

Wspięcie się na szczyt sterty gruzu, który blokował główne

wejście do twierdzy, zajęło im prawie godzinę. Ze szczytu Ben
widział głęboki rów pomiędzy ruinami zewnętrznych murów
a wysoką, zachowaną nieco lepiej wewnętrzną ścianą budowli.
Widział szaroniebieskie niebo i ciągnące się aż po horyzont
lasy,
okryte białymi czapami śniegu. Wszystko to było tak piękne,
że
zapragnął zostać tu już na zawsze.
Przemknęła mu przez głowę, że gdyby zabił i zjadł
dziewczynkę,
odzyskałby siły. Powinien ją tylko najpierw ugotować.
Ale Kiara popatrzyła na niego w tej samej chwili, a sposób,
w jaki ostrożnie się cofnęła, nie spuszczać z niego wzroku,
uświadomił Benowi, że to nie mogła być jego własna myśl.
Odegnął
ją precz i posłał Kiarze wątyły uśmiech, prawdziwy uśmiech
Bena Skywalkera.
Kamienne drzwi za stosem skał były już przed nimi. Zejście
do
twierdzy zajęło im dużo mniej czasu.
Jedyne źródło światła stanowiły tu nikłe promienie słońca
wpadające przez okna pod sufitem. Ben zobaczył, że w
konnacie
nie ma żadnych mebli - nic, nawet resztek spleśniałych
łachmanów.
Wszystko zostało wyniesione dawno temu. Były tu tylko
wyjścia prowadzące do pogrążonych w mroku korytarzy i
kręcone
kamienne schody wiodące w górę i w dół.
Wiedział, że powinni zejść na dół. Statek w kształcie kuli był
tam gdzieś, ukryty, czekał na niego, przyzywał go.
Nie miał już siły, ale wiedział, że jeśli ma zdobyć statek, musi

do niego dotrzeć.

- Rozbijemy tu obóz - powiedział do Kiary.

Rozejrzała się z powątpiewającą miną, ale nic nie powiedziała.

Ben spał i śnił.

W najciemniejszej godzinie nocy coś odczepiło się od sufitu ponad nim.

Wyglądało to jak trzy ogromne kule; środkowa była nieco większa i połączona z pozostałymi. Po bokach każdej kuli pojawiło

się pięć odnóży i stworzenie zaczęło pełznąć w dół, w jego stronę.

Śpiący Ben powiedział głośno:

- Odejdź!

Stworzenie przesłało odpowiedź w jego myśli:

„nie odejdę

to teraz mój dom

twój gatunek zniknął

zamierzam cię zjeść"

- Zabiję cię - zagroził Ben.

Stwór zatrzymał się w połowie drogi w dół ściany.

„daj mi chociaż kawałek mięsa

a zostawię cię w spokoju"

- Zabiję cię - powtórzył chłopiec.

Stwór podjął wędrówkę w dół.

- Na zewnątrz - powiedział Ben - są neki. Polują na mnie.

Nie mogłem się zmusić do zjedzenia pierwszego, którego zabiłem,

a teraz żałuję. Ale ty możesz. Wyjdź i zapoluj na neki. Są blisko.

Istota odczekała bez ruchu pełną minutę. Potem zmieniła kierunek,

ruszając w stronę szczytu rumowiska. Kamienie toczyły

się w dół, gdy stworzenie przeciskało się przez otwór.

We śnie Benowi wydawało się, że słyszy wycie neków.

- „Zjedz dziewczynkę. Odzyskaj siły”.

Znów te głosy. Odeszły, gdy Ben się przebudził. Niepokojnie rozejrzał się dokoła.

Kiara, blada, z wyostrozonymi z głodu i zmęczenia rysami, nadal

spała spokojnie obok niego.

Sufit było teraz widać trochę lepiej. Na jego obrzeżach Ben zauważył dziwne galeryjki, połamane posągi i inne kształty, których

nie był w stanie zidentyfikować. Zastanawiał się, czy jest wśród nich stworzenie, które widział we śnie.

Obudził Kiareę.

- Chodź. Mamy coś do zrobienia.

- Ożywimy Shakera?

- Mam nadzieję.

Na ostatnim etapie przygotowań Ben zmontował ponownie urządzenie naprowadzające, umieścił je w kieszonce; a całość zawiesił na „ciele” kukły, którą sam skonstruował.

Nie była to właściwie kukła, tylko starannie ułożony, wąski stos kamieni, okryty czerwonymi kocami. Ale to musiało wystarczyć.

Umieścili ją u podstawy wewnętrznych murów.

Kiedy wracali do swojej kryjówki, minęli zamrożone truchło neka, które odkryli wcześniej tego poranka. Zaszyli się w rozpadlinie

między dwoma rzędami głazów. Ben starał się zachować czujność, chociaż nie pozwalało mu na to wyczerpanie.

Czas mijał. W głowie Bena znów rozległy się głosy:

- „Zjedz dziewczynkę. Odzyskaj siły”.

- Przedtem chcieliście, żebym ją ochraniał - zaprotestował.

Wydawało mu się, że wypowiedział te słowa tylko w myśli, usłyszał

jednak pytanie Kiary:

- Z kim rozmawiasz?

- Z nikim - odpowiedział.

„Zjedz dziewczynkę...”

Dlaczego głosy mówiły teraz coś innego?

Jacen powtarzał zawsze, że zagadki należy rozwiązywać, bo wtedy stawały się informacjami, które mogły zostać wykorzystane.

A to z całą pewnością była zagadka.

Ben spróbował przeanalizować sugestie głosów. Miały one sens na czysto praktycznym poziomie. Jeśli zabije, dziewczynkę,

ugotuje i zje, jedzenia starczy mu na parę dni. Spróbował zrewidować

swoje poglądy na kanibalizm, przypomnieć sobie opowiadania o różnych katastrofach i ludziach, którzy oszaleli. Zmusił się, żeby myśleć trzeźwo.

„Zjedz dziewczynkę. Odzyskaj siły”.

Jeśli to zrobi, nikt nigdy się nie dowie, a Ben nie zostanie ukarany.

Gdyby nawet przyznał się do tego Jacenowi, ten przeanalizowałby

sytuację i wytłumaczył, że był to dobry wybór - po to, żeby przetrwać.

Na dobrą sprawę wszystkie logiczne argumenty przemawiały za tym, żeby zjeść Kiare. Inaczej plan, który Ben wprowadzał w życie, mógł się nie powieść. Mogły minąć dni, zanim mu się

Uda... Mógł umrzeć...

Logiczne argumenty... właśnie.

Ben zmarszczył czoło. A co z tymi nielogicznymi? Kiara to

dziecko, w dodatku straciła właśnie ojca. Tatusia. Nieważne, że

ten tatuś wyglądał na drobnego rzezimieszka, a przy takich genach

Kiara mogła trafić na społeczny margines. Ale mogła też wynaleźć kiedyś lekarstwo lepsze niż bacta lub pisać piosenki czy

grać w holofilmach, które będą uprzyjemniać innym życie. Mogła

też mieć dzieci, które tego dokonają lub uczyć takie dzieci.

A nic z tego nie dojdzie do skutku, jeśli teraz umrze.

Ben nie był nawet pewien, czyją lubi - nie mieli dość sił, aby tracić je na rozmowę podczas wyczerpującego marszu. Jednak było mu jej żal i czuł się za nią odpowiedzialny.

Czuł...

Wyglądało na to, że logika nie powinna przeważać nad uczuciem...

ani odwrotnie. U Jedi te dwa czynniki powinny pozostawać w równowadze. Ben zastanowił się, czy dotyczyło to również Straży.

Nadal jednak nie potrafił sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego

głosy najpierw kazały mu chronić dziewczynkę, a teraz nalegały, żeby ją zjadł. Jednak odpowiedź, a przynajmniej jej propozycja, przyszła do niego sama.

Głosy poleciły Benowi ją chronić, bo sam wcześniej podjął taką decyzję, ale nie wiedział, jak to zrobić. Twierdziły, że mogą

zabrać Bena i Kiare z planety - więc ich słuchał. A teraz mogły

sugerować różne rzeczy. Wszystko, co tylko zechcą.

Poczuł przyływ gniewu, ale stłumił go. Nie mógł na to marnować

energii. Zauważył, że głosy przycichły.

W tej ciszy Ben opowiedział Kiarze historię młodego, wrażliwego

na Moc chłopca - niewolnika, który zwyciężył w wyścigu na Tatooine i wygrał wolność.

- Czy dali mu jeść, gdy wygrał? - zapytała Kiara.

- Wszystko, co tylko chciał, a nawet więcej - zapewnił ją Ben.

Jakiś czas później Ben znów wyczuł oko na niebie. Spojrzał w górę i owinał ich szczelniej płaszczem.

- Jest tutaj? - spytało dziecko.

- Tak.

Pilot nie był widać zbyt rozgarnięty. Wysłał myśliwca TIE w lot nurkowy, zakończony zaledwie dwadzieścia metrów nad ziemią. Musiał gwałtownie zwolnić i zakręcić, ale kukły Bena nie było widać z otwartej przestrzeni dokoła twierdzy.

Zwiększył

wysokość, wleciał w szczelinę pomiędzy ścianami... i wycelował

lasery w kukłę.

Poprzez Moc Ben wysunął skały leżące na szczycie wewnętrznego

murów na krawędź ściany ponad myśliwcem...

Szło mu opornie. Czuł się tak zmęczony, że nie bardzo mógł się skoncentrować. Jednak świadomość, że to, co robi, może zadecydować

o ich życiu lub śmierci, dodała mu sił i wreszcie zobaczył, jak kamienie zaczynają się poruszać, po czym spadają z muru.

Myśliwiec TIE wystrzelił. Kukła Bena przewróciła się, koce zaś stanęły w ogniu.

Maszyna leciała teraz wolno na repulsorach. Ben wiedział dlaczego.

Trafienie z działek laserowych w istotę ludzką powinno całkowicie zniszczyć ciało. Żywa istota na pewno nie powinna się po prostu przewrócić. Pilot musiał być zdziwiony rezultatem ataku.

Statek był już jakieś pięć metrów od płonącej kukły, gdy pierwszy z głazów, nie większy niż ludzka głowa, trafił w jego kadłub. Pilot zareagował natychmiast, zmieniając kierunek i podrywając maszynę w górę...

...prosto w deszcz kamieni.

Spadały z wysokości większej niż sto metrów. Niektóre z nich ważyły ze ćwierć tony. Wszystkie miały ostre brzegi i spadały kantami w dół.

Myśliwiec TIE zawirował dziko, wymknął się spod kontroli pilota, uderzył w wewnętrzną ścianę twierdzy i odbił się od niej.

Bliźniacze silniki jonowe nadal działały, jednak maszyna wirowała

tak szybko, że nie mogły już nic pomóc.

Kadłub maszyny runął z impetem za wewnętrzną ścianą i nadal

się toczył, tracąc po drodze panele słoneczne.

Przetoczył się jeszcze jakieś pół kilometra i zatrzymał się u stóp olbrzymiego głazu.

Ben wstał. Poczul zawrót głowy, sięgnął jednak po Moc, aby szybciej dojść do siebie. Pomógł Kiarze wstać.

- Musimy się spieszyć - powiedział. - Może nadlecieć więcej myśliwców.

Kazał dziewczynce wspiać się na drzewo, podczas gdy sam badał wrak statku. Kiedy zobaczył, co zostało po pilocie, bladokórym

Chevie w brązowym uniformie, ucieszył się, że nie wziął ze sobą Kiary.

Otwarcie włazu niewielkiej ładowni myśliwca nie zabrało Benowi

dużo czasu. Sprzętu już nie chroniła sieć bezpieczeństwa, która przytrzymała ją na miejscu, ale przedmioty były nietknięte:

dwudniowa racja żywności, zestaw medyczny, baterie, komunikator dalekiego zasięgu, samopompująca tratwa, tabletki

do uzdatniania wody... Zabrał wszystko i przeszukał jeszcze Cheva. Potem najszybciej jak mogli oddalili się z miejsca katastrofy

w stronę twierdzy.

Benowi wcale nie było przykro, że właśnie pozbawił kogoś życia.

Coruscant,

„Błędny Rycerz”

- Alema Rar się ze mną skontaktowała.

Leia przyglądała się sceptycznie obrazowi na wyświetlaczu.

Jednak Lavint wydawała się mówić prawdę.

- Czego chciała?

- Was dwojga, oczywiście.

- I co jej powiedziałaś?

- Doniosłam, że zamierzacie pojawić się w najbliższych dniach

na Gilatterze Osiem. Mam nadzieję, że polecą tam i da się rozpylić

na atomy. Szkoda YV-666.

- Cóż, wcale nie skłamałaś - powiedziała Leia. - Właśnie tam się wybieramy.

- Wybieramy? - zapytał Han.

- Wybieracie? - na wyświetlaczu szczeka Lavint opadła gwałtownie.

- Przepraszam, nie wiedziałam...

- Nie przejmuj się - uspokoiła ją Leia. - Podjęłam tę decyzję dopiero teraz. Nie wystarczy mi zapewnienie, że ktoś taki jak Alema Rar zostanie rozpylony na atomy. Muszę to zobaczyć na własne oczy.

- A może nawet osobiście pociągnąć za spust - mruknął Han.

**System Gilatter,
stacja wypoczynkowa na orbicie
Gilatter Osiem**

Z odległości kilkuset kilometrów Luke obserwował ruch wokół

stacji. Korzystał z czujników pasywnych i sprzętu holokamerowego

zdolnego do rejestracji obrazu wysokiej rozdzielczości;

podobnie wyposażona była Mara, dryfująca mniej niż sto metrów

od niego w swoim myśliwcu StealthX.

Wokół stacji krążyło sześć jednostek. Załoga prawdopodobnie dokonywała napraw i przygotowywała stację na ceremonię, która

miała się odbyć niedługo.

Luke, Mara oraz towarzyszący im piloci - Corran, Kyp, Jaina i Zekk oraz Jag, który w końcu mógł spędzić trochę czasu w myśliwcu

- skontrolowali system. Wykryli tam faktycznie czujniki satelitarne rozmieszczone w pobliżu standardowych korytarzy wiodących do systemu, jednak nie było ich zbyt dużo i bez trudu

znaleźli trasy, których czujniki nie obejmowały zasięgiem.
Jedi

sprowadzili już kilka statków Dziewiątej Floty w atmosferę
Gilatteru

Osiem. Kolejna jednostka, którą tam kierowali, była
zastępczym

statkiem flagowym admirał Niath - sędziwym, ale
nadal potężnym krążownikiem kalamariańskim „Galaktyczny
Wędrowiec”.

Luke pokręcił głową. Czy Niathal korzystała z tego, co miała
pod ręką? Czy może - pamiętając, że „Wędrowiec” był kiedyś
flagowym statkiem admirała Ackbara - chciała uszczknąć
nieco

z blasku sławy otaczającego znamienitego stratega? Luke nie
wiedział.

Jednak rozmyślenia tego typu były znacznie lepszym zajęciem
niż martwienie się o Bena.

Ziost

Ben i Kiara odpoczywali przez resztę dnia i ze stosu kamieni
przy wejściu do twierdzy obserwowali prom.

Nadleciał nie więcej niż piętnaście minut po tym, jak Ben,
Kiara i ożywiony Shaker dotarli do ich schronienia. Statek był
promem starego typu, ze składanymi skrzydłami i kadłubem
pomalowanym na brązowo. Nie zamierzał wylądować. Krążył
przez jakiś czas tam i z powrotem, po czym ponownie wzbił
się

w niebo.

Zdziwiło to Bena. Czyżby członkowie załogi bali się lądować
na Ziost? Cóż, to by miało sens.

Chociaż byli okropnie głodni, Ben zarządził, że zjedzą teraz
nie więcej niż połowę porcji, które zabrał z myśliwca TIE.

Reszta

musi starczyć im na następne trzy lub cztery dni. Może do tego

czasu znajdą więcej pożywienia lub sposób na wydostanie się z planety.

Tej nocy Ben spał dobrze. Czujniki Shakera były nastawione na wykrywanie ruchu w ciemnościach nocy, nic się jednak nie wydarzyło.

Rankiem, z nowymi źródłami zasilania w prętach jarzeniowych, rozpoczęli poszukiwania.

Poszło łatwo. Wszystko, co Ben musiał robić, to słuchać głosów.

Poprowadziły go parę poziomów w dół, do korytarzy, których podłogę pokrywała warstwa starożytnego brudu i kurzu.

Znaleźli się w końcu w szybie, który prowadził daleko poza teren

samej twierdzy. Kończył się nieoświetloną okrągłą komnatą.

W jej ścianach widniało osiemnaście nisz, wystarczająco dużych,

by pomieścić posagi naturalnej wielkości. Wszystkie były puste.

- Nie ma go - powiedziała Kiara.

Ben pokręcił głową. Wizja w jego umyśle wydawała się niezwykle

wyraźna. Statek musiał tu być.

- Pokaż się! - zażądał. Usłyszał w odpowiedzi złośliwy śmiech.

Kiara również wydawała się coś wyczuwać. Podeszła do Shakera

i rozejrzała się wokół, szukając źródła.

Ben zmarszczył czoło. Jego instynkt - i informacja szepczących

głosów, kiedy jeszcze nie całkiem rozumiał ich słowa -

mówił mu, że kluczem do statku są emocje. Łagodnym nastawieniem nic nie działa.

Teraz jego głos zabrzmiał groźniej, przepiętny gniewem.

- Pokaż się!

Gdyby spróbował tego dzień wcześniej, osłabiony z głodu, bez

wątpienia nic by z tego nie wyszło. Tymczasem usłyszał huk dochodzący

spod ziemi, a w wyschniętym brudzie podłogi pojawiła się rysa szerokości promienia laserowego, przecinająca pomieszczenie

na pół.

Shaker, który stał okrakiem nad szczeliną, zaszcebiotał alarmująco

i szybko przetoczył się na bok. Kiara odeszła razem z nim.

Szczelina rozszerzała się szybciej pośrodku niż na brzegach.

Przybrała kształt koła. W marnym oświetleniu zapewnianym przez pręt jarzeniowy Bena zobaczyli, jak wysuwa się z niej segmentowane

metalowe ramię długości paru metrów - a za nim

górną część kulistego kadłuba statku. Okrągły panel widokowy

przepuszczał światło od środka - niezdrową żółtą poświatę; rzeczywiście

wyglądał jak obserwujące ich oko. Kula miała około

dziesięciu metrów średnicy. Połowa statku była już ponad gruntem;

trzymetrowa szczelina oddzielała resztę kadłuba od poziomu podłogi.

Ben zachwiał się - trochę ze zmęczenia, trochę z ulgi. Statek

się pojawił - i był prawdziwy... a obecność, którą wyczuwał wewnątrz, złowrogie emocje promieniujące z niego poprzez Moc dowodziły, że był nadal sprawny, nawet po stuleciach spędzonych pod ziemią.

- Otwórz się - rozkazał.

Pionowa szczelina pojawiła się poniżej panelu widokowego i otoczyła cały kadłub, a jej dolna krawędź sięgnęła poziomu podłogi.

Ben wskoczył przez nią do środka statku.

Jeśli się spodziewał zastać w środku fotel pilota, drążek sterowniczy,

tablicę sterowania systemem uzbrojenia lub skoku do

nadprzestrzeni, to musiał się rozczarować. „Kabina” zajmowała

niewielką część pojazdu - było to pojedyncze okrągłe pomieszczenie

o średnicy czterech metrów, wysokie na dwa i pół metra.

Korytarz wiodący do rampy stanowił jedyne wejście. Ściany wyglądały

jak zrobione z pomarańczowego, porowatego kamienia;

robiły wrażenie podświetlonych od spodu. W środku było bardzo

ciepło.

Ben wyszedł na środek pomieszczenia i rozejrzał się wokół

w poszukiwaniu przyrządów sterowniczych. Nic jednak nie znalazł.

Nie słyszał już głosów. Wyczuwał tylko czyjeś wyczekiwanie, czyjaś nadzieję.

Zamknął oczy, próbując wyczuć ducha tego miejsca... i udało mu się. Przez chwilę widział czerwonoskórą kobietę w szatach

z włókien wulkanicznych; złocista włócznia leżała przed nią na podłodze.

A więc tak to wyglądało. Pilot musiał komunikować się ze statkiem za pośrednictwem Mocy. Ben ukląkł w miejscu, gdzie

w jego wizji znajdowała się kobieta.

- Rozkazuj - przemówił w jego umyśle głos, męski i wyczekujący.

Ben wyrzwał na rampę i machnął na Kiarę i Shakera.

- Czas ruszać.

Dziewczynka spuściła głowę i ani drgnęła. Robot zaświergotał coś do niej.

- Kiaro, musimy stąd odlecieć.

- Nie chcę lecieć w tym czymś - jęknęła. - To mnie połknie.

Ben posłał jej pocrzepiający uśmiech.

- A jeśli to zrobi, to co dalej?

Musiała się chwilę zastanowić.

- Wskoczysz do jego brzucha i razem wytniemy sobie drogę na zewnątrz.

- No właśnie.

Niechętnie ruszyła; ostrożnie postawiła pierwszy krok na rampie - i wbiegła prędko do kabiny. Klapnęła na podłogę obok

Bena. Chwilę później wtoczył się Shaker, zatrzymał przy Kiarze

i zablokował koła.

- Zamknij właz - rozkazał Ben i rampa się uniosła.

Teraz przyszła pora na najważniejszą część eksperymentu.

- Startuj - powiedział.

Przez długą chwilę nic się nie wydarzyło. Ben już się zastanawiał,

ile słów powinien wypróbować, zanim trafi na właściwy

rozkaz. Jednak okazało się, że jego wola wystarczyła - wola i wyobrażenie sobie następstw rozkazu.

Światło na zewnątrz pojazdu zajaśniało. Oślepiająca biel oświetliła

wnęki w ścianach. Ben spojrzał do góry i zobaczył sufit.

Potem

zamknął oczy i spróbował widzieć wszystko tak, jak robił to statek.

I udało mu się. Sufit nad nimi rozpadł się na dwie części i do komnaty wpadło światło słoneczne. Statek zaczął drżeć jak dzikie

zwierzę przygotowujące się do skoku.

- Przygotujcie się - powiedział Ben. - Sądzę, że zaraz...

Statek przyspieszył, kierując się pionowo do góry, co posłało Bena i Kiarę na podłogę.

ROZDZIAŁ 20

System Gilatter,

orbita otaczająca Gilatter Osiem

- Największa nagroda następuje po największym ryzyku

- stwierdził Jacen, a Lumiya zgodziła się z nim.

- Ale jeśli właściwie oceniasz nagrodę i ryzyko - uzupełniła.

Potem oświadczyła, że zgadza się towarzyszyć mu w wyprawie

mającej zakłócić koreliańską ceremonię wyborów.

Zorganizowanie przedsięwzięcia było stosunkowo proste.

Wywiad

Galaktycznego Sojuszu odkrył, że będą tam obecni przedstawiciele

Rady Spadkobierców Konsorcjum Hapes; Rada zaś

współpracowała z Korelią przy spisku na życie Tenel Ka. To admirał

Niathal pierwsza zaproponowała, żeby niezależne grupy, nawet ze światów najbardziej oddanych Galaktycznemu Sojuszowi,

wzięły udział w spotkaniu.

Niewiele trudu kosztowało Jacena przekonanie Niathal, że to jego powinna wyznaczyć na agenta Sojuzsu uczestniczącego

w spotkaniu - w końcu był Jedi i zajmował wysokie stanowisko

w strukturach militarnych, co dawało mu pewne prawa.

Pokierowanie

sprawami w taki sposób, żeby towarzyszyła mu Lumiya,

było nieco trudniejsze, jednak w końcu udało jej się zgromadzić

komplet fałszywych dokumentów, które przeszły skrupulatną kontrolę wywiadu każdej ze stron. Według informacji w nich zawartych

przemytniczka Silfinia Eli dysponowała dokładnie takimi cechami, jakich poszukiwał wywiad Galaktycznego Sojuzsu.

Jacen zdobył dokumenty dla siebie, a „Silfinia” - od rządu Ession.

Pułkownik Solo, ukrywający swoją tożsamość pod warstwą ciemnej farby maskującej i brodą był posiadaczem karty identyfikującej

go jako członka najbardziej radykalnej partii rewolucyjnej

Ession. Za pośrednictwem kapitan Lavint i jej tajemniczych

kontaktów był w stanie uzyskać pozwolenie na udział w ceremonii...

ale nie w głosowaniu.

W porządku. I tak nie zamierzał głosować. Chciał tylko zapamiętać

twarze, zidentyfikować zdrajców i prawdopodobnie zabić ich wszystkich, gdy rozpocznie się walka.

Lumiya może się przydać, gdyby były problemy. Swoje przerażające

rysy zamaskowała odpowiednio nałożonym makijażem.

Miała teraz - podobnie jak Jacen - ciemną karnację i ciemne włosy.

Jacen pilotował brzydki prom w kształcie dysku, produkt koreliańskich

stoczni. Nakierował go na wektor zbliżenia, który wskazał mu system łączności.

- Całkiem spora flota - mruknął. Przez panel widokowy i na głównym wyświetlaczu czujników widział bothańskie i koreliańskie

krążowniki, ale także fregaty, niszczyciel gwiazdny typu Imperia], parę innych okrętów i promów. Panował tu spory ruch.

Sama stacja przypominała ręczną wyciskarkę do soku zwieńczoną

kopułą spoczywającą na dysku o średnicy wielu kilometrów.

- Są gotowi do działań - zauważyła Lumiya. - Wyczuwasz poprzez Moc gotowość tych żołnierzy i oficerów? Łakną krwi.

To znaczy, że ruszą na najbliższy z możliwych celów.

- Czyli na Coruscant. Choć właściwie do Kuat nie jest dużo dalej.

Statek zatrzęsł się jak od ostrzału.

- Hej! - zdumiał się Jacen. Nic, nawet Moc, nie ostrzegła go przed niespodziewanym atakiem. - To promień naprowadzający

- stwierdził po chwili z ulgą.

- Widocznie ich ochrona lubi mieć nad wszystkim pełną kontrolę

- odparła Lumiya.

W ciągu paru minut prom został osadzony na zewnętrznej stacji lądowniczej i potwierdziły się przypuszczenia Lumiyi.

Gdy otworzył się boczny właz stacji, na pokład wkroczył oddział

w mundurach KorSeku, a dowódca rozkazał nieznoszącym sprzeciwu tonem:

- Przekażcie kody dostępu sierżantowi Mezerowi. Odprowadzi statek do strefy kontroli.

- Czy oczekuje napiwku? - zapytała Lumiya ze śmiechem.

Oficer zamrugał, jakby nie rozumiał, o co pyta.

- Ustalenia dotyczące spotkania zabraniają wszelkim pojazdom

przebywać w odległości dziesięciu kilometrów od stacji

- wyrecytował, ale widocznie uświadomił sobie, że nie odpowiedział

na pytanie. - Napiwki... Nie stosujemy takich zwyczajów.

- Jaka szkoda - rzuciła Lumiya i wyskoczyła zwinnie przez otwarty właz.

Jacen przekazał swoje kody wyznaczonej osobie i podążył za Lumiya. Witła się właśnie z Bothaninem o białym futrze, zdecydowanie bardziej przyjaźnie nastawionym niż agenci Kor-Seku.

- Silfinia Eli - przedstawiła się, pozwalając Bothaninowi uścisnąć swoją dłoń. - Front Wyzwolenia Ession. A to mój kuzyn

Najack Eli.

Bothanin wytrzeszczył oczy; najwyraźniej nigdy nie słyszał ani o Froncie, ani o rodzinie Eli.

- Miło mi - powiedział i niechętnie potrząsnął dłonią Jacena.

- Breyf Tdawlsh. Koordynator organizacyjny.

- Kiedy rozpocznie się głosowanie? - zapytał Jacen. - Nie otrzymaliśmy planu spotkania.

- Hm. Tak. - Bothanin wskazał na drzwi utrzymanego w szpitalnej

bieli i aseptycznie czystego pokoju, w którym się znajdowali.
- Kiedyś były tu stanowiska odkażania. Niestety, nie udało się sprawić, by te wnętrza stały się przytulniejsze. Za tymi drzwiami znajdziecie odpowiedniejsze otoczenie. Poczęstunek, napoje, dobre towarzystwo.

- Wspaniale - oznajmił Jacen i zauważył, że Lumiya z trudem tłumi śmiech.

Ze swojej kryjówki w atmosferze Gilatter Osiem załogi sił Sojuszu

miały niezły widok na odległą stację i gwiazdy w jej tle.

W gęstej atmosferze gwiazdy odrobinę migotały i widziało się je jak przez mgłę.

- Transmisja kierunkowa ze Stealth Jeden - zameldował na mostku „Galaktycznego Wędrowca” adiutant admirał Niathal.

- Zbliży się lekki krążownik huttański. To jedyny nowy okręt w ciągu ostatniej pół godziny. Liczba przylotów spadła niemal do zera.

Niathal, siedząca w swoim obrotowym krześle dowódcy, skrzywiła się. Szanse były dość wyrównane, co mogło stanowić

problem, gdyby doszło do bezpośredniego starcia. Na szczęście,

Sojusz dysponował przewagą zaskoczenia.

- Bardzo dobrze - powiedziała, jakby nie słyszała meldunku adiutanta. - Czekamy jeszcze na jakichś głównych graczy?

- Nie, proszę pani.

Niathal podniosła głos, tak aby było ją słychać na całym mostku.

- Rozkazy dla floty. Ruszamy. Jednostki zewnętrzne nie dokonują

skoków, dopóki nie otrzymają bezpośrednich wytycznych. Jacen i Lumiya rozdzielili się, aby móc gromadzić informacje na większym terenie.

Główna sala stacji wypoczynkowej, której kopułę ostatnio dokładnie

wypucowano, żeby zapewnić nieograniczony widok na Gilatter Osiem, była zastawiona długimi stołami pełnymi wykwinnych

przystawek i napoi. Delegaci wędrowali od jednej grupki do drugiej, wymieniając grzeczności. Nigdzie nie było widać pośpiechu ani zdenerwowania.

A to było... dziwne. W końcu wybór głównodowodzącego sił zbrojnych był wydarzeniem wielkiej wagi. Jacen spodziewał się

większego napięcia wśród uczestników.

I więcej sław. Na razie nie rozpoznał nikogo z obecnych.

Wziął drinka z tacy wysokiej, jasnowłosej hostessy ubranej w białą szatę, wyglądającą na relikw z czasów Starej Republiki - pewnie był to ostatni krzyk mody na jednym ze światów prowincji.

- Gdzie jest koordynator? - zapytał od niechcienia.

- Nie wiem, sir.

- O której rozpocznie się dyskusja?

Kelnerka nerwowo pociągnęła się za ucho i odwróciła wzrok.

- Tego również nie wiem. Może rozesłali plan do datapadów gości?

- Co teraz zrobiłaś? - spytał Jacen.

Nerwowość kobiety wzrosła zauważalnie.

- Odpowiedziałam na pyta...

- Nie o to mi chodzi - pochylił się w jej kierunku. - Dlaczego dotknęłaś ucha? Powiedz albo będę zmuszony cię zabić.

Rozejrzała się dokoła, szukając drogi ucieczki... lub pomocy.

- Proszę... my... kazali nam - wykrztusiła. - Jeśli ktokolwiek

zada nam pytanie...

- Masz wysłać sygnał.

- Tak.

Jacen obrócił się na pięcie i ruszył pospiesznie w kierunku drzwi wejściowych. Poprzez Moc wysłał Lumiya ostrzegawczy sygnał.

- Dzentelistoty! - głos dobiegający z góry był na tyle głośny, że Jacen mimo woli spojrział w górę.

Na środku pomieszczenia materializował się właśnie hologram.

Wysoki na sześć metrów, przedstawiał mężczyznę w białym mundurze admiralskim, skrojonym dość staroświecko, raczej na modłę Imperium Palpatine'a. Mężczyzna miał wysportowaną

sylwetkę, wysokie kości policzkowe i jasne włosy ostrzyżone po

wojskowemu. Blizna, widoczna nawet na hologramie, biegła od

lewej strony górnej wargi i przecinała usta, kończąc się w okolicy

podbródka. Jacen uznał, że wygląda nieco podobnie do Tycho Celchu, jednak brakowało mu typowej dla Tycha życzliwości.

- Jeśli spojrzycie w niebo, będziecie świadkami wyjścia sił Galaktycznego Sojuszu z atmosfery planety - odezwał się wojskowy.

- Będzie to wyglądało jak seria jasnych błysków, bo zaczną wpadać w naszą sieć min. A na razie chciałbym wam przedstawić

wyjątkowego gościa dzisiejszego spotkania.

Snop jaskrawego światła oślepił Jacena. Odwrócił się, czując, że jest w centrum uwagi. Mężczyzna z hologramu kontynuował:

- Jeśli nasi specjaliści są warci sum, jakie im płacimy, możecie wznieść toast za pułkownika Jacena Solo, Strażnika Galaktycznego

Sojuszu. Niektórzy z was, Korelianie, stracili zapewne wielu krewnych i przyjaciół dzięki ostatnim poczynaniom tego człowieka.

Uszu Jacena dobiegł gniewny pomruk z tłumu, jednak większość

obecnych zareagowała jedynie zdziwieniem. Niektórzy odsuwali się od Jacena, ale inni nadal sączyli swoje drinki, nie okazując szczególnego zainteresowania.

- Nie przedstawił się pan - powiedział Jacen, wzmacniając swój głos Mocą.

Olbrzymi hologram pokiwał głową.

- Generał Turr Phennir. Główny dowódca sił zbrojnych Konfederacji, do usług.

- Sądziłem...

- ...że dopiero dziś ma zostać wybrany? - Phennir pokręcił głową, jakby zasmucony naiwnością Jacena. - To fałszywe pogłoski,

potrzebne do sprowadzenia tu waszych sił. A twoja obecność tutaj jest kolejną miłą niespodzianką. Wiem, że spróbujesz teraz utorować sobie drogę odwrotu, jednak muszę cię poprosić,

abyś nie zabijał naszych delegatów. Są tylko aktorami.

Za Jacenem rozległ się tupot kroków nabiegających agentów ochrony. Oni na pewno byli prawdziwi.

Zgadza się, zamierza utorować sobie drogę odwrotu. Jednak miał najpierw coś do zrobienia. Uniósł dłoń w kierunku orbity Gilatter Osiem i najsilniej, jak mógł, przesłał w Mocy komunikat:

„To pułapka! Miny!”

- To pułapka! - krzyknął Luke do swojego komunikatora.
— Jacen informuje nas o minach! Powtarzam: miny!
- Przyjąłem, Stealth Jeden - głos należał do oficera łącznościowego
„Wędrowca”. - Ten komunikat jest ostrzeżeniem, że wasze pozycje mogą być zagrożone.
- To nie są żarty. Stealth Jeden, bez odbioru. - Luke przełączył panel łączności na częstotliwość eskadry.
- Co teraz? - zapytała Mara.
- Wchodzimy - odparł Luke bez entuzjazmu. - Trzeba ratować Jacena.
Usłyszał przez interkom smutny świergot R2.
Oficerowie na mostku „Galaktycznego Wędrowca” czekali na nadejście rozkazów wskazujących nowy kurs, który pozwoliłby im okrążyć pole minowe.
Wytyczne okazały się inne, niż się spodziewali.
- Lećcie naprzód, tylko powoli - rozkazała Niathal. - Otworzyć ogień ze wszystkich przednich dział jednostek na froncie kolumny. Drugi szereg, utrzymać szyk i podążać za okrętami. Wszystkie statki na zewnątrz systemu - skakać.
Załoga mostka od razu zajęła się realizacją nowego zadania.
Dowódca „Galaktycznego Wędrowca”, Quarren o imieniu Squinn, docisnął się do Niathal. Macki twarzowe z trudem utrzymywał w bezruchu, a w jego oczach płonęło pytanie.
Niathal też miała pytanie. Musiała mówić głośniejszym głosem, bo baterie uzbrojenia „Wędrowca” zaczęły właśnie prowadzić ostrzał.
- Co by się stało, gdybyśmy nie otrzymali ostrzeżenia od pułkownika Solo? - zagadnęła Squinna.
- Posuwalibyśmy się naprzód.
- Jak długo?

- Dopóki nasze pierwsze statki nie zaczęłyby wpadać na miny.

- A wtedy? - naciskała.

Na twarzy Quarrena pojawiło się zrozumienie.

- Ustawilibyśmy nowy kurs, równoległy. I trafilibyśmy na kolejne

miny, które rozmieszczono, podczas gdy czekaliśmy tutaj.

Niathal przytaknęła.

- Na miny, których nie dałoby się wykryć z powodu gęstej atmosfery. I na miny, których nie da się ominąć. W ten sposób zostalibyśmy zmiażdżeni niemal bez żadnego wysiłku z ich strony.

- Tak jest. Rozumiem. - Kapitan Squinn oddalił się do swoich zajęć.

- To pułapka - wyszeptała Leia. Chociaż ostrzeżenie Jacena wysłane za pośrednictwem Mocy nie zostało skierowane do niej,

nie mogła go zignorować. Ten rozpaczliwy komunikat był wysłany

przez jej własnego syna.

Pochyliła się do przodu w fotelu drugiego pilota „Sokoła”, ale w zasięgu wzroku miała tylko żółtą Gilatter Osiem. Planeta unosiła

się wprost przed nimi, odległa i maleńka.

- Han, słyszałeś mnie? - naciskała.

- Tak. - Jej mąż miał wyjątkowo niezdecydowaną minę.

- Musimy tam dotrzeć i go ocalić - postanowiła. Nie była to łatwa decyzja. Jej gniew na syna nie zmalął. Nie ufała mu.

Nadal jednak był jej synem. Musiała go ocalić.

- Czekamy na informacje o Alemie - powiedział Han niechętnie,

a w jego głosie również był ślad bólu.

- Ruszajmy.

- Jasne. - Rozgrzał silniki. „Sokół” był już skierowany w stronę

odległej gwiazdy. Wystarczyło włączyć hipernapęd.

Lando wstał ze swojego fotela nawigatora.

- Rozumiem, że niewiele mam tu do powiedzenia, ale chyba powinienem zasiąść przy działkach, zgadza się?

Nie otrzymał odpowiedzi, więc westchnął i ruszył w kierunku korytarza dostępu do wieżyczek strzelniczych, powiewając peleryną.

Hologram Tura Phennira wyświetlił się tak blisko Alemy, że stała

teraz na jego prawej nodze. Odsunęła się, by zniknąć w tłumie.

Łatwo jej przyszło dostać się na to spotkanie, łatwiej niż komukolwiek

innemu. To dlatego, że potrafiła wymazać swój obraz

z umysłów wszystkich, których spotykała. A że miała prócz

tego umiejętności Jedi, z dziecinną łatwością mijała strażników,

podśluchiwała rozmowy i nie zostawiała wspomnień po sobie w umysłach wykorzystanych osób.

No chyba że chciała, żeby ją zapamiętali, jak na przykład kapitan

Lavint.

Teraz również miała nadzieję, że nie zostanie zauważona podczas

wycofywania się z głównej sali. Wątpiła, żeby ktoś mógł

odnotować jej obecność. Jacen Solo znakomicie poradził sobie z przyciągnięciem uwagi obecnych.

Stał teraz samotnie, otoczony przez strażników ochrony blokujących

mu drogę odwrotu. Strażnicy zaczęli strzelać. Solo

przeskoczył ponad linią strzałów, zapalił miecz świetlny i rzucił

się między wrogów. Pierwszym ciosem pozbawił głów dwóch z nich. Reszta padła na podłogę, nadal strzelając.

Wszystko, co musiała zrobić Alema, to oddalić się od tego zamieszania

i dołączyć do tłumu aktorów wycofujących się w panice w stronę lądowisk.

Ale wtedy wyczuła swoją zdobycz. Leia była gdzieś w pobliżu,

wysyłając Jacenowi pokrzepiające sygnały poprzez Moc. Na pewno kierowała swoje wsparcie do Jacena... bo przecież nie do

Alemy.

Z tego wynikało, że Alema nie może opuścić stacji. Musi poczekać

i przekonać się, czy Han też przybędzie.

Zawróciła i ruszyła do kąta, ukrywając się w cieniu.

Ziost

Na pokładzie „Cmentarnego Spotkania” Hirrtu, Rodianin, wybełkotał

coś do Dyura, wyraźnie zaskoczony.

- Mówisz, że startuje? - Dyur spojrzał na wyświetlane przez czujniki dane.

Pokazywały zbliżający się statek, który wystartował zaledwie kilkaset metrów od miejsca, w którym zginął Chev-Owit.

- Znalazł sposób, żeby się wydostać - powiedział. - Sprytny dzieciak. A teraz do działek. Ale już.

Nie wszystko było tu obce. Przez wizjery pojazdu Ben widział gwiazdy, potrafił nawet rozpoznać niektóre z nich.

Ale widział też klockowaty, niezgrabny frachtowiec kierujący się w jego stronę.

Serce mu zamarło. Nie ma mowy, żeby wygrał potyczkę w statku, który ledwie nauczył się pilotować, a w dodatku jego systemy uzbrojenia były starsze niż większość rządów współczesnych systemów planetarnych.

- Mamy broń? - zapytał głośno.

Od razu zobaczył ją w głowie. Wysięgnik na spodzie statku mógł przekształcać się w pazur lądowniczy albo zostać w tej pozycji i kierować atakiem laserowym. Podobny wysięgnik, umieszczony u góry kadłuba, mógł wykręcać się w stronę przeciwnika i ostrzeliwać go metalowymi kulami.

- Daj ognia - rzucił ostro Ben.

O dziwo statek zareagował na te słowa z wyraźnym pośpiechem.

Obraz w umyśle Bena pokazywał górne działko. Obserwował, jak metalowa kula wielkości jego głowy toczy się, wyciągana magnesem ze zbiornika u podstawy wyciągniętego ramienia.

1 już jej nie było. Oddaniu strzału nie towarzyszył żaden dźwięk.

Ben skoncentrował się. Teraz cała sekwencja powtórzyła się, tylko nieco wolniej. Ten sam układ magnetyczny, który umieścił

ją we właściwym miejscu, nadawał jej teraz przyspieszenie wzdłuż ramienia, a szybkość rosła z każdym centymetrem.

Akcelerator magnetyczny. Ben słyszał o takich urządzeniach.

Broń Verpinów, pomyślał. Co prawda tamte były dużo mniejsze,

no i Ben nie pamiętał, żeby były instalowane na statkach.

Może jego wróg też się tego nie spodziewał.

Ben zrozumiał, że ma mniej niż minutę, zanim znajdzie się

w zasięgu rażenia frachtowca. Miał mało czasu na przetestowanie systemów statku.

- Uniki - zakomenderował. Statek natychmiast rozpoczął manewry

w przód i w tył, w lewo i w prawo, miotając przy okazji pasażerami. Kiara ślizgała się po chropowatej podłodze, aż wreszcie przytrzymała się jednej z metalowych nóg Shakera. Ben był wkurzony, że nie ma bezpośredniej kontroli nad pojazdem,

jednak satysfakcjonujące było wydawanie rozkazów, które natychmiast wykonywano.

- Przygotuj górną broń-poleciał.

Czuł metalowa kulę toczącą się na stanowisko, jakby była częścią jego ciała. Wyczuwał również rosnącą niecierpliwość statku. Uświadomił sobie wreszcie, że nie musi wymawiać rozkazów głośno.

Frachtowiec otworzył ogień. Ben poczuł dojmujący ból, gdy jeden ze strzałów dosięgnął górnej części kadłuba statku. Szok o mało nie pozbawił go koncentracji, jednak gniew był jego przyjacielem,

gniew pomagał mu się skupić.

- Strzał z górnego działa! - zakomenderował. Kula opuściła wysięgnik, mknąc w kierunku frachtowca... po czym odbiła się

od jego pól, nie czyniąc żadnych zniszczeń.

Ben zbyt późno zdał sobie sprawę, że sam był częścią statku.

Stanowili jedność. Ben mógł kierować nawet kursem pocisku.

Instynktownie jednak czuł, że obrócenie kuli i posłanie jej z powrotem

na frachtowiec zabierze mu zbyt dużo energii.

Jego statek przeleciał obok frachtowca, który zawrócił, żeby

za nim podążyć. Zaczął manewr, jeszcze zanim się minęli. Benowi wydawało się, że dostrzegł coś na lewej burcie frachtowca.

Wyczuł, że jego statek ma ochotę na wykorzystanie drugiej broni i skierowanie ognia laserowego w kierunku wroga, jednak

musiał najpierw coś sprawdzić.

Zawrót, pomyślał. „Zanurkuj w stronę Ziost. Przeleć na drugą stronę frachtowca”.

Jego statek odwrócił się z prędkością i zwrotnością nowoczesnego

myśliwca, po czym skręcił w dół, aby znaleźć się na lewej burcie statku nieprzyjaciela. Dowódca wrogiej jednostki wyczuł

widocznie jego zamiary i spróbował obrócić się w tamtym kierunku,

jednak statek z Ziost był zbyt zwinny. Ben zauważył, że panel na lewej burcie frachtowca jest zablokowany w pozycji otwartej,

a w środku szykuje się do startu myśliwiec TIE.

Poczuł gniew, taki sam jak w chwili bombardowania, kiedy pomyślał o tym, co inny myśliwiec zrobił Kiarze - i kolejna kula

opuściła górne działo, zanim Ben uświadomił sobie, że w ogóle

wystrzelił.

Frachtowiec obracał się teraz, próbując przyjąć lub odbić strzał. Ben poprzez Moc wysłał swoje uczucia w ślad za pociskiem.

Obserwował, jak kula zmienia tor, omija pola i zmierza prosto do otwartej ładowni, skręcając w kierunku rufy...

...a potem wylatuje z drugiej strony, niosąc ze sobą chmurę

szczątków, które niedawno były częściami silników frachtowca.

Wroga jednostka zaczęła opadać.

Teraz Ben pozwolił swojemu statkowi otworzyć ogień laserowy.

Czerwone promienie utorowały sobie drogę wzdłuż górnej części pokładu frachtowca, z energią wystarczającą do przebicia

pól, złuszczenia farby i odcięcia anteny łączności.

Ben pokręcił głową; teraz mógł kazać przerwać ogień i zawrócić.

Wstał z klęczek i usiadł wygodniej.

- Co się stało? - zapytała Kiara.

- Wygraliśmy.

Teraz wszystko, co musiał zrobić, to odnaleźć drogę do domu

- na statku, który nie miał komputera nawigacyjnego, a może nawet

hipernapędu. Najpierw trzeba będzie dotrzeć do najbliższego systemu gwiazdowego, prawdopodobnie Almanii. Coruscant leży

zbyt daleko, żeby można robić sobie jakąś nadzieję.

W jego umyśle pojawiło się Coruscant. Widział planetę jako odległy blask w morzu gwiazd.

- Możesz nas tam zabrać? - zapytał.

Był pewien, że statek może to zrobić.

- Zanim się zestarzejemy i umrzemy? - uściślił jeszcze.

Statek nie rozumiał pojęcia czasu, jednak Ben czuł, że podróż będzie trwała godziny lub dni, nie całe życie.

Wydał więc rozkaz.

System Gilatter,

satelita wypoczynkowy

Z cienia, gdzie się ukrywała, Alema zobaczyła dwie postacie torujące sobie drogę poprzez ciżbę aktorów.

Poznała od razu: to Luke Skywalker i Mara Jade Skywalker, ubrani w czarne kombinezony pilotów X-wingów. Alema o mało

nie oszalała ze szczęścia. A więc Luke tu jest i będzie mógł zobaczyć,

jak Mara umiera, Leia także przybędzie niebawem... świat zaraz dostąpi Równowagi, której tak bardzo potrzebował.

Zatrzymała się, żeby poszukać swojego komunikatora.

Przemówiła

do mikrofonu:

- Aktywować i zrealizować podejście dwa.

Na „Durawraku”, dryfującym z innymi statkami kierowanymi do rejonu stacjonowania przez ochronę ośrodka, komputer nawigacyjny

zacznie zaraz ładować i wprowadzać zestaw prostych manewrów. „Durawrak” ustawi się bezpośrednio nad kopułą ośrodka, parę kilometrów wyżej i zacznie przyspieszać.

- Co tu robisz, tancerko? - usłyszała głos. Głos był chłodny, rozbawiony, znajomy... i zmroził serce Alemy.

Oderwała wzrok od Jacena, który próbował uporać się z rosnącą

liczbą agentów ochrony, i spojrzała w prawo. Ciemnowłosa kobieta, która się do niej zwracała, nie wyglądała znajomo...

ale

ta budowa ciała i zielone oczy...

- Lumiya-powiedziała Alema.

- Zadałam ci pytanie.

Alema wzruszyła jednym ramieniem.

- Jesteśmy tu, żeby zabić Marę Jade Skywalker, która tu jest, i Hana Solo, który właśnie nadlatuje. A ty?

- Właśnie miałam pomóc Jacenowi.

- Nie rób tego! - Alema gwałtownie pokręciła głową. - Jeśli go uratujesz, Luke i Mara odejdą a Leia i Han się nie pojawią.

Muszą tu dotrzeć!

Lumiya zastanowiła się.

- W takim razie działajmy razem. Zatrzymamy Skywalkerów i Solo. Co o tym myślisz?

- W porządku.

Lumiya sięgnęła i oddarła dół swojej szaty, zapewniając sobie większą swobodę. Odwinęła dekoracyjną szarfę i owinęła ją jak

szal wokół głowy, co stanowiło zawsze jej znak rozpoznawczy.

Wyciągnęła swój bicz świetlny.

- Gotowa?

Alema uniosła miecz świetlny w górę.

- Jesteśmy gotowi.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz była tak szczęśliwa.

Luke i Mara wpadli do sali bankietowej. Wylądowali w samym

środku największej grupy oficerów ochrony. Miecz świetlny

Luke'a zatoczył koło, pozbawiając luf pięć czy sześć Masterów,

Mara zaś za pośrednictwem Mocy posłała około tuzina agentów na podłogę.

Luke odbił strzał blasterowy upartej agentki KorSeku i odezwał

się:

- Chodźmy, Jacen. Transport czeka.

Jacen mimochodem przeciął na pół jednego ze strzelających, Bothanina.

- Nie potrzebuję waszej pomocy - warknął, spojrzawszy ponad głowę Luke'a i jego rysy stwardniały.

- O, nie!

Luke zerknął w tym samym kierunku. Han i Leia wbiegali właśnie do głównej sali.

- Jakby co - powiedział - to masz inny transport.

W tym momencie usłyszał ostrzegawczy syk Mary - raczej za pośrednictwem Mocy niż własnych uszu - a gdy się odwrócił, stała przed nim Lumiya.

Han i Leia obserwowali sceny, zmieniające się jak w kalejdoskopie.

Luke wyciągnął i zapalił swój drugi miecz świetlny, krótkie shoto, a pierwszy wykorzystał do odbicia broni, atakującej go osoby. Broń dziwnie przypominała bicz świetlny Lumiya.

Han zmrużył oczy. To rzeczywiście była Lumiya, chociaż miała

ciemną skórę. Uniósł swój blaster i wystrzelił, jednak Lumiya musiała być świadoma jego obecności, bo zrobiła szybki unik.

Strzał z blastera odbił się od podłogi, po czym przeszył pierś sześciometrowego hologramu, który zajmował środek pomieszczenia.

Mara, otoczona przez rój agentów ochrony, odbijała ich strzały

z powrotem za pomocą miecza. Leia zerknęła na Luke'a i wydała

zaskoczony okrzyk, kiedy w jej stronę poszybował niski stolik.

Nie zdążyła odskoczyć. Potknęła się, ale utrzymała na nogach i zapaliła swój miecz.

Zatrzymała się nagle i spojrzała w lewo. Han podążył za jej spojrzeniem... i zobaczył Alemę Rar. Wychodziła z ciemnego kąta z dziwnym uśmiechem błakającym się na ustach i zapalonym

mieczem świetlnym w dłoni.

- Mam cię - warknęła Leia i skoczyła w jej kierunku.

Han wystrzelił w kierunku Twi'lekanki; Alema bez trudu przejęła

strzał na ostrze miecza, po czym zajęła się odpieraniem ataku

Leii.

- Musimy chyba odpowiedzieć na pytanie, czy w ogóle jesteś żywą istotą - odezwał się Luke. Przyjął smagnięcie bicza na swoje dłuższe ostrze, wyprowadzając jednocześnie cios shoto.

Jego przeciwniczka posłała w jego kierunku odciętą ludzką głowę,

którą atak Luke'a odbił w drugą stronę. Wylądowała na stole zastawionym jedzeniem.

- Głupie pytanie - odparła Lumiya. - Sądziłam, że to wiesz. Jestem martwa od dziesięcioleci.

- W takim razie połów się i pozwól przysypać piachem.

Luke Mocą podniósł obrus z całą zastawą i cisnął tym wszystkim

w Lumię. Trafił, ale ona trzasnęła biczem, rozcinając obrus na dwoje, po czym ponownie atakowała. Luke odbijał kolejne ciosy bicza dwoma ostrzami naraz.

- Naprawdę mnie nienawidzisz, zgadza się? - zapytała Lumiya.

- Dałaś mi powody, to prawda, ale... nie. Nie odwzajemniam twojej nienawiści. - Luke przeskoczył nad następnym smagnięciem

jej broni, lądując na krześle. Zaraz z niego, zeskoczył, bo bicz Lumiya zniszczył mebel. Wylądował lekko i sprawnie.

- Ależ ja cię nie nienawidzę. - Opuściła bicz. - Przykro mi, że tak myślisz. Nie czuję żadnej nienawiści od bardzo

długiego czasu. Tak, to prawda, próbowałam cię zabić, ale to były sprawy...

zawodowe. Nic osobistego.

Luke odbił zbłąkany strzał z blastera i skierował ostrze miecza w dół, w stronę Lumiya.

- Wybacz, jakoś ciężko mi w to uwierzyć.

- Należymy do przeciwnych szkół, Luke. To wszystko. Czy muszę to udowodniać?

- Powinnaś.

Lumiya wyłączyła swój bicz i okręciła go wokół nadgarstka. Uniosła otwartą dłoń.

- Możesz mnie teraz zabić.

Luke zrobił krok do przodu.

- Nie chciałbym, ale stanowisz zagrożenie dla mnie i mojej rodziny.

- No to strzelaj. Ale najpierw, z uwagi na starą znajomość, podaj mi rękę. - Wyciągnęła prawą dłoń w pokojowym geście. Luke spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem.

- Nie mogę uwierzyć, że próbujesz tak dziecinnych sztuczek.

- To nie sztuczki, Luke. Wsłuchaj się w mój głos, wejrzyj w moje uczucia. Nie mam na palcach śmiertelnej trucizny, nie zamierzam posłużyć się błyskawicami Mocy. Pragnę tylko, żebyś

mnie dotknął - powiedziała smutno. - Gdybym chciała cię zranić, zabiłabym dziś twojego kuzyna, zamiast pozwolić mu uciec.

- Pozwoliłaś mu uciec? - Luke rozejrzał się ostrożnie po sali.

Większość aktorów zniknęła. Mara próbowała uporać się z coraz

nowymi agentami ochrony. Leia walczyła z Alemą w głównej sali, Han ostrzeliwał Alemę z blastera. Ogromny hologram zniknął,

podobnie jak siostrzeniec Luke'a.

- Zostawił nas - stwierdził.

- Widzisz? Mogłam cię teraz zaatakować - zwróciła mu uwagę Lumiya.

Luke zwrócił się w jej stronę. Nie wyczuwał za pośrednictwem

Mocy niebezpieczeństwa, wyłącznie pokojowe zamiary.
Zgasił swój miecz świetlny, zawiesił go na pasie i wyciągnął lewą dłoń... prawdziwą dłoń. Jego palce dotknęły palców Lumiya,
a po chwili jej ręka oplotła jego dłoń.

I nic się nie stało.

- Skarbie? - odezwał się Han.

- Nie teraz! - Leia wywijała mieczem w nieprzerwanej sekwencji

ciosów; Alema nadal się wycofywała, odbijając sztychy, ale ani razu nie próbując ataku. To nie było w jej stylu.

- Jacen uciekł.

Słyszając słowa męża, Leia poczuła ciężar w piersi. Ryzykowali życie, aby ocalić syna, a on właśnie ich zostawił.

Nie mogła jednak teraz się nad tym zastanawiać. Alema nadal była groźnym przeciwnikiem. Leia musiała wygrać.

- Kochanie...

- Co znów?

- Uważaj!

Leia przekoziółkowała w tył i w połowie obrotu zauważyła, że widok na Gilatter Osiem jest częściowo zasłonięty przez ten

sam statek, którym Alema związała parę dni wcześniej z pokładu

„Rycerza”.

Kiedy Leia wylądowała na nogach, zobaczyła, że Twi'lekanka wyłącza swój miecz i zakłada elastyczny kaptur z przezroczystą

płytą twarzową - hełm awaryjny w przypadku dekompresji.

Zza

szybki Alema uśmiechnęła się do niej drapieżnie.

Luke wyczuł niebezpieczeństwo, jednak nie pochodziło ono ze strony Lumiya. Odwrócił się i spojrzał w górę, akurat żeby

zobaczyć, jak YV-666 dotyka czubka kopuły.

Kopuła, wykonana z leciwej transpastali, nie roztrzaskała się. Wgięła się tylko do środka niczym puszka z metalu o cienkich ściankach. Statek spadł na dół, sunąc w kierunku podłogi głównej sali.

Luke popędził w stronę wyjścia. Mara gnała tuż za nim. Zobaczył,

jak transportowiec orze powierzchnię podłogi, wyszarpując otwory. Kątem oka dostrzegł jeszcze wici bicza Lumiyi, smagające...

co? Wroga? Ścianę, aby zapewnić jej drogę ucieczki?

Bicz zniknął zaraz w chmurze szczątków, która wpadła do środka

wraz ze statkiem.

Atmosfera z wnętrza stacji zaczęła uciekać w przestrzeń.

Leia utkwiała na końcu tłumu kierującego się do wyjścia, Han biegł tuż przed nią. Wstrząs uderzenia zbił go z nóg.

Natychmiast

wstał, zanim Leia zdołała do niego dotrzeć.

Ku zdumieniu Leii stopy Hana nie dotykały podłogi, kiedy biegł.

Jej stopy zresztą też. Nie miało to nic wspólnego z ubytkiem atmosfery. Prawdopodobnie wysiadła sztuczna grawitacja.

Leia

czuła ucisk w uszach, bolały ją skronie i oczy. Wiedziała, że nie

było sposobu, żeby dotarli do wyjścia...

A przynajmniej, żeby oboje do niego dotarli.

Sięgnęła poprzez Moc i pchnęła Hana do przodu, przez drzwi, do których właśnie dotarli Luke i Mara.

Zrobiła jeszcze trzy kroki... i tyle. Walczyła, ale nie mogła

ruszyć dalej. Nie sięgała stopami podłogi. Nie było szans, żeby

osiągnęła bezpieczną przystań drzwi.

Zamknęła oczy, zdecydowana zachować spokój w ostatnich chwilach życia.

I wtedy coś owinęło się wokół jej kostki.

Spojrzała w dół. O jej nogę zaczepiła się linka z hakiem i kotwiczka

- jedna z nedorzecznych zabawek Luke'a, które nosił przy sobie od kiedy go poznała. Stał na drugim końcu linki, zaparty

w drzwiach. Chwilę później dołączył do niego Han.

Doholowali Leię do drzwi i ruszyli do hangaru promów. Han zabezpieczył drzwi. W zredukowanym ciśnieniu atmosferycznym

ledwo słyszeli wycie syren alarmowych. Leia leżała na podłodze,

oddychając z trudem.

- Dzięki - wysapała.

- Od czego jest rodzina? - zapytał Luke. - Hej, podrzucicie nas z Marą na drugą stronę stacji? Nasze stealthX-y są tuż obok.

System Gilatter

W promie, który przechwycił, Jacen mknął w kierunku „Anakina

Solo". Transmitował cały czas swój kod identyfikacyjny i domagał się aktualnych informacji na temat bitwy.

Właściwie i tak widział, co się dzieje. Statki Konfederacji były przygotowane na przybycie sił Sojuszu, ale nie spodziewały się,

że te siły pokonają sieć min.

Potrzebował jednak czegoś więcej. Nawet dane z „Anakina Solo" były tylko na tyle dokładne, ile mogły zapewnić urządzenia

statków i zmęczeni oficerowie.

Widział krążownik bothańskiej floty szturmowej, tracący moc lewoburtowych baterii. Eskadry myśliwców Sojuszu mogły wykorzystać

tę sytuację i zniszczyć krążownik. Nie doszło do tego.

Widział eskadrę myśliwców, krążącą w poszukiwaniu wroga; marnowała cenne minuty, czekając, aż „Galaktyczny Wędrowiec”

nakieruje ich na jakiś cel.

Widział fregatę Sojuszu tracącą pola ochronne; jej dowódca czuł, że statek jest okaleczony, nieświadom tego, że jej koreliański

odpowiednik - korweta - była nawet bardziej zniszczona.

Jacen przeklinał siły zbrojne, siedząc w fotelu pilota.

W końcu znalazł stosowny moment, aby dostać się na pokład „Anakina Solo”.

Jakiś czas później Lumiya skontaktowała się z nim na prywatnej

częstotliwości. Dała znać, że również zdołała zdobyć statek - prywatny, niewiele większy niż śmigacz, wyposażony w zmodyfikowane

silniki i hermetycznie uszczelniony kadłub - i prosiła

o upoważnienie do lądowania na pokładzie „Anakina Solo”.

Jacen

niechętnie udostępnił jej kody; nie miał ochoty z nikim rozmawiać,

a zwłaszcza z Lumiya.

W rezultacie bitwa o Gilatter Osiem pozostała nierozegrana.

Obie strony ustąpiły pola, ponosząc umiarkowane straty.

Konfederacja rozgłosiła, że było to niekwestionowane zwycięstwo

Turra Phenirra, ich nowego błyskotliwego naczelnego dowódcy.

Sojusz odnotował fakt, że - nawet biorąc pod uwagę wyjątkowe szanse wynikające ze zdradzieckiej zasadzki - Konfederacja nic nie osiągnęła.

W drodze na Coruscant, „Galaktyczny Wędrowiec”

Luke leżał na wąskiej kanapie w malutkiej kwaterze, jaką przydzielili

jemu i Marze, i gapił się w sufit. Jego neutralny, niebieski kolor pomagał mu uspokoić myśli.

A bardzo potrzebował spokoju.

- Jesteś dziwnie skryty - powiedziała Mara. Zajmowała jedyne krzesło w pomieszczeniu.

- Nadal nic nie słyhać w sprawie Bena. - Luke zmarszczył brwi. - I martwi mnie zachowanie Jacena.

- Masz na myśli to, że unika Hana i Leii?

Pokiwał głową.

- Też myślę, że jest z nim coraz gorzej - przyznała Mara i wróciła do swojego datapadu.

Przedłużająca się nieobecność Bena i postępowanie Jacena gnębiły Luke'a; okłamywanie Mary powiększało ten ciężar.

Miał

tylko nadzieję, że żona nie dowie się o tym poprzez łączącą ich

więź Mocy. Luke nie sądził, żeby działania Jacena dowodziły jego tchórzostwa, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego jego siostrzeniec

uważał zagrożenie życia swoich rodziców za sprawę o mniejszym znaczeniu niż chęć uzyskania dostępu do głównej

sceny konfrontacji sił Sojuszu i Konfederacji. A tak właśnie postąpił.

Jednak nie to przytłaczało go najbardziej. Myślał nad znaczeniem słów Lumiya; nie rozumiał jej łagodnego gestu. Nie była wrogo nastawiona, nie pałała żądzą zemsty. Poznałby, gdyby było inaczej; dzięki Mocy potrafił oddzielać prawdę od fałszu. Chwilę później napłynęło nowe odczucie. Usiadł. Mara przyjrzała mu się uważnie.

- Co się dzieje?

Uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili, gdy opuścili system Gilatter.

- Czuję obecność Bena - powiedział.

„Anakin Solo”

Jacen siedział w swojej prywatnej kwaterze. Pręty jarzeniowe były przygaszone, jedyne światło pochodziło z gwiazdnych smug

nadprzestrzeni na zewnątrz paneli widokowych.

Ukryty panel w kącie otworzył się z cichym sykiem. Weszła Lumiya

- j u ż bez makijażu, ale owinięta szalem aż po same oczy.

- Wyczuwałam twój gniew całą drogę od mojej kwatery - powiedziała.

- To źle czy dobrze?

- Dobrze, oczywiście. Gniew cię wzmacnia, a ty potrzebujesz siły. Jeśli jednak ja mogę to wyczuć...

- Nie ma innych Jedi na pokładzie „Anakina Solo”.

Jacen westchnął. Nie pozbył się gniewu, ale teraz koncentrował

się na zatarciu własnej obecności w Mocy.

Lumiya zbliżyła się i usiadła naprzeciwko niego.

- Jacenie, to nie była klęska.

- Zrobiłem z siebie głupca. Zaplanowałem misję i dałem się złapać w pułapkę.

- Jak wszyscy, włącznie z admirał Niathal, dowodzącą akcją. Gdy tylko informacje o bitwie dotrą do holowiadomości, pokażą to jako spektakularny sukces Galaktycznego Sojuszu: „Nasze siły znakomicie poradziły sobie ze zdraziecką pułapką, a wszystko przy prawie zerowych stratach”. Założę się, że twoja popularność jeszcze wzrośnie. Swoje informacje potwierdziłeś w niezależnych źródłach, prawda?
- Oczywiście. Tak czy owak, zmuszono mnie, żebym poczuł się jak idiota.
- Cóż, wobec tego nie mogę cię pocieszyć. Posłał jej mordercze spojrzenie, ale nic nie powiedział.
- Czy chciałbyś uniknąć takich wpadek w przyszłości? Chcesz się stać niepokonany?
- Nikt nie jest niepokonany.
- Pewnie masz rację... jednak dowódcę, który dokładnie zna rozkład sił na polu walki, który nie musi polegać wyłącznie na czujnikach i zawodnych analitykach, dużo trudniej pokonać.
- Mówisz o medytacji bitewnej? Wspomniałaś o tym wcześniej.
- Nie. Medytacja bitewna jest dostępna wielu użytkownikom Mocy, zarówno Jedi, jak i Sithom. Możesz uznać medytację bitewną za ucznia. Technika zaś, o której mówię, jest mistrzem. To zdolność do wyczuwania i koordynowania wyłącznie za pośrednictwem potęgi umysłu i woli. To umiejętność, która łączy się z tytułem mistrza Sithów. Nadal się jej przypatrywał.
- Ale ty sama nie jesteś mistrzem. Więc nie możesz mnie nauczać.
- Nie jestem, ale mogę. Ślepa kobieta, która kiedyś widziała,

nadal pamięta barwy. Nauczyłam się wszystkiego, czego można

było się nauczyć o tej potędze, ale nie mogłam nigdy z niej korzystać.

Lumiya spojrzała w dół, na swoje okaleczone kończyny. Wyras

jej twarzy mówił, że czuje się lekko rozczarowana, ale nie zdradzona.

Jacen zastanowił się nad jej propozycją.

- Czy jestem gotów? - spytał.

- W wielu aspektach - tak. Musisz jednak poświęcić kogoś, kogo kochasz. A następnie przyjąć imię Sitha, aby przypieczętować przemianę.

- Kogo muszę poświęcić? - Poczul nagły chłód w sercu. Jeśli Lumiya powie: „Tego, kogo kochasz najbardziej”, nie zdoła tego

dokonać. Nigdy nie poświęciłby Allany. Nigdy nie poświęciłby

Tenel Ka.

- Tego, kogo kochasz. Tego, kto pozostawi pustkę w twoim sercu.

- Kogokolwiek?

- Kogokolwiek.

Jacen popatrzył na nią z dystansem.

- W takim razie będzie to mój ojciec. Lub matka. Albo oboje.

- Niekoniecznie.

Jacen patrzył na nią, zdziwiony.

- Czyżbyś nagle zapalała do nich uczuciem, o którym nie wiem?

Lumiya zaśmiała się.

- Nie. Wybaczyłam Leii to, co mi zrobiła, Han zaś nigdy tak

naprawdę nie stanął mi na drodze. Jednak nie wiadomo, czy będziesz

mógł poświęcić swoich rodziców.

- Czemu?

- Musisz poświęcić tego, kogo kochasz. Czy jesteś pewien, że nadal ich kochasz? Sprawdź swoje uczucia.

Jacen dopuścił do umysłu obrazy Hana i Leii.

Widział ich w czasach, gdy był dzieckiem, chłopcem, mężczyzną.

Widział ich we wciąż zmieniającym się świetle własnego doświadczenia.

Przypomniawszy sobie, jak doszedł do wniosku, że Han

i Leia nie są zwykłymi rodzicami; jak bolało, kiedy opuszczali swoje

dzieci, zostawiając je z opiekunami na całe tygodnie czy miesiące;

i jak nauczył się wreszcie, że to nieuniknione. Powrócił znów ból tamtych rozstań, którego nie uleczyły wszystkie powroty.

Powrócił ból i gniew - ból, który mu sprawiali, i gniew, że do tego doszło.

Czy jednak gniew zastąpił miłość, czy tylko ją przysłonił? Nie mógł znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

Lumiya szepnęła mu do ucha:

- Nie możesz zdecydować, bo uczyłeś się rezygnować z uczuć dla rozumu. To nie jest droga Sitha. Musisz opanować i jedno, i drugie.

Jacen pokręcił głową.

- Uczucia osłabiają.

- A jednak gniew, chociaż jest uczuciem, daje siłę. Uczucia wcale cię nie osłabiają, Jacenie. Przerazają cię.

Spojrzał na nią wściekłym wzrokiem.

- Nic nie jest w stanie mnie przerazić.

Nie widział jej twarzy pod szarfą ale wyczuwał, że się uśmiecha.

- Nieprawda — powiedziała tylko.

Zanim wymyślił odpowiedź, wstała i skierowała się do sekretnego przejścia.

- Myliłam się - dodała. - Jeszcze nie jesteś całkiem gotów.

Nie znasz siebie tak dobrze, jak powinienes. Odnajdź siebie, Jacenie.

Wtedy możesz dokonać ofiary i przybrać imię Sitha. Będę czekać. - Wyszła i drzwi zamknęły się za nią.

Jacen popatrzył w ślad za nią. Czuł się fatalnie, bo okazało się, że jest słaby, a Lumiya zauważyła tę słabość. Nie mógł wybrać

osoby na ofiarę, dopóki nie będzie wiedział, co dzieje się w jego sercu.

Dopóki nie będzie wiedział, czy kocha swoich rodziców.

Jeśli ich kocha, poświęci jedno z nich - i zabije drugie, aby uniknąć zemsty. Jeśli ich nie kocha, może wyeliminować oboje

jako potencjalne źródło problemów. Tak czy inaczej, zarówno galaktyka,

jak i on sam będą bez nich lepsi.

- Żegnaj, mamó - powiedział. - Żegnaj, tato.